

DANIEL SILVA

ANGIELSKI ZABÓJCA

(Przełożyła: Piotr Budkiewicz)

WYDAWNICTWO MUZA
2003

Phyllis Grann, wreszcie,
i jak zawsze mojej żonie Jamie
oraz moim dzieciom: Lily i Nicholasowi

Gnom: według dawnych wierzeń ludowych duch
podziemia, usposobienie żywiołowych sił ziemi, uważany
za ducha kopalni, kamieniołomów itp.
Słownik języka polskiego PWN

Zatajanie przeszłości to szwajcarska tradycja
Jean Ziegler, *The Swiss, the Gold, and the Dead*

Prolog

Szwajcaria 1975

Marguerite Rolfe kopała w ogródku, gdyż w gabinecie męża odkryła pewną tajemnicę. Jak na prace ogrodowe było już dość późno, grubo po północy. Wiosna roztopiła ziemię; grunt stał się miękki i wilgotny, a łopata bez trudu dawała się wbijać w glebę, dzięki czemu kobieta mogła pracować niemal bezszelestnie. Była z tego zadowolona. Jej mąż i córka spali w willi, nie chciała ich budzić.

Dlaczego nie mogło to być coś prostego, jak choćby listy miłosne od innej kobiety? Wybuchłaby awantura, Marguerite wyznałaby prawdę o własnym związku. Obydwoje zapomnieliby o kochankach i po jakimś czasie sytuacja w domu powróciłaby do normy. Nie znalazła jednak listów miłosnych, tylko coś znacznie gorszego.

Przez chwilę obwiniała samą siebie. Gdyby nie przetrząsała jego gabinetu, nigdy by nie natrafiła na te zdjęcia. Resztę życia spędziłaby w słodkiej nieświadomości, żywiąc szczere przekonanie, że jej mąż jest tym, za kogo się podaje. Teraz jednak już wiedziała. Ten człowiek okazał się potworem, a jego życie pasmem kłamstw: definitywnych i starannie ukrywanych. Dlatego też ona sama była ich częścią.

Marguerite Rolfe skupiła się na pracy, powoli i zdecydowanie zmierzając do celu. Po godzinie skończyła. Uznała, że wykop jest odpowiedni: liczył około dwóch metrów długości i sześćdziesięciu centymetrów szerokości. Piętnaście centymetrów pod powierzchnią ziemi natrafiła na warstwę gliny, toteż dół musiał pozostać płytki. Nie miało to znaczenia. Wiedziała, że potrzebuje go tylko tymczasowo.

Uniosła broń. Była to ulubiona strzelba jej męża: wspinała robota, ręcznie wykonana dla niego przez mistrza rusznikarstwa z Mediolanu. Już nigdy z niej nie skorzysta. Ta myśl sprawiła jej satysfakcję. Pomyślała o Annie. Nie obudź się, Anno. Śpij, kochanie.

Potem weszła do dołu, położyła się na plecach, wsunęła koniec lufy w usta i pociągnęła za spust.

Dziewczynę zbudziła muzyka. Nie rozpoznała tego utworu i zastanawiała się, jak udało mu się dotrzeć do jej umysłu. Przez chwilę dźwięki rozbrzmiewały w jej głowie serią nut, spokojnie cichnąc. Nie otworzywszy oczu, wyciągnęła rękę i przeszukała fałdy pościeli, dłonią natrafiając na leżący kilka centymetrów od niej instrument. Przesunęła palcami po wąskiej talii, smukłej,

wytwornej szyjce, ku pełnej gracji krzywiźnie ślimaka. Ubiegłej nocy się kłócili. Teraz nadeszła pora, aby zapomnieć o dzielących ich różnicach i zawrzeć pokój.

Lekko wstała z łóżka i włożyła szlafrok. Czekają ją pięć godzin ćwiczeń. Trzydzieści lat, czerwcowy, skąpany w słońcu poranek... a ona właśnie tak musiała spędzić ten dzień i każdy inny tego lata.

Rozciągając mięśnie karku, wyglądała przez okno na skąpany w kwiatach ogród. Przed jej oczyma rozpościerał się melanz wiosennych barw. Za ogrodem wyrastało strome zbocze doliny. Wokół piętrzyły się spowite śniegiem szczyty gór, połyskujące w jaskrawym słońcu. Przycisnęła skrzypce do szyi, gotowa do odegrania pierwszej etiudy.

Wtedy dostrzegła coś w ogrodzie: pagórek z ziemi i podłużny, płytki dół. Ze swojego punktu obserwacyjnego w oknie widziała fragment białej tkaniny w wykopie oraz blade dłonie ściskające lufę strzelby.

- Mama! - krzyknęła. Skrzypce z hukiem upadły na podłogę.

Gwałtownie, bez pukania, otworzyła drzwi do gabinetu ojca. Spodziewała się, że zastanie go za biurkiem, zgarbionego nad jakimiś księgami, lecz on przycupnął na krawędzi fotela z wysokim oparciem, ustawionego przy kominku. Miał drobną, niepozorną sylwetkę i jak zwykle włożył niebieski blezer i krawat w paski. Nie był sam. Drugi mężczyzna nosił okulary przeciwsłoneczne pomimo półmroku w gabinecie.

- Co ty u licha wyprawiasz? - warknął ojciec. - Ile razy mam cię prosić, abyś szanowała moją prywatność? Nie widzisz, że właśnie prowadzę ważną rozmowę?

- Ale tato...

- I włoż na siebie coś przyzwoitego! Dziesiąta rano, a ty ciągle chodzisz w szlafroku.

- Tato, muszę...

- To może poczekać, aż skończymy.

- Nie, tato, nie może! - wrzasnęła tak głośno, że mężczyzna w okularach się wzdrygnął.

- Wybacz, Otto, ale obawiam się, że maniery mojej córki znacznie ucierpiały po tak wielu godzinach spędzonych samotnie, wyłącznie z instrumentem. Mogę cię przeprosić? To potrwa tylko chwilę.

Ojciec Anny Rolfe z ogromną pieczołowitością troszczył się o ważne dokumenty, a list, który wyciągnął z grobu, nie był wyjątkiem. Gdy go przeczytał, szybko podniósł wzrok, jakby obawiając się, że ktoś mógłby podczytywać mu przez ramię. Anna dostrzegła to przez okno w sypialni.

Kiedy ruszył z powrotem ku willi, popatrzył w jej okno i wtedy ją spostrzegł. Przez chwilę uważnie mierzył się wzrokiem. Przyglądał się jej bez cienia współczucia ani wyrzutów sumienia. W jego źrenicach czaiła się podejrzliwość.

Odwróciła się od okna. Stradivarius leżał tam, gdzie go upuściła. Podniosła instrument. Usłyszała, jak na dole jej ojciec informuje gościa o samobójstwie żony. Przycisnęła skrzypce do szyi, położyła smyczek na strunach i zmrużyła powieki. G-moll. Rozmaite schematy pasaży. Arpeggia. Małe tercje.

- Jak ona może grać w takiej chwili?

- Chyba na nic innego jej nie stać.

Późne popołudnie. Dwóch mężczyzn ponownie zasiadło samotnie w gabinecie. Policja zakończyła wstępne oględziny, a ciało wywieziono. List leżał na blacie stolika, dzielącym rozmówców.

- Lekarz mógł jej podać środek uspokajający.

- Ona nie potrzebuje lekarza. Niestety, odziedziczyła temperament i upór po matce.

- Czy policja pytała o list pożegnalny?

- Nie widzę powodu, aby wtajemniczać policję w prywatne sprawy rodziny, zwłaszcza w sytuacji, gdy w grę wchodzi samobójstwo mojej żony.
- A twoja córka?
- Co ona ma do rzeczy?
- Widziała cię przez okno.
- Córkę biorę na siebie. Zajmę się nią, kiedy przyjdzie stosowna pora.
- Mam nadzieję. A możesz zrobić coś dla mnie?
- Co takiego, Otto?
- Spal to cholerstwo. - Jego ręka spoczęła na liście. - Dopilnuj, aby nikt inny nie natknął się na te przykre wspomnienia z przeszłości. Jesteśmy w Szwajcarii. Przeszłość nie istnieje.

Część pierwsza

Teraźniejszość

1

Londyn - Zurych

Firma Isherwood Fine Ars, której niekiedy przytrafiały się momenty wypłacalności, dawniej zajmowała część doskonale usytuowanej nieruchomości biurowej na stylowej New Bond Street w dzielnicy Mayfair. Potem nadszedł czas odnowy londyńskiego handlu detalicznego i prym na New Bond Street, czy też New Bondstrasse, jak ją kpiąco nazywano w branży, przejęły firmy takie jak Tiffany, Gucci, Versace i Mikimoto. Julian Isherwood i inni handlarze specjalizujący się w dziełach muzealnych starych mistrzów zostali skazani na wygnanie do St. James, tworząc w ten sposób Diasporę Bond Street, jak ich z przyjemnością nazywał Isherwood. Ostatecznie osiadł w podupadającym magazynie z epoki wiktoriańskiej, w cichym zaułku znanym jako Mason's Yard, obok londyńskich biur niewielkiej greckiej spółki przewozowej oraz pubu, do którego zajeżdżały na skuterach ładne dziewczyny, pracownice pobliskich biur.

W gronie zdeprawowanych obrzucających się kalumniami rezydentów St. James, Isherwood Fine Ars uważano za całkiem dobry teatr. Znaleźć w nim można było dramat i napięcie, komedię i tragedię, rewelacyjnie wysokie wzloty i na pozór bezdennie niskie upadki. W dużej mierze wynikało to z osobowości właściciela. Ciężało na nim przekleństwo niemal zgubnej, jak na marszanda, wady: bardziej pragnął mieć arcydzieła na własność niż je sprzedawać. Za każdym razem, gdy jakiś obraz opuszczał ścianę jego wytwornej sali wystawowej, Isherwood popadał w nieokleślaną depresję i smutek. Przez tę przypadłość teraz przytłaczał go apokaliptyczny zbiór dzieł, w branży pieszczotliwie nazywanych trupami: obrazy, za które żaden nabywca nie zapłacił godziwej ceny. niesprzedawalne płótna. Pudło, jak się mawiało na Duke Street. Kłapa. Gdyby Isherwooda poproszono o wyjaśnienie tego pozornie niemożliwego do wyjaśnienia fenomenu jego niepowodzeń w interesach, być może napomknąłby o swoim ojcu, chociaż z zasady nigdy - "I to naprawdę nigdy, kwiatuszku" - nie mówił o ojcu.

Teraz był na topie. Górował. Pławił się w pieniądzu. Ściśle rzecz biorąc, w milionie funtów, dobrze zabezpieczonym w Barclays Bank dzięki weneckiemu malarzowi Francesco Vecellio oraz pewnemu konserwatorowi dzieł sztuki, mężczyźnie o ponurym wyglądzie. Człowiek ten właśnie zbliżał się do Mason's Yard.

Isherwood uruchomił macintosha. Jego angielska powierzchowność i tradycyjnie angielska garderoba ukrywały fakt, że wcale nie był Anglikiem. Owszem, miał angielskie obywatelstwo i

paszport, lecz z urodzenia był Niemcem, z wychowania Francuzem, a z religii żydem. Niewielu ludzi wiedziało, że jego nazwisko stanowi fonetyczne zniekształcenie oryginału. Jeszcze węższa grupa wtajemniczonych uświadamiała sobie, że od lat robił przysługi dżentelmenowi z pewnej tajnej agencji w Tel Awiwie, niejakiemu Rudolfowi Hellerowi: tak się przedstawiał, telefonując do galerii, do Isherwooda. Nazwisko było pożyczone, podobnie jak jego niebieski garnitur i dżentelmeńskie maniery. Naprawdę nazywał się Ari Shamron.

- Każdy dokonuje w życiu wyborów, prawda? - stwierdził przy okazji rekrutacji Isherwooda. - Nie zdradza się swojego kraju, uczelni, rządu, trzeba strzec swojego narodu, swojego plemienia, bo w przeciwnym razie jakiś austriacki szaleniec albo rzeźnik z Bagdadu znowu spróbuje przerobić nas na mydło, co, Julian?

- Święte słowa, Herr Heller.

- Nie zapłacimy ci ani funta. Twoje nazwisko nigdy nie znajdzie się w naszych aktach. Od czasu do czasu wyświadczysz mi przysługę. Bardzo wyjątkową przysługę dla bardzo wyjątkowego agenta.

- Doskonale. Świetnie. Gdzie mam się stawić? Jakie przysługi? Nic szemranego, jak rozumiem?

- Powiedzmy, że muszę wysłać go do Pragi. Albo Oslo. Lub do Berlina, nie daj Boże. Chciałbym, abyś znalazł tam dla niego legalną pracę. Jakąś renowację. Ustalanie autentyczności. Konsultacje. Coś odpowiedniego do czasu, który tam spędzi.

- Nie widzę problemu, Herr Heller. A propos, jak się nazywa ten agent?

Agent miał wiele nazwisk, przyszło teraz Isherwoodowi do głowy, gdy przyglądał się nadchodzącemu mężczyźnie. Jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Gabriel Allon, a charakter jego tajnej pracy dla Shamrona ujawniał się przy okazji pozornie niewiele znaczących zachowań. W specyficzny sposób zerknął przez ramię, przemykając przez przejście z Duke Street. Pomimo bezustannego deszczu nie raz, lecz dwa razy okrążył podwórze i dopiero wtedy zbliżył się do solidnych drzwi galerii i nacisnął guzik dzwonka do Isherwooda. Biedny Gabriel. Jeden z trzech lub czterech najlepszych na świecie ludzi z branży, a nie potrafi chodzić prosto. Dlaczego? Po tym, co się stało jego żonie i dziecku w Wiedniu... Po czymś takim każdy by się zmienił.

Był nieoczekiwanie przeciętnego wzrostu. Poruszał się płynnie i pozornie bez wysiłku. Kiedy usiedli w Green's Restaurant, gdzie Isherwood zarezerwował stolik na lunch, oczy Gabriela zlustrowały salę niczym reflektory punktowe. Były bystre, o migdałowym kształcie, nienaturalnie zielone. Wystające kości policzkowe mężczyzny wyróżniały się dość znacznym rozstawem, usta miały ciemnoczerwoną barwę, a ostro zakończony nos wyglądał jak wyrzeźbiony w drewnie. Isherwood uznał, że to typowa twarz bez wieku. Mogłaby się pojawić na okładce dobrego czasopisma z modą dla panów lub na portrecie surowego mężczyzny, pędzla Rembrandta. Ponadto taka twarz wskazywała na niejasne pochodzenie narodowościowe. Oblicze tego typu stanowiło doskonały atut zawodowy.

Isherwood zamówił faszerowaną solę i sancerre* [Sancerre - białe wytrawne wino francuskie.], Gabriel czarną herbatę i miseczkę consomme. Przypominał Isherwoodowi prawosławnego mnicha, który żywi się zjełczalym owczym serem i twardymi jak beton podpłomykami. Rzecz w tym, że Gabriel mieszkał w ładnym domu nad strumieniem, w Kornwalii, a nie w klasztorze. Isherwood nigdy nie widział go przy przyzwoitym posiłku, nie zauważył, aby się uśmiechał lub podziwiał atrakcyjne kobiece biodra. Nigdy nie pożył rzeczy materialnych. Miał tylko dwie zabawki: stary samochód MG i drewniany żaglowiec o dwóch masztach; obydwa samodzielnie odnowił. Słuchał muzyki operowej na wstrząsająco małym, przenośnym odtwarzaczu płyt kompaktowych, poplamionym farbą i lakierem. Wydawał pieniądze wyłącznie na bieżące potrzeby. W swojej niedużej kornwalijskiej pracowni miał więcej zaawansowanych technicznie urządzeń niż wydział konserwacji Tate Gallery.

Gabriel niewiele się zmienił przez te ćwierć wieku, od kiedy się poznali. Wokół jego czujnych oczu pojawiło się kilka nowych zmarszczek, przybyło mu też parę kilogramów. Tamtego dnia był

praktycznie chłopcem, cichym jak mysz kościelna. Nawet wówczas jego włosy przeplatała siwizna, cecha dziecka, które wykonywało pracę dorosłego.

- Julian Isherwood, a to Gabriel - wyjaśnił Shamron. - Zapewniam cię, Gabriel jest człowiekiem wybitnego talentu.

Wybitny talent, z pewnością, lecz w życiorysie młodego człowieka widniało kilka białych plam: choćby brakujące trzy lata między ukończeniem prestiżowej szkoły artystycznej Betsal'el w Jerozolimie a podjęciem nauki w Wenecji u mistrza konserwacji dzieł sztuki, Umberta Contiego.

- Gabriel spędził sporo czasu, podróżując po Europie - stwierdził zwięźle Shamron.

Właśnie wtedy po raz ostatni wypłynęła kwestia europejskich przygód Gabriela. Julian Isherwood nie mówił o tym, co się stało z jego ojcem, a Gabriel nie chciał wspominać o tym, co robił dla Ariego Shamrona, alias Rudolfa Hellera, od mniej więcej 1972 do 1975 roku. Isherwood skrycie określał ten czas mianem "straconych lat".

Isherwood sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął czek.

- Twój udział ze sprzedaży Vecellia. Sto tysięcy funtów.

Gabriel wziął czek i schował go do kieszeni płynnym ruchem ręki. Miał dłonie iluzjonisty i niezwykłą umiejętność wprowadzania ludzi w błąd.

- Ile wynosi twój udział?

- Zanim to wyjawię, musisz mi obiecać, że nie zdradzisz wysokości tej sumy żadnemu z tych sępów - oświadczył Isherwood, wskazując dłonią ludzi siedzących w restauracji.

Gabriel nie odpowiedział, co Isherwood uznał za uroczystą przysięgę milczenia do grobowej deski.

- Milion.

- Dolarów?

- Funtów, kwiatuszku. Funtów.

- Kto to kupił?

- Bardzo przyjemna galeria na środkowym zachodzie Ameryki. Bez wątplenia koneserzy. Wyobrażasz sobie? Kupiłem obraz za szesnaście tysięcy w zapyziałej salce wystawowej w Hull, kierując się wyłącznie intuicją, cholerną intuicją, że mam przed oczyma zaginiony fragment ołtarza z kościoła San Salvatore w Wenecji. I miałem rację! Taki strzał zdarza się raz na całe życie, a przy odrobinie szczęścia może dwa razy. Zdrowie.

Wzniesli toast kieliszkiem na wysokiej nóżce i porcelanową filiżanką. W tej samej chwili do ich stolika podszedł zadyszany, pulchny mężczyzna o różowych policzkach i w różowej koszuli.

- Julie! - zaśpiewał.

- Witaj, Oliver.

- Na Duke Street krążą pogłoski, że zgarnąłeś okrągły milion za swojego Vecellia.

- Gdzie to do jasnej cholery usłyszałeś?

- Tutaj niczego nie ukryjesz, kotku. Powiedz mi tylko, czy to prawda, czy też wstrętne oszczerstwo. - Odwrócił się do Gabriela, jakby dopiero teraz go zauważył, i wyciągnął ku niemu mięsistą rękę ze zdobioną złotem wizytówką, wetkniętą między grube paluchy. - Oliver Dimbleby. Dimbleby Fine Arts.

Gabriel bez słowa przyjął wizytówkę.

- Może wypijesz z nami drinka, Oliver? - zaproponował Isherwood.

Pod stołem Gabriel przydepnął butem stopę Isherwooda i solidnie przycisnął.

- Nie mogę, kotku. Długonoga istota przy tamtym stoliku obiecała, że nasączy mi do ucha nieprzyzwoitości, jeśli postawię jej jeszcze jeden kieliszek szampana.

- Dzięki Bogu! - wycedził Isherwood przez zaciśnięte zęby.

Oliver Dimbleby odszedł, kołyszając biodrami. Gabriel cofnął stopę.

- Tyle tytułem twoich tajemnic.

- Sępy - powtórzył Isherwood. - Teraz jestem na fali, ale kiedy noga mi się powinie, znowu zaczną nade mną krążyć, czekając, aż umrę, aby mogli uraczyć się padliną.

- Może tym razem powinieneś bardziej uważać na to, co robisz z pieniędzmi.

- Obawiam się, że mój przypadek jest beznadziejny. Prawdę mówiąc...

- O, Boże.

- ... w przyszłym tygodniu jadę do Amsterdamu, aby przyjrzeć się pewnemu obrazowi. To środkowa część tryptyku, zaklasyfikowana jako dzieło nieznanego artysty, ale ja mam swoje przeczucie. Podejrzewam, że może chodzić o coś z pracowni Rogera van der Weydena. W gruncie rzeczy liczę na pokaźny zysk.

- Obrazy van der Weydena są zawsze trudne do zidentyfikowania. Tylko niewielką część jego dzieł przypisuje się mu bez najmniejszych wątpliwości. W dodatku nigdy nie podpisywał ani nie datował żadnego płótna.

- Jeżeli obraz wyszedł spod jego pędzla, znajdują się na nim odciski palców malarza. I jeśli istnieje ktoś, kto mógłby je odkryć, to tylko ty.

- Z przyjemnością rzucę okiem na każde interesujące cię dzieło.

- Pracujesz teraz nad czymś?

- Właśnie skończyłem Modiglianiego.

- Mam dla ciebie robotę.

- Mianowicie?

- Kilka dni temu zatelefonował do mnie pewien prawnik. Stwierdził, że jego klient jest właścicielem obrazu, który wymaga renowacji. Podobno ten klient chce, abyś właśnie ty się zajął pracą, i jest gotów sownie wynagrodzić twoje usługi.

- Jak się nazywa ten klient?

- Nie wiem.

- Co to za obraz?

- Nie wiem.

- Więc jak ma przebiegać ta robota?

- Jedziesz do Willi, pracujesz przy obrazie. Właściciel opłaca hotel i pokrywa wydatki.

- Gdzie?

- W Zurychu.

W zielonych oczach Gabriela pojawił się błysk, jakby cień wspomnienia. Isherwood gorączkowo przetrząsał archiwa swojej coraz bardziej zawodnej pamięci. Czy ja go już kiedyś wysłałem do Zurychu na zlecenie Herr Hellera?

- Masz jakieś zastrzeżenia wobec Zurychu?

- Skąd, Zurych jest w porządku. Ile dostanę?

- Dwa razy tyle, ile właśnie ode mnie otrzymałeś: pod warunkiem, że zaczniesz natychmiast.

- Daj mi adres.

Gabriel nie miał czasu na powrót do Kornwalii po wszystkie potrzebne rzeczy, więc po lunchu wybrał się na zakupy. Na Oxford Street kupił dwie zmiany ubrania i niewielką skórzaną torbę. Potem poszedł na Great Russell Street i odwiedził stary sklep z artykułami malarskimi, L. Cornelissen & Son. Płowowłosa anielica o imieniu Penelope, z którą bezwstydnie flirtował, pomogła mu wybrać podróżny zestaw pigmentów, pędzli i rozpuszczalników. Znała go pod jego fałszywym nazwiskiem. W jego angielszczyźnie pobrzmiwał nikły akcent włoskiego przesiedleńca. Włożyła rzeczy do brązowej torby, którą owinęła sznurkiem. Ucałował ją w policzek. Jej włosy pachniały kakao i egzotycznym kadzidłem.

Gabriel za dużo wiedział o terroryzmie i systemie ochrony lotnisk, aby podróżować samolotem. Pojechał więc na Waterloo Station i złapał popołudniowy ekspres Eurostar do Paryża. Na Gare de l'Est przesiadł się w nocny pociąg do Zurychu i następnego ranka przed dziewiątą spacerował po łagodnym łuku Bahnhofstrasse.

Jak wdzięcznie Zurych skrywa swoje bogactwa, pomyślał. Niemałą część światowych zasobów złota i srebra przechowywano w bankowych podziemiach, pod jego stopami, lecz nigdzie

nie piętrzyły się ohydne wieże biurowców, wyznaczające granice dzielnicy finansowej. W zasięgu wzroku nie było także żadnych pomników wzniesionych ku czci pieniądza. Otaczały go dyskrecja, niedomówienia i ułuda. Upadła kobieta, która odwraca głowę, by ukryć wstyd. Szwajcaria.

Dotarł do Paradeplatz. Z jednej strony placu wznosiła się główna siedziba Credit Suisse, a z drugiej Union Bank of Switzerland. Ciszę zakłóciło stado gołębi, zrywających się do lotu. Przeszedł na drugą stronę ulicy.

Naprzeciwko hotelu Savoy znajdował się postój taksówek. Gabriel wskoczył do stojącego tam samochodu, najpierw jednak rzucił okiem na numer rejestracyjny pojazdu i starannie odnotował go w pamięci. Podał kierowcy adres Willi. Cały czas robił, co w jego mocy, aby ukryć berliński akcent, który odziedziczył po matce.

Gdy przejeżdżali nad rzeką, taksówkarz włączył radio. Spiker odczytywał właśnie poranne wiadomości. Gabriel z trudem usiłował zrozumieć Zuridutsch dziennikarza. W końcu dał sobie spokój i skupił się na oczekującej go pracy. Niektórzy ludzie ze świata sztuki uważali konserwatorstwo za nudne i żmudne zajęcie, lecz on podchodził do każdego zlecenia jak do nowej przygody. Lubił traktować renowację dzieł sztuki jako okazję do przejścia na drugą stronę lustra, do innego czasu i miejsca. Miejsca, w którym sukces lub porażka zależały wyłącznie od umiejętności, opanowania i niczego więcej.

Zastanawiał się, co go czeka tym razem. Sam fakt, że właściciel zażyczył sobie konkretnie jego usług, oznaczał, że niemal na pewno chodzi o jednego ze starych mistrzów. Mógł także założyć, że obraz jest brudny i uszkodzony. Właściciel z pewnością nie decydowałby się na kłopoty i wydatki związane ze ściąganiem go do Zurychu, gdyby płótno potrzebowało tylko świeżej warstwy werniksu.

Ile czasu mógł tutaj spędzić? Sześć tygodni? Pół roku? Trudno powiedzieć. Nigdy nie zdarzały się dwie takie same prace renowacyjne. Przebieg konserwacji zależał przede wszystkim od stanu obrazu. Vecellio Isherwooda wymagał rocznego zaangażowania, chociaż w tym czasie Gabriel wziął sobie krótki urlop, który zawdzięczał uprzejmości Ariego Shamrona.

Rosenbühlweg, uliczka tak wąska, że z trudem mogły nią przejechać obok siebie dwa samochody, pięła się stromo po zboczach Zurichbergu. Usytuowane wzdłuż drogi, sąsiadujące ze sobą stare, okazałe wille miały stiukowe ściany, dachy kryte dachówką i niewielkie ogródki. Wszystkie były do siebie podobne z wyjątkiem jednej, przed którą zatrzymał się kierowca.

Dom stał na niedużym wzniesieniu i, w przeciwieństwie do innych, nie przy samej ulicy, lecz nieco w głębi. Rezydencję otaczało wysokie, żeliwne ogrodzenie, przypominające kraty celi więziennej. Za solidną bramą, wyposażoną w małą kamerę obserwacyjną, wznosiły się kamienne schodki, a dalej willa, zbudowana z melancholijnie szarego kamienia i ozdobiona wieżyczkami oraz wysokim frontowym portykiem.

Taksówka odjechała. W dole rozpościerało się śródmieście Zurychu oraz jezioro. Odległy brzeg przesłaniały chmury. Gabriel przypominał sobie, że w pogodny dzień można stąd dojrzeć Alpy, lecz teraz były one spowite mgłą.

Na murze obok bramy wisiał telefon. Gabriel podniósł słuchawkę i usłyszawszy sygnał, czekał. Na próżno. Odłożył słuchawkę, podniósł ją ponownie. Wciąż nikt nie odpowiadał.

Wyciągnął wysłany przez prawnika faks, który otrzymał w Londynie od Juliana Isherwooda. "Proszę przyjechać dokładnie o 9.00 rano i zadzwonić. Zostanie pan wprowadzony do środka". Gabriel spojrzął na zegarek. Minęły trzy minuty po dziewiątej.

Kiedy wsuwał papier z powrotem do kieszeni, zaczęło padać. Rozejrzył się: w pobliżu nie było ani jednej kawiarni, gdzie mógłby wygodnie usiąść, nie dostrzegł też żadnego drzewa, pod którym znalazłby schronienie przed deszczem. Wokół rozpościerała się pustynia bogactwa - rezydencje dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Gdyby zbyt długo tkwił na chodniku, zapewne aresztowano by go za włóczęgostwo.

Wyciągnął komórkę i wystukał numer Isherwooda. O tej porze zapewne wciąż znajdował się w drodze do galerii. W oczekiwaniu na połączenie Gabriel wyobraził sobie Isherwooda, zgarbionego nad kierownicą błyszczącego jaguara i sunącego przez Piccadilly w taki sposób, jakby pilotował tankowiec pełen ropy płynący po zdradliwych wodach.

- Wybacz, ale obawiam się, że nastąpiła zmiana planów. Gość, który miał cię przywitać, musiał nagle wyjechać z miasta. Jakaś pilna sprawa. Dobrze wiesz, jacy bywają Szwajcarzy, kwiatuszku.

- Co mam teraz zrobić?

- Przesłał mi kody do bramy i drzwi frontowych. Możesz wejść do środka. Na stole w przedpokoju powinien leżeć list do ciebie. Znajdziesz w nim wyjaśnienie, gdzie szukać obrazu i gdzie się możesz zatrzymać.

- Dość nietypowe, przyznasz.

- Uważaj się za szczęściarza. Zdaje się, że przez dzień lub dwa będziesz sam się zajmował domem i nikt ci nie będzie zaglądał przez ramię podczas pracy.

- Chyba masz rację.

- Podam ci kody. Masz przy sobie coś do pisania? Są dość długie.

- Po prostu mi je odczytaj, Julian. Leje jak z cebra, a ja przemokłem już do suchej nitki.

- Ach, tak. Ty i te twoje sztuczki. W mojej galerii pracowała kiedyś dziewczyna, która też to potrafiła.

Isherwood wytrajkotał dwa kody, każdy po osiem cyfr, i się rozłączył. Gabriel uniósł słuchawkę i wystukał pierwszą sekwencję, a gdy rozległ się dźwięk brzęczyka, przekręcił gałkę i wszedł przez bramę. Przy drzwiach wejściowych do domu powtórzył procedurę i chwilę później stał w pogrążonym w półmroku przedpokoju, usiłując wymacać włącznik światła.

Koperta leżała w dużej szklanej misie na starym, rzeźbionym stoliku u stóp schodów. List zaadresowano do signore Delvecchio, gdyż tak brzmiało jedno z fałszywych nazwisk Gabriela. Podniósł kopertę i rozdarł ją palcem wskazującym. Czysty, szarawy papier listowy, bez nagłówka. Pismo staranne, brak podpisu. Gabriel uniósł przesyłkę do nosa. Bez zapachu.

Zaczął czytać. Obraz wisiał w salonie: Rafael Portret młodzieńca. Pokój zarezerwowano w Dolder Grand Hotel, mniej więcej półtora kilometra od willi, po drugiej stronie Zurichbergu. W lodówce znajdowało się jedzenie. Właściciel planował powrót do Zurychu następnego dnia. Byłby ogromnie wdzięczny, gdyby signore Delvecchio z miejsca przystąpił do pracy.

Gabriel wsunął list do kieszeni. Zatem Rafael. To jego drugi w życiu. Pięć lat temu przeprowadzał konserwację małego płótna o tematyce religijnej - Madonny z Dzieciątkiem - nawiązującego do słynnej kompozycji Leonarda. Zaswędziały go koniuszki palców. Trafiła mu się wspaniała okazja. Cieszył się, że przyjął tę pracę, bez względu na nietypowe zachowanie właściciela.

Minął korytarz i wszedł do dużego pokoju. Panował w nim mrok, nie paliły się światła, a ciężkie zasłony były starannie zasunięte. Zrobił kilka kroków. Nagle pod butami poczuł wilgoć. W powietrzu unosił się słony, żelazisty zapach. Tę woń Gabriel już znał. Schyliwszy się, dotknął palcami dywanu i przysunął dłoń do oczu.

Stał w kałuży krwi.

Spłowiąły orientalny dywan był bardzo stary, podobnie jak spoczywający na jego środku mężczyzna. Leżał twarzą do dołu, z wyciągniętą przed siebie prawą ręką. Miał na sobie niebieski blezer z podwójnym rozcięciem w dolnej części pleców, mocno wytarty z tyłu, do tego szare flanelowe spodnie oraz buty z brązowego zamszu. Obcas i podeszwa prawego buta były pogrubione. Spodnie podwinęły się nieco, ukazując fragment łydki. Skóra wyglądała wstrząsająco białą, niczym goła kość. Skarpetki były nie do pary.

Gabriel przykucnął ze swobodą człowieka, który jest przyzwyczajony do obecności trupów. Zwłoki należały do mężczyzny o drobnej posturze i gęstych śnieżnobiałych włosach; miał metr

pięćdziesiąt wzrostu, nie więcej. Jego głowa spoczywała na prawym policzku. Pod warstwą krwi Gabriel dostrzegł kanciastą szczękę i delikatne kości policzkowe. Wszystko wskazywało na to, że nieznajomy otrzymał jeden postrzał, a kula przebiła lewe oko i wyszła z tyłu czaszki. Sądząc po wielkości otworu wylotowego, mężczyznę zastrzelono z pistoletu lub rewolweru dużego kalibru. Gabriel podniósł wzrok i ujrzał rozbite od kuli lustro nad dużym kominkiem. Sądził, że starszy pan nie żył od kilku godzin.

Wiedział, że powinien zadzwonić na policję, lecz wyobraził sobie całą sytuację z jej perspektywy. Cudzoziemiec w domu bogatego bankiera, zwłoki z przestrzeloną głową. W najlepszym wypadku Gabriel zostałby zatrzymany w celu przesłuchania. Na to nie mógł sobie pozwolić.

Spojrzał na Rafaela. Wspaniały obraz: piękny młodzieniec widziany z półprofilu, zmysłowo oświetlony. Gabriel domyślał się, że dzieło powstało podczas pobytu Rafaela we Florencji, zapewne między 1504 i 1508 rokiem. Szkoda, że wynikała sprawa staruszka. Konserwacja takiego płótna byłaby prawdziwą przyjemnością.

Cofnął się do przedpokoju, przystanął i spojrzał pod nogi. Na marmurowej podłodze widniały ślady jego butów. Nic nie mógł z tym zrobić. Nauczono go, że w takich okolicznościach trzeba szybko się oddalić, nie zwracając uwagi na ewentualny bałagan lub hałas.

Wziął walizkę i wyszedł na dwór. Padało jeszcze mocniej.

Szedł szybko, aż w końcu dotarł do większej ulicy: Krahbuhlstrasse. Tramwaj numer sześć sunął z boczem wzgórza. Gabriel podążył w stronę najbliższego przystanku, pamiętając o tym, aby nie biec, i wskoczył do pojazdu..

Wagon szarpnął i ruszył dalej. Gabriel usiadł i spojrzał w prawo. Na ścianie tramwaju ktoś nabazgrał czarnym, niezmywalnym flamastrem swastykę nałożoną na gwiazdę Dawida. Pod spodem widniały dwa słowa: "JUDEN SCHEISS".

Tramwajem dojechał prosto na Hauptbahnhof. W budynku terminalu znajdowała się podziemna galeria handlowa, w której kupił niewyobrażalnie drogie skórzane buty Bally. Na górze, w głównym holu, przyjrzał się tablicy z rozkładem jazdy. Za kwadrans odjeżdżał pociąg do Monachium. Stamtąd mógł polecieć wieczornym samolotem do Londynu, a potem od razu udać się do Isherwooda w South Kensington, aby go udusić.

Kupił bilet pierwszej klasy i poszedł do toalety. W kabinie zmienił mokasyne na nowe buty. Wychodząc, wrzucił stare obuwie do kosza na śmieci i przykrył je papierowymi ręcznikami. Kiedy dotarł na peron, pasażerowie już wsiadali do pociągu. Wskoczył do drugiego wagonu i odszukał swój przedział. Był pusty. Chwilę później pociąg powoli ruszył w drogę. Gabriel zamknął oczy, lecz wciąż widział martwego mężczyznę, spoczywającego przed Rafaelem, a także dwa słowa nabazgrane w tramwaju: "JUDEN SCHEISS".

Pociąg zwolnił i się zatrzymał. Nie zdążył opuścić peronu. Gabriel usłyszał odgłos kroków na korytarzu. Moment później drzwi do jego przedziału otworzyły się tak gwałtownie, jakby w pobliżu wybuchła bomba. Do środka wpadło dwóch policjantów.

2

Vitoria, Hiszpania

Tysiąc kilometrów na zachód, w baskijskim mieście Vitoria, pewien Anglik siedział w chłodnym cieniu Plaža de España, sącząc kawę w kawiarni pod kształtną arkadą. Nie zdawał sobie sprawy z wydarzeń, do których doszło w Zurychu i które miały odmienić bieg jego uporządkowanego życia. W tej chwili skoncentrował uwagę na wejściu do banku po drugiej stronie placu.

Zamówił kolejną cafe con leche* [Cafe con leche (hiszp.) - kawa z mlekiem.] i zapalił papierosa. Na głowie nosił kapelusz z rondem, a oczy skrywał za okularami przeciwsłonecznymi.

Jego włosy miały zdrowy, srebrzysty połysk, typowy dla mężczyzny, który przedwcześnie osiwiiał. Popelinowy garnitur barwy piasku pasował do przeważającego w Vitorii kolorytu, dzięki czemu mężczyzna zlewał się z otoczeniem niczym kameleon. Wydawało się, że jest pochłonięty porannymi wydaniem "El Pais" i "El Mundo". Ale nie był.

Na bladożółtym kamieniu jakiś grafficiarz wymalował ostrzeżenie: "TURYŚCI, UWAGA! NIE JESTEŚCIE JUŻ NA TERYTORIUM HISZPANII! TO JEST PAŃSTWO BASKÓW!". Anglik czuł się swobodnie. Nawet jeśli separatyści obraliby go sobie za cel, nie wątpił, że sam sobie da radę.

Utkwił spojrzenie w drzwiach wejściowych do banku. Za kilka minut kasjer Felipe Navarra wyjdzie na południową przerwę. Jego koledzy byli przekonani, że chodzi do domu na lunch i sjęstę z żoną. Jego żona nie wątpiła, że potajemnie spotyka się ze swoimi politycznymi sprzymierzeńcami baskijskimi. W rzeczywistości jednak Felipe Navarra kierował się do kamienicy na starówce, nieopodal Plaza de la Virgen Blanca, gdzie spędzał popołudnie z kochanką, piękną, czarnowłosą dziewczyną o imieniu Amaia. Anglik wiedział o tym, gdyż od prawie tygodnia uważnie obserwował Navarrę.

Kwadrans po pierwszej Navarra wyszedł z banku i podążył na stare miasto. Anglik zostawił na stole garść peset, wystarczająco dużo, aby uregulować należność i jeszcze obdarować kelnera hojnym napiwkim, po czym dyskretnie ruszył za kasjerem. Wchodząc na zatłoczoną ulicę przy bazarze, starał się zachowywać bezpieczny dystans. Nie było potrzeby zbytnio się zbliżać. Anglik dobrze wiedział, dokąd zmierza jego ofiara.

Felipe Navarra nie był zwykłym urzędnikiem państwowym. Należał do aktywnych agentów operacyjnych Euskadi Ta Askatasuna (Baskijska Ojczyzna i Wolność), lepiej znanej jako ETA. Pełnił w niej funkcję uśpionego komandosa. Prowadził normalne życie, miał zwykłą pracę, a rozkazy otrzymywał od anonimowego dowódcy. Rok wcześniej skierowano go do zamordowania młodego oficera Guardia Civil. Pechowo dla Navarry, ojciec oficera - świetnie prosperujący producent wina - dysponował ogromnymi pieniędzmi i mógł je przeznaczyć na poszukiwania mordercy syna. Część tych oszczędności znajdowała się już na szwajcarskim rachunku bankowym Anglika.

Europejscy znawcy zagadnień związanych z terroryzmem uznawali ETA za ugrupowanie równie dobrze zorganizowane pod względem szkoleniowym i operacyjnym jak IRA, z którą Anglik miał już do czynienia w przeszłości. Z jego aktualnych spostrzeżeń wynikało jednak, że Felipe Navarra należał do dość swobodnie poczynających sobie agentów. Pomaszerował prosto do mieszkania dziewczyny, zupełnie nie przejmując się zasadami bezpieczeństwa i nie starając się zmylić ewentualnych obserwatorów. To prawdziwy cud, że udało mu się zabić oficera Guardia CMI i uciec. Anglik pomyślał, że zapewne wyświadczy organizacji przysługę, eliminując tak niekompetentnego agenta.

Navarra zniknął w kamienicy. Anglik przeszedł na drugą stronę ulicy do piekarni, gdzie uraczył się dwiema drożdżówkami z cukrem i wypił jeszcze jedną cafe con leche. Nie lubił pracować z pustym żołądkiem. Spojrzał na zegarek. Navarra siedział u kochanki już dwadzieścia minut, aż nadto długo, aby zakończyć grę wstępną.

Kiedy Anglik przechodził przez ulicę, przyszła mu do głowy zabawna myśl. Gdyby zatelefonował do żony Navarry, ognista Baskijka zapewne wyręczyłaby go w pracy. Niestety, takie wykorzystanie jej osoby byłoby równoznaczne z naruszeniem warunków kontraktu. Zresztą chciał zakończyć sprawę samodzielnie. To była jego robota i dobrze się w niej odnajdywał.

Wszedł do chłodnego, ciemnego korytarza. Bezpośrednio przed sobą miał wyjście na zacienione podwórze, z prawej strony zaś rząd skrzynek pocztowych. Anglik pospiesznie wspiął się po schodach na trzecie piętro i stanął przed drzwiami do mieszkania dziewczyny.

W środku grał telewizor; transmitowano jakiś mecz. Hałasy pomogły Anglikowi dyskretnie otworzyć zamek. Wszedł do mieszkania, zamknął za sobą drzwi. Potem cicho skierował się do sypialni.

Navarra siedział na skraju łóżka. Kobieta klęczała na podłodze, a jej głowa poruszała się rytmicznie między jego nogami. Navarra wplótł palce we włosy kochanki i zamknął oczy, toteż nie miał pojęcia, że ktoś obcy znalazł się w pokoju. Anglik zdumiał się, że tych dwoje uprawia miłość przy włączonym telewizorze. Jak kto lubi, pomyślał.

Przemierzył pokój trzema potężnymi susami, a odgłos jego kroków został kompletnie stłumiony przez hałasy z telewizora. Z pochwy na prawym przedramieniu zabójcy wysunął się nóż i wpadł prosto w jego dłoń. Była to żołnierska broń, o ciężkim, ząbkowanym ostrzu i grubej, okrytej skórą rękojeści. Trzymał ją tak, jak go uczono w kwaterze głównej jego dawnego pułku na smaganych wiatrem wrzosowiskach środkowej Anglii.

Przy zadawaniu ciosu nożem zabójca ma naturalną tendencję do wbijania ostrza od tyłu, aby nie stanąć twarzą w twarz z ofiarą. Anglika jednak wyszkolono tak, by eliminował wroga od frontu. W tym wypadku oznaczało to, że zniknął element zaskoczenia, lecz Anglik należał do ludzi wierzących w siłę nawyku i zawsze postępujących podręcznikowo.

Przesunął się nieco do przodu, aby stanąć za dziewczyną. Jej włosy spływały na smukłe plecy w kształcie litery V. Przyjrzał się jej kręgosłupowi i wąskiej talii, a także zaokrąglonym, stworzonym do noszenia dzieci biodrom i zgrabnym pośladkom.

Navarra otworzył oczy. W panice usiłował odepchnąć dziewczynę, lecz skrytobójca wyręczył go: złapał ją za włosy i cisnął na drugą stronę pokoju. Przejechała na plecach po drewnianej podłodze i wywróciła stojącą lampę.

Nie spuszczać wzroku z napastnika, Navarra sięgnął ręką za siebie i zaczął przeszukiwać dłonią rozrzucone ubrania. A więc miał pistolet. Anglik lewą ręką złapał Baska za gardło, tak że niemal zmiażdżył mu krtań. Potem popchnął go na łóżko i kolanem przygniótł mu brzuch. Navarra wił się, usiłując złapać powietrze, a na jego twarzy pojawił się paniczny strach połączony z całkowitą rezygnacją.

Anglik wbił nóż w miękką tkanę tuż pod żebrami Baska, kierując ostrze w górę, ku sercu. Mężczyzna wytrzeszczył oczy, jego ciało zeszywniało i zastygło w bezruchu. Z miejsca, w którym utkwiał nóż, buchnęła krew.

Zabójca wyciągnął nóż z klatki piersiowej trupa i wstał. Dziewczyna też już się podniosła. Ruszyła ku napastnikowi i zdzieliła go solidnie w twarz.

- Kim ty do jasnej cholery jesteś?

Anglik nie bardzo wiedział, co sądzić o tej kobiecie. Właśnie widziała, jak jej kochanek ginie od ciosu nożem, lecz zachowywała się tak, jakby jej nieproszony gość zabłocił butami świeżo wyszorowaną podłogę.

Spoliczkowała go po raz drugi.

- Pracuję dla Aragona, ty idioto! Od miesiąca spotykam się z Navarra. Właśnie mieliśmy go aresztować razem z resztą jego komórki. Kto cię tu przysłał? Na pewno nie Aragon. Powiedziałby mi o tym.

Stała przed nim, czekając na odpowiedź, najwyraźniej zupełnie nieskrępowana swoją nagością.

- Pracuję dla Castilla - odparł spokojnie, płynną hiszpańszczyzną. Nie znał żadnego Castilla: po prostu to nazwisko pierwsze przyszło mu do głowy. Gdzie on je widział? W piekarni? Tak, zgadza się. W piekarni po drugiej stronie ulicy.

- Kto to jest Castillo? - chciała wiedzieć kobieta.

- Człowiek, dla którego pracuję.

- Castillo pracuje dla Aragona?

- Skąd mogę wiedzieć? Może zadzwonisz do Aragona i go spytasz? On zatelefonuje do Castilla i wtedy wszystko będzie jasne.

- W porządku.

- Zadzwon do niego z tamtego aparatu.

- Wiem, co mam zrobić, ty pieprzony durniu!

- Tylko bądź cicho, zanim postawisz na nogi wszystkich lokatorów kamienicy i poinformujesz ich, że właśnie zabiliśmy człowieka.

Skrzyżowała ręce na piersiach, jakby po raz pierwszy uświadamiając sobie własną nagość.

- Jak się nazywasz?

- Nie mogę się przedstawić.

- Niby czemu?

- Skąd mogę mieć pewność, że naprawdę pracujesz dla Aragona? Może działasz do spółki z tym swoim chłopakiem. Może należysz do jego komórki. Może zadzwonisz do jego kumpli, a oni tu przyjadą i mnie zabiją.

Uniósł zakrwawiony nóż i przesunął kciukiem po ostrzu. Dziewczyna ściągnęła groźnie brwi.

- Nawet o tym nie myśl! Pieprzony kretyn!

- Zadzwon do Aragona, a wtedy powiem ci, jak się nazywam.

Usiadła na krawędzi łóżka, złapała słuchawkę i nerwowo wybrała numer. Anglik przysunął się o krok i położył palec na widelkach, przerywając połączenie.

- Co ty sobie do cholery myślisz? Jak się nazywasz?

Zabójca błyskawicznie przejechał ostrzem po jej gardle i odskoczył do tyłu, by nie zabryzgała go krew. Potem ukląkł przy swojej ofierze, żeby się przyjrzeć, jak uchodzi z niej życie. Gdy umierała, pochylił się i wyszeptał jej do ucha swoje nazwisko.

Resztę dnia Anglik spędził za kierownicą: pojechał drogą szybkiego ruchu z Vitorii do Barcelony, potem nadmorską autostradą, przez granicę, do Marsylii. Wieczorem wszedł na pokład promu pasażerskiego wyruszającego w nocny rejs na Korsykę.

Ubrał się jak typowy Korsykanin: miał luźne bawełniane spodnie, skórzane sandały i gruby sweter, chroniący przed jesiennym chłodem. Ciemnobrązowe włosy były krótko przycięte. Popelinowy garnitur i kapelusz z rondem, które nosił w Vitorii, spoczywały w koszu na śmieci obok przydrożnej kawiarni w Bordeaux. Siwą perukę wyrzucił przez okno do wąwozu podczas przejazdu przez góry. Samochód, zarejestrowany na Davida Mandelsona, jedno z jego licznych fałszywych nazwisk, zwrócił do wypożyczalni.

Zszedł do swojej kabiny - jednoosobowej, z prysznicem i toaletą. Zostawił na koi małą skórzaną walizkę i wrócił na pokład. Prom był niemal pusty, zaledwie kilka osób zebrało się w barze, by wypić drinka i coś zjeść. Czuł zmęczenie po tak długiej jeździe, lecz jego silne poczucie wewnętrznej dyscypliny nie pozwalało mu udać się na spoczynek przed uważnym przestudiowaniem twarzy pasażerów.

Pokrążył trochę po pokładzie. Nie zauważywszy nic niepokojącego, zamówił pół litra czerwonego wina i wdał się w pogawędkę z Korsykaninem o imieniu Matteo. Matteo mieszkał w północno-zachodniej części wyspy, podobnie jak Anglik, ale w miejscu odległym o dwie doliny na południe, w cieniu Monte d'Oro. Minęło dwadzieścia lat od chwili, kiedy po raz ostatni zawitał w strony Anglika. Tak wyglądało tempo życia na wyspie.

Potem rozmawiali o pożarze w dolinie Anglika, wywołanym przez nieznanego podpalacza podczas poprzedniego, suchego lata.

- Znaleźli w końcu tego podpalacza? - spytał Matteo, częstując się kieliszkiem wina Anglika. Gdy ten wyjaśnił mu, że władze podejrzewają separatystów z FLNC* [FLNC - Front Wyzwolenia Narodowego Korsyki.], Korsykanin zapalił papierosa i wydmuchnął dym ku sufitowi.

- Młode, gorące łby! - mruknął, a Anglik powoli skinął głową na znak zgody.

Po godzinie pożegnał się z Matteo i wrócił do kajuty. W walizce miał niewielki radioodbiornik. Wysłuchał nocnego serwisu informacyjnego rozgłośni z Marsylii. Po wiadomościach lokalnych spiker podsumował wieści z zagranicy. Na Zachodnim Brzegu znów doszło do walk między siłami palestyńskimi i izraelskimi. W Hiszpanii zamordowano dwoje członków baskijskiego ugrupowania terrorystycznego ETA. Z kolei w Szwajcarii został zamordowany znany finansista Augustus Rolfe. Zwłoki znaleziono w jego posiadłości w

ekskluzywnej dzielnicy Zurychu. Policja zatrzymała niezidentyfikowanego mężczyznę. Anglik wyłączył radio, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

3

Zurych

Komenda główna Stadtpolizei Zurich znajdowała się zaledwie kilkaset metrów od dworca przy Zeughausstrasse. Budynek był wciśnięty między ciemne wody rzeki Sihl a kolejową stację naprawczą. Gabriela przeprowadzono przez wybrukowany dziedziniec do aluminiowo-szklanego aneksu, w którym mieścił się wydział zabójstw. Tam trafił do pozbawionego okien pokoju przesłuchań, wyposażonego w stół z jasnego drewna oraz trzy przypadkowo dobrane krzesła. Bagaż Gabriela zatrzymano wraz z farbami, pędzlami oraz chemikaliami, odebrano mu także portfel, paszport i komórkę. Policja zabezpieczyła nawet zegarek. Gabriel podejrzewał, że tylko po to, by go zdezorientować i zaniepokoić. Był przekonany, że wie znacznie więcej o technikach prowadzenia przesłuchań niż policja w Zurychu.

Przesłuchiwano go trzykrotnie; za każdym razem robił to inny policjant. Najpierw Gabriel musiał krótko odpowiedzieć na kilka pytań na dworcu, jeszcze przed aresztowaniem. Potem, już w tym pokoju, dwukrotnie wypytywano go szczegółowo o rozmaite sprawy. Sądząc po ubraniach i wieku, na przesłuchiwanie przybywali coraz wyżsi rangą oficerowie.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł policjant. Miał na sobie tweedową marynarkę, był bez krawata. Przedstawił się jako sierżant Baer. Usiadł naprzeciwko Gabriela, położył teczkę z aktami na stole i zapatrzył się w nią niczym w szachownicę przed wykonaniem następnego ruchu.

- Jak się pan nazywa? - spytał w końcu po angielsku.

- Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy po raz ostatni odpowiadałem na to pytanie.

- Jak się pan nazywa?

- Mario Delvecchio.

- Gdzie pan mieszka?

- W Port Navas, w Kornwalii.

- W Anglii?

- Tak.

- Jest pan Włochem, ale mieszka pan w Anglii?

- Nie uznawano tego za przestępstwo, przynajmniej do niedawna.

- Nie powiedziałem, że to przestępstwo. Pytam z ciekawości. Co pan robi w Port Navas w Anglii?

- Wyjaśniłem to już trzem policjantom, którzy mnie przesłuchiwali.

- Tak, wiem.

- Jestem konserwatorem dzieł sztuki.

- Po co przyjechał pan do Zurychu?

- Wynajęto mnie do oczyszczenia obrazu.

- W willi na Zurichbergu?

- Zgadza się.

- Kto pana wynajął do tego czyszczenia? Czyszczenia... Czy takiego słowa pan użył? Dziwne słowo: "czyścić". Można czyścić podłogi, zęby albo ubranie. Ale nie obrazy. Czy to popularne określenie w pańskiej branży?

- Tak - odparł Gabriel, a inspektor wydawał się rozczarowany, że jego rozmówca nie pociągnął tematu.

- Kto pana wynajął?

- Nie wiem.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nigdy mi tego nie wyjaśniono. Wszystko ustalili pewien prawnik z Zurychu oraz marszand z Londynu.

- Ach, tak: Julius Isherwood.

- Julian.

Z typowo germańskim szacunkiem dla dokumentów detektyw starannie wymazał niewłaściwe słowo i równie starannie naniósł ołówkiem poprawkę. Kiedy skończył, triumfalnie podniósł wzrok, jakby oczekując oklasków.

- Proszę kontynuować.

- Po prostu kazano mi iść do willi. Na miejscu ktoś miał na mnie czekać i wprowadzić do środka.

- Kto miał czekać?

- Nigdy mi tego dokładnie nie wyjaśniono.

W teczce znajdował się faks od Isherwooda. Detektyw wsunął na nos wąskie okulary i podniósł faks do światła. Czytając, poruszał ustami.

- Kiedy przyjechał pan do Zurychu?

- Ma pan mój bilet kolejowy, dobrze pan wie, że przybyłem dzisiaj rano.

Policjant zmarszczył brwi, co miało oznaczać, że nie lubi, kiedy podejrzani mówią mu, co wie, a czego nie.

- Dokąd poszedł pan po przyjeździe?

- Prosto do willi.

- Nie zameldował się pan najpierw w swoim hotelu?

- Nie, jeszcze nie wiedziałem, gdzie się zatrzymam.

- A gdzie zamierzał się pan zatrzymać?

- Jak jasno wynika z treści listu pozostawionego dla mnie w willi, zarezerwowano mi pokój w Dolder Grand Hotel.

Baer nie zwrócił uwagi na to oczywiste niedopatrzenie i kontynuował.

- Jak się pan dostał z dworca do willi?

- Taksówką.

- Ile wyniosła opłata za kurs?

- Około piętnastu franków.

- O której znalazł się pan przed willą?

- Dwie minuty po dziewiątej.

- Skąd ma pan taką pewność co do czasu przybycia na miejsce?

- Wystarczy spojrzeć na faks od Juliana Isherwooda. Kazano mi zjawić się punktualnie o dziewiątej. Nie mam zwyczaju spóźniać się na umówione spotkania, sierżancie Baer.

Detektyw uśmiechnął się z podziwem. Należał do osób pedantycznych i dlatego cenił u ludzi punktualność oraz szacunek dla szczegółów, nawet jeśli podejrzewał ich o morderstwo.

- A po przyjeździe do willi?

- Skorzystałem z domofonu przy bramie, lecz nikt nie odpowiadał. Zadzwoiłem więc do pana Isherwooda do Londynu. Powiedział mi, że osoba, która miała mnie przywitać, musiała nagle wyjechać z miasta.

- Czy właśnie takich słów użył? "Nagle wyjechać z miasta"?

- Mniej więcej.

- A ten pan Isherwood przekazał panu kody?

- Właśnie.

- Skąd je wziął?

- Nie wiem. Podejrzewam, że od prawnika tego mężczyzny.

- Spisał pan te kody?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie było takiej potrzeby.

- Jak to?

- Zapamiętałem je.

- Czyżby? Musi pan mieć naprawdę wyśmienitą pamięć, signore Delvecchio.

Detektyw opuścił pokój. Po kwadransie wrócił z kubkiem kawy w dłoni. Gabrielowi nic nie przyniósł. Usiadł i podjął przesłuchanie w miejscu, w którym przerwał.

- Te ustalenia wydają mi się dziwne, signore Delvecchio. Czy to normalne, że do rozpoczęcia prac konserwacyjnych nie wie pan, o jakiego artystę chodzi?

- Nie, to nie jest normalne. Prawdę mówiąc, raczej dość niezwykle.

- Otóż to. - Odchylił się i skrzyżował ramiona na piersi, jakby stwierdzenie Gabriela było równoznaczne z pisemnym przyznaniem się do winy. - A czy to normalne, że nie podaje się panu nazwiska właściciela obrazu, którego renowację ma pan przeprowadzić?

- To nie jest aż takie niezwykle.

- Rolfe. - Popatrzył na Gabriela, aby sprawdzić, czy to nazwisko zrobiło na nim jakieś wrażenie. Okazało się, że żadnego. - Właściciel obrazu nazywał się Augustus Rolfe. To ten mężczyzna, którego pan zamordował w willi.

- Nikogo nie zamordowałem i doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę. Kiedy przybyłem do Zurychu, ten człowiek nie żył już od dłuższego czasu. Gdy go mordowano, jechałem pociągiem. Całe zastępy ludzi mogą potwierdzić, że w tym czasie byłem w pociągu.

Detektyw wydawał się niewzruszony argumentem Gabriela. Wypił łyk kawy i oświadczył spokojnie:

- Niech mi pan powie, co się stało, kiedy wszedł pan do willi.

Gabriel monotonnym głosem wyliczył wszystkie fakty: ciemny przedpokój, poszukiwanie włącznika światła, niepodpisany list na stole, dziwny odór, który poczuł w salonie, odkrycie ciała.

- Widział pan obraz?

- Owszem.

- Zanim pan ujrzał ciało, czy potem?

- Potem.

- Jak długo spoglądał pan na płótno?

- Nie wiem. Może minutę.

- Zatem natrafia pan na trupa, ale zatrzymuje się po to, aby obejrzeć obraz. - Policjant najwyraźniej nie potrafił zinterpretować tej wiadomości. - Proszę mi opowiedzieć o tym malarzu. - Zerknął do notatek. - Rafaelu. Niestety, mam niewielkie pojęcie o sztuce.

Gabriel doskonale wiedział, że inspektor kłamie, lecz postanowił wziąć udział w tej grze. Przez kwadrans wygłaszał szczegółowy wykład o życiu i pracy Rafaela, jego nauce, wpływach, innowacjach technicznych, trwałym znaczeniu najważniejszych dzieł. Kiedy skończył, policjant wpatrywał się w resztki kawy z miną człowieka pokonanego.

- Czy mam kontynuować?

- Nie, dziękuję. To było ogromnie pouczające. Skoro nie zabił pan Augustusa Rolfe, to dlaczego opuścił pan posiadłość, nie zawiadamiając policji? Dlaczego usiłował pan uciec z Zurychu?

- Wiedziałem, że okoliczności będą świadczyły przeciwko mnie, dlatego wpadłem w panikę.

Detektyw popatrzył na niego sceptycznie, jakby nie wierzył, że Mario Delvecchio to mężczyzna, który może ulec panice.

- Jak się pan dostał z Zurichbergu na Hauptbahnhof?

- Tramwajem.

Baer starannie przejrzał wszystkie przedmioty należące do Gabriela.

- Wśród pańskich rzeczy nie widzę biletu tramwajowego. Rzecz jasna, kupił pan bilet przed wejściem do tramwaju?

Gabriel pokręcił głową: musiał się przyznać do winy. Baer wysoko uniósł brwi. Informacja, że Gabriel jechał bez biletu, najwyraźniej była dla niego potworniejsza niż możliwość, że strzelił staruszkowi w głowę.

- To niezwykle poważne przewinienie, signore Delvecchio. Obawiam się, że zostanie panu wymierzona grzywna w wysokości pięćdziesięciu franków.

- Jest mi niewymownie przykro.

- Był pan już wcześniej w Zurychu?

- Nie, nigdy.

- Wobec tego skąd pan wiedział, który tramwaj dowiezie pana na dworzec?

- Chyba po prostu miałem szczęście. Jechał w odpowiednią stronę, więc do niego wsiadłem.

- Proszę mi wyjaśnić jeszcze jedno, signore Delvecchio. Czy podczas pobytu w Zurychu dokonał pan jakichś zakupów?

- Zakupów?

- Kupił pan coś? Wchodził pan do sklepu?

- Kupiłem parę butów.

- Czemu?

- Bo kiedy czekałem, aż ktoś mnie wpuści do willi, moje buty kompletnie przemokły na deszczu.

- Wpadł pan w panikę. Bał się pan iść na policję i chciał za wszelką cenę wyjechać z Zurychu, lecz tracił pan czas na kupno nowych butów, bo miał pan mokro w stopy?

- Owszem.

Baer odchylił się na krześle i zapukał w drzwi. Ktoś wsunął przez nie torbę na materiały dowodowe, w której leżały buty Gabriela.

- Znaleźliśmy je w dworcowej toalecie, zakopane w koszu na śmieci. Podejrzewam, że stanowią pańską własność. Ponadto sądzę, że będą pasowały do krwawych śladów pozostawionych w przedpokoju i na chodniku przed willą.

- Już panu powiedziałem, że tam byłem. Ślady butów, nawet jeśli będą pasowały do tego obuwia, niczego nie dowodzą.

- Te buty są trochę za dobre, aby je tak po prostu wyrzucać do kosza. I jak na mój gust nie wyglądają na szczególnie mokre. - Spojrzał na Gabriela z przelotnym uśmiechem. - Co prawda słyszałem, że ludzie w stanie paniki często miewają nadwrażliwe stopy.

Minęły trzy godziny, zanim Baer ponownie wszedł do pokoju. Tym razem nie był sam. Gabriel nie wątpił, że nowy przybysz reprezentuje wyższe władze. Z pewnością nie należał do grona przeciętnych detektywów z wydziału zabójstw. Gabriel dostrzegał to w szczegółach zachowania Baera, który wyraźnie podporządkował się swojemu towarzyszywi. Kiedy sadzał gościa przy stole, stuknął obcasami, a potem nieco się wycofał, aby nie przeszkadzać.

Mężczyzna nazywał się Peterson. Nie przedstawił się z imienia i nie powiedział, kim jest. Miał na sobie nieskazitelnie wyprasowany garnitur w kolorze ciemnoszarym oraz typowy dla finansistów krawat. Jego włosy były niemal zupełnie siwe i starannie przystrzyżone. Dłonie, skrzyżowane na stole, mogłyby należeć do pianisty. Na lewym nadgarstku nosił gruby, srebrny zegarek, rzecz jasna szwajcarski, z ciemnogrnatową tarczą. Taka obudowa mogła wytrzymać ciśnienie nawet na dużych głębokościach. Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w Gabriela ciężkim, nieprzyjemnym wzrokiem, z wyższością osoby znającej niejedną tajemnicę i niejedną kartotekę.

- Wracając do kodów... - Podobnie jak Baer, mówił po angielsku, choć znacznie lepiej, prawie bez akcentu. - Gdzie je pan zapisał?

- Nie zapisałem ich. Jak już wspomniałem sierżantowi Baerowi...

- Wiem, co pan powiedział sierżantowi Baerowi. - Oczywiście Petersona nagle ożyły. - A teraz ja pana pytam. Gdzie je pan zapisał?

- Otrzymałem je drogą telefoniczną od pana Isherwooda z Londynu i wykorzystałem do otworzenia bramy oraz drzwi wejściowych do willi.

- Zapamiętał pan te cyfry?

- Zgadza się.

- Proszę je podyktować.

Gabriel spokojnie wyrecytował kody. Peterson spojrział na Baera, który tylko raz kiwnął głową.

- Wyśmienita pamięć, signore Delvecchio.

Przeszedł z angielskiego na niemiecki. Gabriel patrzył na niego obojętnie, jakby nic nie rozumiał. Przesłuchujący powrócił do angielskiego.

- Nie mówi pan po niemiecku, signore Delvecchio?

- Nie.

- Według słów taksówkarza, który przewiózł pana z Bahnhofstrasse do posiadłości na Zurichbergu, całkiem nieźle włada pan niemieckim.

- Wypowiedzenie kilku słów po niemiecku i mówienie po niemiecku to dwie zupełnie różne sprawy.

- Kierowca poinformował nas, że podał pan adres płynną niemczyzną z wyraźnym berlińskim akcentem. Proszę mi powiedzieć, signore Delvecchio... Jak to możliwe, że mówi pan po niemiecku z berlińskim akcentem?

- Już wyjaśniłem, że nie znam niemieckiego. Znam tylko kilka słów w tym języku. Spędziłem w Berlinie parę tygodni przy okazji renowacji obrazu. Podejrzewam, że właśnie wtedy nabyłem lokalnego akcentu.

- Kiedy to było?

- Mniej więcej cztery lata temu.

- Mniej więcej?

- Tak.

- Jakiego obrazu?

- Słucham?

- Obraz, który pan odnawiał w Berlinie. Kto go namalował? Jak był zatytułowany?

- Obawiam się, że ta wiadomość jest poufna.

- Obecnie nie ma już wiadomości poufnych, signore Delvecchio. Proszę mi podać tytuł obrazu i nazwisko właściciela.

- Chodzi o Caravaggia pozostającego w rękach prywatnych. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę zdradzić godności właściciela.

Peterson wyciągnął rękę ku Baerowi, nie patrząc na niego. Baer sięgnął do teczki i wyjął z niej kartkę papieru, korą wręczył przełożonemu. Ten przyjrzał się jej ze smutkiem, jak lekarz, który musi oznajmić pacjentowi, że zostało mu już niewiele życia.

- Sprawdziliśmy pańskie nazwisko w naszej komputerowej bazie danych, aby się przekonać, czy w Szwajcarii wydano nakaz aresztowania pana. Z przyjemnością przyznaję, że nie znaleźliśmy nic, choćby nawet mandatu drogowego. O to samo poprosiliśmy naszych włoskich przyjaciół, którzy również na nic nie natrafili. Przekazali nam jednak pewną interesującą wiadomość. Wszystko wskazuje na to, że Mario Delvecchio, urodzony 23 września 1951 roku, zmarł w Turynie dwadzieścia trzy lata temu na raka układu limfatycznego. - Podniósł wzrok znad kartki i wbił spojrzenie w Gabriela. - Jak pan myśli, jakie jest prawdopodobieństwo istnienia dwóch mężczyzn o takim samym nazwisku i dacie urodzenia?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Myślę, że znikome. Sądzę, że jest tylko jeden Mario Delvecchio, a pan ukradł jego tożsamość, aby uzyskać włoski paszport. Nie wierzę, że nazywa się pan Mario Delvecchio. Właściwie jestem tego absolutnie pewien. Uważam, że nazywa się pan Gabriel Allon i pracuje pan dla izraelskiego wywiadu.

Peterson uśmiechnął się po raz pierwszy. Nie był to życzliwy uśmiech, raczej nieprzyjemny grymas. Potem kontynuował:

- Dwadzieścia pięć lat temu zamordował pan człowieka. Był to mieszkający w Zurychu palestyński dramaturg Ali Abdel Hamidi. Wymknął się pan z kraju w godzinę po zabójstwie i zapewne jeszcze przed północą znalazł w swoim łóżku w Tel Awiwie. No cóż, tym razem nigdzie pan nie pojedzie.

4

Zurych

Tuż po północy Gabriela przeniesiono z pokoju przesłuchań do celi dla zatrzymanych. Pomieszczenie było małe i urzędowo szare, z gołym materacem na metalowej ramie i zardzewiałą muszlą klozetową, w której nieprzerwanie sączyła się woda. Pod sufitem, za stalową siatką, migotała żarówka. Nieruszona kolacja - tłusta parówka wieprzowa, nieco przywiedłej zieleniny i kupka ziemniaków z tłuszczem - stała na podłodze obok drzwi, jakby czekając, aż zabierze ją obsługa. Gabriel podejrzewał, że wieprzowa parówka była przejawem specyficznego poczucia humoru Petersona.

Usiłował wyobrazić sobie, co się dzieje za ścianami aresztu. Peterson skontaktował się ze swoim przełożonym, ten porozumiał się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Do tej pory informacja zapewne dotarła już do Tel Awiwu. Premier się wścieknie. I tak miał wystarczająco dużo problemów: Zachodni Brzeg w ogniu, zagrożony proces pokojowy, krucha koalicja w rozsypce. Ostatnie, czego potrzebował, to kidon* [Kidon (hebr.) - dosł.: bagnet.], nawet dawny kidon, za kratkami w Szwajcarii. Szykował się kolejny skandal międzynarodowy - wymarzona pożywka dla pierwszych stron gazet na całym świecie.

Światła z pewnością paliły się w anonimowym biurówcu przy Bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie. A Shamron? Czy do jego fortecy nad brzegiem Jeziora Tyberiadzkiego dotarła informacja telefoniczna? Czy był w domu, czy gdzieś wyjechał? Z Shamronem nigdy nic nie wiadomo. Już trzy albo cztery razy odwoływano go z emerytury, prosząc, aby ponownie zajął się sytuacją kryzysową, wziął udział w jakiejś wątpliwej naradzie lub wyraził opinię na forum pozornie niezależnej komisji dochodzeniowej. Nie tak dawno temu powołano go na stanowisko tymczasowego szefa służb specjalnych, które musiał objąć ze względu na zamieszki w Judei. Gabriel zastanawiał się, czy kadencja Shamrona dobiegła już końca. W jego wypadku określenie "tymczasowy" mogło równie dobrze oznaczać sto dni, jak i sto lat. Pochodził z Polski, lecz sądząc po elastycznym podejściu do upływu czasu, należałoby go raczej uznać za Beduina. Gabriel był kidonem Shamrona. Shamron zajmie się tą sprawą bez względu na to, czy jest na emeryturze, czy nie.

Stary... Zawsze był "starym", nawet w tym krótkim okresie, kiedy osiągnął wiek średni. "Gdzie jest stary? Ktoś widział starego? Z drogi! Stary tu idzie!". Teraz naprawdę był stary, choć dla Gabriela na zawsze pozostał owym natrętnym, małym człowieczkiem, który pewnego wrześnieowego popołudnia 1972 roku podszedł do niego podczas przerwy między zajęciami w Betsal'el. Prawdziwy człowiek z żelaza. Niemal słyszałeś metaliczny chrzęst, gdy się zbliżał. Dysponował wszystkimi informacjami o Gabrielu. Wiedział o jego dorastaniu w rolniczym kibucu w dolinie Ezdrelon i jego głębokiej nienawiści do pracy na roli. Wiedział też, że Gabriel jest raczej samotnym wilkiem, chociaż w tamtym czasie był już żonaty z Leah Savir, koleżanką ze studiów na Akademii Sztuk Pięknych. Miał świadomość, że matka Gabriela znalazła siłę, aby przetrwać Oświęcim, lecz nie udało się jej pokonać raka, który pustoszył jej ciało. Wiedział, że jego ojciec również przeżył Oświęcim, ale nie przetrwał ostrzału artylerii egipskiej na Synaju, gdzie zginął,

rozerwany przez pocisk na strzępy. Ponadto Shamron miał informacje, że podczas służby wojskowej Gabriel posługiwał się bronią niemal równie sprawnie jak pędzlem.

- Oglądasz wiadomości?

- Maluję.

- Słyszałeś o Monachium? Wiesz, co się tam stało z naszymi chłopcami?

- Tak, wiem.

- Nie przejmujesz się tym?

- Oczywiście, ale nie ma dla mnie znaczenia, że byli sportowcami i olimpijczykami.

- Ale i tak jesteś wściekły?

- Na kogo?

- Na Palestyńczyków. Na terrorystów z Czarnego Września, którzy chodzą na wolności z krwią naszego narodu na rękach.

- Nigdy się nie wściekam.

Chociaż wówczas Gabriel nie uświadamiał sobie tego, te słowa przesądziły o jego związku z Shamronem. Zaczęło się uwodzenie.

- Znasz języki obce?

- Kilka.

- Kilka?

- Moi rodzice nie lubili hebrajskiego, więc mówili różnymi europejskimi językami.

- Którymi?

- Sam pan wie najlepiej. Wszystko pan o mnie wie. Proszę się ze mną nie bawić w taki sposób.

Shamron postanowił jednak nie rezygnować ze swej taktyki werbowania. Golda wydała Shamronowi rozkaz "wysłania chłopaków": mieli dopaść sukinsynów z Czarnego Września, którzy odpowiadali za krwawą jatkę. Operacja miała się nazywać Gniew Boży. Shamron stwierdził, że nie chodzi o sprawiedliwość. Rzecz w tym, by się zemścić. Oko za oko, tak po prostu.

- Przykro mi, nie jestem zainteresowany.

- Nie jesteś zainteresowany? Masz świadomość, ilu chłopaków w tym kraju oddałoby wszystko, aby znaleźć się w tym zespole?

- Niech pan się zwróci do nich.

- Nie chcę ich, chcę ciebie.

- Dlaczego mnie?

- Bo jesteś utalentowany. Znasz języki. Masz czysty umysł. Nie pijesz i nie palisz haszu. Nie jesteś wariatem, który robi coś pod wpływem impulsu.

I dlatego, że masz emocjonalny chłód zabójcy, przemknęło Shamronowi przez głowę, chociaż wówczas nie podzielił się tą myślą z Gabrielem. W zamian uraczył go opowieścią o młodym i inteligentnym oficerze, którego wybrano do wykonania misji specjalnej, gdyż miał pewien dar: niezwykle mocny uścisk dłoni jak na tak niepozornego człowieka. Rzecz się rozgrywała nocą na przedmieściach Buenos Aires, gdzie ten młody oficer wywiadu ujrzał mężczyznę stojącego na przystanku autobusowym. "Czekał jak zwykły człowiek, Gabrielu. Zwykły, niczym się niewyróżniający człowieczek". I ten młody oficer wywiadu wyskoczył z samochodu, złapał nieznajomego za gardło, wepchnął go do środka i usiadł na nim, gdy samochód odjeżdżał. Wtedy poczuł z ust tego człowieczka smród strachu. Taki sam smród wydychali Żydzi, kiedy człowieczek wysyłał ich do komór gazowych. Opowieść zrobiła swoje, jak słusznie przewidywał Shamron. Gabriel urodził się przecież jako jedyny syn dwojga ocalonych z Oświęcimia, a ich bliźni byli jego bliźniami.

Nagle ogarnęło go zmęczenie. Pomyśleć, że po tylu latach, po tylu zabójstwach, po raz pierwszy znalazł się za kratkami, i to za morderstwo, którego nie popełnił. "Nie daj się złapać!". Jedenaste przykazanie Shamrona. "Rób wszystko, aby uniknąć aresztowania. Przelewaj krew

niewinnych, jeśli zajdzie taka konieczność”. Nie, sprzeciwił się w duchu Gabriel. Nie przelewaj krwi niewinnych.

Zacisnął powieki i spróbował zasnąć, lecz nic mu z tego nie wychodziło: raziło go ostre światło. Na Bulwarze Króla Saula światła z pewnością również się paliły. Zadzwoń telefon. Nie budźcie go, pomyślał Gabriel. Już nigdy nie chcę widzieć jego kłamliwej twarzy. Niech śpi. Niech stary śpi.

Kilka minut po ósmej rano Peterson wszedł do celi. Gabriel - mimo przymkniętych oczu - wiedział, że to on, ale nie dlatego że Peterson raczył go powitać, tylko że przez moment widział tarczę wielkiego, sportowego zegarka Petersona, kiedy ten uniósł do ust kubek z kawą.

- Rozmawiałem z pańskim szefem.

Zamilkł, aby się przekonać, czy jego słowa wywołały odpowiednią reakcję. Gabriel nie odezwał się jednak. Zamierzał upierać się, że jest konserwatorem dzieł sztuki, nikim więcej, a Herr Peterson cierpi na chwilowe zaćmienie umysłu.

- Zrobił mi zawodową uprzejmość i nie próbował się wyłgać. Doceniam profesjonalizm. Wydaje mi się jednak, że Berno nie ma ochoty wnikać w całą tę sprawę.

- A jaka to sprawa?

- Pańskiego współdziałania w morderstwie Alego Hamidi - stwierdził sucho Peterson. Gabriel odniósł wrażenie, że jego rozmówca z trudem panuje nad rosnącą w nim agresją. - Ze względu na to, że pociągnięcie pana do odpowiedzialności w związku ze sprawą Rolfego niewątpliwie doprowadziłoby do ujawnienia pańskiej odrażającej przeszłości, nie mamy wyboru i musimy odstąpić od stawiania panu zarzutów.

Peterson ewidentnie nie zgadzał się z decyzją swoich szefów w Bernie.

- Pański rząd zapewnił nas, że nie jest już pan członkiem izraelskiego wywiadu i że nie przybył pan do Zurychu w żadnej oficjalnej sprawie. Mój rząd uznał, że przyjmuje te zapewnienia.

Nasze władze nie mają ochoty doprowadzać do sytuacji, w której Szwajcaria staje się miejscem budzenia upiorów przeszłości izraelsko-palestyńskiej.

- Kiedy mogę wyjść?

- Odbierze pana przedstawiciel pańskiego rządu.

- Chciałbym się przebrać. Czy mogę odzyskać walizkę?

- Nie.

Peterson wstał, poprawił krawat i przygładził dłońmi włosy. Gabrielowi przyszło do głowy, że mężczyźni często uważają takie czynności za zbyt intymne, aby je wykonywać w obecności innych mężczyzn. Szwajcar podszedł do drzwi i zapukawszy w nie, czekał, aż strażnik odrygluje zamek.

- Nie lubię morderców, panie Allon. Zwłaszcza jeśli zabijają na zlecenie rządu. Jednym z warunków pańskiego zwolnienia jest to, że pańska noga już nie postanie w Szwajcarii. Jeśli pan tu wróci, osobiście dopilnuję, aby nigdy pan stąd nie wyjechał.

Drzwi się otworzyły. Peterson, zanim wyszedł, jeszcze raz spojrzął na Gabriela.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało pańską żonę i syna w Wiedniu. Życie z takimi wspomnieniami nie może być lekkie. Myślę, że niekiedy żałuje pan, że to oni byli w tym samochodzie, a nie pan. Żegnam, panie Allon.

Późnym popołudniem Peterson w końcu zmusił się do wypuszczenia Gabriela z celi. Sierżant Baer eskortował go w całkowitej ciszy, jakby Gabriel szedł na szubienicę, a nie na wolność. Baer zwrócił mu walizkę, przybory do konserwacji oraz grubą, jasno-miodową kopertę z rzeczami osobistymi. Gabriel przez dłuższą chwilę odtwarzał w pamięci listę swoich drobiazgów. Baer zerknął na zegarek, jakby się śpieszył do pilniejszych zajęć. Ubrania w walizce zostały wyrzucone, przeszukane i pospiesznie upchnięte z powrotem. W środku ktoś rozlał flakon rozpuszczalnika. Baer wzruszył ramionami - Proszę wybaczyć, drogi panie, lecz takie rzeczy się zdarzają, jeśli ktoś zadziera z policją.

Na zamglonym podwórzu stał czarny mercedes, otoczony sześcioma oficerami w cywilu. W oknach okolicznych budynków stali policjanci i sekretarki, którzy chcieli przyjrzeć się wyprowadzanemu izraelskiemu skrytobójcy. Kiedy Gabriel podchodził do samochodu, otworzyły się jego tylne drzwi i ze środka buchnął kłęb dymu papierosowego. Jeden rzut oka na pogrążoną w półmroku kanapę wystarczył, aby Gabriel domyślił się, kto jest pasażerem mercedesa.

Gabriel zatrzymał się nagle, ku kompletnemu zaskoczeniu Baera. Potem niechętnie wsunął się na tylne siedzenie. Baer zamknął drzwi i samochód natychmiast odjechał, ślizgając się oponami po wilgotnych kocich łbach. Shamron nawet nie spojrzał na Gabriela. Wyglądał przez okno, a jego myśli krążyły wokół kolejnej bitwy i następnej kampanii.

5

Zurych

Aby dotrzeć na lotnisko Kloten, musieli przejechać w pobliżu Zurichbergu. Gdy minęli wzgórza, urocze wille pozostały w tyle, a przed nimi rozpostarł się równinny krajobraz, przecięty wstęgą rzeki i brzydko okaleczony przerywanymi ciągami centrów handlowych. Popołudniowe słońce usiłowało przeniknąć przez chmury. Poruszali się wąską, dwupasmową drogą. Ich śladem podążał samochód. Mężczyzną na fotelu pasażera mógł być Peterson.

Ari Shamron przybył do Zurychu oficjalnie, lecz ubrał się i zachowywał zgodnie ze starannie opracowaną charakterystyką Herr Hellera, którego tożsamość wykorzystywał podczas częstych podróży po Europie. Herr Rudolf Heller kierował Heller Enterprises Ltd., firmą o międzynarodowym kapitale, dysponującą biurami w Londynie, Paryżu, Berlinie, Bernie i Nassau. Jego liczni krytycy mogliby stwierdzić, że Heller Enterprises specjalizuje się w morderstwach, niszczeniu, szantażowaniu i zdradzie. Heller Enterprises to przedsiębiorstwo wyznające przestarzałe zasady, twierdzili przeciwnicy. Bulwar Króla Saula powinien otrząsnąć się z marazmu i znaleźć nowego szefa na nowe czasy. Herr Heller nie zamierzał jednak wypuścić z ręki kluczy do gabinetu dyrektora zarządzającego. Dzierzył je tak mocno, jak w imadle, i tylko nieliczni ludzie w Izraelu, między innymi premierzy, mogli zebrać się na odwagę, aby mu je wyrwać.

Dla bractwa swoich zaufanych akolitów Shamron był uosobieniem legendy. Niegdyś Gabriel zaliczał się do ich grona. Shamron okazał się jednak także kłamcą, niepoprawnym i niereformowalnym kłamcą. Łgał jak z nut, bo inaczej nie potrafił, i często okłamywał Gabriela. Przez pewien czas odnosili się do siebie jak ojciec i syn. Ojciec coraz bardziej jednak przypominał człowieka, który uprawia hazard, pije, a także zbyt często zmienia kochanki, przez co jest zmuszony okłamywać własne dzieci. Gabriel znienawidził go tak mocno, jak syn może znienawidzić ojca.

- Co ty tu robisz? Dlaczego po prostu nie przysłałeś kogoś z Biura w Bernie?

- Bo jesteś zbyt ważny, aby cię powierzać komuś z Biura. - Shamron zapalił kolejnego cuchnącego, tureckiego papierosa i energicznie zgasił zapalniczkę. - Zresztą Herr Peterson i jego przyjaciele z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwolnili cię pod warunkiem, że zjawię się tu osobiście. Szwajcarzy uwielbiają na mnie wrzeszczeć, kiedy jeden z naszych agentów wpada w tarapaty. Nie jestem pewien, z czego to wynika. Podejrzewam, że w ten sposób wzmacniają swój kompleks wyższości i łatwiej się godzą ze swoimi dawnymi grzechami.

- Kim jest Peterson?

- Gerhardt Peterson pracuje dla Wydziału Analiz i Ochrony.

- Co to takiego, do cholery?

- Nowa nazwa szwajcarskiej służby bezpieczeństwa wewnętrznego. Instytucja Petersona zajmuje się sprawami bezpieczeństwa państwa, kontrwywiadem oraz inwigilacją obywateli

szwajcarskich podejrzanych o szpiegostwo. Peterson to człowiek numer dwa tego wydziału. Nadzoruje wszystkie operacje.

- Jak go przekonałeś, aby mnie wypuścił?

- Udawałem potulnego Żyda. Tradycyjnie obiecałem, że nie będziemy prowadzili żadnych działań na terenie Szwajcarii bez wcześniejszego porozumienia z Herr Petersonem i jego przełożonymi ze szwajcarskiej służby bezpieczeństwa. Ponadto przekazałem mu informację o pewnym szwajcarskim producencie broni, który na wolnym rynku sprzedaje terrorystom zapalniki do bomb. Zasugerowałem, aby sami się zajęli tym problemem, zanim ktoś inny weźmie sprawy w swoje ręce.

- Zawsze masz asa w rękawie.

- Doświadczenie mnie nauczyło, że nigdy się nie jest wystarczająco dobrze przygotowanym.

- Zdawało mi się, że twoja kadencja dobiegła już końca.

- Miała dobiec pół roku temu, ale premier poprosił mnie o pozostanie na stanowisku. Biorąc pod uwagę obecną sytuację na naszych terytoriach, obaj doszliśmy do wniosku, że to niedobra pora na zmiany kierownictwa przy Bulwarze Króla Saula.

Gabriel pomyślał, że Shamron zapewne sam zorganizował zamieszki. Czy istnieje lepszy sposób na to, aby dowieść, że jest się niezastąpionym? Nie, to niemożliwe. Nawet Shamron nie potrafiłby tego zrobić.

- Moja propozycja się nie zmieniła.

- Jaka propozycja?

- Zastępca dyrektora wydziału operacyjnego.

- Nie, dziękuję.

Shamron wzruszył ramionami.

- Powiedz mi, co się stało. Chcę wiedzieć wszystko, od początku do końca.

Gabriel do tego stopnia nie ufał Shamronowi, że zastanawiał się nad przedstawieniem skróconej i ocenzonej wersji wydarzeń. Wychodził z założenia, że im mniej Shamron wie, tym lepiej. Uznał jednak, że zmiana tematu rozmowy pozwoli im przynajmniej skoncentrować się na czymś innym niż odgrzewanie starych animozji. Opowiedział więc wszystko, krok po kroku, począwszy od momentu swojego przybycia pociągiem nocnym z Paryża, a na aresztowaniu i przesłuchaniach skończywszy. Shamron przysłuchiwał się relacji, cały czas wyglądając przez okno i obracając zapalniczkę w dłoniach: zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przeciwnie do ruchu wskazówek, zgodnie, przeciwnie...

- Widziałeś ciało?

- Robota profesjonalisty, strzał w oko. Człowiek zapewne nie żył, zanim upadł na podłogę.

Coup de grace* [Coup de grace (fr.) - cios laski, dobicie z litości.] nie okazał się konieczny.

- Któryś z policjantów cię uderzył?

- Nie.

Shamron wyglądał na rozczarowanego.

- Peterson oznajmił, że sprawa zostanie zatuszowana z powodu nacisków z Berna - rzekł Gabriel.

- Możliwe, ale i tak nie było sposobu, aby Peterson zważył na ciebie winę za zabójstwo Alego Hamidi. Udowodnienie komuś morderstwa sprzed ćwierć wieku to wystarczająco trudna rzecz. Pociągnięcie do odpowiedzialności profesjonalisty... - Wzruszył ramionami, jakby oświadczając, że coś podobnego jest nie do pomyślenia. - Sprawa Hamidiego była arcydziełem. Brak świadków, brak dowodów.

Gabrielowi przypomniawszy się przystojna twarz Alego Abdela Hamidiego. Wśród pracowników Biura ten palestyński amant zyskał miano Wojownika Allaha. Był dramaturgiem, którego sztuk nigdzie nie wystawiano, uwodzicielem wykorzystującym głupie, młode kobiety. "Mogłabyś dostarczyć za mnie tę paczkę pod wskazany adres? Lecisz do Tel Awiwu? Mogłabyś przekazać tę paczkę mojemu przyjacielowi?". Paczki zawsze zawierały materiały wybuchowe, a jego kochanki

ekspłodowały wraz ze wszystkimi ludźmi, którzy przypadkowo znajdowali się w pobliżu. Pewnej nocy, w zuryskiej dzielnicy Niederdorf, Hamidi poznał w barze studentkę o imieniu Trude. Kiedy dziewczyna zaproponowała, aby poszli do jej mieszkania, Hamidi się zgodził. Pięć minut później wprowadziła go w wąską uliczkę, gdzie czekał Gabriel, uzbrojony w berettę kalibru .5,56 milimetra. Gabrielowi do teraz dźwięczał w uszach odgłos kul rozrywających ciało Hamidiego.

- Zdaje się, że powinienem podziękować ci za wyciągnięcie mnie z tego bagna.
- Nie musisz mi okazywać wdzięczności. Właściwie to raczej ja jestem ci winien przeprosiny.
- Przeprosiny? Za co?
- Gdyby nie ja, nigdy nie znalazłbyś się w willi Augustusa Rolfego.

Za kierownicą siedział Rami, zawsze obecny na posterunku goryl Shamrona. Shamron nakazał mu jeździć w kółko po Kloten. Przez dwadzieścia minut Gabriel patrzył na te same napisy i wejścia do hali odlotów, przesuwające się przed jego oczami. W duchu widział jednak co innego: wspomnienia z dawnych akcji, starych kolegów i starych wrogów. Miał wilgotne dłonie, a serce biło mu szybko. Shamron. To znowu jego robota.

- Rolfe przesłał nam wiadomość przez naszą ambasadę - zaczął Shamron. - Chciał się spotkać z kimś z naszego Biura. Nie określił, o co mu chodzi, ale kiedy mężczyzna pokroju Augustusa Rolfego pragnie porozmawiać, zwykle staramy się wyjść mu naprzeciw. Zaznaczył, że spotkanie musi się odbyć z zachowaniem wszelkich zasad dyskrecji. Przyjrzałem się bliżej informacjom o Rolfe i odkryłem, że jest kolekcjonerem dzieł sztuki. Rzecz jasna, od razu pomyślałem o tobie. Byłeś wymarzoną osobą do tego zadania: dlatego też powierzono ci renowację jednego z jego obrazów. Rubensa, o ile mnie pamięć nie myli.

- Rafaela.

Shamron się skrzywił, jakby chciał podkreślić, że takie drobiazgi nie mają dla niego najmniejszego znaczenia. Sztuka, muzyka, literatura, teatr - to go nudziło. Interesował się światem rzeczywistym.

- Czy Isherwood wiedział, że to tylko gra?
- Julian? Nie, obawiam się, że jego również wprowadziłem w błąd.
- Po co ta konspiracja? Nie mogłeś po prostu powiedzieć mi prawdy?
- A podjąłbyś się tego zadania?
- Nie.

Shamron potrząsnął łysą głową i zaciągnął się papierosem, dając do zrozumienia, że w tej kwestii nie ma więcej pytań.

- Obawiam się, że prawda jest mi dość obca. Jestem starym człowiekiem. Całe życie tylko kłamałem. Kłamstwa są dla mnie wygodniejsze niż prawda.

- Wypuść mnie stąd. Nie chcę tego dłużej wysłuchiwać.

- Daj mi skończyć.

- Zamknij się! Nie mam ochoty słyszeć twojego głosu.

- Posłuchaj mnie, Gabriel! - Shamron trzasnął pięścią w oparcie fotela. - Augustus Rolfe, szwajcarski finansista, chciał z nami rozmawiać i dlatego go zlikwidowano. Chcę wiedzieć, co takiego zamierzał nam przekazać i kto go za to zamordował!

- Znajdź kogoś innego, Ari. Nigdy się nie specjalizowałem w wyjaśnianiu morderstw. Prawdę mówiąc, dzięki tobie stałem się mistrzem w całkowicie przeciwnej sztuce.

- Proszę cię, Gabriel, nie zaczynajmy tej kłótni od nowa.

- Mam wrażenie, że dobrze pasujesz do Petersona. Jestem pewien, że jeśli znowu odegrasz rolę potulnego Żyda, chętnie będzie cię informował o wszystkich postępach w śledztwie.

- Augustus Rolfe zginął dlatego, że ktoś wiedział o twoim przyjeździe do Zurychu. Ktoś nie chciał, abyś usłyszał to, co Augustus Rolfe miał do powiedzenia. W dodatku ten ktoś chciał zrobić cię w morderstwo.

- Jeśli zabójcy kierowali się takimi intencjami, odwalili kawał wyjątkowo kiepskiej roboty. Kiedy Rolfe umierał, ja jechałem pociągiem z Paryża. - Gabriel nieco się opanował. Wciąż czuł wściekłość na Shamrona, lecz jednocześnie ogarnęło go zaciekawienie. - Co wiesz o Augustusie Rolfem?

- Rodzina Rolfe od dwustu lat upycha pieniądze pod Bahnhofstrasse. To jeden z najbardziej wpływowych klanów bankierskich w Szwajcarii.

- Komu zależało na jego śmierci?

- Przez rachunki w banku Rolfego przewijała się masa brudnych pieniędzy. Można bezpiecznie założyć, że miał mnóstwo wrogów.

- Co jeszcze?

- Na jego rodzinie ciąży jakieś fatum. Dwadzieścia pięć lat temu żona Rolfego popełniła samobójstwo. Wykopała sobie grób w ogrodzie ich wiejskiego domku, weszła do środka i się zastrzeliła. Kilka lat później jedyny syn Rolfego, Maximilian, zginął w wypadku rowerowym w Alpach.

- Czy jacyś członkowie jego rodziny pozostali przy życiu?

- Córka. Przynajmniej do czasu, kiedy ostatnio o niej słyszano. Ma na imię Anna.

- Anna Rolfe to jego córka?

- Znasz ją? Zadzwoń mi.

- To przecież jedna z najsłynniejszych skrzypaczek świata.

- Nadal chcesz wsiąść z samochodu?

Natura obdarzyła Gabriela dwiema cechami, dzięki którym stał się świetnym konserwatorem dzieł sztuki: skrupulatnością i poszanowaniem szczegółów oraz niezmiennie upartym dążeniem do sfinalizowania każdej pracy, choćby najbardziej żmudnej. Nigdy nie opuszczał pracowni, dopóki miejsce pracy i narzędzia nie były idealnie czyste, nigdy nie kładł się spać, pozostawiając brudne naczynia w zlewie. Nie zdarzyło mu się także pozostawić obraz niedokończony, nawet jeśli był on tylko przykrywką dla Shamrona. Z punktu widzenia Gabriela, częściowo odnowionego obrazu nie sposób było uznać za dzieło sztuki, tylko za odrobinę oleju i pigmentu rozmazanych na płótnie lub desce. Zwłoki Augustusa Rolfego, leżące u stóp Rafaela, przypominały częściowo odrestaurowany obraz. Praca przy nim mogła się zakończyć dopiero wtedy, gdy Gabriel dowie się, kto zabił finansistę i dlaczego.

- Co mam zrobić?

- Porozmawiaj z nią.

- Dlaczego ja?

- Bo ona najwyraźniej ma artystyczny temperament.

- Z tego, co czytałem, to stanowczo za mało powiedziane.

- Jesteś artystą. Przemawiasz jej językiem. Jeśli ci zaufa, być może powie wszystko, co wie o sprawach swego ojca. Jeżeli wrócisz z pustymi rękami, będziesz mógł zamknąć się w swojej pracowni. Już nigdy nie wmieszam się w twoje życie.

- Obiecanki cacanki.

- Nie masz powodu ranić moich uczuć, Gabriel.

- Kiedy po raz ostatni zjawiałeś się w moim życiu, omal nie zginąłem.

- Faktycznie, ale przynajmniej się nie nudziłem.

- Peterson twierdzi, że nie mogę wracać do Szwajcarii. Jak wobec tego mam porozmawiać z Anną Rolfe?

- Wszystko wskazuje na to, że ona nie chce mieszkać w Szwajcarii. - Shamron wręczył Gabrielowi kartkę papieru. - To jest adres jej przedsiębiorstwa w Londynie. Daj jej kilka dni na pochowanie ojca. Więc jak, podejmiesz się tej roboty?

- Nie dla ciebie. Chcę wiedzieć, kto postanowił mnie zrobić w morderstwo Rolfego. Kim będę podczas rozmowy z Anną?

- Zawsze jestem zwolennikiem subtelnych rozwiązań, ale pozostawiam tę sprawę twojej decyzji. Załatw ją najlepiej, jak potrafisz.

Gabriel wsunął kartkę do kieszeni. Przez twarz Shamrona przebiegł ledwie dostrzegalny uśmiech. Już dawno temu zrozumiał, że sukcesami, nawet drobnymi, należy się delectować.

Samochód zatrzymał się pod wejściem ze znakiem British Airways. Gabriel wysiadł, zabrał swoje rzeczy z bagażnika i popatrzył przez okno na Shamrona. Ten zaś opuścił szybę i zauważył:

- Nie rozmawialiśmy o twoim wynagrodzeniu.

- Nie martw się. Słono zapłacisz.

- Od tej pory masz zapewniony zwrot kosztów, ale pamiętaj, że wyrzucanie pieniędzy w błoto jeszcze nigdy nie doprowadziło do rozwiązania sprawy.

- Rozważę tę błyskotliwą myśl dziś wieczorem, podczas lotu pierwszą klasą do Londynu.

Shamron się skrzywił.

- Bądź w kontakcie. Obowiązują tradycyjne kanały i techniki. Pamiętasz je jeszcze?

- Jak mógłbym zapomnieć?

- To nieprzeciętne osiągnięcie, prawda?

- Co takiego?

- Znaleźć człowieka w pół godziny po opuszczeniu przez niego miejsca zbrodni. Ciekawe, jak to się udało Herr Petersonowi. Musi być naprawdę dobry w swoim fachu.

6

Nidwalden, Szwajcaria

W Wydziale Analiz i Ochrony Gerhardta Petersona uważano za wschodzącą gwiazdę. Przełożeni dbali o niego. Podwładni drżeli pod jego zimnym wzrokiem. Koledzy przypatrywali mu się ze zdumieniem i zazdrością. Jak to możliwe, że syn nauczyciela z Erstfeld zaszedł tak wysoko? Prezentował się nienagannie. Zawsze doskonale ostrzyżony i uczesany: każdy włoszek na swoim miejscu. Nigdy nie rozluźniał krawata. Obnosił się z władzą i powodzeniem jak z drogą wodą po goleniu. Nigdy nie zrobił ani jednego kroku, który nie miałby wpływu na jego karierę. Jego życie rodzinne było równie starannie zaplanowane, jak praca w biurze. Romanse miał dyskretne i z właściwymi kobietami. Każdy, kto był na tyle głupi, aby stanąć mu na drodze, szybko się przekonywał, że Gerhardt Peterson ma potężnych przyjaciół. Przyjaciół w Bernie. Przyjaciół w bankach. Wkrótce będzie szefem: wszyscy się co do tego zgadzali. Potem otrzyma wysokie stanowisko w Federalnym Urzędzie Policji, a któregoś dnia, niewykluczone, że przejmie całe Ministerstwo Sprawiedliwości i Policji.

Peterson rzeczywiście miał przyjaciół w bankach, którzy wyświadczali mu przysługi. Szwajcarska oligarchia finansowa przypominała niewidzialną rękę, spoczywającą na jego plecach: pomagała mu piąć się po kolejnych stopniach piramidy władzy. Nie była to jednak uprzejmość jednostronna. Peterson odwzajemniał się innego rodzaju przysługami. Właśnie z tego powodu siedział za kierownicą mercedesa, pędząc przez ponury las Kernwaldu.

U podnóża gór wjechał na drogę oznaczoną tablicą: "TEREN PRYWATNY". Po pewnym czasie dotarł do imponującej bramy z czarnego żelaza. Peterson znał zasady. Zatrzymał się i opuścił szybę w oknie. Dopiero wtedy z budki wyszedł strażnik, równym sprężystym krokiem człowieka, który sporo czasu spędził w wojsku. Pod niebieską narciarską kurtką Peterson dostrzegł wyrzuszenie w miejscu, gdzie zwykle nosi się pistolet.

Wystawił głowę przez okno.

- Nazywam się Kohler.

- Przybył pan na konferencję, Herr Kohler?

- Właściwie przyjechałem w celach rekreacyjnych.

- Proszę jechać drogą do domu. Na miejscu ktoś już będzie na pana czekał.

Z założenia był to tradycyjny wiejski dom szwajcarski, lecz w swojej ogromnej skali prezentował się dość groteskowo. Stał na zboczu góry i z jego okien roztaczał się widok na dolinę. Peterson przybył ostatni. Inni zjechali już wcześniej - z Zurychu i Zugu, Lucerny i Berna, Genewy i Bazylei. Jak zawsze zjawili się na miejscu w nierównych odstępach czasu, aby nie wzbudzać podejrzeń. Sami Szwajcarzy. Cudzoziemiec nie miał tam prawa wstępu. Oni zaś spotykali się wyłącznie z powodu cudzoziemców.

Zebranie jak zwykle odbywało się w przestronnym, oszklonym salonie na pierwszym piętrze domu. Gdyby któryś z przybyłych pofatygował się do okna, ujrzałby wyjątkowy widok: dywan delikatnych świateł na dnie doliny, przysłoniętych białym welonem łagodnie opadającego śniegu. Zamiast podziwiać krajobraz, uczestnicy spotkania, zbici w grupki, cicho gawędzili, paląc papierosy i popijając kawę lub herbatę. W tym domu nigdy nie podawano napojów alkoholowych. Gospodarz, Herr Gessler, pił tylko herbatę i wodę mineralną. Poza tym był wegetarianinem. Przyczyny swej niezwyklej długowieczności upatrywał w ścisłej diecie.

Pomimo nieoficjalnego charakteru tych zebrań Herr Gessler nalegał, aby odbywały się one w sali konferencyjnej. Goście nie zasiadali więc na wygodnych kanapach i fotelach, tylko przy długim stole. Punktualnie o godzinie osiemnastej każdy podszedł do wyznaczonego mu krzesła i stanął tuż za nim.

Chwilę później otworzyły się drzwi i do sali wszedł mężczyzna - szczupły i niepozorny, o przeredzonych, siwych włosach. Jego oczy ukryte były za ciemnymi okularami. Jedną ręką wspierał się na ramieniu młodego ochroniarza. Kiedy zajął miejsce na końcu stołu, inni również usiedli.

Jedno krzesło pozostało wolne: niefortunne niedopatrzenie. Po chwili pełnej zażenowania ciszy ochroniarz wyniósł krzesło.

W pokoju obok Gerhardt Peterson wpatrywał się w obiektyw kamery wideo, niczym gość programu typu talk-show oczekujący wejścia na wizję. Zawsze tak to rozgrywano. Kiedy miał sprawę do załatwienia na forum rady, kontaktował się z jej członkami na odległość, za pośrednictwem urządzeń elektronicznych. Nigdy nie widział Herr Gesslera ani pozostałych uczestników zebrania: przynajmniej nie w sali konferencyjnej. Herr Gessler oświadczył, że takie rozwiązanie ma na celu ochronę członków rady, a także, co chyba ważniejsze, zapewnienie bezpieczeństwa jemu samemu.

- Gerhardt, jesteś gotowy?

Był to piskliwy głos Herr Gesslera, dodatkowo zmieniony przez małą słuchawkę.

- Tak, jestem gotowy.

- Mam nadzieję, że nie odciągnęliśmy cię od żadnej palącej sprawy wagi państwowej.

- Ależ skąd, Herr Gessler. Uczestniczyłem tylko w międzywydziałowym zebraniu dotyczącym przemytu narkotyków.

- Co za strata czasu ta niemądra wojna narkotykowa.

Gessler był znany ze swoich nieoczekiwanych dygresji. Peterson założył ręce na piersi i przestał myśleć o upływających minutach.

- Osobiście nigdy nie dostrzegałem pokusy drzemiącej w narkotykach, ale też nigdy nie przekonałem się naocznie o ich szkodliwości. To, co ktoś umieszcza w swoim ciele, to tylko jego sprawa. Jeśli ludzie chcą niszczyć sobie życie i zdrowie, stosując te chemikalia, dlaczego ja miałbym się tym przejmować? Dlaczego miałyby to być problemem rządu? Dlaczego władze miałyby wydawać niewyobrażalne kwoty na zwalczanie problemu tak starego, jak ludzka natura? W końcu można przecież upierać się przy stwierdzeniu, że Adam był pierwszym człowiekiem naruszającym ustalone zasady. Bóg zabronił mu spożywać owoce, a on sięgnął po nie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- To interesujące spostrzeżenie, Herr Gessler.

- Nasi krytycy twierdzą, że handel narkotykami jest niezwykle korzystny dla Szwajcarii. No cóż, chyba muszę się zgodzić z tym zarzutem. Jestem przekonany, że mój własny bank prowadzi rachunki tak zwanych bossów narkobiznesu. Komu to jednak szkodzi? Przynajmniej dopóki pieniądze są zdeponowane w Szwajcarii, ludzie korzystają z nich w sposób rozsądny. Pożyczają się je legalnym przedsiębiorstwom, które wytwarzają wszelkie dobra, świadczą usługi dla ludności, jednocześnie gwarantując miejsca pracy milionom osób.

- Aby mogli iść i kupić jeszcze więcej narkotyków?

- Jeśli mają na to ochotę. Widzisz, życie na ziemi to obieg zamknięty. W naturze musi panować pełna harmonia. Podobnie rzecz się ma z globalnym systemem finansowym. Natura jednak może zostać wytrącona z równowagi przez pozornie nieistotne zdarzenie i tak samo jest z biznesem. Wyobraź sobie katastrofalne skutki sytuacji, w której zyski z handlu narkotykami nie zasilająby światowej gospodarki. Szwajcarscy finansisci odgrywają niezwykle istotną rolę.

Gessler wypił łyk herbaty. Peterson nie widział tego, lecz usłyszał dzięki czułemu mikrofonowi, który wylapywał każdy dźwięk.

- Ale zboczyłem z tematu - zorientował się Gessler, odstawiając filiżankę na spodeczek. - Do rzeczy. Najwyraźniej pojawiła się kolejna komplikacja związana ze sprawą Rolfego.

- Czy uważasz, że ten facet należy do ludzi skłonnych zapomnieć o całej historii? - spytał Gessler po wysłuchaniu relacji Petersona.

- Nie, Herr Gessler.

- Wobec tego co sugerujesz?

- Proponuję jak najszybciej posprzątać ten bałagan i upewnić się, że on niczego się już nie dowie.

Gessler westchnął.

- Nasza organizacja nigdy nie stawiała sobie za cel dążenia do przemocy, a jedynie zwalczanie agresji skierowanej przeciwko nam.

- Podczas wojny zawsze są ofiary.

- Inwigilacja i szantaż to nie to samo co zabijanie. Kluczową sprawą będzie więc znalezienie kogoś, kto nie ma żadnego związku z radą. W swojej drugiej pracy niewątpliwie poznałeś takich ludzi.

- Owszem.

Starzec westchnął po raz drugi. Gerhardt Peterson zdjął słuchawki i ruszył w drogę powrotną do Zurychu.

7

Korsyka

Na Korsyce krąży stary dowcip, który mówi, że zdradzieckie drogi tej wyspy są wspólnym projektem Machiavellego i markiza de Sade. Dla Anglika nie miało to znaczenia. Pokonywał kilometry z fatalistyczną rezygnacją i obojętnością, przez którą zyskał opinię szaleńca. Teraz przemierzał smaganą wiatrem autostradę na zachodnim brzegu wyspy, przedzierając się przez gęstą mgłę spływającą od strony morza. Po niecałych dziesięciu kilometrach jazdy skręcił w głąb lądu. Gdy wspinał się pod górę, intensywna mgła stopniowo ustępowała, odsłaniając jasnoniebieskie, popołudniowe niebo. Jesienne słońce rozjaśniło sosny i drzewa oliwne kontrastującymi odcieniami zieleni. W cieniu drzew ukazała się gęstwina krzewów kolcolistu, posłonka i wrzośca, legendarnych korsykańskich zarośli, zwanych makią, które przez wieki skrywały bandytów oraz morderców. Anglik opuścił szybę. Poczł delikatną woń rozmarynu.

Przed nim pojawiła się wieś na wzgórzu: skupisko domów w kolorze piasku, krytych czerwoną dachówką. Przycupnęły wokół dzwonnicy, częściowo ocienione, po części zaś palone

oślepiającym słońcem. W tle piętrzyły się masywy górskie, na najwyższych szczytach przyprószone zlodowaciałym śniegiem. Dziesięć lat wcześniej, kiedy Anglik tutaj zamieszkał, dzieci wyciągały ku niemu małe i wskazujące palce, na sposób korsykański broniąc się przed złym spojrzeniem obcego. Teraz się uśmiechały i machały do niego, gdy pędził przez wieś ślepą uliczką ku swojej willi.

Po drodze minął paesanu* [Paesanu (wł.) - wieśniak, chłop.] pracującego na małym poletku warzywnym tuż przy ulicy. Mężczyzna spojrział na Anglika czarnymi oczyma, ukrytymi w cieniu szerokiego ronda kapelusza, i niemal niedostrzegalnym gestem dwóch palców pozdrowił przybysza. Stary paesanu należał do grona członków przybranego klanu Anglika. Nieco dalej drogę jadącemu zastąpił młody chłopak o imieniu Giancomo, który machaniem rękoma nakazał Anglikowi zatrzymać samochód.

- Witaj w domu. Podróż się udała?
- Udała się wyśmienicie.
- Co mi przywiozłeś?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, czy pilnowałeś domu pod moją nieobecność.
- Pilnowałem, pewnie że tak, zgodnie z obietnicą.
- Byli jacyś goście?
- Nie, nikogo nie widziałem.
- Na pewno?

Chłopiec skinął głową. Anglik wyjął z walizki piękną torbę, ręcznie uszytą z doskonałej hiszpańskiej skóry, i przekazał ją chłopcu.

- To na książkę, żebyś ich już nie gubił na drodze między domem a szkołą.
- Giancomo przyłożył podarunek do nosa, wdychając zapach nowej skóry.
- Masz papierosy? - spytał po chwili.
 - Nie powiesz mamie?
 - Jasne, że nie!

Mężczyźni udawali, że rządzą Korsyką, jednak prawdziwą władzę dzierżyły kobiety. Anglik wręczył chłopakowi do połowy opróżnioną paczkę, a ten wsunął ją do torby.

- Jest jeszcze coś.
- Co takiego?
- Don Orsati życzy sobie z tobą mówić.
- Kiedy go widziałeś?
- Dziś rano.
- Gdzie?
- W kawiarni w wiosce.
- Gdzie jest teraz?
- W kawiarni w wiosce.

Anglik pomyślał, że życie Orsatiego to zaiste pasmo silnych stresów.

- Niech don przyjdzie do mnie w porze lunchu. I powiedz mu, że jeśli jest głodny, niech przyniesie ze sobą coś do jedzenia.

Chłopiec uśmiechnął się i pobiegł do wsi w podskokach, wymachując torbą jak chorągiewką. Anglik wrzucił bieg i ruszył pod górę. Mniej więcej kilometr przed willą gwałtownie wcisnął hamulec - samochód wpadł w poślizg, po czym zatrzymał się w kłębach czerwonego pyłu.

Pośrodku wąskiej drogi stał wielki cap. Miał brunatnożółtą sierść i czerwoną bródkę. Podobnie jak Anglik nosił liczne blizny po dawnych bojach. Kozioł nienawidził Anglika i blokował drogę do willi zawsze, gdy przyszła mu na to ochota. Mężczyzna wielokrotnie snuł marzenia o definitywnym zakończeniu tego konfliktu swoim pistoletem Glock, który przechowywał w

schowku po strone pasażera. Bestia należała jednak do don Casablanki i gdyby stała się jej krzywda, doszłoby do długotrwałych waśni klanów.

Anglik zatrąbił. Cap potrząsnął łbem i popatrzył wyzywająco na kierowcę, który mógł zrobić dwie rzeczy, obydwie równie nieprzyjemne. Wiedział, że albo przeczeka kozła, albo spróbuje usunąć go z drogi.

Starannie rozejrzał się wokół, aby mieć absolutną pewność, że nikt go nie obserwuje. Potem błyskawicznie otworzył drzwi i skoczył do przodu, wymachując rękoma i wrzeszcząc jak opętany. Potwór dał za wygraną i popędził szukać schronienia w makii. Miejsce w sam raz dla niego, pomyślał Anglik. Tam w końcu trafiają wszyscy złodzieje i bandyci.

Wrócił do jepa i skierował się prosto do willi, nie mogąc się pogodzić z tak straszliwą potwarzą. Doświadczony, ceniony w swojej branży skrytobójca nie może dojechać do własnego domu bez znoszenia upokorzeń ze strony podłego kozła don Casablanki.

Na Korsyce nigdy nie trzeba było wiele, aby wzniecić konflikt między klanami. Zniewaga. Oskarżenie o oszukiwanie na targu. Zerwane zaręczyny. Cięża niezamężnej kobiety. W wiosce Anglika wybuchła kiedyś waśń z powodu kluczy do kościoła. Po pierwszej iskiecie doszło do niepokojów. Zabito wołu. Właściciel wołu w odwecie ubił muła lub stado owiec. Ścięto dorodne drzewo oliwne. Obalono płot. Spalono dom. Potem zaczęły się morderstwa. I tak to się ciągnęło, niekiedy przez jedno pokolenie, czasami dłużej, aż wreszcie poróżnione strony dochodziły do porozumienia lub rezygnowały z dalszej walki na skutek wyczerpania.

Większość mężczyzn na Korsyce była aż nazbyt skora do samosądów. Zawsze jednak znaleźli się ludzie, którzy potrzebowali kogoś innego do mokrej roboty: notable niechętni, by brudzić sobie ręce lub ryzykować pobyt w więzieniu bądź wygnanie; kobiety, które nie mogły same zabijać lub nie miały męskiego członka rodziny, który w ich imieniu wymierzyłby sprawiedliwość. Takie osoby polegały na zawodowcach: taddunaghiu. Zwykle szukano ich w gronie członków klanu Orsatich.

Do Orsatich należała dobra ziemia obsadzona drzewami oliwnymi, a tłoczoną z ich owoców oliwę uważano za najśodszą na całej Korsyce. Rodzina nie zajmowała się jednak wyłącznie produkcją oliwy. Nikt nie wiedział, ilu Korsykanów zginęło przez stulecia z rąk płatnych zabójców klanu, nie wspominając już o ludziach zamordowanych przez samych Orsatich. Powszechnie sądzono, że są ich tysiące. Trupów byłoby znacznie więcej, gdyby klan mniej starannie kontrolował dobór ofiar. Dawniej Orsati stosowali rygorystyczny kodeks. Odmawiali zabicia wskazanej osoby, dopóki jej wina nie została udowodniona i nie zgodzono się, że w takim wypadku konieczna jest krwawa zemsta.

W trudnych czasach u steru rodzinnego interesu stanął Anton Orsati. Francuskim władzom udało się wykorzeńić waśnie oraz wendety na całej wyspie, z wyjątkiem jej najbardziej niedostępnych części. Niewielu ludzi potrzebowało usług taddunaghiu. Anton Orsati nie był jednak w ciemię bity. Dobrze wiedział, że ma dwie możliwości - albo zwinie interes i skoncentruje się wyłącznie na produkcji doskonałej oliwy, albo też rozszerzy pole działania i poszuka klientów poza terenem wyspy. Zdecydował się na tę drugą opcję i przeniósł interes za morze. Obecnie jego grupa skrytobójców cieszyła się sławą najbardziej rzetelnych i profesjonalnych specjalistów w Europie. Przemierzali cały kontynent, zabijając na zlecenie bogaczy, kryminalistów, oszustów ubezpieczeniowych, a niekiedy nawet rządów. Większość ludzi, którzy ginęli z ich ręki, zasługiwała na swój los, lecz konkurencja i wymogi czasów zmusiły Antona Orsatiego do zrezygnowania ze starego kodeksu przodków. Przyjmował każdą ofertę, która trafiała na jego biurko, choćby najbardziej odrażającą, pod warunkiem, że nie wystawi życia jego lub jego zabójców na nieuzasadnione niebezpieczeństwo.

Orsati uważał za ironię losu fakt, że jego najsprawniejszym pracownikiem był nie Korsykanin, lecz Anglik z Highgate w północnym Londynie. Tylko Orsati znał prawdę o tym człowieku. Wiedział, że służył on w osławionych oddziałach SAS, że zabijał w Irlandii Północnej i w Iraku, że jego poprzedni pracodawcy uważali go za martwego. Któregoś dnia Anglik pokazał Orsatiemu

wycinek z londyńskiej gazety. Swój nekrolog. Orsati pomyślał, że to niezwykle przydatne w tej branży. Ludzie nieczęsto poszukują trupa.

Pomimo że ten niezwykle skuteczny zabójca urodził się w Anglii, Orsati niezmiennie uważał, iż drzemie w nim niespokojna dusza Korsykanina. Podobnie jak Orsati, Anglik mówił dialektem, nie wierzył obcym i gardził wszelkimi autorytetami. Wieczorem siadywał z grupką starców na placu w wiosce i narzekał na chłopaków na deskorolkach, pomstując, że młodzież nie ma już szacunku dla tradycji. Był człowiekiem honoru: zdaniem Orsatiego, przywiązywał nawet zbytnią wagę do spraw honorowych. Tak czy owak, był mordercą doskonałym, najlepszym, jakiego znał Orsati. Szkolili go najsukuteczniejsi zabójcy na świecie i Orsati wiele się od niego nauczył. Wybornie się nadawał do pewnych zleceń na kontynencie i dlatego tamtego popołudnia Anion Orsati chętnie przybył do jego willi, objuczony jedzeniem.

Orsati pochodził z zamożnej rodziny, lecz ubiorem i apetytem niewiele się różnił od wieśniaków pracujących na jego ziemi. Najczęściej miał na sobie wypłowiałą koszulę, rozpiętą do połowy szerokiej klatki piersiowej, oraz zakurzone sandały ze skóry. "Lunch", który przyniósł ze sobą, składał się z bochenka zwykłego chleba, butelki oliwy z oliwek, kawałka aromatycznej korsykańskiej szynki i bryłki twardego sera. Gospodarz zapewnił wino do posiłku. Popołudnie było ciepłe, toteż jedli pod gołym niebem, usadowiwszy się na tarasie z widokiem na dostępną tylko z jednej strony dolinę, w pstrokatym cieniu dwóch potężnych czarnych sosen.

Orsati wręczył Anglikowi czek z nadrukiem "Orsati Olive Oil". Wszyscy skrytobójcy Korsykanina byli jego oficjalnie zatrudnionymi pracownikami. Anglik piastował stanowisko wiceprezesa, szefa działu marketingu, cokolwiek by to oznaczało.

- Twoja działka za pracę w Hiszpanii. - Orsati umoczył kawałek chleba w oliwie i wepchnął go do ust. - Problemy?

- Dziewczyna pracowała dla hiszpańskiej służby bezpieczeństwa.

- Jaka znowu dziewczyna?

- Ta, z którą spotykał się Navarra.

- O cholera. Co zrobiłeś?

- Widziała moją twarz.

Orsati kontemplował nowiny, jednocześnie odkrawając plaster szynki i kładąc go na talerzu Anglika. Żaden z nich nie lubił przypadkowych ofiar. Zwykle niekorzystnie wpływały na interesy.

- Jak się czujesz?

- Jestem zmęczony.

- Wciąż źle sypiasz?

- Tylko gdy wyjeżdżam za granicę, żeby kogoś zabić.

- A tutaj?

- Lepiej.

- Powinieneś dziś trochę odpocząć, a nie przesiadywać do późnej nocy ze starcami z wioski.

- Czemu?

- Bo mam dla ciebie nowe zlecenie.

- Właśnie jedno zrealizowałem. Przekaż je komuś innemu.

- Sprawa jest zbyt delikatna.

- Masz dossier?

Orsati, skończywszy lunch, wskoczył do basenu. Pływał sobie leniwie, a Anglik w tym czasie czytał. Gdy skończył, podniósł wzrok.

- Co ten człowiek takiego zrobił, że musi umrzeć?

- Najwyraźniej ukradł coś wartościowego.

Anglik zamknął teczkę. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia, zabijając kogoś, kto utrzymywał się z kradzieży. W jego opinii złodzieje reprezentowali najgorszy gatunek ludzi.

- A dlaczego właśnie ja mam się zająć tą robotą?

- Bo zleceniodawcy chcą, aby klient nie żył, a jego interes zniknął z powierzchni ziemi. W Hereford nauczyłeś się używać środków wybuchowych. A moi ludzie przywykli korzystać z bardziej konwencjonalnej broni.

- Skąd wezmę bombę?

Orsati wyłonił się z basenu i energicznie wytarł ręcznikiem gęste, przyprószone siwizną włosy.

- Znasz Pascala Debre?

Niestety, Anglik znał Pascala Debre. Był to bandzior, który pracował dla organizacji przestępczej z Marsylii. Z Debrem należało postępować ostrożnie.

- Został uprzedzony o twojej wizycie. Da ci wszystko, czego ci będzie potrzeba.

- Kiedy wyjeżdżam?

8

Costa de Prata, Portugalia

Wszystkie pozory wskazywały na to, że kobieta, która osiadła w przebudowanym, starym klasztorze na stromym wzgórzu, tuż nad samym morzem, musiała ślubować, że będzie wieść życie samotne. Przez długi czas nikt we wsi nawet nie wiedział, jak się nazywa. Senhora Rosa, dyżurna plotkara z bazaru, uznała, że to kobieta wzgardzona. Swoją teorią raczyła każdego nieszczęśnika, który zechciał jej wysłuchać. To właśnie Rosa ochrzciła kobietę mianem Naszej Paniienki ze Wzgórza. Przyłgnęło do niej i nie opuściło nawet wtedy, gdy wszyscy poznali jej prawdziwe nazwisko. Zjawiała się w wiosce każdego ranka, by zrobić zakupy. Zjeżdżała z góry na swoim jaskrawoczerwonym skuterze, a jej jasne włosy, związane w koński ogon, powiewały na wietrze. Kiedy padał deszcz, wkładała brązową kurtkę z kapturem. Wiele się spekulowało o kraju, z którego pochodziła, zwłaszcza że posługiwała się słabym portugalskim z silnym, cudzoziemskim akcentem. Carlos, który zajmował się ogrodem oraz dbał o niewielką winnicę, uważał, że kobieta ma niemiecką wymowę oraz ciemną duszę wiedeńskiej Żydówki. Maria, pobożna niewiasta sprzątająca dom na wzgórzu, uznała, że jej pracodawczyni to Holenderka. Jose z targu rybnego miał ją za Dunkę, lecz wszelkie wątpliwości jak zawsze ostatecznie rozwiązał Manuel, nieformalny wójt miejscowości i właściciel kawiarni na placu.

- Nasza Paniienka nie jest Niemką, Austriaczką, Holenderką ani Dunką. - Potarł kciuk o palce środkowy i wskazujący, czyniąc międzynarodowy znak liczenia pieniędzy. - Nasza Paniienka ze Wzgórza to Szwajcarka.

Jej dni toczyły się według ustalonego rytmu. Po porannej wyprawie do wioski spędzała nieco czasu na pływaniu w swoim granatowym basenie, z włosami ukrytymi pod czarnym czepek. Potem spacerowała, zwykle pośród granitowych skał na zboczu góry lub pylistą drogą prowadzącą do mauretańskich ruin. Od późnego popołudnia grała na skrzypcach - świadkowie twierdzili, że wyjątkowo dobrze - w pustym pokoju na piętrze willi. Kiedyś Maria zerknęła do środka i ujrzała ją w stanie rozgorączkowania: rozkołysane ciało, wilgotne włosy i zaciśnięte powieki.

- Nasza Paniienka gra tak, jakby ją opętały demony - wyznała Carlosowi Maria. - I to bez nut. Gra prosto z głowy.

Tylko raz, podczas święta Santo António, zdecydowała się wziąć udział w życiu towarzyskim wioski. Wkrótce po zmroku, kiedy mężczyźni rozpalili ogień w grillach na węgiel drzewny i odkorkowali butelki z winem, opieszale zesza ze wzgórza w białej sukience bez rękawów i w sandałach. Po raz pierwszy nie była sama. Towarzyszyło jej trzynaście osób: włoski śpiewak operowy, francuska modelka, brytyjski aktor filmowy, niemiecki malarz oraz ich żony, przyjaciółki, partnerzy i kochanki. Śpiewak operowy i aktor stanęli do zawodów - kto zje najwięcej sardynek z grilla, tradycyjnej potrawy świątecznej. Śpiewak z łatwością pokonał aktora, który

usiłował się pocieszyć, niezręcznie ruszając w konkury do modelki. Żona ośmieszyła go publicznie, policzkując na samym środku placu. Portugalczycy z wioski, którzy nigdy nie widzieli, aby kobieta policzkowała mężczyznę, przyjęli jej zachowanie z szalonym entuzjazmem. Potem przyszła kolej na tańce. Po zabawie zgodnie stwierdzono, że dzięki niezwykłym gościom ze wzgórze święto na zawsze pozostanie w pamięci mieszkańców wsi.

Jedynie ona sprawiała wrażenie niezbyt rozbawionej. Carlosowi wydawała się wyspą melancholii w morzu nieokiełznanej rozpusty. Ledwie skubnęła jedzenie; piła wino tak, jakby tego od niej oczekiwano. Gdy przystojny niemiecki malarz zasiadł u jej boku i poświęcił jej całą swą uwagę, zachowywała się uprzejmie, lecz wyraźnie obojętnie. Malarz ostatecznie dał za wygraną i ruszył na poszukiwania innej ofiary.

O północy, gdy zabawa rozkręciła się na dobre, kobieta niepostrzeżenie opuściła towarzystwo i wróciła do domu na wzgórze. Dwadzieścia minut później Carlos dostrzegł blade światło w pokoju na piętrze, tam gdzie zawsze grywała na skrzypcach.

Z braku lepszych zajęć tamtego lata mieszkańcy wsi postanowili ostatecznie wyjaśnić kwestię nazwiska i zawodu tajemniczej kobiety ze wzgórze. Carlosa i Marię, dwie osoby najbliższe nieznajomej, dokładnie przesłuchano, lecz ich pomoc okazała się niezadowalająca. Raz w miesiącu otrzymywali czek, wysyłany listem poleconym z londyńskiej firmy European Artistic Management. Ze względu na barierę językową, a także klasową, kontakty Carlosa i Marii z kobietą ograniczały się wyłącznie do najprostszej formy pozdrowień. Oboje przekazali jednak dość istotną informację: Nasza Paniienka wykazuje skłonność do nagłych i niewyjaśnionych zniknięć. Rosa z bazaru zinterpretowała tę wiadomość w typowy dla siebie sposób. Uznała, że kobieta jest szpiegiem, a European Artistic Management to nic innego jak tylko przykrywka. Co innego mogłoby wyjaśnić jej skrytą naturę? Jej niespodziewane zniknięcia i jeszcze bardziej niespodziewane powroty? Problem ten ponownie wyjaśnił Manuel. Pewnego wieczoru, kiedy w jego kawiarni rozgorzała zażarta dyskusja, sięgnął pod bar i wyjął stamtąd płytę kompaktową z kilkoma sonatami skrzypcowymi Brahmsa. Na okładce widniało zdjęcie właścicielki willi na wzgórze.

- Nazywa się Anna Rolfe - obwieścił triumfalnie Manuel. - Nasza Paniienka ze Wzgórze to bardzo znana kobieta.

Była także kobietą, której często przytrafiały się wypadki. Pewnego popołudnia straciła panowanie nad skuterem. Carlos znalazł ją leżącą przy drodze; złamała sobie wówczas dwa zębra. Miesiąc później poślizgnęła się na krawędzi basenu i niebezpiecznie uderzyła w głowę. Zaledwie dwa tygodnie po tym wydarzeniu straciła równowagę, schodząc ze schodów, stoczyła się na półpiętro i upadła na szufelkę Marii.

Carlos uznał, że z niewiadomych powodów kobieta nie potrafi o siebie należycie zadbać. Nie jest osobą beztroską, tylko nieuważną, i najwyraźniej wcale się nie uczy na błędach.

- Dobrze imię naszej miejscowości znacznie ucierpi, jeśli tak sławnej kobiecie przytrafi się coś niedobrego - zakończył ponuro Manuel. - Musimy ją chronić przed nią samą.

Tak więc Carlos zaczął dyskretnie, lecz z uwagą, obserwować swą pracodawczynię. Rankami, gdy pływała w basenie, wymyślał sobie zajęcia na tyle blisko niej, aby stale widzieć, co się dzieje. Regularnie przeprowadzał potajemne przeglądy techniczne skutera, żeby wszystkie jego mechanizmy funkcjonowały bez zarzutu. W wioskach położonych wzdłuż grzbietu wzgórze zorganizował siatkę obserwatorów kontrolujących poczynania kobiety za każdym razem, gdy wychodziła na popołudniową przechadzkę.

Jego troska się opłacała. To właśnie on zauważył, że tuż przed tym, jak znad morza nadciągnął porywisty wiatr, kobieta wyszła na spacer. Znalazł ją w rumowisku skalnym, z dłonią przygniecioną pięćdziesięciokilogramowym głazem, i zaniósł nieprzytomną do wioski. Lekarze w Lizbonie zgodnie stwierdzili, że gdyby nie Carlos, Anna Rolfe z pewnością straciłaby swoją słynną lewą dłoń.

Rehabilitacja okazała się długotrwała i nieprzyjemna - dla wszystkich. Przez kilka tygodni lewa dłoń skrzypaczki była unieruchomiona w ciężkim opatrunku z włókna szklanego. Ponieważ w tym czasie nie mogła prowadzić skutera, Carlos musiał pełnić obowiązki kierowcy. Każdego ranka wsiadali do jej białego land-rovera, by udać się do wsi. Podczas tych wypraw kobieta nie odzywała się ani słowem, patrzyła przez okno, zabandażowaną dłoń trzymając na kolanach. Któregoś razu Carlos postanowił rozchmurzyć pasażerkę i włączył Mozarta. Wyciągnęła płytę i cisnęła w przydrożne drzewa. Carlos już nigdy nie popełnił tego samego błędu i nie próbował pocieszać jej muzyką.

Opatrunki stopniowo stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie w ogóle przestały być konieczne. Silna opuchlizna zniknęła, a dłoń przybrała normalny kształt. Pozostały tylko blizny. Kobieta robiła, co mogła, aby je ukryć. Nosiała bluzki z długimi rękami, o mankietach wykonanych frędzlami. Podczas zakupów we wsi chowała dłoń pod prawą ręką.

Jej fatalny nastrój jeszcze bardziej się pogłębił, gdy spróbowała ponownie zagrać na skrzypcach. Każdego popołudnia przez kolejnych pięć dni chodziła na piętro do pokoju ćwiczeń, by zagrać coś podstawowego: gamę molową w dwóch oktavach, arpeggio. Ale i to przerastało możliwości jej pokiereszowanej dłoni. Wkrótce po pierwszej próbie rozległ się wrzask bólu, a potem krzyki po niemiecku. Piątego dnia Carlos przyglądał się z winnicy, jak uniosła nad głowę swoje bezcenne skrzypce Guarneri w zamiarze roztrzaskania ich o podłogę. Zamiast tego jednak opuściła je i przytuliła do piersi, łkając. Tamtego wieczoru, w kawiarni, Carlos opowiedział Manuelowi o scenie, której był świadkiem. Manuel sięgnął po słuchawkę i poprosił telefonistkę o podanie mu numeru firmy European Artistic Management w Londynie.

Dwa dni później we wsi zjawiała się niezbyt liczna delegacja - Angielka Fiona, Amerykanin Gregory oraz ponury Niemiec, Herr Lang. Każdego ranka Gregory zmuszał rekonwalescentkę do kilkugodzinnego, wyczerpującego treningu, który miał pomóc w odzyskaniu siły i sprawności dłoni. Popołudniami Herr Lang stał nad nią w pokoju ćwiczeń i od nowa uczył grać na skrzypcach. W ten sposób powoli odzyskiwała utracone umiejętności, chociaż nawet ogrodnik Carlos nie wątpił, że nie była już takim samym muzykiem jak przed wypadkiem.

W październiku delegacja mogła już odjechać. Kobieta ponownie została sama. Jej dni biegły w takim samym przewidywalnym rytmie jak dawniej, chociaż teraz uważniej prowadziła czerwony skuter i nigdy nie wyszła na spacer po wzgórzu bez wcześniejszego sprawdzenia prognozy pogody.

Potem, w dzień Wszystkich Świętych, znikła. Carlos zwrócił uwagę, że kiedy odjeżdżała land-roverem w stronę Lizbony, miała przy sobie tylko torebkę z czarnej skóry. Nie wzięła skrzypiec. Następnego dnia poszedł do kawiarni i powiedział Manuelowi o tym, co widział. Manuel pokazał mu wzmiankę w "International Herald Tribune". Orodnik nie znał angielskiego, toteż Manuel przetłumaczył tekst.

- Śmierć ojca to potworna tragedia - skomentował Carlos. - Ale morderstwo... To coś znacznie gorszego.

- Fakt - przyznał Manuel i złożył gazetę. - Powinieneś jednak usłyszeć, co się stało z matką tej biednej kobiety.

Carlos właśnie pracował w winnicy, przygotowując drzewka do nadejścia zimy, kiedy powróciła z Zurychu. Zatrzymała się na podjeździe, aby rozpuścić włosy na wietrze wiejącym od morza, a potem znikła w willi. Chwilę później Carlos ujrzał, jak szybko przechodzi obok okna pokoju na pierwszym piętrze. Nie zapaliła światła. Zawsze ćwiczyła po ciemku.

Gdy zaczęła grać, mężczyzna opuścił głowę i powrócił do pracy, rytmicznie tnąc gałązki sekatorem, zgodnie z rytmem uderzeń fal na plaży. Skrzypaczka wybrała jeden z często wykonywanych utworów: mistyczną, porywającą sonatę, zapewne zainspirowaną przez samego diabła. Od czasu wypadku nie potrafiła jednak należycie zagrać tego dzieła. Carlos przygotował się na nieuchronny wybuch... Po pięciu minutach jego sekator zamilkł, a on sam podniósł wzrok ku willi. Muzyka była tak kunsztowna, jakby w domu grali dwaj skrzypkowie, a nie jeden.

Powiało wieczornym chłodem. Delikatna morską mgiełka powoli skradała się po zboczu. Carlos podpalił stos zielska i przykucnął w pobliżu płomieni. Nadchodziła pora trudnych taktów utworu, zdradzieckiej sekwencji coraz niższych nut. Z uśmiechem pomyślał, że to diabelski fragment. Ponownie przygotował się na najgorsze, tego wieczoru jednak wybuchała tylko muzyka, opadając w gwałtownym tempie ku cichej konkluzji pierwszej części.

Na kilka sekund zapadła cisza, a potem zabrzmiała druga część. Carlos spojrzał na wzgórze. Willę oświetlały pomarańczowe promienie zachodzącego słońca. Maria krzątała się na dworze, zamiatając taras. Ogrodnik zdjął kapelusz i uniósł go w powietrze. Zamarł w oczekiwaniu, aż Maria dojrzy jego znak: krzyki lub inne hałasy nie wchodziły w grę, gdy ich chlebobawczynie ćwiczyła. Po chwili Maria odwróciła głowę i znieruchomiła z miotłą w ręku. Carlos wymownie rozłożył ręce: Jak myślisz, Maria, czy tym razem wszystko pójdzie dobrze?. Kobieta splótła dłonie i podniosła wzrok ku niebu: Dzięki Ci, Boże.

Racja, pomyślał Carlos, przypatrując się, jak dym z jego ogniska tańczy na wietrze. Dzięki Ci, Boże. Dzisiaj mamy dobry wieczór. Pogoda nam sprzyja, winnica jest gotowa na nadejście chłodów, a Nasza Panienka ze Wzgórza znowu gra swoją sonatę.

Cztery godziny później Anna Rolfe opuściła skrzypce i ułożyła je w futerale. Natychmiast ogarnął ją osobliwy nastrój - połączenie wyczerpania i niepokoju, które odczuwała po zakończeniu każdej sesji ćwiczeń. Poszła do sypialni i położyła się na chłodnej kołdrze, szeroko rozkładając ręce i nasłuchując własnego oddechu oraz szumu wieczornego wiatru, szmerzącego pod okapem. Opadło ją nie tylko zmęczenie i niejasny lęk, ale także coś, czego nie czuła od bardzo dawna. Podejrzewała, że to satysfakcja. Sonata Tartiniego zawsze należała do jej numerów popisowych, lecz od wypadku podstępne kombinacje i niełatwe podwójne tony przerastały możliwości jej dłoni. Tego wieczoru zagrała utwór wyjątkowo sprawnie, najlepiej w całym okresie rekonwalescencji. Zawsze żywiła przekonanie, że nastrój znajduje odzwierciedlenie w grze. Złość, smutek, niepokój - wszystkie te emocje dochodziły do głosu, gdy dotykała smyczkiem strun skrzypiec. Zastanawiało ją, czemu uczucia uwolnione po śmierci ojca pozwoliły jej ponownie zagrać sonatę Tartiniego.

Nagle ogarnęła ją potrzeba ruchu. Usiadła wyprostowana, ściągnęła mokrą koszulkę i włożyła bawełniany sweter. Przez kilka minut kręciła się bez celu po pokojach, a to włączając lampę, a to opuszczając żaluzje. Gładkie podłogi z terakoty chłodziły jej rozgrzane, boso stopy. Całym sercem uwielbiała to miejsce, jego białe ściany i wygodne fotele obite płótnem. Zupełnie nie przypominało ono domu na Zurichbergu, gdzie się wychowała. Pokoje były przestronne i widne, a nie małe i ciemne, meble bezpretensjonalne i proste. Tak powinien wyglądać uczciwy dom, dom bez tajemnic. To był jej dom.

W kuchni wzięła duży kieliszek i nalała sobie czerwonego wina. Pochodziło z miejscowych winnic: część mieszanki stanowiły jej winogrona. Po chwili spłynął na nią błogi spokój. Oto mały, wstydlivy sekret świata muzyki klasycznej: alkohol. Pracowała z orkiestrami, których członkowie powracali z przerwy na lunch do tego stopnia odurzeni alkoholem, że chyba tylko cudem udawało się im cokolwiek zagrać. Zajrzała do lodówki. Mało jadła w Zurychu i umierała z głodu. Podsmarzyła na oliwie pieczarki i pomidory, dodając do nich trochę miejscowych ziół. Potem wbiła na patelnię trzy rozbełtane jaja i posypała je tartym żółtym serem. Po upiornych przeżyciach w Zurychu ta prosta, domowa czynność zagwarantowała jej niezwykle przyjemne doznania. Przyrządziwszy omlet, usiadła na wysokim stołku przy blacie kuchennym, by spokojnie zjeść kolację i dopić wino.

Dopiero wtedy dostrzegła migoczące światełko na automatycznej sekretarce. Nagrały się cztery wiadomości. Już dawno temu wyłączyła dzwonki we wszystkich telefonach, aby nie przeszkadzały jej, gdy grała. Wsunęła kęs omletu do ust i wcisnęła przycisk odtwarzania.

Pierwszy telefon był z Zurychu. Prawnik jej ojca miał dla niej kolejną porcję dokumentów do podpisania.

“Czy odpowiadałoby pani przesłanie ich błyskawiczną pocztą kurierską prosto do willi?” - chciał wiedzieć prawnik.

Pomyślała, że owszem, odpowiadałoby jej to. Zdecydowała, że zadzwoni do niego rano.

Drugim dzwoniącym okazał się Marco. Kiedyś się zaręczyli, trwały przygotowania do ślubu. Podobnie jak Anna, Marco był utalentowanym solistą, lecz poza granicami Włoch mało kto o nim słyszał. Nie potrafił się pogodzić z faktem, że Anna jest gwiazdą, a on nie. Ukarzał ją, idąc do łóżka z połową kobiet w Rzymie. Po rozstaniu z Markiem poprzysięgła sobie, że już nigdy nie zakocha się w muzyku.

“W gazecie natrafiłem na informację o twoim ojcu, kochanie. Tak mi przykro, najdroższa. Co mam robić? Jak mogę ci pomóc? Przylatuję najbliższym samolotem”.

Tylko nie to. Zadzwoni do Marca rano, zaraz po telefonie do prawnika. Przy odrobinie szczęścia nie zastanie go i nagra stosowną odpowiedź na sekretarce, oszczędzając sobie przykrości rozmowy.

Trzecią wiadomość pozostawiła Fiona Richardson, jedyna osoba, której Anna ufała bez zastrzeżeń. Za każdym razem, gdy Anna miała kłopoty, zjawiała się Fiona, aby skutecznie postawić ją na nogi.

“Anno, jesteś już w domu? Jak tam pogrzeb? Założę się, że koszmarnie. Tak to bywa. Myślałam o Wenecji, może powinnyśmy to przelożyć. Zaccaria zrozumie, twoi wielbiciele także. Od nikogo nie można oczekiwać występów niemal bezpośrednio po czymś takim. Potrzebujesz czasu, aby dojść do siebie, nawet jeśli gardziłaś tym starym sukinsynem. Zadzwon”.

Anna nie zamierzała przekładać wyjazdu do Wenecji. Zdumiało ją, że Fiona w ogóle wysunęła taką propozycję. Odwołała już dwa recitale; wśród dziennikarzy, dyrygentów i organizatorów koncertów pojawiły się pierwsze oznaki niezadowolenia. Gdyby zrezygnowała z trzeciego występu, szkody stałyby się nieodwracalne. Rano zadzwoni do Fiony, aby wyjaśnić, że za dwa tygodnie jedzie do Wenecji.

Ostatnia wiadomość: ponownie Fiona.

“Jeszcze jedno, Anno. Dwa dni temu do biura wpadł pewien niezwykle sympatyczny dżentelmen z ambasady izraelskiej. Oznajmił, że chciałby się z tobą skontaktować. Podobno dysponuje informacjami na temat śmierci twojego ojca. Sprawiał wrażenie całkowicie nieszkodliwego. Może chcesz wysłuchać, co ma ci do powiedzenia? Zostawił numer telefonu. Masz coś do pisania?”.

Fiona podyktowała numer.

Carlos umieścił w palenisku kominka wiązkę szczap oliwnych. Anna podłożyła ogień pod podpałkę i wyciągnęła się na kanapie, obserwując, jak płomienie liżą drewno. W ich świetle uważnie wpatrywała się w dłoń. Migotliwy blask stwarzał złudzenie, że blizny się poruszają.

Zawsze zakładała, że po śmierci ojca obudzi się w niej wewnętrzny spokój, jak często powtarzają Amerykanie. Perspektywa sieroctwa wydawała się Annie znośniejsza niż alienacja wynikająca z oddalenia. Zapewne znalazłaby spokój, gdyby ojciec zmarł zwykłą śmiercią starca, a nie został zastrzelony w swoim własnym domu.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie pogrzeb. Uroczystość zorganizowano w starym kościele Fraumunster na brzegu Limmatu. Żałobnicy wyglądali jak członkowie zjazdu udziałowców.

Miała wrażenie, że przybyła cała finansjera Zurychu: młode gwiazdy i przebojowi urzędnicy z dużych banków i domów maklerskich, a także stara gwardia: przedstawiciele finansowej oligarchii miasta. Czwierć wieku wcześniej część obecnych miała okazję uczestniczyć w pogrzebie żony zmarłego.

Wysłuchując mów pogrzebowych, Anna uświadomiła sobie, że nienawidzi ojca za to, że został zamordowany. Czuli się tak, jakby uknuł ostatni spisek, aby dołożyć jeszcze więcej bólu do jej i tak niezbyt przyjemnego życia. Prasa z lubością rozpisywała się o tragicznych losach rodziny Rolfe: samobójstwie matki, śmierci brata podczas wyścigu kolarskiego dookoła Szwajcarii,

niebezpiecznym zranieniu jej dłoni. "Przeklęta rodzina", głosił nagłówek w "Neue Züricher Zeitung".

Anna Rolfe nie wierzyła w klątwy. Wszystko miało swój powód. Zraniła się w dłoń, bo była na tyle głupia, by pozostać na wzgórzu po tym, gdy niebo zaszło czarnymi burzowymi chmurami. Jej brat zginął dlatego, że z pełną świadomością i wbrew woli ojca wybrał sobie niebezpieczny zawód. A co do matki... Anna nie знаła dokładnych przyczyn jej samobójstwa. Tylko ojciec mógł udzielić odpowiedzi na to pytanie. Anna nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że jej matka miała istotne powody, aby odebrać sobie życie. Przecież nie zrobiła tego ze względu na rzekomo ciężącą nad rodziną klątwę.

Morderstwo ojca również nie dowodziło, że nad rodem wisi fatum.

A jednak ktoś go zabił? Dzień przed pogrzebem została gruntownie przesłuchana przez zuryską policję oraz niejakiego Gerhardta Petersona, oficera szwajcarskiej służby bezpieczeństwa. "Czy pani ojciec miał wrogów, panno Rolfe? Czy zna pani kogoś, kto chciałby skrzywdzić pani ojca? Jeśli dysponuje pani informacjami mogącymi pomóc nam w prowadzonym śledztwie, proszę je nam wyjawic już teraz". Anna wiedziała sporo, lecz nie były to wiadomości nadające się do udostępnienia szwajcarskiej policji. Anna Rolfe nigdy nie mogła się oprzeć wrażeniu, że policja przyczyniała się do pogłębiania jej problemów.

Komu więc mogła zaufać?

"Dwa dni temu do biura wpadł pewien niezwykle sympatyczny dżentelmen z ambasady izraelskiej. Oznajmił, że chciałby się z tobą skontaktować".

Popatrzyła na numer telefonu podyktowany jej przez Fionę.

"Podobno dysponuje informacjami na temat śmierci twojego ojca".

Dlaczego jakiś człowiek z Izraela miałby cokolwiek wiedzieć o morderstwie jej ojca? Czy naprawdę chciała wysłuchać tego, co ma jej do powiedzenia? Może lepiej pozostawić wszystko tak, jak jest? Powinna się skoncentrować na muzyce i przygotować do Wenecji. Po raz ostatni zerknęła na numer, zapamiętała go i wrzuciła kartkę do ognia.

Przyjrzała się bliznom na dłoni. Ponownie powtórzyła w myślach, że nad rodziną Rolfe nie ciąży przekleństwo. Wszystko ma swoje przyczyny. Jej matka odebrała sobie życie. Dwadzieścia pięć lat później zamordowano ojca. Dlaczego? Komu mogła zaufać?

"Sprawiał wrażenie całkowicie nieszkodliwego. Może chcesz wysłuchać, co ma ci do powiedzenia?".

Leżała przez kilka minut, intensywnie rozmyślając. Potem poszła do kuchni, podniosła słuchawkę i wybrała numer.

9

Costa de Prata, Portugalia

Droga do willi Anny Rolfe wiała się po zboczach wzgórza nad Oceanem Atlantyckim. Niekiedy wodę zasłaniały rozłożyste jodły lub szara, granitowa skała. Potem Gabriel pokonywał kolejny zakręt, drzewa się przerzedzały i morze ponownie pokazywało się w całej krasie. Było późne popołudnie, słońce niemal dotykało linii horyzontu, a woda przybrała barwę morelowozłotą. Niedużą plażę zalewały wielkie fale. Opuścił szybę i przyjął swobodną pozycję, wystawiając łokieć na zewnątrz. Chłodne powietrze wpadło do wnętrza pojazdu, wypełniając je zapachem morza.

Zgodnie ze wskazówkami Anny skręcił ku wsi. "W lewo za ruinami mauretańskimi, w dół za starą wytwórnią wina, wzdłuż granicy plantacji winorośli, do lasu". Najpierw nawierzchnia drogi zmieniła się na żwirową, a potem została już tylko ziemia wysypana sosnowym igliwem.

Dukt kończył się przy drewnianej bramie. Gabriel otworzył ją na tyle szeroko, by przejechać samochodem. Znalazł się na terenie prywatnym. Potem ujrzał willę w kształcie litery L, z

terakotowym dachem i ścianami z jasnego kamienia. Kiedy wyłączył silnik, usłyszał dźwięk skrzypiec Anny Rolfe. Przez chwilę nasłuchiwał, usiłując rozpoznać utwór. Bez powodzenia.

Gdy wysiadł z samochodu, zobaczył, że po zboczu wspina się mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem, skórzanych rękawicach roboczych i z niedopałkiem papierosa w kąci ust. Otrzeptał kurz z rękawic, a potem ściągnął je, uważnie obserwując przybysza.

- To pan jest tym człowiekiem z Izraela, tak?

Gabriel nieznacznie skinął głową.

- Proszę za mną - uśmiechnął się ogrodnik.

Widok z tarasu był godny zapamiętania: zbocze wzgórza, winnica i ocean. Z otwartego okna na pierwszym piętrze, nad głową Gabriela, dobiegała muzyka Anny Rolfe. Nadeszła gospoia: przyniosła kawę oraz stos niemieckojęzycznej prasy sprzed tygodnia i w ciszy oddaliła się w głąb domu. W "Neue Züricher Zeitung" Gabriel natrafił na reportaż ze śledztwa w sprawie śmierci Rolfe. Obok zamieszczono obszerny tekst poświęcony dokonaniom Anny Rolfe. Pospiesznie przeczytał oba artykuły, potem odłożył gazetę. Nie dowiedział się z niej niczego nowego.

Przed przystąpieniem do renowacji obrazu Gabriel zawsze czytał o jego twórcy wszystko, co się dało. Podobnie uczynił w wypadku Anny Rolfe. Po raz pierwszy wzięła skrzypce do rąk, gdy miała cztery lata, i od razu było jasne, że drzemią w niej ogromne możliwości. Szwajcarski mistrz gry na tym instrumencie, Karl Wehrli, zgodził się ją uczyć - w ten sposób powstały załączki związku, który trwał aż do śmierci nauczyciela. Gdy Anna skończyła dziesięć lat, Wehrli zażądał wypisania jej ze szkoły, by mogła poświęcić więcej czasu muzyce. Ojciec dziewczynki niechętnie wyraził zgodę. Do willi w Zurychu codziennie na dwie godziny przychodził prywatny nauczyciel, a przez resztę dnia Anna ćwiczyła grę na skrzypcach.

W wieku piętnastu lat wystąpiła na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Lucernie, swoim występem elektryzując europejską scenę muzyczną. Następnie zaproponowano jej cykl recitali w Niemczech oraz w Holandii. Rok później zwyciężyła w prestiżowym Konkursie Skrzypcowym im. Jana Sibeliusa w Helsinkach. Otrzymała znaczącą nagrodę pieniężną i skrzypce Guarneri, zaproszenie do uczestnictwa w serii koncertów oraz propozycję kontraktu na nagranie płyty.

Konkurs w Helsinkach zapoczątkował międzynarodową karierę Anny Rolfe. Terminarz skrzypaczki zapełnił się koncertami i sesjami nagraniowymi. Uroda zapewniła jej dodatkową popularność. Zdjęcia artystki zamieszczano na okładkach europejskich pism kobiecych. W Ameryce wystąpiła w jednym z najpopularniejszych programów telewizyjnych.

Po dwudziestu latach bezustannych wyjazdów i nagrań Anna Rolfe miała wypadek, w którym niemal straciła dłoń. Gabriel usiłował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby nagle utracił możliwość konserwacji obrazów. Nie spodziewał się zastać skrzypaczki w dobrym nastroju.

Godzinę po przybyciu Gabriela Anna przerwała ćwiczenia. Ciszę wypełniał jedynie rytmiczny stukot metronomu, lecz po chwili zamilkł także i on. Pięć minut później pojawiła się na tarasie, ubrana w wyblakłe, niebieskie dzinsy i perłowoszary bawełniany pulower. Miała wilgotne włosy.

- Anna Rolfe. - Wyciągnęła do niego rękę.

- To dla mnie zaszczyt móc panią poznać.

- Proszę spocząć.

Gdyby Gabriel był portrecistą, zapewne z przyjemnością poświęcałby czas takiej modelce, jak Anna Rolfe. Jej twarz wydawała się doskonała: szeroko rozstawione i symetryczne kości policzkowe, kocie, zielone oczy, pełne wargi i kształtna broda. Była to jednak twarz osoby skomplikowanej: jednocześnie wrażliwa, delikatna, pogardliwa i zdecydowana. Uważny obserwator dostrzegłby w niej nutę smutku. Gabriela natomiast najbardziej zafascynowała jej energia - nieujarzmiona energia, którą zawsze najtrudniej przenieść na płótno. Oczy Anny błyszczały, a jej ręce - chociaż od próby minęło już sporo czasu - wciąż nie mogły się uspokoić.

Nieustannie wędrowały po stole, bawiły się zapalniczką, uderzały o szklany blat, wielokrotnie powracając do twarzy, aby przepłoszyć niesubordynowany kosmyk włosów, który opadał na policzek. Nie nosiła biżuterii: ani bransoletki, ani pierścionka, ani naszyjnika.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan zbyt długo. Carlos i Maria mają surowo przykazane, aby pod żadnym pozorem nie przeszkadzać mi, gdy ćwiczę.

- Czekałem z przyjemnością. Pani gra była nadzwyczajna.

- Prawdę mówiąc, nie była, ale miło, że pan tak uważa.

- Kilka lat temu miałem okazję podziwiać panią podczas koncertu w Brukseli. Arcydziela Czajkowskiego, o ile mnie pamięć nie myli. Tamtego wieczoru była pani rewelacyjna.

- Teraz nawet nie myślę o takich utworach. - Potarła blizny na lewej dłoni, zapewne nieświadomie. Położyła rękę na udach i spojrzała na gazetę. - Widzę, że czytał pan o moim ojcu. Zuryska policja najwyraźniej nie zna szczegółów morderstwa, nie sądzi pan?

- Trudno powiedzieć.

- Wie pan coś, o czym nie ma pojęcia szwajcarska policja?

- To także trudno powiedzieć.

- Zanim więc wyjawi mi pan to, co być może sprawia panu mniej trudności, chciałabym najpierw dowiedzieć się czegoś na pański temat. Pozwoli pan?

- Bardzo proszę.

- Kim pan jest?

- W tej sprawie jestem przedstawicielem izraelskiego rządu.

- A jaka to sprawa?

- Śmierć pani ojca.

- Z jakiego powodu izraelski rząd interesuje się śmiercią mojego ojca?

- To ja znalazłem ciało.

- Detektywi z Zurychu utrzymują, że zwłoki odkrył jakiś konserwator dzieł sztuki, zaproszony do renowacji Rafaela.

- To fakt.

- Zatem jest pan konserwatorem?

- Tak.

- A poza tym pracuje pan dla izraelskich władz?

- W tej kwestii.

Gabriel niemal widział, jak umysł Anny intensywnie pracuje nad powiązaniem wszystkich nowych informacji.

- Zechce mi pan wybaczyć, panie Allon, ale właśnie zakończyłam ośmiogodzinne ćwiczenia. Możliwe, że mój mózg nie funkcjonuje wystarczająco sprawnie. Zaczniemy od początku.

Gabriel opowiedział Annie historię, którą Shamron przekazał mu w Zurychu. O tym, że jej ojciec nawiązał kontakt z izraelskim rządem, domagając się spotkania incognito, choć nie wyjawiał w jakiej sprawie. O tym, że Gabriel w tym celu przybył do Zurychu, ale na miejscu zastał już zwłoki. Anna Rolfe obojętnie słuchała relacji, lecz jej ręce nerwowo bawiły się włosami.

- A czego pan sobie życzy ode mnie, panie Allon? - spytała, gdy Gabriel zamilkł.

- Chcę wiedzieć, czy pani się domyśla, dlaczego ojciec chciał się z nami spotkać.

- Mój ojciec był bankierem, panie Allon. Szwajcarskim bankierem. Nie miał w zwyczaju dzielić się ze mną swymi sekretami, ani zawodowymi, ani prywatnymi. Czytał pan wzmianki w gazetach, więc doskonale pan wie, że nie byliśmy sobie szczególnie bliscy. Nigdy nie rozmawiał ze mną o pracy.

- Ani razu?

Puściła to pytanie mimo uszu.

- Co to znaczy "z nami"?

- Nie bardzo rozumiem.

- Wspomniał pan, że mój ojciec chciał się widzieć "z nami". Kogo pan miał na myśli?
- Pracuję dla niedużej agencji związanej z Ministerstwem Obrony.
- Ministerstwem Obrony?
- Zgadza się.
- Więc jest pan szpiegiem?
- Nie, nie jestem szpiegiem.
- Czy to pan zamordował mojego ojca?
- Pani Rolfe, bardzo proszę... Przyjechałem do pani z prośbą o pomoc, a nie po to, żeby bawić się w tego typu gry.
- Proszę zaznaczyć w stenogramie, że oskarżony uchylił się od odpowiedzi.
- Nie zamordowałem pani ojca, ale chciałbym wiedzieć, kto to zrobił. Gdybym wiedział, dlaczego tej rangi finansista nalegał na spotkanie z nami, zapewne poznałbym odpowiedzi na wiele pytań.

Odwróciła twarz ku morzu.

- A więc sądzi pan, że on zginął, bo ktoś nie chciał, aby doszło do rozmowy z panem?
- Wiele na to wskazuje... - Gabriel celowo zawiesił głos. Chciał, aby na moment zapadła cisza.

Po chwili spytał: - Wie pani, dlaczego ojciec chciał z nami rozmawiać?

- Chyba się domyślam.
- Powie mi pani?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, czy zdecyduję się mieszać pana i rząd Izraela w prywatne sprawy mojej rodziny.
- Zapewniam panią, że zachowamy się z największą dyskrecją.
- Mówi pan zupełnie jak szwajcarski bankier, panie Allon. Podejrzewam, że wiele się pan od nich nie różni. - Utkwiła w nim spojrzenie, z którego nie zdołał odczytać jej intencji. - Potrzebuję czasu, aby przemyśleć pana propozycję.
- Rozumiem.
- Na rynku we wsi jest kawiarnia. Jej właściciel ma na imię Manuel. Na piętrze lokalu znajdzie pan pokój do wynajęcia. Nic szczególnego, ale chodzi tylko o jedną noc. Rano poinformuję pana o swojej decyzji.

10

Stuttgart - Zurych

Wczesnym popołudniem następnego dnia pojechali na lotnisko w Lizbonie. Anna Rolfe upierała się przy kupnie biletu pierwszej klasy. Gabriel, korzystający z wyjątkowo skromnych środków Shamrona, musiał się zadowolić klasą turystyczną. Przed odlotem nakłonił swą towarzyszkę, aby pokluczyła przez pewien czas po lotnisku, gdyż chciał mieć pewność, że nikt ich nie śledzi. W pewnym momencie zadyszana kobieta podbiegła do Anny z kartką papieru, prosząc o autograf. Anna spełniła prośbę nieznajomej, uśmiechnęła się i poszła do samolotu. Pięć minut później jej śladem podążył Gabriel. Gdy mijał jej fotel, sączyła szampana. Zajął miejsce w tyle samolotu, w środkowym fotelu dwudziestego trzeciego rzędu. Cały czas bolały go plecy po bezsennej nocy na madejowym łożu u Manuela.

Wciąż dźwięczało mu w uszach ostrzeżenie Gerhardta Petersona, aby już nigdy nie odważył się postawić stopy na ziemi szwajcarskiej. Dlatego też, zamiast bezpośrednio do Zurychu, polecili najpierw do Stuttgartu. Tam zastosowali podobną taktykę jak w Lizbonie: Anna opuściła pokład pierwsza, a Gabriel powoli poszedł za nią do stanowiska wynajmu samochodów. Skrzypaczka odebrała kluczyki i dokumenty małego mercedesa sedana i pojechała mikrobusem na parking.

Gabriel udał się taksówką do pobliskiego hotelu i usiadł w barze w holu. Dwadzieścia minut później wyszedł na zewnątrz: samochód Anny czekał na podjeździe. Przejechała kilka kilometrów, klucząc po ciemnych uliczkach, a następnie zatrzymała się na poboczu i zamieniła miejscami z Gabrielem, który skręcił na autostradę i skierował się na południe. Po jakimś czasie Anna odchyliła oparcie fotela, zwinęła płaszcz jak poduszkę i wsunęła go pod głowę. Do Zurychu pozostało sto sześćdziesiąt kilometrów.

- Podobał mi się ten utwór, który grała pani wczoraj - powiedział Gabriel.

- To sonata Diabelski tryl. Skomponował ją Giuseppe Tartini. Twierdził, że inspiracją do jej powstania był jego sen, w którym przekazał diabłu skrzypce, a ten zagrał sonatę, najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek słyszał kompozytor. Podobno ocknął się z gorączką. Musiał posiąść tę kompozycję, dlatego od razu spisał wszystko, co zapamiętał.

- Wierzy pani w takie historie?

- Nie wierzę w diabła, ale doskonale rozumiem potrzebę zawładnięcia utworem. Niemal trzy lata zajęło mi nauczanie się, jak go przywoicie grać. Właśnie dzięki niemu wygrałam konkurs Sibeliusa. Później stał się moją wizytówką. Pod względem technicznym to bardzo trudny utwór. Dopiero niedawno do niego wróciłam.

- Zabrział rewelacyjnie.

- Nie dla mnie. Słyszałam jedynie błędy i niedoskonałości.

- Czy dlatego odwołała pani dwa koncerty?

- Nie odwołałam, tylko przełożyłam. - Gabriel wyczuł na sobie jej wzrok. - Widzę, że odrobił pan lekcje.

- Zamierza pani zagrać w najbliższej przyszłości?

- Owszem. Za dziesięć dni daję recital w Wenecji. Tamtejsza publiczność zawsze była dla mnie łaskawa. Dobrze się tam czuję. Zna pan Wenecję?

- Mieszkałem w niej dwa lata.

- Naprawdę? I co pan tam robił?

- Właśnie w Wenecji nauczyłem się renowacji obrazów, w pracowni słynnego konserwatora Umberta Contiego. To jedno z moich ulubionych miast.

- Wiem, co pan czuje. Gdy Wenecja wejdzie komuś w krew, trudno się bez niej obejść. Mam nadzieję, że jej magia korzystnie na mnie podziała.

- Dlaczego przełożyła pani te recitale?

- Bo rana dłoni uniemożliwia mi poprawną grę. Nie chciałam kiepsko wypaść ani też narażać się na komentarze w rodzaju: "Oto Anna Rolfe. Całkiem niezłe gra na skrzypcach jak na osobę, która o mały włos nie straciła dłoni". Chcę wyjść na scenę jako muzyk, a nie wzbudzająca litość kaleka.

- Rekonwalescencja dobiegła końca?

- Przekonamy się za dziesięć dni. Wiem jednak na pewno, że tym razem się nie wycofam. - Zapaliła papierosa. - Dlaczego usiłował pan opuścić Zurych, nie informując policji o morderstwie mojego ojca?

- Z obawy, że nie uwierzą, iż nie miałem z nim nic wspólnego - wyjaśnił.

- Czy to jedyny powód?

- Jak już pani wie, wysłano mnie do Szwajcarii w sprawach zawodowych.

- O jakim zawodzie pan mówi? Co to za mętna historia z tą agencją, dla której pan pracuje?

Tą, która podlega Ministerstwu Obrony.

- Nie pracuję dla niej. Po prostu wyświadczam jej przysługę.

- Ona się jakoś nazywa?

- Oficjalna nazwa to Instytut Koordynacji, lecz większość zatrudnionych w niej osób używa określenia "Biuro".

- Jest pan szpiegiem, tak?

- Nie, nie jestem szpiegiem.

- Ciekawe czemu nie mam wątpliwości, że mnie pan okłamuje?
- Jestem konserwatorem dzieł sztuki.
- To dlaczego lecieliśmy osobno? Dlaczego zadał pan sobie tyle trudu, aby na lotnisku w Stuttgarcie nikt nas nie zobaczył razem?
- To tylko środki zapobiegawcze. Szwajcarska policja wyraźnie mnie poinformowała, że nie jestem już mile widziany w tym kraju.
- Skąd tak poważne ostrzeżenie?
- Nieco się zirytowali faktem, że uciekłem z miejsca zbrodni.
- A dlaczego pan uciekł z domu swojego ojca?
- Już to pani mówiłem.
- Otóż uciekł pan dlatego, że jest pan szpiegiem i bał się pan iść na policję. Przypatrywałam się panu na lotnisku. Świetnie pan sobie radził.
- Nie jestem szpiegiem.
- Więc kim pan jest? Niech mi pan tylko nie wmawia, że konserwatorem dzieł sztuki, który robi przysługę komuś w jakiejś szemranej agencji zwanej Biurem, bo i tak w to nie uwierzę. Jeśli natychmiast nie wyjawi pan prawdy, równie dobrze możemy zawrócić do Stuttgartu, bo ja nie udzielię panu ani jednej cholernej informacji. Czekam na odpowiedź.
Cisnęła niedopalek przez okno. Słynny temperament Anny Rolfe.

Przybyli do Zurychu po północy. Centrum miasta tonęło we mgle zapomnienia. Bahnhofstrasse była ciemna i wymarła, wokół żywego ducha... Z nieba spadały iskrzące w świetle latarni drobiny marznącego śniegu. Przekroczyli rzekę; Gabriel ostrożnie jechał śliskimi uliczkami Zurichbergu. Ostatnie, czego potrzebował, to zatrzymanie przez policję z powodu pogwałcenia przepisów drogowych.

Zaparkowali przed willą. Anna zajęła się otwieraniem elektronicznych zamków przy bramie i drzwiach wejściowych. Gabriel zauważył, że zmieniono kody.

Przedpokój spowijały ciemności. Anna zamknęła drzwi, zanim włączyła światło. Bez słowa wpuściła swego towarzysza do holu i przeszła obok salonu, w którym Gabriel natrafił na zwłoki jej ojca. Zajrzał do środka. W powietrzu unosił się zapach środków czyszczących. Orientalny dywan zniknął, lecz Rafael wciąż wisiał na ścianie.

Przejmującą ciszę pogłębiał stukot obcasów Anny, przemierzającej gołą posadzkę. Przeszli przez wielką, wytworną jadalnię z olbrzymim stołem z lakierowanego, ciemnego drewna oraz krzesłami o wysokich oparciach, minęli spiżarnię i dużą kuchnię.

Dotarli do schodów. Tym razem Anna nie zapaliła światła. Gabriel podążył za nią na dół, prosto w mrok. Znaleźli się w piwnicy z winami, w której spoczywały zakurzone butelki. Obok był schowek z kamiennym zlewem. Na ścianach wisiały porzuczone narzędzia ogrodnicze.

Za kolejną parą drzwi ukazał się pogrążony w mroku korytarz, zakończony jeszcze jednymi drzwiami. Anna otworzyła je: była tam niewielka winda, mogąca pomieścić zaledwie jedną osobę. Mimo to oboje zdołali się do niej wcisnąć. Kabina powoli zjeżdżała coraz niżej. Gabriel poczuł ciepło ciała stojącej przy nim kobiety, a jego nozdrza owiał zapach jej szamponu do włosów oraz francuskich papierosów. Nie wydawała się w najmniejszym stopniu zakłopotana tą krępującą sytuacją. Gabriel usiłował odwrócić wzrok, lecz Anna wpatrywała się w jego oczy z intensywnością pewnego siebie zwierzęcia.

Winda się zatrzymała. Weszli do małego holu z czarnego i białego marmuru. Naprzeciwko windy umieszczono ciężkie, stalowe drzwi, a przy nich, na ścianie, klawiaturę. Obok znajdowało się urządzenie, które przypominało okulary powiększające, jakich używał w swojej pracowni. Gabriel widział już kiedyś coś takiego: był to biometryczny skaner, przeznaczony do badania siatkówki oka każdej osoby, która zamierzała dostać się do pomieszczenia. Jeśli wzór siatkówki odpowiadał schematom zakodowanym w bazie danych, osoba ta mogła wejść. Jeśli nie, rozpętywało się piekło.

Po wprowadzeniu kodu Anna zbliżyła oczy do skanera. Kilka sekund później dobiegł ich trzask odsuwanej zasuwki i wielkie drzwi powoli się otworzyły. Gdy weszli do pomieszczenia, światła zapaliły się automatycznie.

Ogromny pokój, o wymiarach mniej więcej piętnaście metrów na dziesięć, pomalowano na kremowo. Pośrodku, na lśniącym parkiecie, stały dwa ozdobne krzesła obrotowe. Anna podeszła do jednego z nich i skrzyżowała ręce na piersiach. Gabriel przyjrzał się uważnie gołym ścianom.

- Gdzie jesteśmy?

- Mój ojciec miał dwie kolekcje. Jedną oficjalną, którą prezentował światu, i drugą, przechowywaną tutaj. Była przeznaczona wyłącznie dla naszych oczu.

- Jakie obrazy tu wisiały?

- Francuskie z dziewiętnastego i dwudziestego wieku, głównie impresjoniści.

- Ma pani ich katalog?

Skinęła głową.

- Kto jeszcze o niej wiedział?

- Moja matka i mój brat, rzecz jasna, ale oboje już nie żyją.

- Nikt więcej?

- Jeszcze Werner Muller.

- Kim jest Werner Muller?

- Marszandem i głównym doradcą mojego ojca. Nadzorował projektowanie i budowę tego miejsca.

- To Szwajcar?

Ponownie skinęła głową.

- Jest właścicielem dwóch galerii: jednej w Lucernie, a drugiej w Paryżu, nieopodal rue de Rivoli. Tam spędza większość czasu. Napatrzył się pan już?

- Na razie wystarczy.

- Wobec tego pokażę panu coś jeszcze.

Wjechawszy windą na górę, znowu przemaszerowali przez pogrążony w ciemnościach dom, by dotrzeć do pomieszczenia bez okien, wypełnionego mrugającą aparaturą elektroniczną i monitorami podglądowymi. Gabriel mógł zobaczyć najbliższe otoczenie willi z każdej strony: widział ulicę, wejście, ogrody od frontu i z tyłu.

- Kamery przemysłowe to nie wszystko. Każdy centymetr posiadłości jest monitorowany przez wykrywacze ruchu - oświadczyła Anna. - W oknach i drzwiach zainstalowano odpowiednie czujniki oraz alarmy. Ojciec nie zatrudniał pełnoetatowego strażnika, lecz dom i tak był doskonale zabezpieczony. Gdyby zaistniała taka potrzeba, ojciec w parę sekund wezwałby policję.

- Co się stało w noc morderstwa?

- System zawiódł z niewyjaśnionych powodów.

- Dogodny zbieg okoliczności.

Usiadła przed ekranem komputera.

- Pokój w piwnicy znajduje się pod nadzorem osobnego systemu, uruchamianego w chwili otwarcia drzwi zewnętrznych. Urządzenia automatycznie rejestrują czas wejścia do pomieszczenia, a dwie cyfrowe kamery wewnątrz robią zdjęcia w odstępach trzysekundowych.

Przebiegła palcami po klawiaturze.

- O tej godzinie weszliśmy do pokoju: dwunasta czterdzieści dziewięć w nocy. A to my w środku.

Gabriel ponad jej ramieniem spojrzął na monitor - pojawił się ziarnisty obraz dwóch postaci; po chwili znikł, a potem wyświetliła się baza danych.

- To jest wykaz wejść do pokoju, obejmujący ostatnie trzy miesiące. Jak pan widzi, ojciec spędzał tam sporo czasu: wchodził co najmniej raz dziennie, niekiedy dwa. - Dotknęła ekranu

palcem wskazującym. - To zapis ostatniej wizyty, niedługo po północy, w dniu jego śmierci. System bezpieczeństwa nie odnotował późniejszych wejść.

- Czy policja podała pani szacunkowy czas popełnienia morderstwa?

- Podobno śmierć nastąpiła około trzeciej nad ranem.

- Zatem można założyć, że ci sami ludzie, którzy zabili pani ojca, zabrali także obrazy, a to wszystko zdarzyło się około trzeciej w nocy, sześć godzin przed moim przybyciem do willi.

- Zgadza się.

Gabriel wyciągnął rękę, wskazując na ostatni zapis.

- Możemy się temu przyjrzeć?

Ekran wypełniły obrazy. Kamera nie obejmowała wszystkich płócien, niemniej Gabriel zobaczył wystarczająco dużo, aby uświadomić sobie wartość i znaczenie kolekcji. Manet, Bonnard, Toulouse-Lautrec, Cezanne, Pissarro, Degas, akt pędzla Renoira, pejzaż z kanałem van Gogha, dwie sceny uliczne Moneta, duży portret kobiety namalowany przez Picassa w okresie niebieskim. Pośrodku pokoju, na krześle z wysokim oparciem i poręczami, siedział starszy pan, po raz ostatni przed śmiercią wpatrujący się w swoją kolekcję.

11

Zurych

Cztery godziny później Gerhardt Peterson siedział w swoim gabinecie wypełnionym jasnymi skandynawskimi meblami, z oknem wychodzącym na ponure podwórze z pocerniałej cegły. Komputer był wyłączony, poranna korespondencja nieruszona, kawa nietknięta, a drzwi wyjątkowo zamknięte na klucz. W popielniczce tkwił żarzący się niedopałek, który powoli zmieniał się w popiół. Peterson nie zwracał na to uwagi. Opuścił wzrok i uważnie przyjrzał się trzem fotografiom leżącym na biurku. Allon i Anna Rolfe opuszczają willę. Allon i Anna Rolfe wsiadają do mercedesa. Allon i Anna Rolfe odjeżdżają. Wreszcie się otrząsnął, jakby po przebudzeniu z nieprzyjemnego letargu, i wsunął fotografie do niszczarki, jedna po drugiej, z satysfakcją patrząc, jak zmieniają się w konfetti. Potem podniósł słuchawkę, szybko wybrał numer i zastygł w oczekiwaniu. Po dwudziestu minutach wszystkie jego spotkania zaplanowane na ten dzień były już odwołane. Wsiadł do mercedesa i popędził wzdłuż wybrzeża Jeziora Zuryskiego ku górskiej rezydencji Herr Gesslera.

12

Korsyka

Stara signadora mieszkała w chylącym się ku ziemi domku, niedaleko kościoła. Powitała Anglika jak zawsze, obdarzając go zatroskanym uśmiechem i kładąc mu dłoń na policzku. Nosila ciężką, czarną suknię z haftowanym kołnierzem. Jej skóra barwą przypominała mąkę, a siwe, zaczesane do tyłu włosy trzymały się na miejscu dzięki metalowym szpilkom. Anglik pomyślał, że to dziwne, jak z wiekiem zanikają oznaki przynależności etnicznej i narodowościowej. Gdyby nie korsykański język oraz mistyczne, katolickie obrzędy, staruszka mogłaby być jego ciotką Beatrice z Ipswich.

- Zło powróciło, synu - wyszeptła, głaszcząc go po policzku. - Widzę to w twoich oczach. Usiądź. Pomogę ci.

Staruszka zapaliła świecę, a Anglik usadowił się na małym drewnianym stołku. Postawiła przed nim porcelanowy talerz z wodą i miseczkę oleju.

- Trzy krople - nakazała. - Zobaczymy, czy jest się czego bać. Anglik zanurzył palec wskazujący w oleju, a następnie przeniósł go nad talerz i zaczął czekać, aż trzy krople spadną do wody. Zgodnie z prawami fizyki olej powinien utworzyć jedno oko, lecz zamiast tego rozprysł się na tysiąc drobiny i znikł bez śladu. Staruszka westchnęła ciężko i uczyniła znak krzyża. Oto on, niezaprzeczalny dowód na to, że ochju, złe oko, nawiedziło duszę Anglika.

Trzymając go za rękę, odmówiła modlitwę. Po chwili wybuchnęła płaczem, co oznaczało, że ochju przeniosło się z jego ciała na nią. Zamknęła oczy, jakby spała, po czym otworzyła je i zarządziła powtórzenie próby z olejem i wodą. Tym razem tłuszcz zbił się w jedno oko. Egzorcyzm dopomógł, zło zostało usunięte.

- Dziękuję - rzekł i wziął kobietę za rękę. Odwzajemniła uścisk, a potem szybko cofnęła dłoń, jakby mężczyzna miał gorączkę.

- Co się stało? - zaniepokoił się.

- Pozostaniesz w dolinie na dłużej czy wyjeżdżasz?

- Obawiam się, że muszę ruszać w drogę.

- W służbie don Orsatiego?

Anglik skinął głową. Przed starą signadorą nie miał tajemnic.

- Masz talizman?

Rozpiął koszulę. Na rzemyku zwisał koral w kształcie dłoni. Chwyliła go palcami i pogłaskała, jakby chcąc się upewnić, że wciąż kryje w sobie mistyczną moc, zdolną do odpędzenia ochju. Sprawiała wrażenie zadowolonej, lecz wciąż była zatroskana.

- Widzisz coś? - chciał wiedzieć Anglik.

- Widzę mężczyznę.

- Kim on jest?

- Jest taki sam jak ty, ale to heretyk. Powinieneś go unikać. Postępuj tak, jak powiedziałam?

- Zawsze tak postępuję.

Ucałował jej dłoń i wsunął w garść zwitek franków.

- Za dużo - sprzeciwiła się.

- Zawsze to powtarzasz.

- Bo zawsze dajesz mi za dużo.

Część druga

13

Rzym

Godzinę po wschodzie słońca przekroczyli granicę Włoch. Gabriel już dawno nie był tak zadowolony, że opuszcza jakieś miejsce. Jechali do Mediolanu. Anna spała. Męczyły ją koszmary, rzucała głową, toczyła prywatne bitwy. Gdy sny w końcu ją opuściły, przebudziła się i szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała w Gabriela, jakby zdumiona jego obecnością. Zamknęła oczy, by po chwili znów zmagać się ze zjawami.

W przydrożnej kawiarni zamówili omlety, chleb i kawę z mlekiem. Jedli w zupełnej ciszy, niczym wygłodniali kochankowie. Przed samym Mediolanem po raz ostatni omówili plany. Anna miała polecieć do Lizbony, a Gabriel zatrzymać mercedesa i dojechać nim do Rzymu. Na lotnisku zaparkował samochód przed halą odlotów.

- Zanim się pożegnamy, muszę wiedzieć jeszcze jedno - oświadczył.
- Ciekawi pana, dlaczego nie powiedziałam zuryskiej policji o skradzionych obrazach.
- Otóż to.

- Odpowiedź jest prosta. Nie ufam im. Właśnie z tego powodu do pana zatelefonowałam, a przede wszystkim dlatego pokazałam panu zaginioną kolekcję. - Dotknęła jego ręki. - Nie wierzę szwajcarskiej policji, panie Allon, i panu też to radzę. Czy taka odpowiedź pana satysfakcjonuje?

- Chwilowo.

Wysiadła z samochodu i zniknęła w terminalu. Jej zapach unosił się w kabinie przez resztę poranka, niczym proste pytanie, które bezustannie kołatało w jego głowie. Dlaczego banda zawodowych złodziei dzieł sztuki zadała sobie trud ukradzenia obrazów z piwnicy Rolfego, lecz pozostawiła Rafaela na ścianie salonu?

Rzym pachniał jesienią: gorzką kawą, czosnkiem smażonym na oliwie, palonym drewnem i opadłymi liśćmi. Gabriel zameldował się w niewielkim hotelu na Corso d'Italia, naprzeciwko Villa Borghese. Ze swojego pokoju widział mały dziedziniec z nieczynną fontanną i parasolami kawiarnianego ogródka zwiniętymi na zimę. Wskoczył do łóżka i natychmiast zasnął.

Od dawna nie śnił mu się Wiedeń; coś, co ujrzał w Zurychu, pobudziło jego podświadomość, dlatego w jego snach znowu pojawiło się to miasto. Początek marzeń sennych okazał się taki sam jak zawsze: Gabriel przypina swojego syna pasami do tylnego siedzenia samochodu, nieświadomy, że przymocowuje go do bomby podłożonej przez Palestyńczyka, który poprzysiągł, że zabije Allona. Całuje żonę, po raz ostatni mówi jej dobranoc, odchodzi. Potem wybuch samochodu. Gabriel odwraca się i zaczyna biec. W jego śnie dotarcie do samochodu zajmuje mu kilka minut, chociaż to zaledwie parę metrów. Widzi syna, rozerwanego przez bombę na strzępy, na przednim siedzeniu zaś kobietę, poczerniałą od ognia. Teraz jest nią nie Leah, tylko Anna Rolfe.

W końcu się obudził. Pościel była mokra. Spojrzał na zegarek. Spał dwanaście godzin.

Wziął prysznic i ubrał się. Do południa było jeszcze daleko. Puszyste, białe chmury pędziły po błękitnym niebie, a wiatr smagał Corso d'Italia. W nocy przeszła burza: porywiste poddmuchy tworzyły drobne, spienione fale w dużych kałużach na chodniku. Udał się na Via Veneto, kupił gazety i przeczytał je przy śniadaniu w kawiarni.

Po godzinie opuścił kawiarnię, wszedł do budki telefonicznej i szybko wybrał numer. Stuk... brzęczenie... stuk...

Wreszcie usłyszał głos, nieco oddalony, z pogłosem.

- Tak?

Gabriel przedstawił się jako Stevens. Powiedział, że chciałby spotkać się z panem Bakerem w Il Drappo, w porze lunchu. Zapadła cisza, rozległo się kolejne stuknięcie, brzęczenie i dźwięk przypominający rozbijaną porcelanę. Po chwili głos powrócił.

- Pan Baker mówi, że lunch w Il Drappo mu odpowiada.

Połączenie zostało przerwane.

Czekał przez dwa dni. Wczesnym rankiem biegał po cichych alejkach Villa Borghese. Potem szedł spacerem do Via Veneto i wstępował na kawę: za barem krzątała się ładna dziewczyna o kasztanowych włosach. Drugiego dnia spostrzegł księdza w czarnej sutannie, którego twarz wydała mu się znajoma. Gabriel bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie, skąd zna tego człowieka. Gdy dziewczyna podała mu rachunek, na odwrocie ujrzał jej numer telefonu. Uśmiechnął się przepraszająco i wyszedł, pozostawiając kartkę na barze. Ksiądz został w kawiarni.

Tamtego popołudnia Gabriel przez dłuższy czas sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Wchodził do kościołów, gdzie tak intensywnie wpatrywał się we freski i obrazy nad ołtarzem, że rozboleła go głowa. Czuł niemal fizyczną obecność Umberta Contiego u swego boku. Conti, podobnie jak Ari Shamron, uważał Gabriela za człowieka wyjątkowego talentu i darzył go szczególną sympatią, jak niegdyś Shamron. Niekiedy wpadał do ubogiego pensjonatu Gabriela, by wyciągać go na nocne

przechadzki i wspólne podziwianie dzieł sztuki. Opowiadał o obrazach tak, jak niektórzy mężczyźni mówią o kobietach. "Gabriel, spójrz na światło. Zwróć uwagę na technikę, dłonie... Boże, co za dłonie".

Sąsiadem Gabriela w Wenecji był Palestyńczyk Saeb, chudy intelektualista pisujący agresywne wiersze i płomienne rozprawy, w których przyrównywał Izraelczyków do nazistów. Ogromnie przypominał Gabrielowi Wadala Adel Zwaitera, dowódcę brygad Czarnego Września we Włoszech, którego Gabriel zabił na klatce schodowej budynku przy Piazza Annabaliano w Rzymie.

"- Byłem członkiem jednostki specjalnej, pani Rolfe.

- O jakim charakterze?

- Zajmowaliśmy się działalnością antyterrorystyczną. Tropiliśmy ludzi, którzy dopuszczali się aktów przemocy wobec Izraela.

- Palestyńczyków?

- Owszem, w większości wypadków.

- I co pan robił z tymi terrorystami, gdy ich pan wytropił?

Cisza...

- Panie Allon, proszę mi odpowiedzieć. Co pan robił po wytropieniu terrorystów?"

Późnym wieczorem Saeb przychodził do jego pokoju, niczym duch Zwaitera, zawsze z butelką taniego czerwonego wina i zapasem francuskich papierosów. Siadywał po turecku na podłodze i raczył Gabriela wykładami o tym, jakie niesprawiedliwości spotykają naród palestyński. "Żydzi! Zachód! Zgniłe arabskie reżimy! Wszyscy oni mają na rękach palestyńską krew!". Gabriel kiwał głową i częstował się winem Saeba oraz jego papierosami. Niekiedy sam dorzucał kilka słów potępienia dla Izraela. "Państwo nie przetrwa - oświadczył podczas jednego z bardziej pamiętnych przemówień. - W końcu musi upaść, podobnie jak kapitalizm, pod ciężarem własnych, wewnętrznych sprzeczności". Saeb był tak poruszony, że po stosownej kosmetyce włączył tę myśl do swojego następnego artykułu.

Podczas szkolenia Gabriela Shamron zezwalał Leah tylko na jedną wizytę: raz w miesiącu. Kochali się jak szaleni, a potem ona leżała obok niego na jednoosobowym łóżku, zaklinając go, by wrócił do Tel Awiwu. Podawała się za niemiecką studentkę socjologii z Hamburga, Evę. Gdy do pokoju wkraczał Saeb ze swoim winem i papierosami, w porywających słowach mówiła o grupie Baader-Meinhof oraz OWP. Saeb uznał, że jest czarująca. "Któregoś dnia musisz przyjechać do Palestyny i przyjrzeć się jej na własne oczy", rzekł. "Tak - odparła Leah. - Któregoś dnia przyjadę".

Kolacje jadał w skromnej trattorii w pobliżu swojego hotelu. Gdy przyszedł tam drugiego wieczoru, właściciel lokalu potraktował go jak stałego gościa, który od dwudziestu lat sumiennie przychodzi raz w tygodniu. Posadził go przy specjalnym stoliku w pobliżu kuchni i uraczył taką ilością przystawek, że Gabriel błagał o litość. Potem makaron, potem ryba, potem ogromny wybór deserów. Przy kawie wręczył Gabrielowi list.

- Kto to zostawił? - zdziwił się Gabriel.

Właściciel uniósł ręce w typowym dla rzymian geście obojętności.

- Jakiś mężczyzna.

Gabriel przyjrzał się listowi: gładki papier, nieznaną charakter pisma, brak podpisu.

"Kościół Santa Maria della Pace. Za godzinę".

W nocy się ochłodziło, a porywisty wiatr poruszał drzewami Villa Borghese. Gabriel szedł pieszo - po Corso d'Italia i Via Veneto - po czym zatrzymał taksówkę i pojechał nią do Centro Storico* [Centro Storico - najstarsza część miasta.].

Przez dwadzieścia minut kręcił się po wąskich uliczkach i cichych skwerach, aby ostatecznie nabrać pewności, że nikt go nie śledzi. Potem udał się na Piazza Navona. Na placu kłębił się tłum

ludzi, którym najwyraźniej nie przeszkadzał chłód. Kawiarnie były pełne. Uliczni artyści sprzedawali tanie obrazy.

Gabriel powoli okrążył plac, od czasu do czasu przystając, aby przyjrzeć się bogato zdobionej fontannie czy wrzucić kilka drobnych monet do kosza ślepego, brzdąkającego na gitarze o czterech strunach. Wyraźnie czuł, że ktoś go śledzi.

Skierował się do kościoła, lecz w pewnej chwili niespodziewanie się odwrócił i ruszył z powrotem. Jego ogon stał w małej grupce ludzi otaczających gitarzystę. Gabriel podszedł bliżej i zatrzymał się obok niego.

- Jesteś czysty - powiedział mężczyzna. - Wejdz do środka.

Kościół był zupełnie pusty. W powietrzu unosił się ciężki zapach palonego wosku i kadzidła. Gabriel minął nawę główną, przystanął przed ołtarzem. Za jego plecami otworzyły się drzwi, ciche wnętrze kościoła wypełnił gwar dobiegający z hałaśliwego placu. Gabriel odwrócił głowę, aby sprawdzić, kto wszedł: zobaczył tylko starszą kobietę, która przyszła się pomodlić.

Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie. Teraz stanął w nich mężczyzna w skórzanej kurtce, o bystrych, ciemnych oczach: Rami, osobisty ochroniarz starego. Ukłękł w ławce i uczynił znak krzyża.

Gabriel z trudem stłumił uśmiech, po czym znów zapatrzył się w ołtarz. Drzwi uchylły się po raz kolejny, i dźwięki ulicy znowu rozbrzmiały w ciszy świątyni. Tym razem Gabriel natychmiast rozpoznał charakterystyczny rytm kroków Ariego Shamrona.

Za moment stali koło siebie. Shamron popatrzył na obraz nad ołtarzem.

- Co jest, Gabriel? - spytał niecierpliwie. Nie potrafił docenić sztuki. Prawdziwe piękno dostrzegał jedynie w doskonale zaplanowanych operacjach lub w zniszczeniu wroga.

- Ciekawym zbiegiem okoliczności te freski wyszły spod pędzla Rafaela. Mistrz rzadko kiedy zajmował się freskami, a jeśli już, to tylko na zamówienie papieża i ich najbliższego otoczenia. Pewien wpływowy finansista, Agostino Chigi, ufundował tę kaplicę, a gdy Rafael przedstawił mu rachunek za obrazy, tak bardzo się oburzył, że poszedł do Michała Anioła z żądaniem wyceny.

- Jak zareagował Michał Anioł?

- Poinformował Chigiego, że sam zażądałby więcej.

- Nie wątpię, że ja bym wziął stronę bankiera. Chodźmy się przejść. Katolickie kościoły źle na mnie wpływają. - Zdobył się na skąpy uśmiech. - To taka zaszłość z czasów dzieciństwa w Polsce.

Spacerowali wokół placu, a czujny Rami podążał ich śladem niczym uosobienie nieczystego sumienia Shamrona. Ręce trzymał w kieszeniach, bacznie się rozglądając. Shamron słuchał uważnie, podczas gdy Gabriel mówił o zaginionej kolekcji.

- Powiadomiła policję?

- Nie.

- Czemu?

Gabriel powtórzył słowa Anny.

- Dlaczego ten starzec miałby ukrywać swoje obrazy?

- Takie wypadki zdarzały się już wcześniej. Być może charakter kolekcji nie pozwalał na wystawienie jej na widok publiczny.

- Sugerujesz, że był złodziejem?

- Niezupełnie. Nie musiał kraść. Niekiedy sprawy są znacznie bardziej skomplikowane. Możliwe, że kolekcja Rolfego nie pochodziła z najczystszych źródeł. W końcu mówimy przecież o Szwajcarii.

- Co masz na myśli?

- Skarbce i podziemia banków szwajcarskich są pełne historycznych łupów, także dzieł sztuki. Niewykluczone, że te obrazy wcale nie należały do Rolfego. Możemy założyć jedno: bez względu

na to, kto zabrał płótna, zrobił to z konkretnego powodu. I zostawił Rafaela wartego kilka milionów dolarów.

- Istnieje możliwość odzyskania skradzionych obrazów?
- Przypuszczam, że tak. Zależy, czy zostały już sprzedane.
- Czy takich dzieł można się szybko pozbyć na czarnym rynku?
- Wystawienie ich na sprzedaż wywołałoby ogromne zamieszanie. Ale też możemy mieć do czynienia z kradzieżą na zamówienie.
- Czyli?
- Ktoś komuś zlecił tę robotę.
- Czy śmierć Rolfego była wliczona w cenę?
- Dobre pytanie.

Shamrona nagle ogarnęło zmęczenie. Usiadł na murku okalającym fontannę.

- Coraz gorzej znoszę podróże - wyznał. - Opowiedz mi o Annie Rolfe.
- Gdyby dano mi możliwość wyboru, nigdy nie próbowałbym nawiązać z nią kontaktu. To nieobliczalna, wybuchowa kobieta, a w dodatku pali więcej od ciebie. Za to gra na skrzypcach lepiej niż ktokolwiek, kogo miałem okazję słuchać.

- Dobrze sobie radzisz z takimi ludźmi jak ona. Odmień ją. - Shamron zaniósł się kaszlem tak gwałtownym, że aż nim zatrzęsło. Uspokoił się dopiero po chwili. - Czy ona ma jakieś pojęcie, dlaczego jej ojciec nawiązał z nami kontakt?

- Twierdzi, że nie. Nie byli sobie specjalnie bliscy.

Shamron najwyraźniej poczuł chwilowy przyływ osobistego bólu. Jego własna córka wyniosła się do Nowej Zelandii. Dzwonił do niej raz w miesiącu, a ona do niego nigdy. Dręczyła go obawa, że nie zechce wrócić do domu na jego pogrzeb albo nie odmówi za niego kadiszu. Nie spieszył się z zapaleniem następnego papierosa.

- Masz jeszcze jakiś trop?
- Owszem, jeden.
- Warto nim iść?
- Tak myślę.
- Czego potrzebujesz?
- Funduszy do zorganizowania operacji inwigilacyjnej.
- Gdzie?
- W Paryżu.
- Kto jest obiektem?

14

Rzym

Miniaturowy mikrofon superkardioidalny trzymany przez mężczyznę przebranego za księdza tylko wyglądał jak wieczne pióro. Wyprodukowała go firma elektroniczna w szwajcarskim mieście przemysłowym Zug. Za pomocą tego urządzenia mógł podsłuchiwać rozmowę prowadzoną przez dwóch mężczyzn, powoli krążących wokół Piazza Navona. Drugi mężczyzna, zasiadający w kawiarni po przeciwległej stronie placu, był uzbrojony w identyczny sprzęt. Człowiek w sutannie miał pewność, że dzięki temu nagrywa się większość wypowiedzi niczego nie podejrzewających spacerowiczów.

Potwierdziło się to dwadzieścia minut później, gdy w zaciszu pokoju hotelowego zsynchronizował obie taśmy w odtwarzaczu magnetofonowym i nałożył na uszy słuchawki. Po kilku minutach nagle wcisnął przycisk "stop", cofnął kasetę i ponownie ją uruchomił.

"- Gdzie?

- W Paryżu.
- Kto jest obiektem?
- Marszand. Nazywa się Werner Muller”.

Stop.

Zadzwoił do Zurychu i przekazał wiadomość swojemu rozmówcy. Potem uraczył się papierosem i małą butelką szampana z minibarku. W ten sposób sam siebie nagroził za dobrą robotę. W łazience spalił w umywalce kartki z notatnika i spłukał popiół do otworu odpływowego.

15

Paryż

Galeria Mullera mieściła się na rogu pewnej małej uliczki między rue Faubourg St. Honore i Avenue l’Opera. Z jednej strony przylegał do niej sklep sprzedawcy telefonów komórkowych, a z drugiej butik, handlujący wytworną męską bielizną, której nie włożyłby żaden mężczyzna. Na drzwiach galerii widniał napis: “Wstęp wyłącznie po wcześniejszym umówieniu”. Za grubym, kuloodpornym szkłem szyby okiennej wisiały dwa małe, dekoratywne dzieła - martwe natury z kwiatami mniej znanych, osiemnastowiecznych francuskich malarzy. Gabriel nie lubił tego rodzaju płócien. Trzykrotnie podejmował się odnawiania obrazów z tamtego okresu i zawsze ogarniało go wówczas wyjątkowe znużenie. Na swój punkt obserwacyjny Gabriel wybrał niewielki Hotel Laurens, położony pięćdziesiąt metrów od galerii, po przeciwnej stronie ulicy. Zameldował się tam jako Heinrich Kiever; ulokowano go w małym pokoju na strychu, przesiąkniętym zapachem rozlanego koniaku i zatechłego dymu papierosowego. Recepcjonistę poinformował, że jest niemieckim scenarzystą i że przyjechał do Paryża po to, aby popracować nad scenariuszem do filmu, którego akcja toczy się we Francji podczas wojny. Będzie pracował do późna w swoim pokoju i nie życzy sobie, by ktokolwiek mu przeszkadzał. Pił alkohol w hotelowym barze i chamsko dostawiał się do kelnerki. Krzyczał na sprzątaczkę, gdy usiłowała zaprowadzić ład w jego pokoju. Wrzeszczał na chłopców hotelowych, gdy nie dość szybko przynosili mu kawę. W krótkim czasie w całym hotelu mówiło się o zwariowanym boche* [Boche (fr.) - Szwab.] ze strychu.

Jadąc do Paryża, Gabriel zatrzymał się na lotnisku w Nicei, zwrócił mercedesa i wynajął renault. Agentem w firmie, która wypożyczyła mu samochód, był Żyd z Prowansji o imieniu Henri. Jego rodzina przetrwała francuski holocaust. Zgodnie z nazewnictwem Biura, Henri to sayan, ochotniczy pomocnik. Na całym świecie żyło tysiące sayanim - bankierów gotowych zapewnić agentom terenowym Biura wsparcie finansowe, urzędników hotelowych udostępniających noclegi, lekarzy udzielających dyskretnej pomocy w wypadku odniesienia ran lub choroby. Jeśli chodzi o Henriego, zrezygnował ze standardowej procedury i wynajął Gabrielowi samochód w taki sposób, żeby nie pozostawić żadnego śladu w dokumentach.

Niedługo po przyjeździe do Paryża Gabriel niechętnie nawiązał kontakt z szefem miejscowej komórki, Uzim Navotem. Navot miał jasnorude włosy i pokaźną sylwetkę zapaśnika. Należał do grupy zdeklarowanych popleczników Shamrona i był zazdrosny o uczucia, które stary żywił wobec Gabriela. W rezultacie nienawidził go tak, jak drugi syn nienawidzi starszego brata, i przy każdej sposobności utrudniał Gabrielowi życie. Ich spotkanie na ławce przy fontannie w ogrodach Tuileries przebiegło w chłodnej i oficjalnej atmosferze. Zachowywali się jak dwaj wrodzy sobie generałowie, negocjujący warunki zawieszenia broni. Navot jasno dał do zrozumienia, że jego zdaniem komórka w Paryżu poradziłaby sobie z prostą inwigilacją także bez pomocy wielkiego Gabriela Allona. Poza tym zupełnie nie przypadło mu do gustu, że Shamron nie chce go poinformować, dlaczego paryski marszand znalazł się w centrum zainteresowania Biura. Gabriel ze stoickim spokojem wysłuchiwał cichych żalów Navota, rzucając gołębiom kawałki bagietki i od czasu do czasu kiwając współczująco głową. Gdy dwadzieścia minut później Navot oddalił się

żwirową ścieżką, Gabriel miał już załatwione wszystko, czego potrzebował: obserwatorów, radia o bezpiecznych częstotliwościach, samochody, urządzenia podsłuchowe oraz pistolet Beretta kalibru .5,56 milimetra.

Obserwowali go przez dwa dni. Zajęcie nie należało do szczególnie trudnych. Muller nie zachowywał się jak przestępca, o ile w ogóle nim był. Każdego ranka za piętnaście dziesiąta przyjeżdżał do galerii i o dziesiątej był gotów do przyjmowania klientów. O wpół do drugiej zamykał swój salon i maszerował zawsze do tej samej restauracji przy rue de Rivoli, po drodze zatrzymując się zawsze przy tym samym kiosku, aby kupić gazety.

Pierwszego dnia obserwował go pewien prosty i bezpośredni w obejściu wywiadowca o imieniu Oded. Następnego dnia obowiązki śledczego przejął chudy i wysoki chłopak, Mordecai, który mimo chłodu zasiadł przy stoliku na dworze. Po lunchu podążył za Mullerem z powrotem do galerii, a potem skierował się do pokoju hotelowego Gabriela, by złożyć sprawozdanie.

- Powiedz mi, Mordecai, co on dzisiaj jadł na lunch? - spytał Gabriel.

Obserwator z dezaprobatą ściągnął brwi.

- Owoce morza. Ogromny półmisek. Zjadł cały.

- A co ty zamówiłeś, Mordecai?

- Jajka i frytki.

- Smakowały ci?

- Owszem.

Wieczorami Muller zachowywał się równie rutynowo i przewidywalnie. Z galerii wychodził o wpół do siódmej, a wcześniej wystawiał na chodnik ciemnozieloną plastikową torbę z odpadkami, którą nocą zabierali śmieciarze. Następnie szedł wolnym krokiem w tłumie ludzi przemierzających Pola Elizejskie i docierał do Fouqueta. Pierwszego wieczoru Oded zabrał śmieci sprzed galerii i zaniósł je do pokoju Gabriela, a Mordecai ruszył za marszandem do Fouqueta. Następnego wieczoru wywiadowcy zamienili się rolami. Kiedy Muller sączył szampana w towarzystwie filmowców i pisarzy, Gabriel przetrząsał jego śmieci. Okazały się równie zwyczajne, jak obyczaj Mullera: kopie rozmaitych tekstów w sześciu językach, nieistotna poczta, niedopałki papierosów, brudne chustki i fusy od kawy.

Opuściwszy Fouqueta, Muller spacerował cichymi, bocznymi uliczkami ósmego arrondissement* [Arrondissement (fr.) - dzielnica.], zjadał lekką kolację w bistro i szedł do domu. Po dwóch wieczorach Oded zaprotestował:

- Może to tylko szwajcarski marszand, który nie sprzedaje zbyt wielu obrazów. Niewykluczone, że marnuje pan swój i nasz czas.

Gabriel pozostał jednak niewzruszony na protesty Odeda. Krótco po północy z okna pokoju w Hotel Laurens zauważył, jak nieoznaczona furgonetka wjeżdża na chodnik przed galerią. Zdarzenia potoczyły się z szybkością i precyzją opracowanego przez choreografa tańca. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. Dwadzieścia sekund później włamali się do galerii, blokując urządzenia alarmowe. Robota wewnątrz zajęła im niecałą minutę. W mgnieniu oka wskoczyli z powrotem do furgonetki. Kierowca dwukrotnie mrugnął światłami i samochód odjechał.

Gabriel odwrócił się od okna, podszedł do telefonu i zadzwonił do galerii. Po pięciu dzwonek włączyła się automatyczna sekretarka. Położył słuchawkę na stole obok aparatu i podkręcił dźwięk w małym, przenośnym radiu. Kilka sekund później usłyszał nagrany na sekretarce głos Wenera Mullera informującego, że galeria ponownie będzie otwarta od dziesiątej następnego dnia: "Proszę zadzwonić w celu umówienia się na spotkanie".

Zamontowaną w galerii Mullera pluskwę pracownicy Biura nazywali "szkiełkiem". Ukryto ją w instalacji elektronicznej aparatu, co umożliwiło kontrolowanie zarówno rozmów telefonicznych, jak i prowadzonych w pomieszczeniu. Podsłuch - czerpiący energię elektryczną z telefonu - nie potrzebował dodatkowej baterii i mógł funkcjonować przez nieograniczenie długi czas.

Nazajutrz rano do Mullera nie zawitali potencjalni kupcy, nikt też nie zadzwonił. Marszand telefonował dwukrotnie: do Lyonu, aby dowiedzieć się, czy pewien obraz jest na sprzedaż, a także do gospodarza budynku, żeby poskarżyć się na stan rur w swoim mieszkaniu.

W południe wysłuchał wiadomości radiowych. Zjadł lunch w tej samej restauracji i o tej samej porze, co zawsze, a do galerii wrócił po południu. O piątej zadzwonił telefon: kobieta mówiąca po angielsku ze skandynawskim akcentem poszukiwała szkiców Picassa - ewentualnie jakichkolwiek jego dzieł - a Muller okazał się na tyle życzliwy, by przekazać jej nazwiska i adresy dwóch swoich konkurentów, u których mogło jej dopisać szczęście.

O szóstej Gabriel postanowił zadzwonić do galerii. Potoczystą francuszczyzną spytał Herr Mullera, czy ma na sprzedaż jakieś martwe natury z kwiatami Cezanne'a.

Muller odchrząknął.

- Niestety, monsieur. Nie dysponuję żadnymi obrazami Cezanne'a.

- To dziwne. Z wiarygodnego źródła otrzymałem informację, że ma pan kilka płócien Cezanne'a.

- Pańskie wiarygodne źródło się myliło. Bonsoir, monsieur.

Marszand odłożył słuchawkę. Gabriel podszedł do stojącego przy oknie Odeda. Po chwili Muller wyszedł na dwór i rozejrzył się dookoła.

- Widziałeś, Oded?

- Niewątpliwie poważnie się zdenerwował.

- Nadal uważasz, że to zwykły marszand, który nie sprzedaje zbyt wielu obrazów?

- Wygląda niezbyt uczciwie, ale dlaczego zaraz wyprowadzać go z równowagi takimi telefonami?

W odpowiedzi Gabriel się uśmiechnął. Shamron nazywał taką taktykę wkładaniem komuś kamyka do buta. Początkowo jest to tylko irytujące, lecz w krótkim czasie powstaje otwarta rana. Jeśli kamyk pozostanie na miejscu odpowiednio długo, but w końcu wypełni się krwią.

Pięć minut później Werner Muller zamknął galerię na noc. Zamiast zostawić torbę ze śmieciami na starym miejscu, rzucił ją na chodnik przed butikiem. Gdy ruszał do Fouqueta, kilka razy obejrzał się przez ramię. Nie zauważył sylwetki Mordecaia, idącego w ślad za nim po przeciwnej stronie ulicy. Gabriel uznał, że rana Mullera właśnie się otworzyła. Wkrótce w bucie zachlupocze krew.

- Oded, przynieś mi jego śmieci.

Weekend Mullera był tak samo przewidywalny, jak dni robocze. Marszand miał psa, który bez przerwy czekał. Oded, prowadzący nasłuch z furgonetki zaparkowanej za rogiem, cierpiał na chroniczny ból głowy. Spytał Gabriela, czy mógłby pożyczyć berettę, żeby zastrzelić psa i mieć wreszcie spokój. Gdy Muller wychodził z psem na spacer wzdłuż rzeki, Oded błagał o pozwolenie wrzucenia bestii do wody.

Monotonia została zakłócona w sobotni wieczór, kiedy u Wenera zjawiała się luksusowa dziwka, niejaka Veronique. Spoliczkowała go. On krzyknął i nazwał ją "mamą". Pies zaczął szczekać jak oszalały. Po dwóch godzinach Oded, który - jak sam twierdził - niejedno w życiu widział, musiał wyjść z furgonetki, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i napić się czegoś w piwiarni naprzeciwko. "Dymanie stulecia - wyjaśnił potem Gabrielowi.

- Kliniczny przypadek deprawacji. Na Bulwarze Króla Saula będą tego musieli posłuchać specjaliści od zbrodni."

Nikt nie ucieszył się z nadejścia szarego poniedziałkowego świtu tak bardzo, jak Oded. Muller stoczył ostatnią kłótnię z psem, a następnie zatrzasnął drzwi do mieszkania i wyszedł na ulicę. Oded przyglądał mu się zza przyciemnionej szyby furgonetki z wyrazem nienawiści na twarzy. Potem połączył się z Gabrielem w Hotel Laurens.

- Zdaje się, że Romeo idzie do galerii. Od teraz ty go masz na głowie.

Chwilę później pies wznowił koncert. Szczeknął kilka razy, jakby strzelał z broni snajperskiej, a następnie otworzył ogień zaporowy, angażując w to wszystkie siły. Oded ściągnął słuchawki i ukrył twarz w dłoniach.

16

Paryż

Anglik, podobnie jak Gabriel Allon, przybył do Paryża przez Lazurowe Wybrzeże; miał za sobą nocny rejs promem z korsykańskiego portu Calvi do Nicei. Zbiegiem okoliczności także wynajął samochód w Nicei, choć nie na lotnisku, tylko na Bulwarze Victora Hugo, kilka przecznic od morza. Trafił mu się ford fiesta, który podczas jazdy fatalnie ściągał w prawo: kierowanie nim okazało się więc nie lada wyzwaniem.

O godzinę drogi od Paryża zjechał do przydrożnej kawiarni ze stacją benzynową i udał się do męskiej toalety. Tam zmienił ubranie, zastępując bawełniane spodnie i wełniany sweter czarnym garniturem z błyszczącego materiału. Ciemnobrązowe włosy ufarbował na platynowo i wsunął na nos okulary z różowymi szklami. Gdy skończył, zupełnie nie poznał mężczyzny w lustrze. Wyjął z torby kanadyjski paszport i przyjrzał się zdjęciu: Claude Devereaux, dwa lata przed śmiercią. Wsunął dokument do kieszeni marynarki.

Zmierzchało, gdy dotarł na przedmieścia. Ciężkie chmury zawisły nisko, skraplając miasto słabym deszczem. Pojechał do piątego arrondissement, gdzie zatrzymał się w małym hotelu przy rue St. Jacques. W pokoju uciął sobie krótką drzemkę, po czym zszedł na dół i zostawił w recepcji klucz, przy okazji zgarniając plik turystycznych map i broszur. Z głupim uśmiechem popatrzył na recepcjonistę, jakby chciał powiedzieć: "Mój pierwszy raz w Paryżu".

Na zewnątrz rozpadało się na dobre. Anglik cisnął mapy i broszury do kosza na śmieci i ruszył w stronę Sekwany.

O dziewiątej skrył się pod ociekającym wodą platanem na Quai d'Orleans i czekał na Pascala Debrego.

W pobliżu powoli przepłynęła barka, z rozjaśnionymi ciepłym światłem sterówką i kabiną. Tuż przy brzegu trzech mężczyzn, popijających wino z butelki, wędkowało nielegalnie w blasku ulicznej latarni. Podwinął rękaw marynarki i spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka. Kilka minut po północy. Gdzie do cholery jest Debre? Deszcz się nasilił: rzęsiste krople chlupotały o kamienne nabrzeże. Anglik dotknął włosów: platynowy kolor zaczynał spływać.

Pięć minut później usłyszał kroki. Odwrócił się. W jego kierunku zmierzał mężczyzna w poliestrowych spodniach, tanich butach i sięgającej do pasa skórzanej kurtce, całej błyszczącej od deszczu. Zatrzymał się przy Angliku pod platanem i wyciągnął rękę. W jego dłoni brakowało dwóch palców: małego i serdecznego.

- Jak na taką noc wybrałeś cholernie kiepskie miejsce na spotkanie, Pascal. Gdzie u licha podziewałeś się tak długo?

- Nie wybierałem lokalizacji, kierując się względami estetycznymi, przyjacielu. - Mówił z prowincjonalnym akcentem o południowym zaśpiewie. Ocalałymi palcami pokazał na trzech mężczyzn przy brzegu. - Widzisz tych chłopaków? Pracują dla mnie. A zauważyłeś barkę, która przed chwilą tędy płynęła? Sterował nią mój człowiek. Upewnialiśmy się, czy nikt cię nie śledzi.

Debre wsunął ręce do kieszeni. Anglik przyjrzał się mu uważnie.

- Gdzie towar?

- W magazynie.

- Miałeś go przynieść tutaj.

- Paryska policja przez całą noc przeprowadza kontrole drogowe. Podobno chodzi o zagrożenie atakiem bombowym. Szukają jednego z ugrupowań arabskich. Chyba algierskiego. Przyniesienie jej tutaj nie byłoby bezpieczne.

Anglik nie zauważył żadnych patroli drogowych.

- Skoro policja może mnie zatrzymać na ulicy, w jaki sposób mam przetransportować towar z powrotem do miasta?

- To już twój problem, przyjacielu.

- Gdzie jest magazyn?

- W dokach, parę kilometrów w dół rzeki. - Ruchem głowy wskazał dzielnicę łacińską. - Mam samochód.

Anglikowi nie podobała się zmiana planów, ale nie miał wyboru. Skinął głową i podążył za Debrem na górę, po kamiennych schodkach, a potem przez Pont St. Louis.

Ich oczom ukazała się skąpana w sztucznym świetle Notre Dame. Debre popatrzył na włosy Anglika i skrzywił usta z typowo galijską dezaprobatą.

- Wyglądasz nedorzecznie, ale muszę przyznać, że dobrze się zamaskowałeś. Mało brakowało i nie poznałbym cię.

- O to chodziło.

- Niezłe ciuchy. Bardzo modne. Powinieneś uważać, dokąd idziesz w takim stroju. Niektórzy chłopcy mogliby wyciągnąć błędne wnioski na twój temat.

- Gdzie ten cholerny samochód?

- Cierpliwości, przyjacielu.

Stał na Quai de Montebello z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedział wielki mężczyzna i palił papierosa.

- Usiądź z przodu - zaproponował Debre. - Będzie ci wygodniej.

- Prawdę mówiąc, wolę z tyłu. A jeśli jeszcze raz zachęcisz mnie, abym usiadł z przodu, uznaję, że zastawiłeś na mnie pułapkę. Wierz mi, Pascal: w najmniejszym stopniu nie chciałbym, żebym czuł zagrożenie.

- Rób, jak chcesz. Możesz siedzieć z tyłu, jeśli masz ochotę. Staralem się tylko okazać uprzejmość. Jezu Chryste!

Jechali przez dwadzieścia minut. Wycieraczki pracowały intensywnie, ogrzewanie głośno szumiało. Światła centrum Paryża powoli znikaly... Znaleźli się w ponurej dzielnicy przemysłowej; mrok rozpraszała żółtawa poświata latarni sodowych. Debre śpiewał do amerykańskiej muzyki, którą właśnie nadawano przez radio. Anglika bolała głowa. Opuścił szybę - wilgotne powietrze owiało mu policzek.

Żałował, że Debre nie siedzi cicho. Anglik wszystko o nim wiedział. Pascal Debre nie potrafił zrealizować swoich ambicji życiowych. Pragnął być skrytobójcą, podobnie jak Anglik, lecz zaważył ważną robotę przy eliminowaniu członka konkurencyjnego gangu. Błąd kosztował go utratę dwóch palców i poważnie zaszkodził karierze. Zdegradowano go do poziomu zwykłego bandyty, odpowiedzialnego za wymuszenia. Znany był z prymitywnych, lecz skutecznych pogroźek: "Dajesz nam forszę albo puszczaemy z dymem ten twój interes. Jak spróbujesz zawiadomić policję, zgwałcimy ci córkę, a później potniemy na sto kawałków".

Przejechali przez bramę w ogrodzeniu z siatki drucianej, prosto do okopconego sadzą magazynu. Powietrze było ciężkie od smrodu oleju i rzeki. Debre poszedł przodem do niewielkiego biura i zapalił światło. Chwilę później wyłonił się stamtąd z dużą walizką, którą trzymał w zdrowej ręce.

Położył bagaż na masce samochodu i odblokował zamki.

- To proste urządzenie - tłumaczył. - Tu jest zegar. Możesz go nastawić na minutę, godzinę, tydzień. Na kiedy chcesz. Tutaj masz detonator, a tu mały ładunek wybuchowy. W zbiornikach

znajduje się benzyna. Walizka jest czysta jak łąza. Nawet jeśli jakiś element przetrwa ogień - co mało prawdopodobne - nie ma możliwości, aby policja doszła jego śladem do ciebie lub do nas.

Debre zamknął wieko. Anglik wyciągnął kopertę z frankami i rzucił ją na samochód obok walizki. Już sięgał po bombę, lecz Debre powstrzymał go, kładąc mu na ręce okaleczoną dłoń.

- Przykro mi, przyjacielu, ale cena wzrosła.

- Czemu?

- Nieprzewidywalne fluktuacje rynkowe. - Debre wyjął pistolet i wycelował go w klatkę piersiową swego rozmówcy. Kierowca momentalnie znalazł się za plecami Anglika, który nie miał wątpliwości, że drugi napastnik również ma broń. - Dobrze wiesz, jak to bywa, przyjacielu.

- Szczerze mówiąc, nie. Może mi wyjaśnisz?

- Po naszej rozmowie zacząłem myśleć.

- Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy.

- Stul pieprzoną jadaczkę!

- Wybacz, Pascal, że ci przerywam. Kontynuuj.

- Zadałem sobie proste pytanie. Dlaczego taki człowiek jak ty, przyjacielu, potrzebuje takiego urządzenia? Przecież zawsze zabija nożem. Może niekiedy pistoletem, ale zwykle nożem. Potem mnie olśniło. Potrzebuje takiej walizki, bo tego zażądali jego pracodawcy. Jeśli podniosę cenę, będzie mu wszystko jedno, bo i tak obarczy kosztami zleceniodawcę.

- Ile chcesz?

- Dwieście.

- Umówiliśmy się na sto.

- Warunki umowy się zmieniły.

- A jeśli odmówię?

- To będziesz musiał szukać towaru gdzie indziej. Tylko pamiętaj, że mogę ulec pokusie i zadzwonić do naszego przyjaciela z policji. Wiesz, jednego z tych, których zaopatrujemy w wino i dziwki. Niewykluczone, że ten przyjaciel dowie się ode mnie, że jesteś w mieście w sprawach zawodowych.

- Niech będzie. Zapłacę ci tyle, ile żądasz, ale po robocie wykonam anonimowy telefon na paryską policję i wyjaśnię, od kogo dostałem urządzenie. Dzięki twojej głupocie będę im mógł powiedzieć nawet to, gdzie mi je przekazano. Funkcjonariusze złożą ci wizytę, aresztują cię, a twoi szefowie pozbawią reszty palców.

Debre zrobił się nerwowy. Miał rozbiegany wzrok, niespokojnie oblizywał wargi, a pistolet w jego lewej ręce zaczął dygotać.

Dotychczas na jego groźby ludzie zwykle reagowali strachem. Nieczęsto zdarzało mu się spotkać z kimś pokroju Anglika.

- Dobra, wygrałeś - zdecydował. - Wracamy do pierwotnej ceny. Sto tysięcy franków. Bierz ten złom i zjeżdżaj stąd.

Anglik postanowił pójść za ciosem.

- Jak mam wrócić do Paryża?

- Twój problem.

- To długa trasa. Taksówka będzie sporo kosztowała. - Wyciągnął rękę i podniósł kopertę. - Pewnie koło stu tysięcy franków.

- Co ty do cholery wymyślasz?

- Zabieram walizkę i pieniądze. Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, powiem policji o tym magazynie. Wierz mi, że tym razem twój szef w Marsylii nie poprzestanie na twojej dłoni.

Debre uniósł pistolet. Anglik doszedł do wniosku, że ta zabawa trwa zbyt długo. Pora na finał. Szybkim jak błyskawica ruchem chwycił Debrego za rękę i gwałtownie ją wykręcił, łamiąc w kilku miejscach. Francuz ryknął z bólu, a jego broń z łoskotem upadła na podłogę.

Kolejny ruch należał do kompana Debrego. Anglik uznał, że tamten nie użyje pistoletu, aby nie zranić kumpla, i dlatego będzie usiłował obezwładnić go ciosem w tył głowy. Schylił się,

uderzenie trafiło w powietrze, a on złapał pistolet Debrego i strzelił dwa razy. Obie kule przeszły klatkę piersiową napastnika. Wielki mężczyzna runął na podłogę, a spomiędzy jego palców trysnęła krew. Anglik jeszcze dwukrotnie wypalił prosto w czaszkę dogorywającego bandyty.

Pokonany Debre, wsparty o maskę samochodu, trzymał się za rękę.

- Zabieraj pieprzoną forszę! Zabieraj walizkę! I wynoś się!

- Nie powinieneś był próbować mnie wykiwać, Pascal.

- Racja. Bierz wszystko i zjeżdżaj.

- Miałeś rację w jednej sprawie - przyznał Anglik. Ciężki, wojskowy nóż z karbowanym ostrzem wysunął się z pochwy ukrytej w rękawie i znalazł w dłoni zabójcy. Chwilę później blady jak papier Pascal Debre leżał na ziemi obok kumpla, a z jego rozciętego niemal do kręgosłupa gardła sączyła się krew.

Kluczyki do samochodu Debrego wciąż tkwiły w stacyjce. Wyciągnął je i otworzył bagażnik. W środku była druga bomba, taka sama jak pierwsza. Podejrzewał, że Francuz zaplanował kolejną transakcję na późniejszą godzinę. No cóż, zapewne ocalił czyjś sklep. Zamknął walizkę i delikatnie opuścił klapę bagażnika.

Podłogę pokrywały krwawe plamy. Anglik obszedł zwłoki i stanął przy masce samochodu. Otworzył walizkę i nastawił zegar na trzy minuty. Potem przymknął wieko i umieścił walizkę między trupami. Szybko przeszedł przez magazyn i uchylił bramę, po czym podbiegł z powrotem do samochodu i usiadł za kierownicą. Kiedy przekręcił kluczyk, silnik zakrzusił się i zamilkł. Boże, tylko nie to, pomyślał Anglik. Zemsta Pascala. Przekręcił ponownie. Tym razem silnik głośno zaskoczył.

Błyskawicznie ruszył przed siebie. Gdy bomba eksplodowała, gwałtowny błysk w lusterku wstecznym na chwilę go oślepił. Jechał drogą wzdłuż rzeki, a purpurowe plamy jeszcze przez pewien czas migotały mu przed oczami.

Dziesięć minut później zaparkował w pobliżu stacji metra, tuż za zakazem zatrzymywania się. Wyjął z bagażnika walizkę i wrzucił kluczyki do kosza na śmieci, a następnie zszedł po schodach na peron i wskoczył do pociągu.

Pomyślał o starej signadorze w swojej wiosce na Korsyce. Ostrzegła go przed tajemniczym mężczyzną, którego powinien unikać. Zastanawiał się, czy chodziło jej o Pascala Debrea.

Wysiadł na stacji Luxembourg i wrócił do hotelu przy rue St. Jacques. W pokoju zorientował się, że po drodze nie widział ani jednego policjanta. Debre ewidentnie kłamał w sprawie kontroli drogowych.

17

Paryż

Gabriel uznał, że najwyższy czas porozmawiać z Mullerem. Następnego ranka zatelefonował do galerii.

- Muller. Bonjour.

- Mówi pan po niemiecku?

- Ja.

Gabriel przeszedł z francuskiego na niemiecki.

- W sobotę widziałem na wystawie pana galerii pewien interesujący obraz.

- Który ma pan na myśli?

- Martwa natura z kwiatami Jeana-Georges'a Hirna.

- Urocza, nieprawdaż?

- W rzeczy samej. Zastanawiałem się, czy jeszcze dzisiaj mógłbym obejrzeć ją z bliska.

- Niestety, dzisiaj jestem dość zajęty.

- Naprawdę?

Przez ostatnie trzy doby Gabriel uważnie śledził wszystkie rozmowy telefoniczne prowadzone w galerii i nie miał cienia wątpliwości, że Muller dysponuje mnóstwem czasu.

- Pozwoli pan, że zerknę do kalendarza spotkań. Może pan na chwilę uzbroić się w cierpliwość?

- Oczywiście.

- Hmm... Okazuje się, że ktoś nagle odwołał spotkanie zaplanowane na dzisiejsze popołudnie.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Kiedy mógłby się pan zjawić?

- Prawdę mówiąc, jestem nieopodal. Mogę przyjechać w niecały kwadrans.

- Wyśmienicie. Pana godność?

- Ulbricht.

- Zatem do zobaczenia, panie Ulbricht.

Gabriel szybko się spakował, wsunął berettę za pasek spodni i po raz ostatni rozejrzał po pokoju, aby się upewnić, że nie został po nim żaden ślad. Przed wyjściem popatrzył przez okno na galerię. Jakiś mężczyzna właśnie naciskał przycisk dzwonka przy jej drzwiach. Był średniego wzrostu, miał ciemne włosy, w prawej ręce trzymał aktówkę. Może jednak ktoś nie odwołał spotkania z Mullerem. Gabriel pospiesznie wyjął aparat fotograficzny i zużył cały film na obfotografowanie nieznajomego. Potem wyciągnął kliszę, wsunął ją do kieszeni, a aparat włożył do torby.

Recepcjonista na dole wyraził ogromny żal, że Herr Kiever wyjeżdża tak wcześnie. Spytał, jak poszła praca, na co Gabriel odparł, że niedługo wszyscy się przekonają.

Krople deszczu delikatnie padały mu na twarz. Renault stał zaparkowany na ulicy za rogiem, a za wycieraczką tkwiły dwa mandaty. Gabriel wepchnął je do kieszeni i schował torbę w bagażniku.

Zerknął na zegarek. Od zakończenia rozmowy z Mullerem minęło dwanaście minut. Powinien się nieco spóźnić: Szwajcar zapewne tego oczekiwał. Gabriel dwukrotnie obszedł pobliskie ulice, aby mieć pewność, że nikt go nie śledzi. Dopiero potem poszedł do galerii. Drzwi otworzył mu Muller.

- Witam, Herr Ulbricht. Zaczynałem się martwić.

- Muszę przyznać, że miałem niewielkie kłopoty z ponownym zlokalizowaniem tego miejsca.

- Nie mieszka pan w Paryżu?

- Spędzam tu wakacje. Pochodzę z Dusseldorfu.

- Rozumiem. - Muller klasnął w dłonie teatralnym gestem. - Zatem chciałby pan przyjrzeć się bliżej Hirnowi. Wcale się nie dziwię. To zupełnie fantastyczny obraz. Doskonałe uzupełnienie każdego zbioru. Zaraz wrócę, tylko zdejmę płótno z wystawy.

Gdy Muller był zajęty Hirnem, Gabriel omiół wzrokiem pomieszczenie. Przeciętne galeria, bardzo przeciętne obrazy. W głębi pokoju widniało biurko Mullera, ręcznie malowany antyk, a na podłodze obok biurka stała aktówka.

Muller uniósł obraz ze sztalug przy oknie. Dzieło było niewielkie, mniej więcej trzydzieści na czterdzieści pięć centymetrów. Marszand postawił je na obitym filcem stojaku pośrodku pomieszczenia i włączył kilka dodatkowych świateł.

Podchodząc bliżej, by obejrzyć płótno, Gabriel mimowolnie spojrzął przez okno galerii. W kawiarni po drugiej stronie ulicy zauważył coś, co zwróciło jego uwagę. Coś znajomego, jakby wspomnienie, nic więcej.

Skupił uwagę na płótnie i wymamrotał kilka miłych słów na temat jakości pociągnięć pędzla i warsztatu twórcy.

- Mam wrażenie, że całkiem nieźle zna się pan na malarstwie, Herr Ulbricht - rzekł Muller.

- Akurat na tyle dobrze, aby wszystkie pieniądze wydawać na obrazy, na które mnie nie stać - wyjaśnił Gabriel i obaj roześmiali się serdecznie.

Gabriel dyskretnie odwrócił wzrok od Hirna i skierował spojrzenie na kawiarnię. Znowu uderzył go znajomy widok czegoś albo kogoś. Patrzył na gości przy stolikach pod markizą i wtedy go dostrzegł. Mężczyzna, który złożył gazetę, wstał i szybko odszedł. Człowiek, któremu się spieszy, bo grozi mu spóźnienie na ważne spotkanie. Gabriel widział już tę postać.

Ten mężczyzna przed chwilą wyszedł z galerii...

Gabriel odwrócił głowę i zerknął na aktówkę. Potem ponownie wyjrzał przez okno, lecz mężczyzna zniknął już za rogiem.

- Coś się stało, Herr Ulbricht?

Gabriel złapał Mullera za ramię.

- Musi pan opuścić galerię! Natychmiast!

Marszand wyrwał rękę z uścisku Gabriela. Okazał się zaskakująco silny.

- Zabieraj łapy, ty czubku!

Gabriel ponownie chwycił Mullera za rękę, lecz raz jeszcze właściciel galerii się oswobodził.

- Wynocha stąd, bo zadzwonię po policję!

Gabriel mógł bez trudu obezwładnić Mullera, ale uznał, że nie ma na to czasu. Szybko podążył ku drzwom. Zanim do nich dotarł, Muller odblokował zamki elektroniczne. Gabriel wyszedł na ulicę i pomaszerował w kierunku hotelu.

Wtedy wybuchła bomba. Ogłuszający grzmot eksplozji powalił Gabriela na ziemię - upadł na ręce i kolana. Wstał i ruszył przed siebie... Potężny łomot odbijał się echem od gustownych fasad okolicznych budynków. Potem rozległ się hałas, przypominający tropikalną ulewę: było to szkło spadające na chodniki z tysiąca rozbitych okien. Uniósł ręce, aby zasłonić twarz, i po chwili jego palce spłynęły krwią.

Szklany deszcz ucichł, a echo wybuchu zanikło w oddali. Gabriel zapanował nad chęcią obejrzenia się przez ramię. Widział już nieraz skutki wybuchu bomby ulicznej i mógł sobie wyobrazić krajobraz, jaki miał za plecami. Płonące samochody, poczerńnięte budynki, zniszczona kawiarnia, ciała, krew, oszołomione twarze tych, którzy przetrwali. Odślonił twarz i ukrył dłonie w kieszeniach marynarki. Szedł dalej ze spuszczoną głową, a w uszach dźwięczała mu przeraźliwa cisza.

18

Paryż

Na przestrzeni lat Paryż wyjątkowo mocno ucierpiał z powodu ataków terrorystycznych, dlatego też francuska policja i służba bezpieczeństwa nauczyły się całkiem skutecznie radzić sobie z ich skutkami. W dwie minuty od eksplozji zjawiły się pierwsze jednostki. Po pięciu minutach okoliczne ulice zablokowano. Samochód Gabriela pozostał wewnątrz kordonu, tak więc mężczyzna musiał uciekać pieszo. Zanim dotarł do dużej stacji kolejowej na południowym krańcu miasta, dzień miał się już ku końcowi.

Ukrył się na platformie załadunkowej opuszczonej fabryki i w myślach sporządził listę przedmiotów pozostawionych w bagażniku. Walizka, nieco ubrań, aparat fotograficzny, magnetofon, radio, przez które nawiązywał łączność z wywiadowcami. Jeśli odpowiednio szybko nie wydobędzie stamtąd samochodu, przejmie go policja, włamie się do bagażnika i sprawdzi jego zawartość. Policjanci odtworzą taśmę magnetofonową i odkryją, że galeria i telefony Wenera Mullera były na podsłuchu. Znajdą wywołane filmy i ujrzą fotografie terenu wokół galerii. Obliczą kąt, pod którym robiono zdjęcia, i ustalą, że ich autor przebywał w Hotel Laurens. Przesłuchają personel i dowiedzą się, że podejrzany pokój zajmował nieuprzejmy niemiecki scenarzysta.

Prawa dłoń Gabriela drżała. Dopiero teraz poczuł zmęczenie. Po wybuchu bomby cały czas był w ruchu, jechał kilkunastoma pociągami metra, pokonał niezliczone kilometry zatłoczonych

bulwarów. Z automatu telefonicznego w pobliżu Ogrodów Luksemburskich zadzwonił na numer awaryjny Uziego Navota.

Podniósł wzrok i zobaczył dwa samochody, sunące z wyłączonymi światłami wzdłuż wąskiej alejki fabrycznej, ogrodzonej obwisłą siatką drucianą. Zatrzymały się około pięćdziesięciu metrów od Gabriela, który zeskoczył z platformy - wstrząs wywołany lądowaniem sprawił, że jego dłonie przeszył ból - i poszedł w ich stronę. Tylne drzwi pierwszego pojazdu gwałtownie się otworzyły. Na kanapie, w dość niedbałej pozie, spoczywał Navot.

- Wskakuj - burknął. Najwyraźniej za dużo się naoglądał amerykańskich filmów o mafii.

Navot przyjechał z lekarzem, jednym z sayanim Ariego Shamrona. Doktor siedział z przodu. Na środkowym podłokietniku przygotował prowizoryczny stół zabiegowy: rozpostarł na nim jałową chustę i zapalił górne światło. Następnie rozciął tymczasowy opatrunek, przyjrzał się ranie. Ściągnął usta z lekkim zdziwieniem, jakby chciał powiedzieć: "Nie jest najgorzej. Tylko po to mnie tu ściągnęliście?".

- Coś przeciwbólowego? - spytał, a gdy Gabriel przecząco pokręcił głową, wzruszył ramionami: - Wedle życzenia.

Przemył ranę roztworem odkażającym i przystąpił do pracy. Gabriel przypatrywał mu się uważnie, z zaciekawieniem konserwatora. "Wbić, przeciągnąć, związać, odciąć". Navot zapalił papierosa i udawał, że wygląda przez okno. Po założeniu szwów, lekarz starannie zabandażował ranę i skinął głową na znak, że skończył. Gabriel położył prawą rękę na podłokietniku. Doktor rozciął brudny, prowizoryczny opatrunek i westchnął z dezaprobatą, zupełnie jakby Gabriel zamówił nieodpowiednie wino do ryby w sosie szafranowym.

- Tym razem to może potrwać dłużej, tak? - Navot niecierpliwie machnął dłonią.

Lekarz, nie zważając na nieprzychylnie usposobionego Navota, zajął się raną. Nawet nie zapytał Gabriela, czy go znieczulić. Po prostu wyciągnął strzykawkę i zrobił zastrzyk. Pracował w skupieniu przez niemal pół godziny. Potem się wyprostował.

- Zrobiłem, co w mojej mocy, zważywszy na okoliczności. - Rzucił Navotowi wrogie spojrzenie: Robię to za darmo, kolego. Shamron o wszystkim się dowie. - Tę ranę powinien obejrzeć chirurg. Mięśnie, ścięgna... - Urwał i potrząsnął głową. - Nie jest dobrze. Zapewne będzie pan odczuwał sztywnienie dłoni i już nigdy nie odzyska dawnej swobody ruchu...

- Proszę nas zostawić - przerwał mu Navot. - Niech pan idzie do drugiego samochodu i tam zaczeka. - Odesłał także kierowcę, a gdy zostali sami, popatrzył na Gabriela. - Co się stało, do jasnej cholery?

- Ile ofiar śmiertelnych? - spytał Gabriel, puszczając mimo uszu pytanie Navota.

- Jak dotąd trzy. Kolejne cztery w złym stanie.

- Reszta zespołu się odezwała?

- Wyjechali z Paryża. Shamron ściąga wszystkich do domu. Może się zrobić paskudnie.

- Samochód?

- Nasz człowiek ma go na oku. Na razie policja się nim nie zainteresowała.

- W końcu to zrobią.

- A co wtedy znajdą?

Gabriel wyjaśnił. Navot zamknął oczy i zadrżał, jakby otrzymał wiadomość o czyjejś śmierci.

- Co z mieszkaniem Mullera?

- W jego telefonie jest szkiełko.

- Psiakrew.

- Można wejść do środka i zabrać pluskwę?

Navot pokręcił głową.

- Policja jest już na miejscu. Jeśli znajdą samochód i ustalą, że Muller był obserwowany, to przekopią mieszkanie na wylot. Pluskwę znajdą praktycznie od razu.

- Nie mamy przyjaciół w policji, którzy mogliby nam pomóc?

- Sprawa za bardzo śmierdzi.

- Ta pluskwa jest jak wizytówka.

- Wiem, ale nie ja ją tam zostawiłem.

Gabriel wyjął z kieszeni negatyw i wręczył go Navotowi.

- Mam zdjęcia człowieka, który podłożył bombę w galerii. Jeszcze dzisiaj wyślij ją na Bulwar Króla Saula. Powiedz ludziom z wydziału analiz, żeby przejrzyli bazę danych. Może dopasują nazwisko do tej twarzy.

Film zniknął w wielkiej dłoni Navota.

- Skontaktuj się z Shamronem i przekaz mu, aby natychmiast wysłał ochronę do willi Anny Rolfe. - Gabriel otworzył drzwi i postawił nogę na ziemi. - Który samochód jest mój?

- Shamron chce, żebyś wracał do domu.

- W Tel Awiwie nie znajdę człowieka, który podłożył bombę.

- Nie znajdziesz go także we francuskim więzieniu.

- Uzi, który samochód jest mój?

- Już dobrze! Weź ten. Ale jesteś zdany na własne siły.

- Kiedyś ci się odwdzięczę.

- Baw się dobrze, Gabriel. Ja tu zostanę i posprzątam bałagan, którego narobiłeś.

- Tylko koniecznie wyślij film do Tel Awiwu. Dobry z ciebie chłop.

W willi na Costa de Prata Anna Rolfe opuściła skrzypce i wyłączyła metronom. Jej pokój ćwiczeń był pogrążony w półmroku, a wpadająca przez otwarte okno bryza z nad Atlantyku wypełniała pomieszczenie chłodem i wilgocią. Profesjonalny mikrofon, zwisający z pokrytego chromem stojaka, został podłączony do magnetofonu. Dzisiaj zarejestrowała większość materiału. Odtworzyła nagranie, pakując instrument do futerału i porządkując nuty.

Jak zawsze niezbyt dobrze jej się słuchało własnego wykonania, ale tym razem robiła to z bardzo ważnego powodu. Chciała dokładnie wiedzieć, które fragmenty są dopuszczalne, a nad którymi musi jeszcze popracować. To, co usłyszała, w zasadzie przypadło jej do gustu; wyłowiła jednak trzy lub cztery takty w drugiej i trzeciej części - tam skutki długiej przerwy okazały się niedopuszczalne dla jej krytycznego ucha. Postanowiła, że wieczorem, podczas drugiej sesji, skoncentruje się wyłącznie na tych fragmentach. Ale teraz musiała nieco odpocząć.

Poszła do sypialni, wyciągnęła z komody jasnożółty sweter i narzuciła go na ramiona. Chwilę później była już na ścieżce prowadzącej ku wiosce. W połowie drogi dostrzegła między drzewami fiata kombi wjeżdżającego pod górę. Podróżowało nim czterech mężczyzn. Nie byli Portugalczykami. Anna zeszła na bok, aby przepuścić pojazd, lecz on się zatrzymał, a jeden z jego pasażerów wysiadł.

- Pani Rolfe?

- A kto pyta?

- Pani Anna Rolfe, zgadza się?

Skinęła głową.

- Jesteśmy przyjaciółmi Gabriela.

W Marsylii Anglik zostawił samochód w pobliżu Abbaye St. Victor i pomaszerował ciemnymi ulicami do terminalu promowego. Kiedy statek opuścił spokojne wody portu, Anglik zszedł pod pokład do kabiny. Położył się na wąskiej koi i wysłuchał wiadomości nadawanych przez marsylijskie radio. Informacją dnia była eksplozja w galerii Mullera w Paryżu. Bomba Pascala Debre spowodowała śmierć niewinnych ofiar, przez co Anglik poczuł się bardziej jak zwykły terrorysta niż profesjonalny zabójca. Jutro pójdzie do starej signadory, aby swoimi obrzędami i modlitwą zdjąć z niego occhju, rozgrzeszając tak jak zawsze.

Wyłączył radio. Pomimo zmęczenia potrzebował kobiety. Po wykonaniu roboty zawsze to odczuwał. Zamknął oczy i wyobraził sobie Elizabeth Conlin, ładną katoliczkę z osiedla Ballymurphy w zachodnim Belfaście. Miała predyspozycje, by zostać zawodowcem. Gdy mogli się

bezpiecznie spotkać, zawieszała w oknie sypialni fioletowy szal, a wtedy Anglik wkraadał się przez okno i wślizgiwał do jej łóżka. Kochali się nieznośnie powolnie, żeby nie obudzić pozostałych członków rodziny. Musiał zasłaniać dłonią usta dziewczyny, aby stłumić jej krzyki. Kiedyś tak mocno ugryzła go w kciuk, że z rany popłynęła krew, pozostawiając plamy na prześcieradle. Potem leżeli obok siebie w ciemnościach, a ona opowiadała, jak bardzo marzy o wyjeździe z Belfastu, jak najdalej od bomb, brytyjskich żołnierzy, terrorystów z IRA i protestanckich oddziałów paramilitarnych. Gdy sądziła, że jej kochanek zasnął, szeptem odmawiała różaniec, swoją pokutę za uleganie pokusie ciała Anglika. On jednak nigdy nie pozwolił sobie na to, by zasnąć w łóżku Elizabeth Conlin.

Pewnej nocy zamiast Elizabeth zastał w pokoju jej ojca i dwóch żołnierzy IRA. Nie wiadomo, w jaki sposób dowiedzieli się o Angliku. Zawieźli go do opuszczonego domu na farmie, najwyraźniej po to, żeby poddać długiemu i bolesnemu przesłuchaniu, zakończonemu egzekucją. W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, Anglik wyszedł z farmy żywy. Trzech członków IRA nie miało takiego szczęścia.

Po kilku godzinach bezpiecznie opuścił Irlandię Północną. Elizabeth Conlin nie zdążyła pójść w jego ślady. Jej ciało znaleziono następnego ranka na cmentarzu komunalnym w Belfaście. Miała ogoloną głowę i poderżnięte gardło; tak ją ukarano za sypianie z brytyjskim agentem.

Od tamtej pory Anglik nie potrafił już związać się z kobietą. Anton Orsati to rozumiał. Raz w tygodniu przywoził do jego willi dziewczynę: nie Korsykanę, lecz Francuzkę, specjalnie sprowadzaną do zaspokojenia konkretnych potrzeb Anglika. Potem czekał w dolinie wraz ze starym paesanu, aż Anglik skończy. Ten zaś uważał uprawianie seksu z dziewczynami Orsatiego za akt równie zimny i kliniczny, jak pozbawianie kogoś życia, lecz akceptował taką sytuację, gdyż nie wierzył sobie w sprawie doboru kochanki, a nie był jeszcze przygotowany do życia mnicha.

Jego myśli krążyły wokół paryskiego zlecenia. Nie mógł się pozbyć złych przeczuc... Niepokoił go mężczyzna, który wszedł do galerii na chwilę przed wybuchem bomby. Anglik, wyszkolony w elitarniej jednostce, dostrzegał u innych wpływ treningu w siłach specjalnych: lekki chód, subtelne połączenie całkowitej determinacji i bezustannej czujności. Mężczyzna wchodzący do galerii był niegdyś żołnierzem, a niewykluczone, że kimś więcej.

To jednak nie wszystko. Anglik miał wrażenie, że gdzieś już widział tego człowieka. Dlatego też spędził kilka bezsennych godzin, porównując niezliczone twarze, które przechowywał w pamięci, i szukając tej jednej.

19

Londyn

Atak bombowy na galerię Mullera nie tylko zagroził bezpieczeństwu Gabriela w Paryżu, lecz także doprowadził do utraty jedyne go tropu, którym mógł podążać. Teraz musiał zaczynać wszystko od początku. Późnym, deszczowym rankiem następnego dnia szedł przez Mason's Yard do galerii Juliana Isherwooda.

Na ceglanej ścianie obok drzwi wejściowych wisiała tabliczka z dwoma przyciskami: LOKUS TRAVEL oraz ISHER OO FINE AR S. Gabriel wcisnął drugi guzik. Gdy usłyszał dźwięk brzęczyka, popchnął drzwi i ruszył po schodach wyłożonych wytartym, brązowym chodnikiem. Na trzecim stopniu zobaczył starą plamę, która zawsze kojarzyła mu się z testami Rorschacha* [Testy skojarzeniowe Rorschacha polegają na interpretowaniu plam atramentu.]. Pamiętał, jak powstała: to skacowany Isherwood rozlał kawę, wracając nad ranem po suto zakrapianych urodzinach Olivera Dimbleby'ego w Mirabelle. Na górnym podejściu znajdowało się dwoje drzwi, jedno prowadziły do galerii, a drugie do małej agencji turystycznej - kobieta o bezbarwnym wyglądzie siedziała tam za dyrektorskim biurkiem w otoczeniu plakatów, obiecujących nieograniczone

uciechy w tropikach. Spojrzawszy na Gabriela, uśmiechnęła się smutno i powróciła do swego zajęcia: haftowania.

Chociaż Julian Isherwood nierozsądnie przywiązywał się do obrazów ze swojej kolekcji, nie żywił podobnie ciepłych uczuć w stosunku do dziewczyn, odbierających za niego telefony i porządkujących jego akta. Zatrudniał je i zwalniał z niezwykłą regularnością, toteż Gabriela zdumiał widok obecnej w sekretariacie Iriny. Była to czarnowłosa, wystrzałowa dziewczyna, z którą Isherwood pracował już pół roku.

Gabinet Isherwooda i sekretariat oddzielały lekko uchylone drzwi. Isherwood rozmawiał z klientem. Gabriel dojrzał obraz stojący na czarnym, pokrytym filcem rusztowaniu - płótno jednego z włoskich starych mistrzów, jak sądził. Isherwood powoli przechadzał się za obrazem, z ręką na brodzie, wzrokiem utkwionym w podłogę, niczym prawnik oczekujący odpowiedzi od świadka oskarżenia.

- On chciałby, aby pan zaczekał na gorze, w sali wystawowej - zamruczała pod nosem dziewczyna. - Zakładam, że zna pan drogę.

Gabriel wszedł do małej windy i pojechał wyżej. Sala wystawowa tonęła w półmroku i kompletnej ciszy, zakłócanej jedynie przed krople deszczu stukające o świetlik w suficie. Na ścianach wisały wielkie płótna starych mistrzów: Wenus Luiniego, Narodziny Chrystusa del Vagi, Chrzeszt Chrystusa Bordonego, rozświetlony pejzaż Claude'a. Nie zapalając światła, opadł na obitą aksamitem kanapę. Uwielbiał to pomieszczenie. Zawsze było dla niego czymś w rodzaju sanktuarium, oazą spokoju. Kiedyś uprawiał tutaj z żoną seks. Kilka lat później zaplanował śmierć człowieka, który odebrał mu Leah.

Drzwi windy się otworzyły i do sali wkroczył Isherwood.

- Jezus, Maria... Gabriel, wyglądasz jak śmierć.

- Mam to uznać za komplement?

- Co się stało, do diabła? Dlaczego nie siedzisz w Zurychu?

- Właściciel obrazu, który miałem odnowić na twoje polecenie, nazywał się Augustus Rolfe.

Słyszałeś o nim?

- Boże przenajświętszy. To ten, którego zamordowano w ubiegłym tygodniu?

Gabriel zamknął oczy i skinął głową.

- To ja znalazłem jego ciało.

Isherwood dostrzegł bandaż.

- Co ci się stało w ręce?

- Słyszałeś o wczorajszym wybuchu w jednej z paryskich galerii?

- Jak najbardziej, wszyscy o tym mówią. Oczywiście nie byłeś zamieszany w tę sprawę?

- Nie. Po prostu znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Wszystko ci opowiem, Julian, ale najpierw musisz mi pomóc.

- W czym? - spytał ostrożnie Isherwood.

- Nie chodzi o nic takiego jak dawniej. Tylko wyjaśnij mi, dlaczego podstarzały szwajcarski bankier trzymał w podziemnym schowku, ukrytą przed światem, imponującą kolekcję francuskich impresjonistów i malarstwa współczesnego?

Isherwood wcisnął przycisk interkomu.

- Irina, bądź tak miła i przynieś dzbanek kawy do sali wystawowej. Weź jeszcze trochę ciasteczek. Tych z orzechami. I z nikim mnie nie łącz. Dobra dziewczynka.

Gabriel znał podstawowe fakty związane z nazistowską grabieżą skarbów kultury w czasie II wojny światowej. Adolf Hitler snuł marzenia o zbudowaniu gigantycznego Fuhrermuseum w swoim rodzinnym Linzu i zapełnieniu go najwspanialszymi eksponatami sztuki północnoeuropejskiej i płótnami starych mistrzów. W 1938 roku rozpoczęto tajną operację, oznaczoną kryptonimem "Sonderauftrag Linz" - Specjalna Operacja Linz - mającą na celu zdobycie dzieł sztuki dla Fuhrermuseum wszelkimi niezbędnymi środkami. Podczas ostatnich

miesiący pokoju jego agenci potajemnie objeżdżali muzea, galerie i prywatne kolekcje Europy, dobierając eksponaty do przyszłych sal wystawowych. Gdy wybuchła wojna, hitlerowscy złodzieje dzieł sztuki deptali po piętach żołnierzom Wehrmachtu. Setki tysięcy obrazów, rzeźb i innych arcydzieł błyskawicznie zrabowano, często ich prawowitym, żydowskim właścicielom. Hitlerowi wciąż brakowało jednak tysięcy pozycji, wycenianych z grubsza na trzydzieści miliardów dolarów. Gabriel wiedział, że Julian Isherwood może przekazać mu mnóstwo istotnych informacji. Isherwood należał do grona wyśmienitych marszandów i miał na koncie sporo spektakularnych sukcesów, a w sprawach związanych z nazistowskim plądrowaniem Europy można go było uznać wręcz za eksperta. Spod jego pióra wyszły dziesiątki artykułów prasowych oraz branżowych publikacji; był też współautorem dobrze przyjętej książki, którą wydano przed pięciu laty. Pomimo licznych nalegań swojego wydawcy uparcie odmawiał ujawnienia osobistych motywów, dla których tak bardzo interesował się tą tematyką. Gabriel, jako jeden z niewielu ludzi, znał przyczynę: Julian Isherwood na własnej skórze doświadczył nazistowskiego rabunku.

- W 1940 roku Londyn i Nowy Jork nie odgrywały większej roli - oznajmił Isherwood. - Ośrodkiem świata sztuki był Paryż, a za centrum paryskiej sceny uważano rue de la Boetie w ósmym arrondissement. Pod numerem dwudziestym pierwszym mieściła się galeria słynnego Paula Rosenberga. Na sąsiednim podwórzu, pod numerem dwudziestym trzecim, mieszkał Picasso wraz z żoną, rosyjską tancerką Olgą Kokłową. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się galeria Etienne Bignou. Georges Wildenstein otworzył swoją galerię pod numerem pięćdziesiątym siódmym. Paul Guillaume i Josse Hessel również działali w tamtych okolicach.

- A twój ojciec?

- Galeria Isakowitz Fine Arts sąsiadowała z lokalem Paula Rosenberga. Zajmowaliśmy mieszkanie nad głównymi salami wystawowymi. Do Picassa mówiłem "wujku Pablo". Wiele godzin spędzałem w jego mieszkaniu. Czasami pozwalał mi popatrzeć, jak maluje. Olga częstowała mnie czekoladkami i ciastem. Opychałem się tak bardzo, że robiło mi się niedobrze. To były magiczne czasy.

- A po wkroczeniu Niemców?

- Wszystko się zawaliło... Kraje Beneluksu zaatakowano dziesiątego maja. Czternastego czerwca Niemcy wkroczyli do Paryża. Na wieży Eiffla załopotwały flagi ze swastykami, a niemiecki sztab generalny zajął na swoją siedzibę Hotel Crillon.

- Kiedy rozpoczęły się grabieże?

- Dwa dni po paradzie zwycięstwa Hitler wydał rozkaz: wszystkie dzieła sztuki pozostające w posiadaniu Żydów należało przekazać w ręce niemieckie, by zapewnić im, jak to nazwano, bezpieczne schronienie. W rzeczywistości był to początek plądrowania Francji.

- O ile dobrze pamiętam, Hitler stworzył specjalną organizację, która nadzorowała ten proceder.

- I to niejedną. Ale najważniejsza była jednostka ERR: Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg. Naprawdę imponująca organizacja. Miała do dyspozycji własne służby wywiadowcze, tropiące dzieła sztuki; odpowiednie siły uderzeniowe, które przechwytywały cenne kolekcje; a także niemały sztab historyków sztuki i rzeczoznawców. To nie wszystko. Niemcy wcielili do jednostki nawet stolarzy: zbijali oni skrzynie, w których łupy transportowano na teren Niemiec.

- Rue de la Boetie musiała być pierwszym celem organizacji.

- W kręgu zainteresowań ERR znajdowali się nie tylko marszandzi, lecz również prywatni kolekcjonerzy. Kolekcje Rothschildów przejęto razem z rezydencjami, podobnie jak zbiory żydowskiego magnata finansowego Davida Davida-Weilla i Jacques'a Sterna. Ograbiono wszystkie żydowskie galerie przy rue de la Boetie i wywieziono zgromadzone tam dzieła. Nie inaczej stało się ze zbiorami Isakowitz Fine Arts.

- Czy twój ojciec zdołał ocalić choć część prac?

- Większość marszandów, w tym i mój ojciec, usiłowała ratować najcenniejsze płótna. Ukrywano je na prowincji, w zamkach lub w skarbcach banków, ewentualnie wywożono z kraju.

Dzieła niezabezpieczone w taki sposób błyskawicznie trafiły w niemieckie ręce. Przed najazdem, podczas drôle de guerre* [Drôle de guerre (fr.) - dziwna, zabawna wojna.], mój ojciec wynajął willę w Bordeaux, gdzie ukrył najbardziej wartościowe obrazy. Uciekliśmy tam, gdy Niemcy zbliżali się do Paryża. Potem Francję podzielono na strefę okupowaną i nieokupowaną, a my wylądowaliśmy po stronie Vichy. Jesienią 1940 roku siły uderzeniowe ERR wraz z francuską policją wyłamały drzwi willi i przejęły obrazy ojca.

- W jaki sposób Niemcom udało się zlokalizować tę kolekcję?

- Ojciec popełnił błąd, informując pewnego francuskiego marszanda o przeniesieniu obrazów. Człowiek ten przekazał stosowną wiadomość ERR w zamian za nagrodę w postaci pięciu procent wartości zbioru ojca. C'est la vie.

Gabriel dobrze wiedział, co się wydarzyło później, i nie miał zamiaru żądać od Isherwooda, aby ponownie mu o tym opowiadał. Kiedy pod koniec 1942 roku Niemcy wkroczyli do strefy nieokupowanej, esesmani i ich sprzymierzeńcy z rządu Vichy przystąpili do wyłapywania Żydów, internowania ich i wywożenia do obozów zagłady. Ojciec Isherwooda zapłacił dwóm baskijskim przemytnikom za przetransportowanie małego Juliana przez Pireneje, do bezpiecznej Hiszpanii. Jego rodzice nie opuścili Francji. W 1943 roku oboje aresztowano i wysłano do Sobiboru, gdzie zostali natychmiast uśmierceni.

Isherwoodem wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

- Myślę, że nadeszła pora na drinka. Wstawaj, Gabriel. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Winiarnia mieściła się za rogiem, przy Jermyn Street. Usiedli tuż obok kominka gazowego. Isherwood zamówił kieliszek medoca. Oczy marszanda płonęły, myślami wciąż był we Francji czasów wojny. Gabriel obudził wspomnienia...

- Co się stało z obrazami po tym, jak Niemcy je przechwycili?

- ERR zajął Musee Jeu de Paume i wykorzystał je jako magazyn i sortownię. Potężny sztab ludzi pracował na okrągło przy katalogowaniu i wycenie ogromnej liczby dzieł sztuki rekwirowanych przez Niemców. Część uznawano za odpowiednie do prywatnej kolekcji Fuhrera, część wysyłano do Linzu lub innych muzeów. Taki los spotkał głównie obrazy starych mistrzów.

- A pozostałe? Impresjonistów i malarzy współczesnych?

- Naziści uznali je za przejaw degeneracji, lecz nie mieli zamiaru wypuszczać ich z rąk bez uzyskania czegoś w zamian. Większość dziewiętnaste- i dwudziestowiecznych prac sprzedano, aby natychmiast uzyskać gotówkę, lub zabezpieczono w celu wykorzystania do wymiany.

- Jakiej znowu wymiany?

- Weźmy takiego Hermanna Goringa. Był właścicielem wielkiego domu myśliwskiego pod Berlinem. Nazwał go Carinhall na cześć swojej zmarłej żony, szwedzkiej arystokratki Carin von Fock. W domu znajdowała się jedna z największych prywatnych kolekcji w Europie, a Goring wykorzystał swe niesłychane wpływy i możliwości, by znacznie ją powiększyć podczas wojny. Magazyny Jeu de Paume traktował tak, jakby to było jego prywatne muzeum.

Isherwood opróżnił kieliszek i zamówił następną.

- Goring był chciwym sukinsynem. Ukradł ponad sześćset obrazów tylko z Jeu de Paume, lecz dołożył wszelkich starań, aby z dokumentów wynikało, że wszystkie dzieła zakupił, a nie zagabił. Jeśli Goring zapragnął jakiegoś płótna, zlecał wykonanie odpowiedniej wyceny i kupował prace po żałośnie niskich cenach, ustalonych przez starannie dobranego fonctionnaire* [Fonctionnaire (fr.) - urzędnik.]. Potem natychmiast je zagarniał, obiecując przesłać pieniądze na specjalny rachunek ERR. W rzeczywistości wcale nie płacił za obrazy wywiezione z Paryża.

- Czy trafiły w końcu do Carinhall?

- Część, nie wszystkie. Goring podzielał pogardę Hitlera dla sztuki współczesnej i impresjonistów, ale wiedział, że takie dzieła można sprzedać lub wymienić na coś bliższego jego upodobaniom. Jedną z transakcji agencji Goringa przeprowadzili we Włoszech. W zamian za siedmiu włoskich starych mistrzów i parę innych objets d'art* [Objets d'art (fr.) - dzieła sztuki.]

Goring oddał dziewięć obrazów skradzionych z Jeu de Paume, pośród nich van Gogha, Degasa, Cezanne'a, Renoira i Moneta. Zrabowano je z żydowskich galerii i kolekcji. Goring dokonał kilku podobnych wymian z marszandami szwajcarskimi.

- Opowiedz mi o wątku szwajcarskim.

- Dzięki neutralności państwa marszandzi i kolekcjonerzy ze Szwajcarii zyskali niezwykłą możliwość zbiecia majątku na grabieży Paryża. Szwajcarzy mogli przemieszczać się niemal po całej Europie, a frank szwajcarski był jedyną walutą akceptowaną przez wszystkie kraje na świecie. Poza tym należy pamiętać o tym, że miasta takie jak Zurych potężnie się wzbogaciły na kolaboracji z Hitlerem. W Paryżu kupowano zrabowane arcydzieła, lecz potem kierowano je do Zurychu, Lucerny i Genewy.

- Między innymi po to, aby je ukryć?

- Rzecz jasna. Prawo tajemnicy bankowej sprawiło, że Szwajcaria stała się naturalnym miejscem zwózki skradzionych dzieł sztuki. Sprzyjały temu również prawa dotyczące przejmowania przedmiotów pochodzących z rabunku.

- Możesz mi przybliżyć te prawa?

- To prawdziwy majstersztyk, przesiąknięty szwajcarską hipokryzją. Przykładowo: jeśli ktoś w dobrej wierze wejdzie w posiadanie jakiegoś przedmiotu, a ten będzie pochodził z kradzieży, wówczas po pięciu latach od chwili nabycia przedmiot staje się prawną własnością nabywcy.

- Niesłuchanie wygodne prawo.

- Zaraz, to nie koniec. Jeśli marszand nabędzie kradzione dzieło sztuki, na prawowitym właścicielu ciąży obowiązek wypłacenia marszandowi rekompensaty w wysokości równej cenie dzieła, o ile właściciel zamierza domagać się zwrócenia mu jego własnego obrazu.

- A zatem szwajcarscy marszandzi i kolekcjonerzy mogli kupować kradzione prace bez obawy, że naruszają prawo lub że grozi im utrata pieniędzy?

- Właśnie tak.

- A co się stało po wojnie?

- Alianci skierowali do Szwajcarii eksperta w dziedzinie dzieł sztuki, Douglasa Coopera, który miał ustalić prawdę o skali kradzieży. Cooper dowiódł, że podczas wojny setki, jeśli nie tysiące zrabowanych arcydzieł trafiło w ręce szwajcarskie. Twierdził, że wiele z nich ukryto w skarbcach banków i strzeżonych magazynach. Paul Rosenberg pojechał do Szwajcarii, aby na miejscu osobiście zapoznać się z sytuacją. W jednej z galerii w Zurychu zaproponowano mu kupno Matisse'a skradzionego z jego własnej kolekcji.

- Interesujące - przyznał Gabriel. - A co na to władze Szwajcarii?

- Aliantów zapewniono, że rząd nawiąże z nimi współpracę w trakcie czynności dochodzeniowych. Ponadto Szwajcarzy obiecali, że zamrożą wszystkie aktywa niemieckie, które pojawiły się w ich kraju podczas wojny, a dodatkowo przeprowadzą ogólnopaństwowy spis wszystkich takich aktywów. Żadnego z tych zobowiązań nie dotrzymano. Douglas Cooper zaproponował, żeby cofać licencje marszandom handlującym zrabowanymi dziełami sztuki. Władze Szwajcarii odrzuciły jego sugestię. Niedługo potem Szwajcarska Federacja Handlu Dziełami Sztuki nakazała swoim członkom, by nie współpracowali z Cooperem. Krótko mówiąc, szwajcarski rząd zrobił to, co zawsze. Ukrył swoje firmy i obywateli przed oczyma cudzoziemców.

- Czy marszandzi, tacy jak na przykład Paul Rosenberg, podejmowali próby odzyskania swojej własności na drodze sądowej?

- Kilku skierowało sprawy do sądu, lecz spotkali się z ogromnymi trudnościami proceduralnymi. Szwajcarzy znacznie opóźniają tego typu rozprawy, dodatkowo żądając od cudzoziemców sporych pieniędzy za ich prowadzenie. W ten sposób chronią własnych obywateli. W ostateczności zwykle ustalano, że obywatele szwajcarscy nabywali określone dzieła sztuki w dobrej wierze. Poza tym musisz pamiętać, że najwięcej prac naziści ukradli w 1940 roku. A w roku 1945, zgodnie z zasadą przejścia praw do kradzionego przedmiotu po pięciu latach od wejścia w

jego posiadanie, prawowici właściciele nie mogli już się domagać przekazania im ich własności. W rezultacie większość powodów opuszczała sądy z pustymi rękami.

- Jak myślisz, czy jakieś zrabowane dzieła sztuki wciąż znajdują się w Szwajcarii?

- Sądzę, że bardzo dużo. Z tego, co od ciebie usłyszałem, wnioskuję, że część skradzionych obrazów pozostaje w rękach Augustusa Rolfego.

- Już nie.

Isherwood dopił wino i zapatrzył się w ogień.

- Chyba nadszedł czas, abyś ty mi coś wyjaśnił, Gabriel. Opowiedz mi wszystko po kolei. I tym razem powstrzymaj się od kłamstw. Jestem za stary, żeby mnie wpuszczać w maliny.

Deszcz wciąż padał. Wracając do galerii, schronili się pod parasolem Isherwooda, niczym żałobnicy w kondukcje. Wcześniej Gabriel opowiedział Isherwoodowi o wszystkim: począwszy od znalezienia ciała Rolfego, a na wybuchu w galerii Wernera Mullera w Paryżu skończywszy. Isherwood uraczył się dodatkowymi dwoma kieliszkami medoca, a jego lekko niepewny krok wskazywał, że alkohol zrobił swoje.

- Shamron... - sotto voce* [Sotto voce (wł.) - półgłosem, cicho.] burknął Isherwood, a w jego tonie zabrzmiała pogarda. - Powiniennem być się domyślić, że ten sukinsyn ma coś wspólnego z całą sprawą. Sądziłem, że wreszcie posłali go na zieloną trawkę.

- Zawsze się znajdzie powód, aby go przywrócić na stanowisko.

- Podobno Anna Rolfe to prawdziwa diwa.

- Nieźle sobie radzi.

- Jeśli mogę służyć ci radą, mój drogi, zawsze zakładaj, że ona wie więcej o swoim ojcu i jego kolekcji, niż raczy ci przekazywać. Córki zwykle chronią ojców wszelkimi sposobami, nawet jeżeli uważają ich za skończonych drani.

- Wezmę to pod uwagę.

- Niewykluczone, że chodzi o zwykłą kradzież dzieł sztuki.

- Zostawili Rafaela, a potem wysadzili galerię należącą do człowieka, który zajmował się kolekcją Rolfego. Nie sądzę, żeby to były zwykłe zdarzenia.

- Punkt dla ciebie - przyznał Isherwood. - W tej całej pogmatwanej sprawie możesz wierzyć chyba tylko obrazom.

- Z przykrością muszę cię oświecić, Julian, ale one naprawdę nie potrafią mówić. Zresztą kolekcja znikła.

- Obrazy nie potrafią mówić, lecz ich pochodzenie daje do myślenia. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Augustus Rolfe traktował swoje zbiory bardzo poważnie. Nawet jeśli zdobył płótna w podejrzanych okolicznościach, z pewnością chciał znać ich pochodzenie. Ono wyjaśnia wszystko.

- A jeśli uda mi się poznać ich pochodzenie?

- Wówczas powiem ci, czy był uczciwym kolekcjonerem, czy też starą świnią, zamieszkałą nad piwnicą pełną zrabowanych dzieł sztuki.

Gabriel zamierzał rozstać się z przyjacielem na Duke Street, lecz Isherwood złapał go za łokieć i pociągnął w kierunku Mason's Yard.

- Chodź ze mną. Jest jeszcze coś, co powinieneś zobaczyć.

Gdy wchodzili do galerii, Irina momentalnie rozpoznała charakterystyczne oznaki zakrapianego lunchu. Wręczyła Isherwoodowi plik kartek z wiadomościami telefonicznymi i poszła zaparzyć kawę. W gabinecie Isherwood otworzył prywatny sejf i wyjął z niego dwie rzeczy: szkic młodzieńca oraz kopię starego dokumentu. Szkic pokazał Gabrielowi.

- Poznajesz?

- Nie bardzo.

- Modelem byłem ja. Malarzem Picasso. Przywiozłem to z Francji.

- A dokument?

- Dostałem go od ojca na krótko przed tym, zanim wysłał mnie z Baskami. To szczegółowa lista wszystkich obrazów w jego prywatnej kolekcji i galerii, spisana przez niego własnoręcznie. Kopia, rzecz jasna. Oryginał jest w fatalnym stanie.

Wręczył listę Gabrielowi.

- Nie wiem, jak daleko zamierzasz się posunąć, ale jeśli natrafisz na jedno z tych płócien, dasz mi znać, prawda kwiatuszku?

Gabriel wsunął kartkę do kieszeni na piersi.

- Dokąd się teraz wybierasz? - spytał Isherwood.

- Jeszcze nie wiem.

- W Lyonie znajdziesz człowieka, z którym powinienes zamienić słowo. Pomógł mi, gdy zbierałem materiały do książki. Jeśli Augustus Rolfe miał coś na sumieniu, ten facet będzie o tym wiedział.

Isherwood przejrzał notatnik i podał Gabrielowi numer telefonu.

20

Londyn

Za rogiem, między galerią Isherwood Fine Arts i Jermyn Street, stał rover sedan, za którego kierownicą siedział jasnowłosy mężczyzna, słuchający radia. Obserwował marszanda już od pięciu dni. Chodził za nim na jego zakrapiane lunche. Śledził go, gdy ten szedł wieczorem do domu w South Kensington. Udawał nawet potencjalnego klienta, aby zainstalować w jego gabinecie dwa małe nadajniki, emitujące słaby sygnał analogowy na ogólnodostępnych częstotliwościach UKF. Dzięki temu mężczyzna mógł prowadzić nasłuch przez zwykłe radio samochodowe. Dziesięć minut później, kiedy rozmowa w gabinecie dobiegła końca, sięgnął po telefon komórkowy i zadzwonił do Zurychu.

- Nasz przyjaciel wybiera się do Lyonu na spotkanie z profesorem.

21

Lyon

Profesor Emil Jacobi uważał się za sumienie Szwajcarii. Był przekonany, że jeśli chce ocalić swoją ojczyznę, najpierw musi ją zniszczyć. Dlatego też poświęcił życie na odgrzebywanie i ujawnianie haniebnych kart historii kraju. Jego wstrząsająca książka Mit wywołała burzę z piorunami, gdyż jej autor odsłonił kulisy rozległych więzi gospodarczych łączących nazistowskie Niemcy i Szwajcarię podczas II wojny światowej. Jacobi opisał, jak szwajcarskie banki przyjmowały zrabowane złoto - także kruszec uzyskany z przetopienia zębów Żydów kierowanych na śmierć w komorach gazowych - i wymieniały je na twardą walutę, za którą Hitler kupował surowce potrzebne do napędzania maszyny wojennej. Wnioski profesora Jacobiego poruszyły cały kraj, a on sam został uznany za pariasa swojego narodu. Napisał, że Szwajcaria i nazistowskie Niemcy byli sprzymierzeńcami pod każdym względem, różniąc się jedynie nazwą. Hitler nie zdołałby kontynuować wojny bez pomocy szwajcarskiej finansjery i rekinów przemysłu zbrojeniowego. Gdyby nie Szwajcaria, Wehrmacht poddałby się jesienią 1944 roku. Chciwość bankierów sprawiła, że zgasły miliony istnień ludzkich.

Niedługo po publikacji Mitu życie profesora Jacobiego w Szwajcarii stało się niesłychanie uciążliwe. Grozono mu śmiercią. Podслуchiwano rozmowy telefoniczne. Każdy jego krok śledzili

funkcjonariusze szwajcarskich służb bezpieczeństwa. W obawie o własne życie profesor opuścił katedrę w Lozannie i podjął pracę na Wydziale Historii Uniwersytetu Lyońskiego.

Przez pół dnia Gabriel usiłował wytropić profesora.

Na jego automatycznej sekretarce w domu zostawił dwie wiadomości, a kolejne dwie przekazał wyjątkowo niezycziwej kobiecie w sekretariacie uniwersytetu. O wpół do drugiej Jacobi oddzwonił na komórkę Gabriela, żeby wyrazić zgodę na spotkanie.

- Proszę przyjść do mojego mieszkania jeszcze dziś, o szóstej - zaproponował. - Wtedy porozmawiamy. - Potem szybko podał adres i natychmiast się rozłączył. Gabriel zyskał kilka wolnych godzin. W księgarni nieopodal uniwersytetu znalazł francuskojęzyczny egzemplarz Mitu i przez resztę popołudnia czytał książkę w towarzystwie studentów okupujących kawiarnię przy Place des Terreaux.

O szóstej profesor czekał na klatce schodowej apartamentowca przy rue Lanterne. Miał na sobie wytartą marynarkę tweedową; nogawki spodni były ściągnięte spinaczami, aby materiał nie wplątywał się w łańcuch rowerowy. Okulary nasunął na rozczochrane, siwe włosy.

- Witam na wygnaniu - rzekł i zmęczonym krokiem ruszył na górę, do mieszkania na trzecim piętrze. - My, Szwajcarzy, cenimy wolność słowa, pod warunkiem, że nikt nie krytykuje Szwajcarii. Popełniłem śmiertelny grzech dobrego Szwajcara i oto jestem tu, w połączanej klatce Lyonu.

Na korytarzu przed własnymi drzwiami profesor przez dłuższą chwilę przetrząsał torbę pełną kartek papieru i podniszczonych notatników, aż wreszcie znalazł klucze. Weszli do małego, skromnie urządzonego mieszkania. Każdy skrawek wnętrza był zavalony stosami książek, dokumentów i gazet. Gabriel się uśmiechnął. Trafił we właściwe miejsce.

Jacobi zamknął drzwi i powiesił torbę na klamce.

- A zatem chciałby pan porozmawiać o morderstwie Augustusa Rolfe? Tak się składa, że dość uważnie śledzę tę sprawę.

- Tak właśnie przypuszczałem. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się wymienić spostrzeżeniami.

- Czy pan także jest historykiem, panie Allon?

- Właściwie zajmuję się konserwacją dzieł sztuki, lecz w tej sprawie pracuję dla rządu Izraela.

- No, no... Czeką nas niezwykle interesujący wieczór. Proszę zdjąć rzeczy z tego krzesła i się rozgościć. Ja w tym czasie zaparzę kawę.

Profesor Jacobi spędził kilka minut na przeszukiwaniu stert papierów, aby w końcu wydobyć z nich rozczarowująco cienką teczkę Augustusa Rolfe.

- Herr Rolfe był bankierem i pracował na własny rachunek... obawiam się, że pod każdym względem. To, co mogę panu przekazać, to jedynie pogłoski i domysły.

- Niejednokrotnie przekonywałem się, że w plotkach krążących na temat danej osoby było wiele prawdy.

- Kiedy w grę wchodzi szwajcarski finansista, zwłaszcza z sektora prywatnego, jak Augustus Rolfe, pogłoski to niekiedy najlepsze źródło informacji, na jakie można liczyć. - Profesor zsunął okulary na koniec nosa i otworzył teczkę. - W Zurychu funkcjonują zarówno bardzo małe, jak i ogromne prywatne banki. Giganty typu Union Bank of Switzerland czy Credit Suisse mają oddziały wyspecjalizowane w prywatnej bankowości, przeznaczonej wyłącznie dla najbogatszej klienteli.

- Jak bardzo bogatej?

- Minimalny depozyt to zwykle pięć milionów dolarów. Powiada się, że agencje wywiadowcze z pana ojczyzny korzystają z usług prywatnej bankowości Credit Suisse. - Profesor zerknął na Gabriela znad papierów. - No, ale z pewnością panu nic na ten temat nie wiadomo.

Gabriel zbył milczeniem tę uwagę.

- Z tego co wiem, Augustus Rolfe podpadał pod tę pierwszą kategorię.

- Zgadza się. Bank Rolfego był mały: oprócz właściciela pracowało w nim może ze sześć osób. Jeśli ktoś chciał ukryć pieniądze i cenne przedmioty w Szwajcarii, Augustus Rolfe służył pomocą. Należał do najdyskretniejszych i najbardziej wpływowych bankierów w Zurychu. Miał wysoko postawionych przyjaciół. Właśnie dlatego to morderstwo tak bardzo mnie zastanawia.

- Co jeszcze pan o nim wie?

- Kontrolę nad rodzinną firmą przejął po ojcu na początku lat trzydziestych, w niezbyt sprzyjającym momencie dla szwajcarskich banków. Na świecie szalał kryzys, Niemcy ogarnęło szaleństwo, a skutki kryzysu monetarnego w Austrii dawały się odczuć w Zurychu. Szwajcarskie banki padały jeden po drugim jak kostki domina. Wiele prywatnych banków nie miało wyboru: trzeba się było przyłączyć do silniejszych rywali, aby przetrwać. Rolfe również stał na krawędzi bankructwa, ale, co prawda z wielkim trudem, przetrwał najgorsze lata.

Jacobi poślinił czubek palca i przewrócił stronę.

- Potem w Niemczech doszedł do władzy Hitler i zaczął utrudniać Żydom życie. Żydowskie pieniądze i kosztowności przepłynęły do prywatnych banków w Zurychu, także do Rolfego.

- Czy to jest fakt historyczny?

- Jak najbardziej. Augustus Rolfe otworzył ponad dwieście rachunków osobistych dla niemieckich Żydów.

Jacobi przerzucił jeszcze kilka kartek.

- I w tym miejscu kończą się rzetelne informacje, a zaczynają plotki. Pod koniec lat trzydziestych w Zurychu pojawili się agenci gestapo, szukający żydowskich pieniędzy, które wywieziono z Niemiec i zdeponowano w szwajcarskich bankach. Krążą pogłoski, że Rolfe współpracował z gestapo, łamiąc szwajcarskie prawa bankowe i ujawniając rachunki żydowskie swojego banku.

- Czemu tak postąpił?

- Podzielić się z panem moją teorią?

- Jasne.

- Bo dobrze wiedział, że pieniądze pozostawione przez Żydów to drobiazg w porównaniu z bogactwem, jakie na niego spłynę, jeśli podejmie współpracę z nazistowskimi Niemcami.

- Czy istnieją dowody świadczące o tym, że nawiązał taką współpracę?

- Owszem - potwierdził Jacobi, unosząc brwi. - Faktem jest, że Augustus Rolfe przez całą wojnę często jeździł do Niemiec.

- Z kim się tam spotykał?

- Nie wiadomo, ale jego wyprawy okazały się tak podejrzane, że po wojnie wszczęto śledztwo w jego sprawie.

- Na czym ono stanęło?

- Na niczym. Rolfe ponownie wtopił się w świat zuryjskiej finansjery i dość szybko o nim zapomniano: aż do wydarzenia sprzed tygodnia, rzecz jasna, kiedy ktoś złożył mu wizytę w jego willi na Zurichbergu i wpakował kulkę w łeb.

Jacobi zamknął teczkę i wbił wzrok w Gabriela.

- Czy teraz pan zechciałby podjąć opowieść, panie Allon?

Gdy Gabriel skończył, profesor Jacobi przez dłuższy czas czyścił okulary za pomocą krawata. Potem nasunął je na czoło i dolał sobie kawy.

- Mam wrażenie, że otacza pana silna zmowa milczenia.

- Co pan ma na myśli?

- Za każdym razem, kiedy ma pan do czynienia ze Szwajcarią, musi pan pamiętać o jednym: to nie jest prawdziwy kraj. To jeden wielki interes i kieruje się nim tak jak firmą. Ponadto ten interes cały czas używa taktyki obronnej. Szwajcaria funkcjonuje tak od siedmiuset lat.

- Jaki to ma związek ze sprawą morderstwa Rolfego?

- W Szwajcarii są ludzie, którzy mogą bardzo wiele stracić, jeśli wyjdą na jaw ich grzechy z przeszłości, a kanały ściekowe Bahnhofstrasse zostaną należycie przepłukane. Ci ludzie są niczym niewidzialny rząd i nie należy ich lekceważyć. Właśnie dlatego mieszkam tutaj, a nie w Lozannie. Jeśli zdecyduje się pan na tropienie tej sprawy, musi pan bardzo zadbać o własne bezpieczeństwo.

Dziesięć minut później Gabriel schodził po schodach, ze swoim egzemplarzem Mitu pod pachą. Przed wyjściem na ulicę przystanął i otworzył książkę - na stronie tytułowej profesor zapisał tylko kilka słów:

“Niech pan się strzeże zuryskich gnomów. Emil Jacobi”.

Właśnie takie ujęcie Gabriela pojawiło się na fotografii, zrobionej cyfrowym aparatem z teleobiektywem przez mężczyznę stojącego w oknie jednego z mieszkań w bloku po drugiej stronie ulicy. Ten sam człowiek godzinę wcześniej sfotografował Gabriela wchodzącego do budynku. Fotografii nie były konieczne, mężczyzna robił je wyłącznie z nawyku zawodowego. Cała rozmowa Allona z Emilem Jacobim została wychwycona przez dwa czułe nadajniki, które pół roku wcześniej ten sam mężczyzna zainstalował w mieszkaniu profesora. Gdy Allon odchodził, artysta inwigilacji pstryknął jeszcze kilka zdjęć. Potem usiadł przed magnetofonem i odsłuchał nagranie. Po półgodzinnej, intensywnej pracy sporządził pełny zapis rozmowy. Następnymi dziesięć minut poświęcił na sprawdzanie dokładności sprawozdania. Wreszcie zaszyfrował je i wysłał bezpiecznym mailem do Zurychu wraz ze zdjęciami Allona.

Pół minuty później informacje ukazały się na monitorze komputera Gerhardta Petersona, który natychmiast podniósł słuchawkę telefonu, aby zażądać pilnego spotkania z Herr Gesslerem. Gerhardt Peterson nie przepadał za Emilem Jacobim, podobnie jak Herr Gessler. Jednoosobowa krucjata Jacobiego przeciwko finansowym oligarchom Szwajcarii stała się zbyt męcząca i kosztowna. Obydwaj mężczyźni zgodnie stwierdzili, że nadeszła pora, by rozprawić się z kłopotliwym profesorkiem.

Następnego ranka, przed wyjściem do biura, Gerhardt Peterson w zaciszu swojego gabinetu przeprowadził rozmowę telefoniczną: nie trwała dłużej niż dwie minuty. Los Emila Jacobiego, sumienia Szwajcarii, został przesądzony podczas operacji przelania dwustu tysięcy dolarów na rachunek osobisty w Genewie, kontrolowany przez Antona Orsatiego. Gerhardt Peterson uznał to posunięcie za jak najbardziej stosowne.

22

Costa de Prata, Portugalia

Kiedy następnego dnia przed południem Gabriel przybył do willi Anny Rolfe, z zadowoleniem skonstatował, że pilnuje jej co najmniej czterech mężczyzn: jeden przy bramie, drugi przy winnicy, trzeci na linii drzew, a czwarty, przykucnięty, na wzgórzu. Rami, małomówny ochroniarz Shamrona, osobiście ich nadzorował. Powitał Gabriela na podjeździe. Gdy ten spytał, jak Anna radzi sobie z ochroną, Rami przewrócił oczyma: Wkrótce sam się przekonasz.

Wszedł do willi i podążył na piętro, tam skąd dobiegały dźwięki skrzypiec Anny. Zapukał do drzwi pokoju ćwiczeń i wkroczył do środka, nie czekając na pozwolenie. Odwróciła się, zbulwersowana faktem, że ktoś jej przeszkadza, a następnie nawrzeszczała na niego za przekształcenie jej domu w warowny obóz. Gdy krzyki się natężyły, Gabriel opuścił wzrok i dotknął palcami bandaży. Materiał przesiąkł krwią. Anna także to zauważyła. Natychmiast umilkła i bez słowa zaprowadziła go do swojej sypialni, aby mu zmienić opatrunek. Nie potrafił się oprzeć pokusie i nie odrywał od niej oczu, kiedy się nim zajmowała. Miała wilgotną skórę u nasady szyi; struny skrzypiec pozostawiły cienkie rowki w koniuszkach palców jej lewej dłoni. Była piękniejsza, niż to zapamiętał.

- Dobra robota - pochwalił, oglądając gotowe dzieło.

- Trochę się znam na bandażowaniu dłoni, panie Allon. Ma pan mi coś do powiedzenia w sprawie mojego ojca, prawda?

- Chwilowo to jest więcej pytań niż odpowiedzi. I proszę mi mówić po imieniu.

Uśmiechnęła się.

- Mam pomysł, Gabriel.

Do nylonowego plecaka Anna zapakowała lunch, składający się z chleba, sera i kurczaka na zimno. Dołożyła jeszcze schłodzoną butelkę wina, którą owinęła wełnianym kocem. Rami przydzielił Gabrielowi beretę oraz dwóch ochroniarzy o chłopięcym wyglądzie. Gdy znaleźli się na cienistych ścieżkach sosnowego lasu, w towarzystwie przyzwoitek Ramiego, Gabriel opowiedział Annie o tym, co się zdarzyło w Paryżu. Nie wspomniał jednak o rozmowach z Julianem Isherwoodem i Emilem Jacobim. Te szczegóły mogły poczekać.

Drzewa się przerzedziły, a spoza nich wyjrzały ruiny, przyczajone na stromym zboczu wzgórza. Na granitowy głaz wskoczyła dzika koza, by po chwili zniknąć w kolcolistach. Gabriel zarzucił plecak na ramię i ruszył za Anną w górę ścieżki.

Patrząc, jak mięśnie jej nóg naprężają się przy każdym kroku, pomyślał o Leah. Spacerowali w podobny jesienny dzień jak ten, z tym że dwadzieścia pięć lat wcześniej, po wzgórzach Golan, a ich celem były ruiny zamku krzyżowców. Leah malowała. Gabriel właśnie powrócił z Europy: pragnienie tworzenia opuściło go, przegnane przez duchy ludzi, których zabił. Zostawił Leah przy sztalugach i wspinał się na szczyt wzgórza. Wyżej widniały fortyfikacje obronne, zbudowane wzdłuż granicy syryjskiej, niżej zaś Górna Galilea oraz wzgórza południowego Libanu. Pogrążony w rozmyślaniach, nie usłyszał nadchodzącej Leah.

- I tak przyjdą, Gabriel. Możesz tu siedzieć i patrzeć do końca życia, ale i tak przyjdą.

Nie spoglądając na nią, odparł:

- Gdybym kiedyś mieszkał tutaj, w Górnej Galilei, a potem musiał znaleźć się tam, w libańskim obozie, też bym przyszedł.

Łopot koca rozkładanego przez Annę wyrwał go z zamyślenia. Rozpostarła koc na oświetlonej słońcem trawie, podobnie jak Leah tamtego dnia... Gabriel z namaszczeniem otworzył butelkę wina. Obserwatorzy Ramiego zajęli stanowiska: jeden na szczycie ruin, drugi na ścieżce poniżej. Kiedy Anna dzieliła kurczaka, Gabriel pokazał jej fotografię mężczyzny, który zostawił w galerii bombę.

- Widziałas go kiedyś?

Pokręciła głową. Gabriel odłożył fotografię.

- Muszę wiedzieć więcej o twoim ojcu.

- Co na przykład?

- Wszystko, co może mi pomóc w odkryciu prawdy: kto go zabił i ukradł obrazy.

- Gabriel, mój ojciec był bankierem. Znam go jako człowieka, ale prawie nic nie wiem o jego pracy.

- Więc opowiedz mi o nim.

- Od czego mam zacząć?

- Od jego wieku. Ty masz trzydzieści osiem lat?

- Trzydzieści siedem!

- Twój ojciec miał osiemdziesiąt dziewięć. To spora różnica.

- Łatwo ją wyjaśnić. Zanim ożenił się z moją matką, był związany z inną kobietą. Podczas wojny zmarła na gruźlicę. Matkę poznał dziesięć lat później. Była utalentowaną pianistką. Mogła grać zawodowo, lecz ojciec nie chciał o tym słyszeć. W jego opinii muzycy tylko nieznacznie różnili się od ekshibicjonistów. Niekiedy zastanawiam się, co połączyło moich rodziców.

- Miał dzieci z pierwszego małżeństwa?

Anna pokręciła głową.

- A samobójstwo twojej matki?

- To ja znalazłam jej zwłoki... - Umilkła na chwilę. - Czegoś takiego nie sposób zapomnieć. Potem ojciec nam powiedział, że w przeszłości cierpiała na depresję. Ogromnie kochałam matkę. Byłyśmy sobie wyjątkowo bliskie. Ona wcale nie popadała w depresję. Nie przyjmowała żadnych lekarstw, nie opiekował się nią psychiatra. Była humorzystą choleryczką, ale nie należała do kobiet gotowych popełnić samobójstwo bez powodu. Coś skłoniło ją do odebrania sobie życia. Lub ktoś. Tylko mój ojciec potrafiłby to wyjaśnić, lecz nigdy tego nie uczynił.

- Zostawiła list pożegnalny?

- W trakcie dochodzenia ustalono, że żadnego listu nie było. Ja jednak widziałam, że ojciec wyjmował z jej rąk coś, co wyglądało jak list pożegnalny. Nie pokazał mi go i najwyraźniej nie przekazał go także policji.

- A co ze śmiercią twojego brata?

- To się zdarzyło rok później. Ojciec chciał, aby mój brat podjął pracę w banku i kontynuował rodzinne tradycje, lecz Max wolał wyścigi rowerowe. Należał do najlepszych szwajcarskich kolarzy, a także do ścisłej czołówki europejskich zawodowców. Zginął w wypadku podczas wyścigu dookoła Szwajcarii. Ojciec był załamany, ale myślę, że jednocześnie trochę mu ulżyło, bo uznał, że Maksa spotkała kara za sprzeciwianie się jego woli.

- A ty?

- Zostałam z nim sama. Odeszło dwoje najbliższych mi, najukochańszych ludzi, skazując na życie z człowiekiem, który budził moją nienawiść. Rzuciłam się w wir pracy. Cały czas grałam na skrzypcach. To najwyraźniej zadowalało i mnie, i jego. Bo wtedy nie musiał na mnie zwracać uwagi. Mógł się zajmować tym, co najbardziej lubił.

- Czyli?

- Zarabianiem pieniędzy, rzecz jasna. Uważał, że bogactwo go rozgrzesza. Dureń. Od początku mówiono mi, że gram z pasją. Ludzie nie mieli pojęcia, że ta pasja jest podsycana nienawiścią i bólem.

Gabriel ostrożnie poruszył następny temat.

- Wiesz coś o tym, co twój ojciec robił w czasie wojny?

- Co robił? Ciekawe pytanie. Nagle zainteresowałaś się jego wojenną przeszłością?

- Po prostu chciałbym wiedzieć, czy w przeszłości twojego ojca kryje się coś, co mogło doprowadzić do morderstwa.

- Podczas II wojny światowej ojciec był bankierem i pracował w Szwajcarii - odparła z wyraźną niechęcią w głosie. - To nie musi oznaczać, że był potworem. I szczerze mówiąc, zupełnie nie wiem, co robił w czasie wojny. Nigdy z nami o tym nie rozmawiał.

Gabriel przypomniał sobie informacje, jakie przekazał mu Emil Jacobi w Lyonie: częste wyjazdy Rolfego do nazistowskich Niemiec, pogłoski o jego związkach z agentami gestapo. Czyżby Rolfe naprawdę zataił te fakty przed własną córką? Gabriel postanowił podrażnić temat nieco głębiej, choć delikatnie.

- Ale masz pewne podejrzenia, prawda? Nigdy nie zabrałabyś mnie do Zurychu, gdybyś nie miała wątpliwości związanych z przeszłością ojca.

- Wiem tylko jedno: moja matka wykopała sobie grób, weszła do niego i się zastrzeliła. Zrobiła to z nienawiści i żądzy zemsty. Miała konkretne powody, aby odebrać sobie życie.

- Czy on bardzo cierpiał?

Bezpośredniość tego pytania wyraźnie ją zaskoczyła. Nagle podniosła wzrok, jakby poczuła ukłucie.

- Mój ojciec?

Gabriel skinął głową.

- Tak... Mój ojciec cierpiał.

Gdy zjedli, Gabriel rozlał resztkę wina do kieliszków i spytał Annę o świadectwa pochodzenia obrazów.

- Są zamknięte w biurku mojego ojca, w jego gabinecie.
- Obawiałem się, że to powiesz.
- Dlaczego chcesz je zobaczyć?
- Muszę przyjrzeć się ich poprzednim właścicielom. Znając pochodzenie płócien, może będę mógł wywnioskować, kto je ukradł i dlaczego zamordowano twojego ojca.
- Niewykluczone też, że nie dowiesz się niczego. Pamiętaj o jednym: ojciec kupił te obrazy całkowicie legalnie. Należały do niego, bez względu na to, co znajdziesz w dokumentach.
- Mimo to chciałbym je przejrzeć.
- Pokażę ci, gdzie leżą.
- Niezupelnie. Powiesz mi, gdzie leżą, a ja po nie pojedę i je przywiozę. Teraz nie możesz zjawić się w Zurychu.
- Czemu?
- Bo to niebezpieczne. I w ten sposób dotarliśmy do naszego następnego tematu.
- Mianowicie?
- Chodzi o twój recital w Wenecji.
- Nie odwołam go.
- Chwilowo występy publiczne są dla ciebie niebezpieczne.
- Nie mam wyboru. Jeśli nie dotrzymam tego zobowiązania, moja kariera legnie w gruzach.
- Ludzie, którzy zabili twojego ojca, jasno dali do zrozumienia, że zrobią wszystko, abyśmy ich nie zidentyfikowali. Innymi słowy, ty także jesteś zagrożona.
- Zatem musisz zapewnić mi ochronę, bo i tak wystąpię w przyszłym tygodniu i żadna siła mnie nie powstrzyma.

Nad morzem pojawiły się ciężkie, ołowiane chmury, pędzące w stronę lądu. Wzmógł się chłodny wiatr, wypełniając jękami ruiny. Anna nagle zadrżała z zimna; skrzyżowawszy ręce na piersiach, zapatrzyła się w morze. Gabriel pobierał ich rzeczy i zaczęli schodzić z pogrążonego w szarości wzgórza. Ich śladem podążyli dwaj cisi strażnicy. Gdy dotarli do skraju sosnowego lasu, lunęło.

- Za późno! - Anna usiłowała przekrzyknąć dudnienie spadających kropli wody. - Musimy przeczekać.

Pociągnęła Gabriela pod rozłożystą sosnę.

- Przede wszystkim trzeba zabezpieczyć przed deszczem twój opatrunek - oświadczyła, a w jej głosie zadźwięczała nuta troski.

Wyjęła z kieszeni plecaka ortalionową kurtkę z kapturem i narzuciła ją sobie i Gabrielowi na głowę. Przez następnych dwadzieścia minut kulili się pod nią niczym para uchodźców, ochroniarze Ramiego zaś stali w milczeniu u ich boku niczym wartownicy. Podczas tego przymusowego postoju Anna przekazała Gabrielowi kody bezpieczeństwa do willi i poinformowała go, gdzie powinien szukać dokumentacji obrazów. Gdy deszcz wreszcie ustał, obwiązała kurtką ręce Gabriela i ostrożnie ruszyli mokrą ścieżką ku willi. Przed główną bramą Gabriel oddał Annę pod opiekę Ramiego i wsiadł do samochodu. Odjeżdżając, po raz ostatni obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak Anna Rolfe biegnie za Ramim po podjeździe i wrzeszczy:

- Pif, paf! Rami, nie żyjesz!

23

Lizbona

Motzkinowi podobało się w Lizbonie. Pracował już w najwspanialszych miastach. Był w Londynie, Paryżu i Brukseli. Spędził pełen napięcia rok w Kairze jako dziennikarz gazety

wydawanej w Ottawie. W Lizbonie ostatnio nic się nie wydarzyło i Motzkinowi to niezwykle odpowiadało. Stara, dobra inwigilacja, trochę przypominająca nawiązywanie kontaktu. Akurat na tyle ciekawa, aby nie oszaleć z bezczynności. Miał czas na książki i znaczki, a także na długie sjesty ze swoją dziewczyną w Alfamie.

Właśnie od niej wrócił, kiedy cicho zabrzączał telefon na jego biurku. Motzkin podniósł słuchawkę. O tej porze Ari Shamron zwykle wystawiał głowę z kryjówki i utrudniał życie swoim ludziom. Na szczęście nie był to Shamron, tylko strażnik z holu. Przyszedł gość, ktoś, kto znał Motzkiną z nazwiska.

Motzkin odłożył słuchawkę i wyświetlił na monitorze komputera obraz z kamery zainstalowanej w holu. Do biura często przychodzili nieumówieni ludzie najrozmaitszej proveniencji. Najczęściej wystarczał rzut oka, aby się przekonać, czy daną osobę powinno się wpuścić, czy też stanowczo odprowadzić do drzwi.

- A niech mnie... - wymamrotał Motzkin, gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie gościa. Oto ujrzał żywą legendę, która wchodziła do ambasady, wyglądając jak ostatnie nieszczęście. Z tego, co Motzkin jeszcze niedawno słyszał o tym człowieku, wynikało, że zaszył się w jakimś angielskim domku, otoczony obrazami i demonami przeszłości. - A niech mnie... - powtórzył, schodząc po schodach. - To naprawdę ty?

W pokoju telekomunikacyjnym Motzkin nawiązał bezpieczną łączność z gabinetem Shamrona przy Bulwarze Króla Saula. Potem zamknął dźwiękoszczelne drzwi i przypatrywał się Gabrielowi przez szybę. Rozmowa nie należała do przyjemnych; przynajmniej co do tego Motzkin nie miał wątpliwości. Trzeba jednak pamiętać, że w Biurze tylko nieliczni uniknęli potyczki ze starym, a bitwy Shamrona z wielkim Gabrielem Allonem były chlebem powszednim instytucji. Dwadzieścia minut później poszarzały na twarzy Gabriel rzucił słuchawkę i wyszedł z pokoju.

- W ciągu pół godziny stary prześle raport. Potrzebuję kilku rzeczy.

Motzkin zabrał go na piętro i dał mu czas na prysznic i zmianę odzieży. Potem zarezerwował bilety lotnicze, zamówił samochód i wręczył Gabrielowi dwa tysiące dolarów z funduszu na niespodziewane wydatki.

Kiedy powrócili do pokoju telekomunikacyjnego, z faksu wysuwał się już raport. Sporządził go wydział badań Biura, na podstawie informacji uzyskanych dzięki współpracy z wywiadami brytyjskim i francuskim.

Raport dotyczył pewnego mężczyzny. Nazywał się Christopher Keller.

Gabriel zasiadł do lektury.

Urodził się w Londynie, jako jedyny syn znanych lekarzy z Harley Street. Christopher Keller już w dzieciństwie wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że nie zamierza iść w ślady rodziców. Miał obsesję na punkcie historii, zwłaszcza wojskowości, i pragnął zostać żołnierzem. Rodzice zabronili mu jednak wstępować do szkoły wojskowej, a on był posłuszny ich woli, przynajmniej przez pewien czas. Rozpoczął studia w Cambridge, wybierając historię i języki orientalne. Należał do najlepszych studentów. Na drugim roku w jego zachowaniu zaszła zmiana: stawał się coraz bardziej niespokojny, aż w końcu którejś nocy zniknął bez śladu. Kilka dni później objawił się w domu ojca w Kensington - obcięty na zapałkę, w mundurze polowym koloru khaki. Keller wstąpił do brytyjskiej armii.

Po szkoleniu podstawowym skierowano go do pułku piechoty; jego wybitny intelekt, predyspozycje fizyczne i natura samotnego wilka dość szybko odseparowały go od rówieśników. W niedługim czasie zainteresowało się nim biuro rekrutacyjne brytyjskich jednostek specjalnych SAS. Urzędnik, który odwiedził Kellera, zapoznał się dokładnie z jego teczką i odbył rozmowę z przełożonymi. Kellera zaproszono do kwatery głównej SAS w Hereford, na wstępny kurs szkoleniowy.

Wyróżniał się od samego początku. Jego instruktorzy na kursie walki wręcz napisali, że nigdy nie widzieli człowieka tak obdarzonego instynktowną zdolnością odbierania ludziom życia. W “domu śmierci” - niesławnym miejscu, w którym rekruci ćwiczyli walkę bezpośrednią, odbijanie zakładników i antyterrorystyczne techniki “oczyszczania pomieszczeń” - Keller uzyskiwał wyniki najwyższe z możliwych. Ostatniego dnia kursu przeniósł dwudziestopięciokilogramowy plecak i pięciokilogramowy pistolet maszynowy na odległość ponad sześćdziesięciu kilometrów przez smagane wiatrem wrzosowiska Brecon Beacons. Dość powiedzieć, że podczas tego sprawdzianu wytrzymałościowego niejeden stracił życie. Keller zakończył wyprawę w czasie o pół godziny krótszym niż dotychczasowy rekordzista. Przyjęto go do jednostki i przydzielono do zmotoryzowanej kompanii Sabre, specjalizującej się w walkach pustynnych.

Wtedy w jego karierze nastąpił gwałtowny zwrot. Na scenie pojawił się kolejny człowiek, tym razem z wywiadu wojskowego. Poszukiwał odpowiedniego żołnierza do bezpośredniej obserwacji i innych zadań specjalnych na terenie Irlandii Północnej. Werbownik zauważył, że uzdolnienia językowe Kellera są zdumiewające, podobnie jak umiejętność improwizacji i szybkiego myślenia w trakcie działania. Czy Keller był zainteresowany? Jeszcze tego samego wieczoru spakował się i przeniósł z Hereford do tajnej bazy w górach Szkocji.

Podczas szkolenia Keller ujawnił swój niezwykły dar. Przez wiele lat brytyjskie służby bezpieczeństwa i wywiadu borykały się z problemem niezliczonych akcentów mieszkańców Irlandii Północnej. Wojujące społeczności w Ulsterze potrafiły się identyfikować wyłącznie na podstawie sposobu wymowy. Akcent katolików z zachodniego Belfastu jest inny niż wymowa protestantów z tego samego rejonu. Akcent Upper Falls Road różni się od Lower Falls. Kilka słów wypowiedzianych z takim czy innym akcentem mogło przesądzić o życiu lub strasznej śmierci mówiącego. Keller posiadał zdolność doskonałego naśladowania intonacji. Potrafił nawet błyskawicznie zmieniać akcent: w jednej chwili mówił jak katolik z Armagh, w następnej udawał protestanta z Shankill Road w Belfaście, a na koniec znowu katolika, choć tym razem z osiedla Ballymurphy. Pracował tam ponad rok, tropiąc członków IRA i wychwytyjąc cenne informacje z krążących po mieście plotek. Działał samotnie, przy minimalnym nadzorze swojego bezpośredniego przełożonego w wywiadzie wojskowym.

Jego zadanie w Irlandii Północnej nagle dobiegło końca, kiedy pewnej nocy porwano go w zachodnim Belfaście i wywieziono do położonego na odludziu domu w Armagh. Tam został oskarżony o działalność szpiegowską na rzecz Brytyjczyków. Keller musiał uciekać. Zanim jednak wydostał się z farmy, zabił czterech zaprawionych w bojach terrorystów z Provisional IRA. Dwóch z nich praktycznie rozczłonkował.

Keller wrócił do Hereford na długi odpoczynek. W tym czasie prowadził forsowne treningi na Brecon Beacons i szkolił nowych rekrutów w sztuce bezszelestnego zabijania. Jego dowódcy oraz psychologowie jednostki nie mieli jednak złudzeń: Belfast odmienił Kellera.

W sierpniu 1990 roku Saddam Husajn najechał na Kuwejt. Pięć miesięcy później jednostka Kellera przemierzała zachodnie pustynie Iraku w poszukiwaniu wyrzutni rakiet Scud, które siały postrach w Tel Awiwie. W nocy 28 stycznia Keller i jego towarzysze zlokalizowali na pustyni wyrzutnię oddaloną o sto sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Bagdadu. Keller przesłał współrzędne celu dowódcom w Arabii Saudyjskiej. Półtorej godziny później nadleciała eskadra myśliwców bombardujących koalicji i z małej wysokości omyłkowo przypuściła atak na oddział SAS zamiast na wyrzutnię Scud. Brytyjskie władze oświadczyły, że zginęli wszyscy żołnierze jednostki, chociaż nie zdołano tego jednoznacznie potwierdzić.

To, co się działo później, to tylko domysły, oparte na doniesieniach wywiadu. Kilka miesięcy po katastrofie na irackiej pustyni w Europie zaczął działać nowy morderca. Informatorzy policji wspominali o człowieku znanym jedynie pod pseudonimem “Anglik”. Nikt nie potrafił powiedzieć nic więcej ani podać konkretnego rysopisu. Tajemniczy skrytobójca był już wtedy podejrzewany o popełnienie co najmniej dwudziestu niewyjaśnionych zbrodni. Brytyjski wywiad przypuszczał, że Christopher Keller i Anglik to jedna i ta sama osoba.

Na końcu wydruku zamieszczono dwa zdjęcia. Pierwsze z nich zrobił Gabriel: przedstawiało mężczyznę wchodzącego do galerii w Paryżu. Na drugim widniała grupa mężczyzn na wrzosowisku. Jedna z twarzy była obwiedziona kółkiem. Gabriel długo porównywał obydwa oblicza, po czym sięgnął po telefon i wykręcił numer Shamrona w Tel Awiwie.

- Mam dziwne przeczucie, że już kiedyś spotkałem tego człowieka. - Spodziewał się, że Shamron na jego słowa zareaguje zdziwieniem, lecz on nakazał mu pozostać przy faksie i odłożył słuchawkę.

W 1988 roku Gabriel Allon przeprowadził jedną z najwyżej cenionych operacji w historii izraelskiego wywiadu: zabił pierwszego zastępcę OWP, Abu Dżihada. Wcześniej kierował długą i niebezpieczną akcją obserwacyjną pewnego palestyńskiego domu w Tunisie, a w makiecie budynku na pustyni Negew szkolili zespół zabójców. Potem, ciepłą kwietniową nocą, wprowadził do prawdziwego budynku drużynę komandosów Sayaret i zastrzelił Abu Dżihada na oczach jego żony i dzieci. Kiedy teraz wracał myślami do tamtej nocy, wciąż czuł na sobie ich nienawistne spojrzenia.

Półtora roku później grupa agentów brytyjskiego wywiadu i oficerów SAS, walczących z terrorystami IRA, przybyła do Tel Awiwu, aby poznać techniki walki stosowane przez Izraelczyków. Ari Shamron wezwał do siebie Gabriela i zlecił mu wygłoszenie - podczas oficjalnego lunchu - wykładu o operacji w Tunisie. W gronie słuchaczy zasiadał pewien porucznik SAS.

Z faksu wysunęła się kartka ze zdjęciem. Wykonano je po lunchu, uświetniającym zacieśnienie współpracy między tajnymi służbami obydwu państw. Gabriel, jak zawsze niechętny wszelkim fotografiom, włożył okulary przeciwsłoneczne i kapelusz z rondem, by ukryć swą tożsamość. Mężczyzna stojący obok niego patrzył prosto w obiektyw aparatu. Gabriel utkwiał wzrok w twarzy Anglika.

Zdjęcie przedstawiało Christophera Kellera.

24

Monachium - Zurych

W Monachium przy wyjściu dla pasażerów czekał na Gabriela posłaniec. Miał włosy w kolorze karmelu; w dłoni trzymał tabliczkę z napisem: "Pan Kramer - Heller Enterprises". Gabriel podążył za nim przez terminal i parking, zasypany gęsto padającym śniegiem. Mężczyzna podszedł do granatowego mercedesa.

- W schowku leży beretta, a na tylnym siedzeniu porcja mostka cielęcego.
 - Pamiętajcie o wszystkim.
 - Żyjemy po to, aby służyć. - Wręczył Gabrielowi kluczyki. - Bon voyage.
- Dziesięć minut później Gabriel pędził autostradą E54 do Zurychu.

Szwajcarzy to ludzie wyjątkowo hermetyczni, a w dodatku obdarzeni niemal zwierzęcym instynktem natychmiastowego wyczuwania obcych. Informacje o wszystkim, co niezwykle, nawet o zupełnych błahostkach, od razu trafiają na policję. Obywatele Szwajcarii są tak czujni, że cudzoziemskie struktury wywiadowcze działające na terenie państwa traktują ich jak drugą służbę bezpieczeństwa. Gabriel doskonale o tym wiedział; wysiadł z samochodu i ruszył w stronę willi Augustusa Rolfego, starając się jak najmniej rzucić w oczy.

Przypomniał sobie przeprowadzoną przez Biuro, kilka lat wcześniej, operację założenia podsłuchu w lokalu domniemanego arabskiego terrorysty, mieszkającego w małym miasteczku pod Bernem. Jakaś staruszka zauważyła wywiadowców przed domem Araba i zatelefonowała na

policję, żeby donieść o grupie podejrzanych mężczyzn kręcących się w okolicy. Parę minut później wszystkich członków zespołu zatrzymano, a wpadkę wywiadu izraelskiego nagłośniono na cały świat.

Gabriel wspiął się po Rosenbuhlweg i stanął przed znajomą rezydencją z wieżyczkami i wysokim portykiem. Uliczką przejechał samochód, pozostawiając na ośnieżonej jezdni dwie czarne wstęgi.

Wystukał na klawiaturze systemu zabezpieczającego odpowiednią kombinację cyfr. Rozległ się dźwięk brzęczyka i odblokowywanej zasuwy. Po dwóch minutach Gabriel znalazł się wewnątrz willi Rolfego: przemierzał pograżony w mroku przedpokój, z latarką w jednej, a beretą w drugiej ręce.

Na korytarzu pierwszego piętra panowały kompletne ciemności. Gabriel oświetlał sobie drogę wąskim jak ołówek strumieniem światła latarki. Anna powiedziała, że gabinet jest po lewej, od strony ulicy, pierwsze drzwi za popiersiem. Przekręcił gałkę. Zamknięte. No jasne. Z kieszeni kurtki wyjął dwa małe metalowe przedmioty. Boże, ile czasu minęło? Akademia, sto lat temu. Był wtedy nowicjuszem, a Shamron stał nad nim przez cały czas i wykrzykiwał prosto w ucho: "Masz piętnaście sekund. Twój kolezdy zginą, jeśli nie otworzysz tych drzwi, Gabriel!".

Ukląkł, wsunął narzędzia do zamka i przystąpił do pracy, trzymając latarkę w zębach. Chwilę później zręczne manipulacje przyniosły spodziewany efekt: stary zamek dał za wygraną. Gabriel wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Pokój wypełniała woń dymu palonego drewna wymieszana z zapachem psiej sierści i tytoniu. Gabriel uniósł latarkę i omiół ściany nikłą wiązką światła. Słabe oświetlenie oznaczało, że musiał poznawać wnętrza partiami, metr po metrze. W kąciu wypoczynkowym stały osiemnastowieczne fotele, dalej dębowy stół pisarski z Flandrii, z epoki renesansu. Półki z książkami ciągnęły się od wypolerowanej podłogi do zwieńczonego ornamentem sufitu.

Biurko Augustusa Rolfego.

Ku zdziwieniu Gabriela, wcale nie wyglądało jak biurko wpływowej osoby. Panował na nim zorganizowany bałagan: rozrzucone stosy teczek, spłowiały skórzany notatnik, filiżanka do herbaty wypełniona spinaczami, sterta starych książek. Gabriel palcem wskazującym uniósł okładkę jednej z nich, a jego nozdrza owiał zapach wiekowego papieru i kurzu. Poświecił na stronę tytułową. Goethe.

Zamknął książkę i skierował światło na wielką popielnicę z rżniętego kryształu. W warstwie popiołu leżało kilkanaście niedopałków, rozsypanych niczym zużyte naboje. Przyjrzał się im uważnie: były to benson & hedges, z wyjątkiem trzech, na których widniał napis "Silk Cuts". Benson & hedges palił zapewne Augustus Rolfe, ale kto gustował w silk cuts? Anna? Nie, Anna zawsze sięgała po gitany.

Skoncentrował się na poszukiwaniu dokumentacji obrazów. Anna wyjaśniła, że Rolfe trzymał ją w prawej dolnej szufladzie biurka, w teczce z napisem "Korespondencja prywatna". Szuflada była zamknięta, podobnie jak drzwi do gabinetu. Tym razem jednak Gabriel dysponował odpowiednim kluczem. Wsunął szufladę i przewertował osobiste dokumenty Augustusa Rolfego.

W pewnej chwili natrafił na teczkę opatrzoną napisem "Maximilian". Ujął ją w palce, a potem się zawahał. Czy miał prawo grzebać w tych papierach? Postąpić jak zwykły podglądacz? Zupełnie jakby podczas wieczornego spaceru po mieście zajrzał przez oświetlone okno do cudzego mieszkania i dostrzegł kłócącą się parę. Albo staruszka zapatrzona w telewizor. Co mogła ujawnić teczka? Jakie informacje o synu przechowywał zamordowany mężczyzna? Czego Gabriel mógłby się dowiedzieć o Augustusie Rolfe?

Wyciągnął ją jednak i otworzył. Zdjęcia, wycinki ze stron sportowych europejskich pism, wspomnienia autorstwa kolegów z zespołu, długi artykuł o wypadku rowerowym w Alpach, zamieszczony w jednej z zuryskich gazet: "«Był dobrym człowiekiem i z dumą nazywałem go swoim synem», stwierdził Augustus Rolfe, znany zuryski bankier, w oświadczeniu przedstawionym przez swojego prawnika". Starannie złożone kartki, precyzyjnie oznaczone datami

i opisane. Gabriel uznał, że Augustus Rolfe mógł się nie zgadzać z podjętą przez syna decyzją o wyborze zawodu, lecz był z niego dumny.

Zamknął teczkę, wsunął ją na właściwe miejsce i powrócił do poszukiwań "Korespondencji prywatnej". Jego uwagę przykuła inna teczka, tym razem z napisem "Anna". Znowu się zawahał, zanim wyciągnął ją spośród pozostałych. W środku znalazł zdjęcia Anny grającej na skrzypcach, zaproszenia na recitale i koncerty, wycinki z gazet, recenzje koncertów i płyt. Dokładnie obejrzał fotografie. Nie ulegało wątpliwości, że dzieliły się na dwie kategorie: przed samobójstwem matki i po nim. Różnica w wyglądzie Anny była uderzająca.

Odłożył teczkę do szuflady. Nadszedł czas, aby zająć się zadaniem, które go tu sprowadziło. Przerzucił pozostałe teczki i w końcu odnalazł tę właściwą. "Korespondencja prywatna" zawierała listy: część była napisana odręcznie, część wydrukowana na firmowym papierze. Po niemiecku, francusku, włosku, angielsku: we wszystkich językach używanych w urozmaiconej lingwistycznie Szwajcarii. Gabriel szybko przewertował papiery i dotarł do końca stosiku. Potem przejrzał je ponownie, tym razem wolniej. Rezultat okazał się taki sam.

Dokumenty potwierdzające pochodzenie obrazów znikły.

Gabriel wodził światłem latarki po gabinecie, a jego myśli błądziły wokół pewnego szkolenia, które przeszedł w Izraelu. Instruktor zaprowadził go do pokoju urządzonego na podobieństwo apartamentu hotelowego, wręczył mu dokument i nakazał w ciągu minuty znaleźć pięć kryjówek. Gdyby ten sam sprawdzian odbywał się w gabinecie Rolfego, Gabriel znalazłby sto dogodnych miejsc na schowanie papieru. Wypaczona klepka podłogowa, duża książka, dywan, wnętrze mebla, ukryty sejf w ścianie. A przecież to tylko jeden pokój. W przestronnej willi Rolfego znajdowało się tysiące miejsc, gdzie można ukryć teczkę z dokumentami. Właścicielem domu był przecież człowiek, który zbudował podziemny bunkier dla swej kolekcji dzieł sztuki. Jeżeli Rolfe chciał coś dobrze schować, Gabriel miał nikłe szanse, aby to odnaleźć.

Nie mógł się jednak pogodzić z myślą o konieczności opuszczenia Szwajcarii z pustymi rękami po tak niebezpiecznej podróży. Istniały dwa prawdopodobne wyjaśnienia braku dokumentów. Pierwsze: ktoś je zabrał, choćby Rolfe lub Werner Muller. Drugie: Rolfe przełożył je w inne miejsce. Czemu nie. Był człowiekiem w podeszłym wieku, a starcy często popełniają błędy. Pamięć ludzka staje się coraz bardziej zawodna. Napisy na teczkach coraz trudniej odczytać.

Gabriel postanowił starannie przeszukać całe biurko.

Miało cztery boczne szuflady z teczkami, po dwie z każdej strony. Zaczął od lewej górnej. Systematycznie sprawdzał wszystkie teczki, jedną po drugiej: wyjmował, uważnie przeglądał zawartość, odkładał na miejsce i sięgał po następną.

Przeszukanie czterech szuflad zajęło mu pół godziny.

Nic.

Wysunął środkową szufladę: długopisy, ołówki, skrawki papieru, butelka z klejem, wyciągarka do spinaczy. Miniaturowy dyktafon. Gabriel wy dobył go i oświetlił wnętrze. Pusty. Dokładnie przeszukał szufladę. Był dyktafon, taśmy znikły. Dziwne.

Wsunął szufladę, usiadł na fotelu Rolfego i wbił wzrok w biurko. Środkowa szuflada... Coś się nie zgadzało. Wyciągnął ją, zajrzał do środka, ponownie wsunął. Wysunął, wsunął. Wysunął, wsunął...

Szuflada miała około dziesięciu centymetrów głębokości, lecz miejsce na drobiazgi było płytsze. Pięć centymetrów, ocenił Gabriel, może nawet mniej. Spróbował wyjąć całą szufladę z biurka, lecz uniemożliwiła to blokada. Szarpnął mocniej. To samo.

Zerknął na zegarek. Siedział w willi już od czterdziestu pięciu minut, zapewne dłużej, niż podpowiadał rozsądek. Miał dwa wyjścia: odejść albo zaufać instynktowi.

Wstał, obiema rękoma złapał szufladę i z całej siły pociągnął. Blokada puściła, szuflada spadła na podłogę, a drobiazgi rozsypały się po parkiecie.

Gabriel uniósł pustą szufladę i obrócił ją w rękach. Solidna, starannie wykonana, nienormalnie ciężka. Przyjrzał się jej podstawie: całkiem gruba, chyba ponad dwa centymetry.

Odejść czy zaufać instynktowi?

Nie miał czasu na delikatne rozwiązania, jak najszybciej musiał poznać odpowiedź. Oparł szufladę o biurko pod wygodnym kątem, uniósł nogę i wycelował obcasem w drewnianą ramę. Kopnął raz, drugi, trzeci, aż w końcu posypały się drzazgi.

Podstawa szuflady składała się nie z jednej, lecz z dwóch płyt identycznych rozmiarów, położonych jedna na drugiej. Między nimi tkwiła duża, prostokątna koperta, pożółkła ze starości i obwiązana postrzępionym sznurkiem. Czyżby dokumentacja pochodzenia obrazów? Strasznie dużo zachodu, aby ukryć tak banalne papiery. Gabriel wziął kopertę do ręki. Kiedy rozwiązywał sznurek i odchyłał zakładkę, poczuł mrowienie w palcach.

Wyciągnął z koperty plik starych bibułek i ułożył na biurku. Przeglądał je ostrożnie, jakby w obawie, że mogą się pokruszyć pod wpływem jego dotyku. Korony... pesety... escudo... funty. Dokumenty były kopiami transakcji walutowych oraz transferów bankowych, dokonanych podczas wojny. Gabriel spojrział na daty. Pierwsza transakcja, przelew kilku tysięcy franków szwajcarskich do sztokholmskiego Union Banku, została przeprowadzona w lutym 1942 roku. Ostatnia, transfer funduszy do Banku Lizbońskiego, w czerwcu 1944 roku.

Odłożył bibułki na bok. Teraz miał przed sobą kartkę białego papieru bez nagłówka. Z lewej strony widniała na niej lista niemieckich nazwisk. Z prawej do każdego z nich była dopasowana dwunastocyfrowa liczba. Gabriel odczytał kilka linijek:

Karl Meyer 551829651318
Manfred König 948628468948
Josef Fritsch 268349874625

Zebrał bibułki i uniósł zakładkę koperty. Już miał wsunąć papiery do środka, kiedy pod palcami poczuł coś w dolnym rogu. Sięgnął tam ręką i wydobył...

Dwie fotografie.

Przyjrzał się pierwszej: Augustus Rolfe, młody, przystojny, bogaty, rozparty na krześle w restauracji. Sądząc po stanie stolika, skonsumowano już znaczną ilość wina. Obok Rolfego zasiadał otyły, na pierwszy rzut oka zgnuśniały mężczyzna w cywilnym ubraniu, z bliznami na policzkach. Gabriel go nie znał.

Drugie zdjęcie zrobiono na tarasie domu w Alpach. Rolfe stał przy balustradzie i podziwiał wspaniałe widoki w towarzystwie dwóch umundurowanych mężczyzn. Gabriel znał ich obu.

Pierwszym był Heinrich Himmler. Drugim Adolf Hitler.

Gabriel włożył fotografie i dokumenty z powrotem do koperty. Miała ona rozmiary oficjalnego pisma i była zbyt duża, aby się zmieścić w kieszeni; wepchnął ją więc za pasek spodni i zabezpieczył, zapinając skórzaną kurtkę. Spojrział na biurko. Z szufladą nic nie dało się już zrobić: zostały z niej drobne kawałki. Nogą upchnął szczątki pod biurkiem i zasłonił je fotelem Rolfego. Beretta leżała na skórzanym notatniku bankiera. Wsunął pistolet do kieszeni i skierował się do wyjścia.

Szedł, przyświecając sobie latarką. Ponownie oglądał pokój fragment po fragmencie, tym razem w odwrotnej kolejności: dębowy flamandzki stół, osiemnastowieczne fotele, otomana ze skóry...

Mężczyzna stojący na progu, z pistoletem wycelowanym w serce Gabriela.

Gabriel cisnął latarkę na drugi koniec pokoju, wyciągnął beretkę i rzucił się na podłogę. Mężczyzna w drzwiach wystrzelił. Miał broń z tłumikiem, ale w ciemnościach świetnie było widać ogień wydobywający się z lufy. Strzał przeszył powietrze tuż nad głową Gabriela i rozbił okno za biurkiem Rolfego. Zanim napastnik strzelił ponownie, Gabriel ukląkł na jednym kolanie i wypalił w kierunku błysku z lufy. Jego kule dosięgły celu - wiedział to na pewno, gdyż słyszał, jak przebijają tkankę i roztrzaskują kość. Wstał i ruszył pędem przed siebie, cały czas strzelając, tak jak go uczono. Tak jak to robił wiele razy wcześniej. Wreszcie stanął nad mężczyzną, pochylił się, przyłożył mu lufę do ucha i wystrzelił po raz ostatni.

Ciało, wstrząsane konwulsjami, po chwili zastygło w bezruchu.

Gabriel przeszukał ubranie zabitego: nie znalazł ani portfela, ani kluczy, ani pieniędzy. Glock kalibru .9 mm leżał na podłodze niedaleko zwłok. Gabriel wsunął go do kieszeni i wyszedł na korytarz.

Obok głównych schodów znajdowała się alkowa z wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę. Gabriel spojrzął w dół i zauważył dwóch mężczyzn wbiegających po frontowych schodach. Pognał przez korytarz ku oknom od strony ogrodu na tyłach domu. Na zewnątrz stał jeszcze jeden mężczyzna; miał wyciągniętą broń i rozmawiał przez radiotelefon.

Zbiegając po kręconych schodach, Gabriel wyjął z beretty pusty magazynek i włożył nowy. Przebył tę samą drogę, którą pokonał wraz z Anną tego dnia, gdy pokazała mu kolekcję ukrytą w piwnicy. Wielka jadalnia, kuchnia, schody, piwniczka z winami, schowek.

Dopadł oszklonych drzwi, prowadzących do ogrodu. Uchylił je lekko i wystawił głowę. Mężczyzna z radiotelefonem i pistoletem szedł po zaśnieżonym tarasie. Dwaj pozostali byli już w budynku: Gabriel słyszał tupot nóg piętro wyżej.

Wyskoczył na dwór i popędził przez ogród prosto ku mężczyźnie z pistoletem.

- Ej, ty! - wrzasnął płynną niemiecką. - Widziałeś, w którą stronę pobiegł ten sukinkot? - Mężczyzna popatrzył na niego kompletnie osłupiały. Gabriel wciąż pędził przed siebie. - Co z tobą, człowieku? Ogluchłeś? Odpowiadaj!

Gdy nieznajomy przysunął radiotelefon do ust, Gabriel uniósł dłoń i otworzył ogień. Pięć strzałów, ostatni w klatkę piersiową z odległości metra.

Gabriel spojrzął na dom. Zobaczył w oknach snopy światła latarek, przenikające przez zaciągnięte zasłony. Kotary się rozsunęły i wyjrzała zza nich twarz. Uszu Gabriela dobiegł krzyk i odgłos walenia ciężkim przedmiotem o szybę.

Odwrócił się i pomknął przez ogród, docierając do muru - ocenił jego wysokość na dwa i pół metra - z rzędem kolców z kutego żelaza na szczycie. Zerknął przez ramię na dwóch mężczyzn. Jeden klęczał nad trupem kolegi, drugi omiatał ogród silnym światłem latarki.

Gabriel podskoczył i chwycił za żelazne kolce na murze. Snop światła wyłowił go z mroku, ktoś krzyknął po niemiecku. Podciągnął się, młóćąc nogami o mur. Rozległ się wystrzał, kule rozkruszyły tynk, raz i drugi. Gabriel poczuł, jak pękają mu szwy na dłoniach.

Przerzucił nogę przez mur, i w tym momencie zahaczył kurtkę o jeden z kolców. Zawisł bezsilnie, z głową wystawioną na ostrzał, osłepiony strumieniem światła. Wykonał gwałtowny skręt całym ciałem, uwalniając się z potrzasku, i spadł do ogrodu po drugiej stronie muru.

Koperta wysunęła mu się ze spodni i upadła w śnieg. Sięgnął po nią, wcisnął z powrotem za pasek i rzucił się do ucieczki.

Rozbłysk białego światła lamp halogenowych zmienił noc w dzień. Gdzieś zawyła syrena alarmowa. Gabriel pędził wzdłuż ściany willi, aż wreszcie dotarł do kolejnego muru, tym razem odgradzającego posiadłość od ulicy. Sprawnie przesadził przeszkodę i zeskoczył na chodnik.

Znalazł się na wąskiej uliczce. W sąsiednich domach pozapalano światła: Szwajcarzy i ich legendarna czujność. Gdy biegł ulicą, w głowie pobrzmiwało mu jedenaste przykazanie Ariego Shamrona: "Nie daj się złapać!".

Dotarł do Krahbuhlstrasse, szerszej ulicy, przy której zaparkował. Sprintem pokonał łagodny zakręt i ujrzał swój samochód. Poślizgnął się podczas gwałtownego hamowania i upadł, boleśnie się tłukąc. Do pojazdu zaglądało dwóch mężczyzn z latarkami.

Gdy wstawał, nieznajomi skierowali na niego światło. Zawrócił w przeciwną stronę i pognął pod górę. "Rób wszystko, aby uniknąć aresztowania!".

Nie zwalniając, wyciągnął glocka, którego zabrał człowiekowi w gabinecie Rolfego. Zaczynał odczuwać zmęczenie. Zimne powietrze ze świstem wpadało do płuc, w ustach czuł smak rdzy i krwi. Po kilku krokach dostrzegł reflektory sunące zboczem wzgórza: wielkie audi zjeżdżało z góry, buksując kołami w świeżym śniegu.

Obejrzał się przez ramię. Mężczyźni ścigali go pieszo. W pobliżu nie było bocznych uliczek ani alejek: znalazł się w pułapce. "Przelewaj krew niewinnych, jeśli zajdzie taka konieczność!".

Audi pędziło prosto na niego. Gabriel przystanął i wyciągnął glocka przed siebie. Gdy samochód zahamował, zarzucając tylnymi kołami, wycelował w sylwetkę za kierownicą. Zanim zdążył wystrzelić, drzwi pojazdu gwałtownie się otworzyły.

- Wsiadaj, Gabriel! - krzyknęła Anna Rolfe. - Szybko!

Prowadziła z taką samą pasją, z jaką grała na skrzypcach, jedną ręką ściskając kierownicę, a drugą dźwignię skrzyni biegów. Zjechali z Zurichbergu, pokonali Limmat i wpadli w ciche uliczki centrum miasta. Gabriel długo patrzył za siebie.

- Możesz już zwolnić. Gdzie się nauczyłaś tak jeździć? Zdjęła nogę z gazu.

- Pamiętaj, że pochodzę z Zurychu, z bardzo mającej rodziny. Kiedy nie grałam na skrzypcach, szalałam wokół Jeziora Zuryskiego jednym z samochodów ojca. Przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami udało mi się skasować trzy auta.

- Moje gratulacje.

- Gorzka ironia do ciebie nie pasuje, Gabriel. W schowku są moje papierosy. Bądź tak łaskaw i zapal mi jednego.

Gabriel wyciągnął paczkę gitanów. Przypalił papierosa zapalniczką samochodową. Gryzący dym zaszczypał go w gardle i o mało nie udusił.

Anna wybuchnęła śmiechem.

- Kto by pomyślał, Izraelczyk, który nie pali.

- Co ty tutaj do cholery robisz?

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Gdybym się nie zjawiła, trafiłbyś za kratki.

- Niezupełnie. Gdybyś się nie zjawiła, byłbym już martwy. Mimo to chcę wiedzieć, co tu robisz. Czy Rami dał ci pozwolenie na opuszczanie willi?

- Myślę, że o tej porze już chyba zauważył moją nieobecność.

- Jak mu uciekłaś?

- Poszłam na piętro, żeby poćwiczyć, i nastawiłam taśmę z wyjątkowo długim utworem. Reszty się chyba domyślasz.

- Jak opuściłaś teren?

- Carlos powiedział Ramiemu, że jedzie do wioski na zakupy. Ukryłam się na tylnym siedzeniu pod kocem.

- Można spokojnie założyć, że kilkudziesięciu członków służb wywiadowczych mojego kraju prowadzi desperackie i bezsensowne poszukiwania twojej osoby. To było bardzo głupie. Jak dotarłaś do Zurychu?

- Samolotem, rzecz jasna.

- Bezpośrednio z Lizbony?

- Owszem.

- Jak długo tu jesteś?

- Od dwóch godzin.

- Wchodziłaś do domu ojca?

Pokręciła przecząco głową.

- Przed domem zobaczyłam dwóch mężczyzn w zaparkowanym samochodzie. Najpierw pomyślałam, że to ochroniarze z prywatnej agencji, ale potem dotarło do mnie, że coś się nie zgadza.

- Co zrobiłaś?

- Postanowiłam krążyć po okolicy w nadziei, że cię spotkam, zanim spróbujesz wejść do willi. Jak już wiesz, bezskutecznie. Potem usłyszałam ryk syren alarmowych.

- Powiedziałaś komuś, że się tu wybierasz?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno. Czemu pytasz?

- Bo to wyjaśnia kilka wątpliwości. Teraz wiadomo, że willa jest pod bezustanną obserwacją. Poza tym oni wiedzieli, że tutaj wróciliśmy. I z pewnością śledzili mnie w drodze do Rzymu, a także później.

- Co się stało w domu ojca?

- Znalazłeś dokumentację obrazów? - spytała Anna, wysłuchawszy tego, co Gabriel miał jej do powiedzenia.

- Znikła.

- Niemożliwe.

- Ktoś musiał dotrzeć do niej przede mną.

- Trafiałeś na coś jeszcze?

Gabriel pomyślał o zdjęciu jej ojca z Adolfem Hitlerem i Heinrichem Himmlerem, na którym wspólnie podziwiali widoki z tarasu Berghofu w Berchtesgaden.

- Nie - odparł. - Nic więcej nie znalazłem.

- Na pewno? Nie skorzystałeś z okazji, aby przejrzeć osobiste dokumenty mojego ojca?

Gabriel puścił jej wątpliwości mimo uszu.

- Czy twój ojciec palił?

- Jakie to ma teraz znaczenie?

- Proszę cię, po prostu odpowiedz na pytanie. Czy twój ojciec palił?

- Tak, palił.

- Jakie papierosy?

- Benson & hedges.

- Palił kiedyś silk cuts?

- Nigdy nie zmieniał przyzwyczajień.

- A może ktoś inny w domu?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Skąd te pytania?

- W gabinecie twojego ojca ktoś niedawno palił silk cuts.

Dotarli do jeziora. Anna zjechała na pobocze.

- Dokąd teraz?

- Ty wracasz do Portugalii.

- Bynajmniej. Albo działamy razem, albo wcale. - Wrzuciła jedynekę. - Dokąd jedziemy?

Niektórzy ludzie mogliby z rezerwą potraktować pomysł zainstalowania we własnym domu automatycznie uruchamianego systemu rejestracji dźwięków. Profesor Emil Jacobi podchodził do sprawy inaczej. Jego życie sprowadzało się do ciężkiej pracy i brakowało mu czasu na cokolwiek

innego; z całą pewnością nie robił nic, co by go wprawiło w zażenowanie, gdyby zostało utrwalone na taśmie magnetofonowej.

Do jego mieszkania przy rue Lanterne nieprzerwanie napływali goście: kobiety i mężczyźni, którzy chcieli podzielić się z nim wspomnieniami z przeszłości lub opowiedzieć zasłyszane historie na temat II wojny światowej. Przed tygodniem pewna staruszka poinformowała go o pociągu, który w 1944 roku zatrzymał się w pobliżu jej wsi. Ona wraz z grupką przyjaciół bawiła się na łące przy torach. Kiedy z wagonów towarowych dobiegły ich jęki i odgłosy drapania, podeszli bliżej i ujrzeli ludzi w pociągu: biednych, sponiewieranych ludzi, błagających o jedzenie i wodę. Staruszka wiedziała teraz, że pociągiem transportowano Żydów, a władze jej kraju pozwoliły nazistom korzystać z dróg żelaznych Szwajcarii i przewozić ludzki ładunek do obozów śmierci na Wschodzie.

Gdyby Jacobi usiłował sporządzać odręczne notatki w trakcie jej opowieści, na pewno nie zdołałby zapisać wszystkich szczegółów. Gdyby postawił przed nią magnetofon, zapewne wprawiłby ją w zakłopotanie. Wiedział bowiem z doświadczenia, że większość starszych ludzi reaguje nerwowo na widok magnetofonu lub kamery wideo. Dzięki dyskretnemu systemowi rejestracji głosu, wychytującemu każde słowo staruszki, Jacobi mógł z nią spędzić dłuższy czas w przyjacielskiej atmosferze, nie wyciągając przy tym notatnika ani dyktafonu.

Profesor właśnie odsłuchiwał nagranie. Jak zwykle nastawił dźwięk dość głośno, by odgrodzić się od hałasów docierających z ulicy i z sąsiedniego mieszkania, zajmowanego przez studentów. Głos zarejestrowany na taśmie nie należał jednak do staruszki. Był to głos mężczyzny, który poprzedniego dnia odwiedził profesora. Głos Gabriela Allona. Jacobi uznał, że historia Augustusa Rolfego i zaginionej kolekcji obrazów jest niezwykła. Obiecał swemu gościowi, że nikt się nie dowie, o czym rozmawiali, lecz chciał być odpowiednio przygotowany do tego, aby o niej napisać, kiedy cała sprawa ujrzy światło dzienne, a profesor nie wątpił, że tak się właśnie stanie. Ta sensacyjna historia mogła zadać kolejny cios śmiertelnym wrogom Jacobiego: finansowej oligarchii Zurychu. Jego głęboka niepopularność w ojczyźnie mogła sięgnąć absolutnego dna. Myślenie o tym sprawiało mu satysfakcję. Oczyszczanie ścieków to brudna robota.

Opowieść Allona zaabsorbowała Emila Jacobiego równie mocno jak wtedy, gdy ją usłyszał po raz pierwszy. Był tak skupiony, że nie zauważył człowieka, który wkradł się do jego mieszkania. Gdy podniósł głowę, było już za późno. Otworzył usta, aby wołać o pomoc, lecz mężczyzna stłumił jego krzyk żelaznym uściskiem dłoni. Profesor dostrzegł błysk zbliżającego się ostrza noża i poczuł przeszywający ból gardła. Zanim umarł, zobaczył jeszcze, jak jego zabójca sięga po magnetofon i chowa go do kieszeni.

27

Wiedeń

Przemierzając zachodnie obrzeża Wiednia, Gabriel musiał mocno zacisnąć palce na kierownicy, żeby powstrzymać drżenie dłoni. Nie był w tym mieście od czasu zamachu bombowego, od nocy pełnej ognia, krwi i tysiąca kłamstw. Usłyszał wycie syreny i nie miał pewności, czy to rzeczywistość, czy też tylko wspomnienie. Dopiero po chwili ujrzął niebieskie światła karetki rozbłyskujące w lusterku. Zjechał na pobocze; serce głośno łomotało mu w piersi. Przypomniawszy sobie, jak pędził z Leah karetką i modlił się, aby oparzenia przestały ją tak strasznie boleć. Przypomniawszy sobie, jak siedział nad porozrywanym ciałem syna, podczas gdy w pokoju obok szef austriackich służb bezpieczeństwa wrzeszczał na Ariego Shamrona, wściekły, że Izraelczycy zamieniają Wiedeń w strefę działań wojennych.

Gabriel włączył się do ruchu. Konieczność skoncentrowania się na prowadzeniu samochodu pomogła opanować silne emocje. Pięć minut później zaparkował przed sklepem z pamiątkami. Anna otworzyła oczy.

- Dokąd się wybierasz?

- Zaczekaj chwilę.

Wszedł do środka, a po dwóch minutach wrócił z plastikową torbą na zakupy, którą wręczył Annie. Ze zdziwieniem wyciągnęła z niej duże okulary przeciwsłoneczne i baseballówkę z napisem "Vienna!".

- Co mam z tym zrobić?

- Pamiętasz, co się stało na lotnisku w Lizbonie? Tamtego dnia, kiedy pokazałaś mi zaginioną kolekcję ojca?

- To był długi dzień, Gabriel. Odśwież mi pamięć.

- Jakaś kobieta cię zaczepiła i poprosiła o autograf.

- To mi się często zdarza.

- Otóż to. Włóż okulary i czapkę.

Nasunęła okulary na nos, a włosy ukryła pod baseballówką. Przejrzała się w lusterku po stronie pasażera i odwróciła ku Gabrielowi.

- No i jak?

- Wyglądasz jak znana osobistość, usiłująca się ukryć za dużymi okularami przeciwsłonecznymi i daszkiem idiotycznej czapki - odparł znużonym głosem. - Na razie jednak to musi wystarczyć.

W hotelu Kaiserin Elisabeth na Weihburggasse zameldowali się pod nazwiskiem Schmidt. Dostali pokój z parkietem w kolorze miodowym. Anna opadła na łóżko, nie zdejmując czapki i okularów.

Gabriel udał się do łazienki i po raz pierwszy od dłuższego czasu popatrzył na siebie w lustrze. Przysunął prawą dłoń do nosa i poczuł zapach prochu. Przed oczyma pojawili mu się dwaj mężczyźni, których zabił w willi Rolfego. Nalał do umywalki ciepłej wody i umył ręce oraz szyję. Nagle łazienkę zapełniły duchy: bladzi jak kreda, pozbawieni życia mężczyźni o twarzach i klatkach piersiowych podziurawionych kulami. Opuścił wzrok; zamiast wody ujrzał w umywalce krew. Wytrzeł dłonie ręcznikiem, lecz nic to nie pomogło: krew nie dawała się usunąć. Potem ściany zawirowały, a Gabriel osunął się na kolana przy toalecie.

Po powrocie do pokoju zobaczył, że Anna ma zamknięte oczy.

- Wszystko w porządku? - zamruczała.

- Wychodzę. Nigdzie się nie ruszaj. Nie otwieraj drzwi nikomu, tylko mnie.

- Szybko wrócisz, prawda?

- Postaram się.

- Będę czekała... - westchnęła sennie.

- Jak sobie życzysz.

W następnej chwili już spała. Gabriel przykrył ją kocem i wyszedł.

Na dole w holu Gabriel przekazał uprzejmemu recepcjoniście, że Frau Schmidt nie życzy sobie, aby jej przeszkadzano. Mężczyzna pokiwał gorliwie głową, jakby chciał zapewnić, że prędzej odda życie, niż pozwoli komuś zakłócić odpoczynek Frau Schmidt. Gabriel przesunął po blacie recepcji zwitek szylingów i opuścił hotel.

Dotarł na Stephansplatz; po drodze sprawdzał, czy ktoś go nie śledzi, i starał się zapamiętać twarze przechodniów. Wstąpił do katedry i lawirując między turystami, przeszedł wzdłuż nawy głównej do ołtarza. Popatrzył w górę na malowidło przedstawiające męczeństwo świętego Stefana. Gabriel zakończył jego renowację w dniu wybuchu bomby pod samochodem Leah. Jego praca prezentowała się nieźle. Tylko kiedy przechylał głowę, obserwując dzieło pod innym kątem, dostrzegał różnicę między swoimi poprawkami a oryginalnym tłem obrazu.

Odwrócił się i rozejrzał po twarzach ludzi stojących za jego plecami. Nie rozpoznawał nikogo. Jego uwagę zwróciło jednak coś innego. Wszystkie zgromadzone w pobliżu osoby podziwiała piękno ołtarza. A zatem pobyt w Wiedniu nie był zupełnie bezsensowny. Po raz ostatni rzucił okiem na obraz, wyszedł z katedry i skierował się do dzielnicy żydowskiej.

Barbarzyńskie marzenie Adolfa Hitlera, aby usunąć z Wiednia wszystkich Żydów, w dużej mierze się ziściło. Przed wojną mieszkało tu dwieście tysięcy Żydów, wielu z nich w domach otaczających Judenplatz. Teraz pozostało ich zaledwie kilka tysięcy, przy czym w większości była to ludność napływowa ze Wschodu. Stara dzielnica żydowska zapełniła się dziesiątkami butików, restauracji i nocnych klubów. Wiedeńczycy nazywali ją trójkątem bermudzkim.

Gabriel minął liczne bary Sterngasse i skręcił w zaułek kończący się kamiennymi schodkami, które prowadziły do ciężkich, nabitych ćwiekami drzwi. Obok nich widniała niewielka mosiężna tabliczka: "Roszczenia i odszkodowania wojenne; wyłącznie umówione spotkania". Nacisnął przycisk dzwonka.

- Tak, słucham?
- Chciałbym się widzieć z panem Lavonem.
- Był pan umówiony?
- Niestety, nie.
- Pan Lavon nie przyjmuje nieumówionych osób.
- Obawiam się, że sprawa jest wyjątkowo pilna.
- Pana godność?
- Proszę mu powiedzieć, że przyszedł Gabriel Allon. Będzie mnie pamiętał.

Wprowadzono go do stylowego wiedeńskiego pokoju, zarówno pod względem gabarytów, jak i umeblowania: wysoki sufit, polakierowana podłoga, duże okna, półki uginające się pod ciężarem niezliczonych książek i teczek. Lavon był prawie niewidoczny w tym ogromnym pomieszczeniu, ale też zlewanie się z otoczeniem należało do jego wyjątkowych umiejętności.

W tej chwili balansował na szczycie chybotałej drabiny bibliotecznej, przekopując się przez zawartość pękatej teczki i mrucząc coś do siebie. Wpadające przez okno światło rzucało na niego zielonkawą poświatę. Dopiero wtedy Gabriel uświadomił sobie, że szyby są kuloodporne. Lavon nagle oderwał wzrok od papierów i mocno pochylił głowę, aby spojrzeć w dół znad brudnawych okularów, które cudem utrzymywały mu się na nosie. Na dokumenty spadł popiół z zapalonego papierosa. Lavon najwyraźniej tego nie zauważył, gdyż zamknął teczkę i wsunął ją z powrotem na półkę. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Gabriel Allon! Anioł zemsty Shamrona. Dobry Boże, co ty tu robisz?

Zszedł po drabinie tak, jakby mu doskwierały stare rany. Jak zawsze zdawał się nosić wszystkie swoje ubrania naraz: niebieską, zapinaną na guziki koszulę, beżowy golf, kardigan i chyba o numer za dużą, pogniecioną marynarkę w jodełkę. Był niedbale ogolony i paradował w samych skarpetach.

Złapał Gabriela za rękę i ucałował go w policzek. Ile to czasu minęło, zastanawiał się Gabriel. Ćwierć wieku? Podczas operacji Gniew Boży Lavon był ayinem, tropicielem. Archeolog z wykształcenia, śledził członków Czarnego Września, poznawał ich zwyczaje i opracowywał sposoby ich zabijania. Ten wyśmienity obserwator, prawdziwy kameleon, potrafił się wtopić w każde środowisko. Operacja wywarła na nich wszystkich ogromny wpływ, lecz Lavon ucierpiał najbardziej. Pracował samotnie w warunkach polowych, przez długi czas narażony na bezpośrednie kontakty z wrogiem. W rezultacie nabawił się przewlekłej choroby żołądka i stracił piętnaście kilogramów, choć i tak był chudy. Kiedy operacja dobiegła końca, Lavon przyjął posadę asystenta na Uniwersytecie Hebrajskim i wszystkie weekendy spędzał na Zachodnim Brzegu, pracując przy wykopaliskach. Dość szybko jednak ogarnęły go wątpliwości. Podobnie jak Gabriel był dzieckiem Żydów ocalałych z holocaustu. Poszukiwanie starożytnych szczątków uznał za banalne, zważywszy, że w najnowszej historii pojawiała się tak wiele białych plam. Osiadł w Wiedniu i

wykorzystał swe cenne umiejętności w innej pracy: tropieniu nazistów i zrabowanych przez nich skarbów.

- Co cię sprowadza do Wiednia? Interesy? Przyjemności?

- Augustus Rolfe.

- Rolfe? Ten bankier? - Lavon uważnie wpatrywał się w Gabriela. - Gabriel, to nie ty go... - Złożył prawą dłoń na kształt pistoletu.

Gabriel rozpiął kurtkę i wręczył mu kopertę, którą zabrał z biurka Rolfego. Lavon ostrożnie odchylił zakładkę, jakby badał fragment starego naczynia, i wyciągnął ze środka zawartość. Z kamienną twarzą zerknął na pierwsze zdjęcie, potem na drugie. Popatrzył na Gabriela i uśmiechnął się.

- Proszę, proszę... Herr Rolfe zrobił sobie urocze fotografie. Skąd je wzięłeś?

- Z jego biurka w Zurychu.

Lavon uniósł plik dokumentów.

- A to?

- Też stamtąd.

Lavon przyjrzał się zdjęciom.

- Fantastyczne.

- Co one oznaczają?

- Muszę przynieść kilka teczek, ale najpierw powiem dziewczynom, żeby zaparzyły ci kawy i przygotowały coś do jedzenia. To chwilę potrwa.

Siedzieli naprzeciwko siebie przy prostokątnym stole konferencyjnym, a między nimi piętrzyła się sterta akt. Gabriel myślał o ludziach, którzy przychodzili tu przed nim: starsi mężczyźni przekonani, że ich sąsiad jest oprawcą z Buchenwaldu; dzieci domagające się przekazania im pieniędzy z rachunku bankowego w Szwajcarii, na którym ich ojciec zdeponował oszczędności całego życia, zanim wywieziono go na Wschód i zamordowano wraz z innymi na archipelagu śmierci. Lavon podniósł jedną z fotografii - przedstawiała Rolfego w towarzystwie mężczyzny z bliznami na policzkach - i pokazał ją Gabrielowi.

- Poznajesz tego człowieka?

- Nie.

- To Walter Schellenberg, Brigadeführer SS. - Lavon zdjął ze sterty pierwszą teczkę i otworzył ją. - Walter Schellenberg był szefem Czwartego Wydziału Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Czwarty Wydział zajmował się wywiadem zagranicznym, a Schellenberga można uznać za superszpiega partii nazistowskiej. Był zamieszany w najbardziej dramatyczne epizody wojny: incydent w Venlo, próbę porwania księcia Windsoru, operację Cynceron. W Norymberdze oskarżono go o przynależność do S S, lecz dostał jedynie krótki, sześciolatek więzienia.

- Sześć lat? Dlaczego tylko tyle?

- Bo w ostatnich miesiącach wojny doprowadził do uwolnienia kilku Żydów z obozów zagłady.

- Jak mu się to udało?

- Sprzedał ich.

- A dlaczego superszpieg nazistów wybrał się na kolację z Rolfem?

- Agencje wywiadowcze na całym świecie mają ze sobą coś wspólnego: wszystkie potrzebują pieniędzy. Nawet Shamron nie dałby sobie rady bez odpowiednich funduszy. Kiedy jednak on potrzebuje gotówki, po prostu kładzie ręce na ramionach bogatego przyjaciela i opowiada mu historię o tym, jak pojmał Eichmanna. Schellenberg zaś miał szczególny problem. Nie mógł wykorzystać swoich pieniędzy poza terytorium Niemiec. Potrzebował bankiera w neutralnym kraju, który mógłby zapewnić mu twardą walutę, a potem przekazać ją jego agentom za pośrednictwem fikcyjnej firmy lub też w innej formie. Schellenberg potrzebował takiego człowieka jak Augustus Rolfe.

Lavon sięgnął po dokumenty, które przywiózł Gabriel.

- Weźmy tę transakcję. Dwudziestego trzeciego października 1943 roku półtora tysiąca funtów przekazano z rachunku Pillar Enterprises Limited na konto pana Ivana Edberga w Enskilde Bank w Sztokholmie. Gabriel obejrzał dokument i odłożył go na stół.

- Rzecz jasna, Szwecja była neutralna, i właśnie dlatego tak atrakcyjna dla agentur wywiadu wielu krajów - kontynuował Lavon. - Schellenberg z pewnością dysponował tam swoim agentem, a kto wie, może nawet całą siatką. Podejrzewam, że pan Edberg był jednym z nich. Możliwe, że nawet szefem i dysponentem pieniędzy siatki.

Lavon wziął do ręki następną kartkę i zmrużył oczy, podrażnione dymem papierosa, który trzymał w ustach.

- Jeszcze jedno zlecenie przelewu: tysiąc funtów z rachunku Pillar Enterprises Limited na rachunek pana Jose Suareza w Banku Lizbońskim. - Lavon odłożył kartkę i popatrzył na Gabriela. - Portugalia, podobnie jak Szwecja, była państwem neutralnym, dlatego też Lizbona stała się areną najróżniejszych działań szpiegowskich. Schellenberg również tam się znalazł, podczas sprawy księcia Windsoru.

- Zatem Rolfe był tajnym bankierem Schellenberga. A o czym ma świadczyć fotografia Rolfego z Himmlerem i Hitlerem w Berchtesgaden?

Lavon nalał sobie kolejny kubek kawy z precyzją prawdziwego wiedźczyka: starannie odmierzona porcja gęstej śmietanki i dokładnie taka ilość cukru, która zniweluje gorzki posmak napoju. Gabriel pomyślał o Lavonie, kiedy ten mieszkał w Paryżu i żył o wodzie mineralnej i słabej herbacie, bo jego schorowany żołądek nie tolerował niczego innego.

- Po Stalingradzie Niemcy kompletnie się zmieniły. Nawet najwierniejsi z wiernych wiedzieli, że to już koniec. Ze wschodu nadciągali Rosjanie, inwazja z zachodu była nieuchronna. Każdy, kto wzbogacił się na wojnie, chciał za wszelką cenę zadbać o bezpieczeństwo swojego majątku. Jak myślisz, do kogo ludzie zwracali się w takiej sytuacji?

- Do szwajcarskich finansistów.

- Augustus Rolfe jako jeden z nielicznych miał okazję zarobić na zmieniającej się sytuacji na froncie. Z tych dokumentów wnioskuję, że był ważnym agentem Waltera Schellenberga. Podejrzewam, że najwyższe władze nazistowskie darzyły Herr Rolfego głębokim poważaniem.

- Uważano go za człowieka godnego zaufania, który dobrze zaopiekuje się dużymi pieniędzmi?

- Ich pieniędzmi. Ich skradzionymi bogactwami. Wszystkim.

- A co z listą nazwisk i numerami rachunków?

- Można spokojnie założyć, że to niemieccy klienci Rolfego. Sprawdzę ich w naszej bazie danych i zobaczę, czy nie figurują w zestawieniach znanych z nazwiska członków SS oraz NSDAP. Przypuszczam jednak, że to pseudonimy.

- Czy istnieje inny rejestr rachunków w archiwach bankowych?

Lavon pokręcił głową.

- Prawdziwe nazwiska właścicieli rachunków osobistych zwykle są znane jedynie najważniejszym urzędnikom bankowym. Im słynniejszy klient, tym mniej ludzi ma dostęp do nazwiska przypisanego numerowi konta. Jeśli te rachunki należały do nazistów, wątpię, czy poza Rolfem ktokolwiek wiedział o nich coś bliższego.

- Skoro przechowywał tę listę przez tyle lat, czy to oznacza, że rachunki wciąż jeszcze istnieją?

- Sądzę, że to niewykluczone. Sporo zależy od tego, kto był ich właścicielem. Jeśli posiadaczowi konta udało się uciec z Niemiec pod koniec wojny, wówczas można założyć, że rachunek jest już zamknięty. Jeżeli jednak wpadł w ręce aliantów...

- ... wtedy niewykluczone, że jego pieniądze i cenne przedmioty wciąż kryją się w podziemiach banku Rolfego.

- Niewykluczone, ale mało prawdopodobne.

Lavon zebrał dokumenty oraz zdjęcia i wsunął je z powrotem do koperty. Potem spojrzał Gabrielowi w oczy.

- Odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania. Teraz pora, abys ty udzielił mi kilku wyjaśnień.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Właściwie tylko jedno. - Lavon uniósł kopertę. - Chcę wiedzieć, co do diabła robisz z tajnymi dokumentami Augustusa Rolfeego.

Lavon niczego nie cenił tak wysoko, jak dobrej opowieści. Pod tym względem wcale się nie zmieniał. Podczas operacji rozpracowywania Czarnego Września tworzył z Gabrielem braterstwo bezsennych nocy: Lavon z powodu żołądka, a Gabriel - sumienia. Przypomniawszy sobie jego wymizerowaną sylwetkę, kiedy siedział po turecku na podłodze i pytał, jak to jest, kiedy się kogoś zabija. Gabriel odpowiedział na to pytanie, bo musiał z kimś o tym porozmawiać.

- Boga nie ma - oświadczył Lavon. - Jest tylko Shamron. Shamron decyduje, kto będzie żył, a kto umrze. To on wysyła takich chłopaków jak ty, aby dokonali jego potwornej zemsty.

Teraz, podobnie jak wtedy, Lavon nie patrzył na Gabriela, który opowiadał swoją historię. Wpatrywał się we własne dłonie i obracał w drobnych, zwinnych palcach zapalniczkę do chwili, gdy Gabriel skończył.

- Masz listę obrazów zabranych z tajnego pomieszczenia?

- Mam, ale nie jestem pewien, czy jest precyzyjna.

- W Nowym Jorku znajdziesz pewnego człowieka. Całe życie poświęcił tropieniu dzieł sztuki zrabowanych przez nazistów. Dobrze zna wszystkie skradzione obrazy, wszystkie zawarte transakcje, wie, które dzieła odzyskano, a które wciąż czekają na odnalezienie. Jeśli istnieje ktoś, kto zna upodobania kolekcjonerskie Augustusa Rolfeego, to właśnie on.

- Spokojnie, Eli. Tylko spokojnie.

- Drogi Gabrielu, nie znam innego sposobu rozwiązania twojego problemu.

Włożyli płaszcze i wyszli na ulicę, kierując się w stronę Judenplatz.

- Czy jego córka wie o tym?

- Jeszcze nie.

- Nie zazdroszczę ci. Zatelefonuję, gdy dowiem się czegoś od przyjaciela z Nowego Jorku. A ty idź do hotelu i odpocznij. Kiepsko wyglądasz.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem.

Lavon pokręcił głową i położył drobną dłoń na ramieniu towarzysza.

- Znowu zabijałeś, Gabriel. Widzę to po twojej twarzy. Nosisz na niej piętno śmierci. Idź do swojego pokoju i doprowadź się do porządku.

- Bądź tak dobry i pilnuj własnego nosa.

- Kiedyś pilnowałem twojego.

- Byłeś w tym świetny.

- Zdradzę ci pewien sekret. Wciąż jestem.

Lavon odwrócił się i zniknął w tłumie na Judenplatz.

Gabriel zatrzymał się przed niewielką trattorią, gdzie zjadł ostatni posiłek z Leah i Danim. Po raz pierwszy od dziesięciu lat stał w miejscu, w którym wybuchł samochód. Uniósł wzrok i ujrzał włócznie świętego Stefana górującą nad dachami. Wiatr nagle się nasilił. Gabriel postawił kołnierz płaszcza. Czego się spodziewał? Żalu? Wściekłości? Nienawiści? Ku własnemu zdumieniu nie poczuł nic. Zawrócił i w strumieniach deszczu pomaszzerował do hotelu.

Ktoś wsunął pod drzwi egzemplarz "Die Presse"; gazeta leżała na podłodze w korytarzu. Gabriel podniósł ją i wszedł do pokoju. Anna ciągle spała. Zanim zasnęła, zdążyła się jeszcze

rozebrać; w przytłumionym świetle jasna skóra jej ramienia połyskiwała na pościeli. Gabriel rzucił gazetę na łóżko obok śpiącej kobiety.

Był wyczerpany. Musiał się przespać. Tylko gdzie? Na łóżku? Obok Anny? Obok córki Augustusa Rolfego? Ile ona wiedziała? Jakie tajemnice miał przed nią ojciec? Co ukrywała przed Gabrielem?

Pomyślał o słowach, które usłyszał w Londynie od Juliana Isherwooda: "Zawsze zakładaj, że ona wie więcej o swoim ojcu i jego kolekcji, niż raczy ci przekazywać. Córki zwykle chronią ojców wszelkimi sposobami, nawet jeżeli uważają ich za skończonych drani". Postanowił, że nie, nie położy się spać obok Anny Rolfe. W szafie znalazł dodatkowy koc i zapasową poduszkę. Przygotował sobie prowizoryczne posłanie na podłodze. Czuł się tak, jakby leżał na płycie zimnego marmuru. Po cichu, by nie obudzić Anny, ściągnął z łóżka gazetę. Na pierwszej stronie znajdowała się informacja o zamordowaniu szwajcarskiego pisarza Emila Jacobiego.

28

Wiedeń

Zmierzchało, kiedy Eli Lavon zadzwonił do pokoju hotelowego Gabriela. Anna poruszyła się nerwowo, po czym znowu zapadła w niespokojny sen. Po południu rozkopała pościel i teraz leżała odkryta, a chłodne powietrze wpadało przez na wpół uchylone okno. Gabriel przykrył ją kołdrą i zszedł na dół. Lavon siedział w holu, popijając kawę. Na widok przyjaciela napełnił drugą filiżankę.

- Widziałem dziś w telewizji twojego znajomego, Emila Jacobiego - rzekł Lavon. - Najwyraźniej ktoś wtargnął do jego mieszkania w Lyonie i poderznął mu gardło.

- Wiem. Masz wieści z Nowego Jorku?

- Uważa się, że między 1941 i 1944 rokiem Augustus Rolfe wszedł w posiadanie dużej liczby obrazów impresjonistów i malarzy współczesnych z galerii w Lucernie i Zurychu. Te same płótna jeszcze kilka lat wcześniej zdobyły należące do Żydów galerie i domy w Paryżu.

- A to niespodzianka... - mruknął Gabriel. - Dużej liczby? Jak dużej?

- Trudno oszacować.

- Kupił je?

- Niezupełnie. Obrazy nabyte przez Rolfego zapewne stanowiły część kilku dużych wymian, dokonanych w Szwajcarii przez agentów Hermanna Goringa.

Gabriel przypomniał sobie, co Julian Isherwood mówił mu o drapieżnych zapędach kolekcjonerskich Reichsmarschalla. Goring miał nieograniczony dostęp do Jeu de Paume, gdzie składowano skonfiskowane we Francji arcydzieła. W ten sposób przejął setki współczesnych obrazów, które wymieniał na płótna swoich ulubionych starych mistrzów.

- Krążą pogłoski, że Rolfe uzyskał pozwolenie na zakup obrazów po cenie nominalnej - wyjaśnił Lavon. - Czyli znacznie poniżej ich wartości rynkowej.

- Gdyby to była prawda, Rolfe nabyłby je zgodnie ze szwajcarskim prawem. Przecież wystarczyłoby, aby oświadczył, że kupił obrazy w dobrej wierze. Nawet gdyby pochodziły z kradzieży, nie istniała żadna prawna możliwość zmuszenia go do ich zwrotu.

- Tak to wygląda. Powinniśmy zadać sobie pytanie, dlaczego Augustusowi Rolfemu pozwolono kupować po cenach absolutnie minimalnych obrazy przechodzące przez ręce Hermanna Goringa?

- Czy twój przyjaciel z Nowego Jorku zna odpowiedź na to pytanie?

- Nie, ale ty ją znasz.

- O czym ty mówisz, Eli?

- O zdjęciach i dokumentach bankowych, które znalazłeś w jego biurku. O jego kontaktach z Walterem Schellenbergiem. Rodzina Rolfego zbierała dzieła sztuki od pokoleń, dlatego miał świetne koneksje. Doskonale wiedział, co się dzieje po drugiej stronie granicy, we Francji, i postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Z kolei Walter Schellenberg musiał jakoś wynagrodzić swojego osobistego bankiera w Zurychu.

- Fakt - przyznał Lavon. - Należała mu się zapłata za świadczone usługi.

Gabriel odchylił się na krześle i zamknął oczy.

- Co dalej, Gabriel?

- Pora na rozmowę, której od pewnego czasu się obawiałem.

Kiedy Gabriel wrócił do pokoju, Anna powoli się budziła. Delikatnie potrząsnął jej ramieniem, a ona usiadła niespokojnie, niczym dziecko zdumione widokiem nieznanego sobie pomieszczenia. Spytała o godzinę, a on odparł, że już prawie wieczór.

Gdy całkiem doszła do siebie, przysunął krzesło do krawędzi łóżka i usiadł. Nie włączył światła; nie chciał widzieć jej twarzy. Siedziała po turecku, wyprostowana, z ramionami okrytymi kołdrą. Wpatrywała się w niego: nawet w ciemnościach dostrzegał jej oczy, których ani na moment od niego nie odrywała. Opowiedział jej o pochodzeniu tajnej kolekcji ojca. Powtórzył wszystko, czego się dowiedział od Emila Jacobiego, i dodał, że poprzedniej nocy profesora zamordowano w jego mieszkaniu w Lyonie. Następnie poruszył sprawę dokumentów znalezionych w biurku jej ojca: dokumentów, które łączyły go z superszpiegiem Hitlera, Walterem Schellenbergiem.

Gdy skończył, położył zdjęcia na łóżku i wyszedł do łazienki, aby Anna przez chwilę mogła spokojnie pomyśleć. Usłyszał, jak zapala nocną lampkę. Odkręcił kran nad umywalką i wolno odliczał w myślach. Kiedy minął stosowny czas, powrócił do pokoju. Zastał Annę zwinietą w kłębek. Jej ciałem wstrząsały ciche spazmy; w dłoni ścisnęła zdjęcie ojca, podziwiającego widoki w Berchtesgaden w towarzystwie Adolfa Hitlera i Heinricha Himmlera.

Gabriel wyjął jej z ręki fotografię, zanim zdążyła ją zniszczyć. Potem położył dłoń na jej głowie i pogłaskał ją po włosach. Anna rozplakała się głośno. Łkała i zanosila się mokrym kaszlem nałogowego palacza, z trudem oddychając.

Wreszcie popatrzyła na Gabriela.

- Gdyby moja matka kiedykolwiek ujrzała to zdjęcie... - Anna umilkła, otworzyła usta, a po jej policzkach pociekły łzy. - Wówczas...

Gabriel zakrył dłonią jej usta, nim zdołała dokończyć myśl. Nie chciał, aby mówiła, o co jej chodzi. Nie było takiej potrzeby. Pomyślał, że gdyby jej matka widziała to zdjęcie, wówczas popełniłaby samobójstwo. Wykopałaby swój własny grób, włożyła lufę strzelby do ust i odebrała sobie życie.

Tym razem to Anna zdecydowała się na ucieczkę do łazienki. Kiedy stanęła w drzwiach pokoju, była spokojna, lecz miała zaczerwienione oczy i pobladłą twarz. Usiadła na łóżku i wzięła do ręki dokumenty.

- Co to ma być?

- Wygląda jak lista rachunków osobistych.

- Czyich rachunków osobistych?

- Nazwiska są niemieckie. Możemy tylko zgadywać, kim naprawdę byli ich właściciele.

Uważnie zapoznała się z listą. Nagle zmarszczyła brwi.

- Moja matka urodziła się w Boże Narodzenie 1933 roku. Wspominałam ci już o tym?

- Data urodzin twojej matki nigdy nie padła w naszych rozmowach. Dlaczego teraz to jest istotne?

Wręczyła mu papier.

- Spójrz na ostatnie nazwisko na liście.

Gabriel przyjrzał się wskazanemu przez nią nazwisku oraz umieszczonej obok liczbie: "Alois Ritter 251233126". Podniósł wzrok.

- No i co?

- Czy to nie zastanawiające, że mężczyzna o takich samych inicjałach jak mój ojciec ma numer rachunku, w którym pierwszych sześć cyfr odpowiada dacie urodzenia mojej matki?

Gabriel ponownie spojrzął na listę.

Alois Ritter... AR... 251233... Boże Narodzenie 1933...

Opuścił papier i popatrzył na Annę.

- A co z ostatnimi trzema cyframi? Coś ci mówią?

- Niestety, nie.

Gabriel zamknął oczy. 126... Był pewien, że kiedyś, w którymś momencie widział te cyfry i że miały związek z całą sprawą. Doskonała pamięć to przekleństwo. Nigdy niczego nie zapominał. Pociągnięcia pędzlem, które stosował, aby uzdrowić obraz świętego Stefana w katedrze. Melodia puszczana w radiu tego wieczora, kiedy opuszczał Niederdorf po zabiciu Hamidiego. Zapach oliwek w oddechu Leah, kiedy ostatni raz całował ją na dobranoc.

Potem, po chwili, przypomniał sobie, gdzie widział liczbę 126.

Anna zawsze miała przy sobie zdjęcie brata. Była to jego ostatnia fotografia, zrobiona podczas jednego z etapów wyścigu dookoła Szwajcarii. To samo zdjęcie Gabriel znalazł w biurku Augustusa Rolfe. Przyjrzał się numerowi przy ramie roweru i na plecach koszulki młodego mężczyzny: 126.

- Zdaje się, że wracamy do Zurychu - zauważyła Anna.

- Musimy coś zrobić z twoim paszportem. I wyglądem.

- Coś nie w porządku z moim paszportem?

- Jest w nim twoje nazwisko.

- A z wyglądem?

- Zupełnie nic. W tym rzecz.

Podniósł słuchawkę telefonu.

O dziesiątej wieczorem do pokoju hotelowego weszła młoda dziewczyna, Hannah Landau. Na nadgarstkach nosiła bransoletki i pachniała jaśminem. Teczka zwisająca z jej ramienia przypominała tę, w której Gabriel przechowywał pędzle i pigmenty.

Zamieniła z Gabrielem kilka słów, a następnie pociągnęła Annę za rękę do łazienki i zamknęła drzwi.

Godzinę później z pomieszczenia wyłoniła się Anna. Jej sięgające ramion blond włosy były teraz krótkie i czarne; zielone oczy przybrały barwę niebieską dzięki kolorowym soczewkom kontaktowym. Transformacja była imponująca. Stała się inną kobietą.

- Odpowiada panu? - spytała Hannah Landau.

- Proszę zrobić zdjęcie.

Izraelka pstryknęła polaroidem sześć razy i ułożyła fotografie Anny na łóżku, aby Gabriel mógł je ocenić. Po chwili oświadczył:

- Weźmiemy tę.

Hannah pokręciła głową.

- Nie, raczej tę.

Nie czekając na aprobatę Gabriela, sięgnęła po zdjęcie i wróciła do łazienki. Anna siedziała przy lustrze i długo wpatrywała się w swoją odmienioną twarz.

Dwadzieścia minut później zjawiała się Hannah. Pokazała swe dzieło Gabrielowi, a potem przeszła przez pokój i położyła je na komódce przed Anną.

- Moje gratulacje, pani Rolfe. Jest pani obywatelką Austrii.

Zurych

W połowie drogi między dworcem i jeziorem znajduje się centrum szwajcarskiej finansjery, Paradeplatz. Główne siedziby Credit Suisse i Union Bank czają się naprzeciwko siebie niczym zapaśnicy, rozdzieleni szeroką płaszczyzną szarego bruku. Te dwa giganty szwajcarskiej bankowości to zarazem jedne z najpotężniejszych instytucji na świecie. W ich cieniu, na całej długości Bahnhofstrasse, przysiadły inne wielkie i wpływowe instytucje, wyraźnie zaznaczające swoją obecność morzem jaskrawych szyldów i lśniących czystością przeszklonych drzwi. Niewielu ludzi dostrzega natomiast banki rozsiane po cichych, bocznych uliczkach i alejkach między Bahnhofstrasse i rzeką Sihl. Tam mieszczą się prywatne kaplice szwajcarskich bankierów, w których można oddawać się kultowi pieniądza i spowiadać w poczuciu całkowitej dyskrecji. Miejscowe prawo zakazuje tym bankom zachęcać klientów do składania depozytów. Mogą się nazywać bankami, jeśli chcą, lecz nie jest to wymagane. Trudno je zlokalizować, łatwo przeoczyć, gdyż kryją się wewnątrz nowoczesnych biurowców lub w pokojach wiekowych kamienic. Niektóre zatrudniają kilkudziesięciu pracowników, inne tylko kilku. Są prywatne pod każdym względem. Następnego ranka właśnie wśród nich Gabriel i Anna Rolfe rozpoczęli poszukiwania.

Wsunęła dłoń pod ramię Gabriela i powiodła go wzdłuż Bahnhofstrasse. Była w swoim rodzinnym mieście, więc miała prawo przejąć obowiązki przewodnika. Gabriel bacznie obserwował twarze przechodniów: jeśli ktokolwiek na świecie miał rozpoznać Annę, to tylko tutaj. Tymczasem nikt nie spojrział na nią po raz drugi. Pospieszna przemiana, dzieło Hannah Landau, najwyraźniej okazała się skuteczna.

- Od czego zaczniemy? - spytał.

- Podobnie jak większość szwajcarskich finansistów, mój ojciec był właścicielem rachunków firmowych w innych lokalnych bankach.

- Rachunków w bankach-korespondentach?

- Tak jest. Zaczniemy od banków, z którymi ojciec na pewno robił interesy w przeszłości.

- A jeśli rachunek, którego szukamy, znajduje się w banku poza Zurychem? Choćby w Genewie?

- Mój ojciec był całym sercem oddany Zurychowi. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, aby przekazywać swoje pieniądze jakiemuś Francuzowi z Genewy.

- Jeśli znajdziemy rachunek, to i tak nie mamy gwarancji, że uzyskamy do niego dostęp.

- To fakt. Bankierzy określają stopień tajności rachunku wspólnie z jego właścicielem. Możliwe, że wystarczy podać sam numer konta. Niewykluczone, że konieczne będzie podanie hasła. Nie wolno też wykluczyć możliwości, że zostaniemy wyproszeni. Niemniej warto spróbować, prawda? Zaczniemy tutaj.

Bez ostrzeżenia, że zamierza zmienić kierunek, Anna przebiegła przez Bahnhofstrasse, ciągnąc Gabriela za rękę, tuż przed nadjeżdżającym tramwajem. Następnie wprowadziła go w mniejszą uliczkę, Barengasse, i zatrzymała się przed zwyczajnymi drzwiami. Wisiała nad nimi kamera kontrolna, a na murze obok niej mosiężna tabliczka, tak mała, że prawie niedostrzegalna: "Hoffman & Weck. Barengasse 43".

Wcisnęła przycisk dzwonka, czekając na zaproszenie. Pięć minut później ponownie znaleźli się na ulicy i skierowali do następnego banku na liście Anny. Tym razem wizyta trwała nieco dłużej - Gabriel oszacował ją na siedem minut - lecz wynik okazał się taki sam: znowu odeszli z niczym.

Schemat powtarzał się za każdym razem. Wizyty przebiegały niezwykle podobnie. Po chwili uważnej obserwacji przez kamerę wpuszczano ich do westybulu, gdzie urzędnik bankowy powściągliwie się z nimi witał. Rozmowy prowadziła Anna, posługując się uprzejmym Zuridutsch.

Na koniec urzędnik prowadził ich do zakrystii, świętego biura, w którym przechowywano tajne archiwum. Siadali na krzesłach przed biurkiem, by po wymianie kilku banalnych formułek grzecznościowych usłyszeć dyskretne chrząknięcie urzędnika, który w ten sposób uprzejmie dawał do zrozumienia, że ta rozmowa jest stratą czasu, a na Bahnhofstrasse czas to z pewnością pieniądz.

Potem Anna mówiła:

- Chciałabym uzyskać dostęp do rachunku Herr Aloisa Rittera. Zapadała cisza, urzędnik przez chwilę stukał w klawiaturę komputera i jakiś czas z uwagą wpatrywał się w ekran monitora.

- Niestety, ale nie prowadzimy rachunku na to nazwisko.

- Czy jest pan pewien?

- Tak, całkowicie.

- Dziękuję. Proszę mi wybaczyć, że zabrałam panu tyle cennego czasu.

- Nic się nie stało. Proszę, oto nasza wizytówka. Być może w przyszłości będzie pani zainteresowana naszymi usługami.

- To bardzo uprzejme z pana strony.

Po jedenastej wizycie poszli do małego bistro Cafe Brioche na kawę. Gabrielowi zaczynały puszczać nerwy. Już od dwóch godzin kręcili się bezowocnie po Bahnhofstrasse. Nie ulegało wątpliwości, że coraz bardziej rzucają się w oczy.

Następny przystanek wypadł w lokalu Becker & Puhl, gdzie przywitał ich Herr Becker we własnej osobie, człowiek oficjalny, drobiazgowy i całkiem łysy. Jego biuro prezentowało się bezbarwnie, a sterylnością dorównywało sali operacyjnej. Gdy wpatrywał się w monitor komputera, Gabriel dostrzegł w nieskazitelnie czystych szklach jego okularów refleksy przesuwających się nazwisk i cyfr.

Po chwili niemej kontemplacji bankier podniósł wzrok.

- Numer rachunku?

- 251233126 - wyrecytowała z pamięci Anna. Becker wcisnął kilka klawiszy.

- Hasło?

Gabriel poczuł ucisk w piersi. Spojrzał na Herr Beckera, który uważnie mu się przyglądał. Anna cicho odchrząknęła.

- Adagio.

- Proszę za mną.

Zaprowadził ich do pokoju konferencyjnego o wysokim suficie i obitych drewnem ścianach. Pośrodku pomieszczenia stał prostokątny stół z dymnego szkła.

- Tutaj będą państwo mogli spokojnie zapoznać się z zawartością depozytu - wyjaśnił Becker.

- Proszę usiąść wygodnie. Za chwilę wszystko przyniosę.

Wrócił ze stalową skrzynką, służącą do przechowywania depozytów.

- Zgodnie z umową zawartą przy otwieraniu rachunku, każdy, kto przedstawi odpowiedni numer rachunku oraz właściwe hasło, ma prawo dostępu do depozytu. - Położył skrzynkę na stole. - Wszystkie klucze są w moim posiadaniu.

- Rozumiem - rzekła Anna.

Poświstując cicho, Becker wyciągnął z kieszeni ciężką obręcz z kluczami i wybrał właściwy, po czym dokładnie sprawdził wygrawerowane na nim oznaczenie, wsunął go do zamka, przekręcił i lekko uniósł wieko. Powietrze wypełniło się zapachem starego papieru. Becker cofnął się na dyskretną odległość.

- Jest jeszcze jedna skrzynka depozytowa, znacznie większa od tej. Czy życzą sobie państwo zapoznać się także z jej zawartością?

Gabriel i Anna wymienili spojrzenia.

- Tak - odparli jednocześnie.

Gabriel poczekał, aż Becker opuści pokój, i dopiero wtedy podniósł pokrywę większej skrzynki. W środku znajdowało się szesnaście płócien, starannie zwiniętych i zabezpieczonych: Monet, Picasso, Degas, van Gogh, Manet, Toulouse-Lautrec, Renoir, Bonnard, Cezanne, a także wspomniały akt Vuillarda. Nawet Gabriel, przyzwyczajony do obcowania z bezcennymi dziełami sztuki, był zdumiony bogactwem kolekcji. Ilu ludzi poszukiwało tych arcydzieł? Ile lat zajęły im próby odnalezienia utraconej własności? Ile łez przelano z powodu utraty tych obrazów? A teraz leżały przed nim, ukryte w skarbcu pod Bahnhofstrasse. Niezwykle wygodne rozwiązanie. I doskonale logiczne.

Anna skoncentrowała się na przejrzeniu zawartości mniejszej skrzynki. Najpierw wydobyła gotówkę: franki szwajcarskie, franki francuskie, dolary, funty, marki. Manipulowała nimi ze swobodą człowieka nawykłego do kontaktu z dużymi pieniędzmi. Potem przyszła kolej na harmonijkową teczkę, wypełnioną dokumentami. Na koniec sięgnęła po stos listów, owiniętych jasnyniebieską gumką.

Zdjęła gumkę, odłożyła ją na bok i przystąpiła do przeglądania kopert. Zręcznie wertowała je długimi, smukłymi palcami. Palec wskazujący, palec środkowy, wskazujący, środkowy, przerwa. Wskazujący, środkowy, wskazujący, środkowy, przerwa. Wyciągnęła z pliku jedną kopertę, obróciła ją w dłoni i sprawdziwszy, czy zakładka jest dobrze zalepiona, wręczyła ją Gabrielowi.

- To cię może zainteresować.

- Co jest w środku?

- Nie mam pojęcia. Ale koperta jest zaadresowana do ciebie.

Papeteria należała do człowieka z innej epoki: jasnoszara, formatu A4, na górze pośrodku kartki widniał napis "Augustus Rolfe", bez zbędnych informacji, takich jak numer faksu lub e-maila. Była tam tylko data: list napisano na dzień przed przybyciem Gabriela do Zurychu. Autor posługiwał się językiem angielskim, pisał odręcznie, choć nie potrafił już stawiać wyraźnych liter. W efekcie można było uznać, że list został napisany w dowolnym języku i alfabecie świata. Gabrielowi udało się rozszyfrować treść przy pomocy Anny, zagląającej mu przez ramię.

Drogi Gabrielu,

Mam nadzieję, że nie uznasz za zuchwałość faktu, iż zwracam się do ciebie po imieniu, lecz od pewnego czasu znam twoje prawdziwe dane i podziwiam twoją pracę, zarówno w dziedzinie konserwacji dzieł sztuki, jak i służby w obronie twojego narodu. Jako szwajcarski bankier mam dostęp do rozmaitych informacji.

Jeśli czytasz ten list, oznacza to, że ja już nie żyję, a ty niewątpliwie sporo dowiedziałeś się o moim życiu, choć liczyłem na to, że te informacje przekażę ci osobiście. Postaram się uzupełnić twoją wiedzę teraz, pośmiertnie.

Jak już wiesz, nie sprowadziłem cię do swojej willi w Zurychu po to, abyś odnowił Rafaela. Nawiązałem kontakt z twoimi mocodawcami z określonego powodu: chciałem, abyś przejął moją drugą kolekcję - tajne zbiory, przechowywane w ukrytej, podziemnej komorze mojej willi, o której istnieniu już wiesz, mam nadzieję - i zwrócił ją prawowitym właścicielom. Gdyby nie istniała możliwość ich zlokalizowania, pragnę, aby wszystkie obrazy zawisły w muzeach Izraela. Porozumiałem się z twoimi pracodawcami dlatego, że całą sprawę wolę załatwić dyskretnie, aby nie okrywać swojej rodziny oraz ojczyzny dodatkową hańbą.

Wszedłem w posiadanie płócien w sposób pozornie legalny, lecz w rzeczywistości całkowicie nieuczciwy. Gdy je "kupowałem", byłem świadom, że skonfiskowano je wraz z całymi zbiorami, które należały do żydowskich marszandów oraz francuskich kolekcjonerów. Wiele lat podziwiałem artystyczną doskonałość płócien, lecz, podobnie jak mężczyznę sypiającego z cudzą kobietą, dręczyło mnie poczucie winy. Zamierzałem zwrócić obrazy przed śmiercią, by choć częściowo naprawić błędy popełnione za życia i dopiero wtedy przenieść się na tamten świat. Oto ironia: natchnienie do tego czynu zaczerpnąłem z podstaw twojej religii. W święto Jom Kipur nie wystarczy uznać własnej winy, by odpokutować za złe uczynki. By uzyskać odpuszczenie, trzeba

udać się do tego, kogo się skrzywdziło, i zrekompensować mu wyrządzone krzywdy. Znalazłem stosowny fragment w Księdze Izajasza. Grzesznik pyta Boga: “«Czemu pościliśmy, a Ty nie wejrzałeś? Umartwialiśmy siebie, a Tyś tego nie uznał?»». Otóż w dzień waszego postu wy znajdujecie sobie zajęcie i uciskacie wszystkich waszych robotników. Otóż pościcie wśród waśni i sporów, i wśród bicia niegodziwą pięścią”* [Biblia Tysiąclecia, wydanie czwarte, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1991.].

Moja chciwość podczas wojny była równie bezgraniczna, jak teraz moje poczucie winy. W tym banku zdeponowałem szesnaście obrazów. To reszta mojej tajnej kolekcji. Proszę, nie wychodź stąd bez nich. W Szwajcarii są ludzie, którzy pragną, aby przeszłość pozostała dokładnie tam, gdzie jest teraz - w podziemiach banków przy Bahnhofstrasse - i zrobią wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Uważają się za patriotów, strażników szwajcarskiego ideału neutralności i niezależności za wszelką cenę. Są skrajnie nieprzyjaźni cudzoziemcom, zwłaszcza tym, którzy mogą im zagrażać. Niegdyś miałem tych ludzi za swoich przyjaciół: to kolejny z moich licznych błędów. Niestety, dowiedzieli się o planach przekazania kolekcji i nasłali na mnie człowieka ze służb bezpieczeństwa, aby mnie nastraszył. Właśnie z powodu jego wizyty piszę niniejsze słowa. To za sprawą jego mocodawców jestem teraz martwy. I jeszcze jedno. Jeśli kontaktujesz się z moją córką Anną, dopilnuj proszę, by nie stała się jej żadna krzywda. Wystarczająco dużo wycierpiała z powodu mojej głupoty.

Szczerze oddany,
Augustus Rolfe

Becker czekał na nich w korytarzu. Gdy Gabriel dał mu znak przez oszklone drzwi, wszedł do środka.

- Słucham?
 - Kiedy po raz ostatni ktoś oglądał ten depozyt?
 - Proszę mi wybaczyć, ale ta informacja jest zastrzeżona.
 - Musimy zabrać kilka przedmiotów - odezwała się Anna. - Czy ma pan na zbyciu jakąś torbę?
 - Niestety, nie. To bank, nie sklep spożywczy.
 - Czy w takim razie możemy zabrać skrzynki?
 - Obawiam się, że to wymaga kaucji.
 - Nie ma problemu.
 - Dość wysokiej kaucji.
- Anna wskazała palcem stos pieniędzy na stole.
- Jaka waluta najbardziej panu odpowiada?

30

Zurych

W piekarni, dziesięć kilometrów na północ od Zurychu, Gabriel skorzystał z telefonu i kupił dinkelbrot* [Dinkelbrot (niem.) - ciemny chleb z mąki orkiszowej.]. Po powrocie do samochodu zastał Annę zaczytaną w liście napisanym przez ojca na dzień przed jego zabójstwem. Trzęsły się jej ręce. Gabriel uruchomił silnik i skierował się na autostradę. Anna złożyła list, wsunęła go do koperty i umieściła w skrzynce depozytowej. Pojemnik z obrazami spoczywał na tylnym siedzeniu. Gabriel włączył wycieraczkę. Anna przyłożyła głowę do okna i wpatrywała się w wodę spływającą po szybie.

- Do kogo dzwoniłeś?
- Będziemy potrzebowali pomocy przy opuszczeniu kraju.
- Czemu? Kto nas zatrzyma?

- Ci sami ludzie, którzy zamordowali twojego ojca. I Mullera. I Emila Jacobiego.
- Jak nas znajdą?
- Powinniśmy wychodzić z założenia, że oni wiedzą o naszym pobycie tutaj i że pomimo twojego nowego wyglądu ktoś cię rozpoznał na Bahnhofstrasse.
- Kim są "oni", Gabriel?

Pomyślał o liście Rolfe. "W Szwajcarii są ludzie, którzy pragną, aby przeszłość pozostała dokładnie tam, gdzie jest teraz - w podziemiach banków przy Bahnhofstrasse - i zrobią wszystko, żeby osiągnąć swój cel".

Co on u licha chciał przez to powiedzieć? "W Szwajcarii są ludzie...". Rolfe doskonale wiedział, kogo ma na myśli, lecz nawet w obliczu śmierci skryty, stary szwajcarski bankier nie chciał wyjawiać zbyt wiele. Mimo to zostawił w liście kilka wskazówek... Gabriel postanowił podążyć tym tropem.

Instynktownie potraktował problem tak samo jak obraz, który należy poddać gruntownej konserwacji, gdyż na przestrzeni wieków uległ poważnym uszkodzeniom. Przypomniał mu się Tintoretto, którego niegdyś odnawiał: wersja Chrztu Chrystusa. Wenecki mistrz namalował ją dla prywatnej kaplicy. Była to pierwsza praca Gabriela po wybuchu bomby w Wiedniu. Celowo zdecydował się wtedy zająć czymś wyjątkowo trudnym; chciał myśleć tylko o sztuce. Tintoretto świetnie się do tego nadawał. Po kilkuset latach od namalowania z płótna znikły spore fragmenty; właściwie pozostało więcej pustych miejsc niż pokrytych farbą. Gabriel w zasadzie musiał od nowa wszystko malować, uzupełniając drobne łaty oryginału. Być może teraz powinien uczynić to samo: odtworzyć całą historię na podstawie kilku znanych sobie faktów.

Możliwe, że sprawa wyglądała tak:

Augustus Rolfe, znany zurycki finansista, decyduje się oddać swoją kolekcję obrazów impresjonistów, w której znajdują się dzieła skonfiskowane francuskim Żydom. Rolfe zamierza przeprowadzić operację w całkowitej dyskrecji, dlatego kontaktuje się z wywiadem izraelskim i prosi o skierowanie do Zurychu jednego z wywiadowców. Shamron postanawia, że Gabriel spotka się z Rolfe w jego willi, pod pretekstem konserwacji płótna Rafaela.

"Niestety, dowiedzieli się o planach przekazania kolekcji...".

W którymś momencie Rolfe popełnia błąd, a jego plany przekazania zbiorów Izraelowi zostają odkryte przez kogoś, kto chce bankierowi przeszkodzić.

"Uważają się za patriotów, strażników szwajcarskiego ideału neutralności i niezależności za wszelką cenę. Są skrajnie nieprzyjaźni cudzoziemcom, zwłaszcza tym, którzy mogą im zagrażać...".

Kto czułby się zagrożony na wieść o tym, że szwajcarski bankier chce przekazać Izraelowi zbiór pochodzących z grabieży dzieł? Inni szwajcarscy finansisci z podobnymi kolekcjami? Gabriel spróbował przyjrzeć się całej sprawie z ich perspektywy: perspektywy "strażników szwajcarskiego ideału neutralności i niezależności za wszelką cenę". Co by się stało, gdyby opinia publiczna się dowiedziała, że Augustus Rolfe posiadał tak wiele dzieł, powszechnie uważanych za zaginione? Krzyk oburzenia odbiłby się szerokim echem. Światowe organizacje żydowskie zaatakowałyby rezydentów Bahnhofstrasse, domagając się otwarcia skarbców. Aby uspokoić napastliwe głosy, należałoby przeprowadzić ogólnokrajową akcję systematycznego przetrząsania bankowych podziemi. Niewykluczone, że tak zwanemu strażnikowi szwajcarskiego ideału łatwiej było zamordować człowieka i ukraść jego kolekcję niż odpowiadać na niewygodne pytania dotyczące przeszłości.

"Nasłali na mnie człowieka ze służb bezpieczeństwa, aby mnie nastraszył...".

Gabriel przypomniał sobie niedopałki silk cuts, które znalazł w popielniczce na biurku Rolfe.

"... człowieka ze służb bezpieczeństwa...".

Gerhardt Peterson.

Spotkali się w zaciszu zuryskiego gabinetu Rolfego i przedyskutowali sprawę, jak przystało na dwóch szwajcarskich dżentelmenów. Rolfe palił swoje benson & hedges, a Peterson silk cuts.

- Po co zaraz oddawać te obrazy, Herr Rolfe? Minęło już tyle lat. Nie da się naprawić przeszłości.

Rolfe jednak obstawał przy swoim, więc Peterson uzgodnił z Wernerem Miillerem, że dzieła trzeba ukraść.

Rolfe wie, że Gabriel zjawi się następnego dnia, lecz jest do tego stopnia zaniepokojony rozwojem wypadków, że pisze list i zostawia go w swoim tajnym depozycie bankowym. Usiłuje też wprowadzić nieprzyjaciół w błąd. Wie, że jego telefon jest na podsłuchu, dlatego celowo korzysta z niego, aby zaaranżować na następny rano wyjazd do Genewy. Potem ustala sposób, w jaki Gabriel dostanie się do willi, i czeka.

O trzeciej nad ranem nagle włącza się alarm. Do domu wpadają ludzie Petersona. Rolfe ginie, obrazy zostają skradzione. Sześć godzin później nadchodzi Gabriel i odkrywa zwłoki bankiera. Podczas przesłuchania Peterson uświadamia sobie, jaką drogą zmarły zamierzał przekazać kolekcję. Orientuje się również, że Rolfe zrealizował już znaczną część swojego planu. Zwalnia więc Gabriela, ostrzegając przed ponownym przyjazdem do Szwajcarii, i poddaje go inwigilacji. Gdy Gabriel rozpoczyna śledztwo na własną rękę, Peterson szybko się o tym dowiaduje i zaczyna robić porządki. W Paryżu ginie Werner Muller, a jego galeria ulega całkowitemu zniszczeniu. Gabriel jest widziany w Lyonie w towarzystwie Emila Jacobiego, a następnego dnia pisarz zostaje zamordowany.

Anna oderwała piętę z bochenka dinkelbrota.

- Kim są "oni"? - powtórzyła.

Gabriel zastanowił się, jak długo był pogrążony w milczeniu, ile kilometrów zdążyli w tym czasie pokonać.

- Nie jestem pewien - odparł po chwili. - Niewykluczone jednak, że wszystko przebiegło tak...

- Gabriel, naprawdę sądzisz, że to możliwe?

- Właściwie to jedyne logiczne wytłumaczenie.

- Boże święty, niedobrze się człowiekowi robi. Chcę wyjechać z tego kraju.

- Ja też.

- Jeśli twoja teoria jest słuszna, wciąż jeszcze pozostaje jedna kwestia do wyjaśnienia.

- Mianowicie?

- Gdzie są teraz obrazy?

- Cały czas w tym samym miejscu.

- To znaczy gdzie?

- Tutaj. W Szwajcarii.

31

Bargen, Szwajcaria

Pięć kilometrów od granicy z Niemcami, na końcu wąskiej doliny pełnej małych wiosek, leży bezbarwna miejscowość Bargen, znana w Szwajcarii tylko z tego powodu, że jest najdalej wysuniętym na północ miasteczkiem kraju. Tuż przy autostradzie znajdują się stacja benzynowa i sklep z parkingiem o żwirowej nawierzchni. Gabriel zgasił silnik. Zamarli w oczekiwaniu, skąpani w sinym świetle popołudniowego słońca.

- Kiedy tu dotrą?

- Nie wiem.

- Muszę iść siusiu.

- Postaraj się powstrzymać.

- Zawsze byłam ciekawa, jak się zachowam w takiej sytuacji, i proszę, znam już odpowiedź. W obliczu niebezpieczeństwa, w sytuacji zagrożenia życia, ogarnia mnie niekontrolowana potrzeba oddania moczu.

- Masz niezwykłą zdolność koncentracji. Zrób z niej użytek.

- A tobie się to udaje?

- Ja nigdy nie oddaję moczu.

Uderzyła go w rękę, lekko, aby nie sprawić mu bólu.

- Słyszałam cię, gdy byłeś w łazience, w Wiedniu. Wymiotowałeś. Zachowujesz się tak, jakby nic cię nie obchodziło... a jednak jesteś człowiekiem.

- Zapal sobie, to ci pomoże skoncentrować się na czymś innym.

- Co czułeś, kiedy zabijałeś tych ludzi w domu mojego ojca?

Gabriel pomyślał o Elim Lavonie.

- Nie miałem czasu zastanawiać się nad moralnymi kwestiami zabijania ani rozmyślać o konsekwencjach tego, co robię. Gdybym ich nie zlikwidował, oni zrobiliby to ze mną.

- Możliwe, że właśnie oni zamordowali mojego ojca.

- Tak, to możliwe.

- Wobec tego dobrze, że ich zabiłeś. Czy to źle, że tak myślę?

- Nie, to zupełnie naturalne.

Skorzystała z jego rady i zapaliła papierosa.

- Zatem znasz już wszystkie wstydlive tajemnice mojej rodziny. Dziś rano uświadomiłam sobie, że właściwie nic o tobie nie wiem.

- I niech tak pozostanie.

- Daj spokój, Gabriel. Naprawdę jesteś taki zimny i zdystansowany czy tylko udajesz?

- Podobno mam problemy z koncentracją.

- Aha! To dobre na początek. Powiedz mi coś jeszcze.

- Co chcesz wiedzieć?

- Nosisz obrączkę. Jesteś żonaty?

- Tak.

- Mieszkasz w Izraelu?

- W Anglii.

- Masz dzieci?

- Miałem syna, ale zginął od bomby podłożonej przez terrorystów. - Popatrzył na nią zimno. - Chcesz jeszcze coś wiedzieć na mój temat?

Uznał, że należą się jej wyjaśnienia za to, co mu wyznała o sobie i ojcu. To jednak nie wszystko. Nagle poczuł, że właściwie chciałby jej opowiedzieć więcej. Dlatego wyjawiał szczegóły tamtej nocy w Wiedniu, sprzed dziesięciu lat, kiedy jego wróg, palestyński terrorysta Tariq al-Hourani podłożył mu bombę pod samochodem. Ładunek miał zabić jego najbliższych, bo Palestyńczyk dobrze wiedział, że taka kara wymierzona wrogowi jest dla niego najbardziej bolesna. Gabriela nie musiał zabijać.

To się stało po kolacji. Przez cały czas Leah się denerwowała, gdyż w telewizorze umieszczonym nad barem widziała zdjęcia rakiet Scud spadających na Tel Awiw. Leah była dobrą Izraelką; nie potrafiła zajadać się makaronem w sympatycznej włoskiej restauracyjce w Wiedniu i jednocześnie myśleć o tym, że jej matka tkwi w mieszkaniu w Tel Awiwie, z oknami oblepionymi taśmą klejącą i maską przeciwgazową na twarzy.

Po kolacji poszli spacerem do samochodu Gabriela. Przypiął Daniego pasami do jego fotelika, pocałował żonę i oświadczył, że będzie pracował do późna. Na zlecenie Shamrona miał unieszkodliwić oficera irackiego wywiadu, odpowiedzialnego za śmierć Żydów. Tego jednak Gabriel nie wyjawiał Annie Rolfe.

Potem ruszył przed siebie, a Leah usiłowała uruchomić silnik, który nie chciał zaskoczyć, gdyż zapalnik bomby Tariqa czerpał energię z akumulatora. Zorientowawszy się, że Leah ma

problemy z rozruchem, odwrócił się do niej i krzyknął: "Poczekaj!". Pewnie go nie usłyszała, bo po raz drugi przekręciła kluczyk w stacyjce.

Pierwotny instynkt, nakazujący chronić własne potomstwo, kazał mu biec najpierw do Daniego, lecz chłopczyk już nie żył, zginął rozerwany na strzępy. Gabriel rzucił się więc ku Leah i wyciągnął ją z płonącego wraku. Przeżyła, choć chyba lepiej by było, gdyby zginęła wraz z synem. Teraz leczono ją w szpitalu psychiatrycznym na południu Anglii. Cierpiała na połączenie psychicznych zaburzeń pourazowych oraz depresji psychotycznej. Od tamtej nocy w Wiedniu nie odezwała się do Gabriela ani słowem.

Tego też nie powiedział Annie Rolfe.

- Powrót do Wiednia musiał być dla ciebie bardzo trudny.
- Znalazłem się tam po raz pierwszy od wypadku.
- Gdzie ją poznałeś?
- W szkole.
- Też była artystką?
- Znacznie lepszą ode mnie.
- Ładna?
- Piękna. Teraz ma blizny.
- Wszyscy ludzie mają jakieś blizny.
- Nie takie jak Leah.
- Dlaczego ten Palestyńczyk podłożył bombę pod twoim samochodem?
- Bo mu zabiłem brata.

Zanim zdążyła zadać następne pytanie, na parking wjechała ciężarówka Volvo i błysnęła światłami. Gabriel pojechał za nią na skraj sosnowego lasu poza miastem. Kierowca wyskoczył z kabiny i szybko otworzył tylne drzwi. Gabriel i Anna wysiedli z samochodu. Anna ścisnęła w dłoniach mniejszą skrzynkę, a Gabriel większą, tę z obrazami. Zatrzymał się na chwilę, by z całej siły cisnąć kluczyki w głąb lasu. Skrzynię ładunkową ciężarówki zapełniały meble biurowe: biurka, krzesła, półki, regały.

- Idźcie jak najbliżej kabiny, połóżcie się na podłodze i przykryjcie kocami.

Gabriel ruszył pierwszy. Z trudem przeciskał się między meblami, dźwigając nieporęczną skrzynkę. W jego ślady poszła Anna. Znaleźli tylko jedno wolne miejsce, w którym mogli usiąść z nogami podkulonymi pod brodą. Gdy Anna się usadowiła, Gabriel przykrył ją i siebie kocem. Zapadły egipskie ciemności.

Ciężarówka zakołysała się na wyboistej drodze, a po kilku sekundach już pędzili autostradą. Krople wody, pryskając spod kół, uderzały o podwozie. Anna zaczęła cicho nucić.

- Co ty wyprawiasz?
- Zawsze nucę, kiedy się boję.
- Nie pozwolę, aby stało ci się coś złego.
- Słowo?
- Słowo - potwierdził. - A co nuciłaś?
- Łabędzia z Karnawału zwierząt Camille'a Saint-Saensa.
- Zagrasz mi to kiedyś?
- Nie.
- Czemu?
- Nigdy nie grywam dla przyjaciół.

Dziesięć minut później. Granica. Ciężarówka ustawiła się w kolejce samochodów oczekujących na wjazd do Niemiec. Pojazd poruszał się skokami, po kilkadziesiąt centymetrów: gaz, hamulec, gaz, hamulec. Głowy im opadały do przodu i do tyłu niczym główki marionetek. Każde wciśnięcie hamulca oznaczało ogłuszający pisk sprzeciwu, gazu zaś - wyrzucenie z rury wydechowej kolejnego obłoku trujących spalin. Anna oparła policzek na ramieniu Gabriela.

- Teraz naprawdę robi mi się niedobrze - szepnęła.
Gabriel ścisnął jej dłoń.

Po drugiej stronie granicy czekał inny samochód, ciemnoniebieski ford fiesta z monachijskimi tablicami. Kierowca ciężarówki przysłany przez Ariego Shamrona wypuścił ich z naczepy i odjechał, kontynuując absurdalną podróż donikąd. Gabriel załadował skrzynki depozytowe do bagażnika i ruszyli w drogę: E41 do Stuttgartu, E52 do Karlsruhe, E35 do Frankfurtu. W nocy Gabriel zatrzymał się tylko raz, żeby zatelefonować do Tel Awiwu. Zamienił kilka słów z Shamronem.

O drugiej dotarli do holenderskiego miasteczka Delft, położonego w odległości kilku kilometrów od wybrzeża. Gabriel nie mógł już dłużej prowadzić. Piekły go oczy, dzwonienie w uszach rozsadało czaszkę. Za osiem godzin z Hoek van Holland odpływał prom do angielskiego portu Harwich. Gabriel i Anna zamierzali się na nim znaleźć, lecz teraz on potrzebował łóżka i kilku godzin odpoczynku; pokręcili się więc po ulicach starówki w poszukiwaniu noclegu.

Gabriel dostrzegł hotel na Vondelstraat, w pobliżu kościoła Nieuwe Kerk. Anna zajęła się formalnościami w recepcji, podczas gdy Gabriel czekał w maleńkim holu, pilnując obu skrzynek. Potem zaprowadzono ich wąskimi schodkami do przegrzanego pokoju o spadzistym suficie i zadaszonym oknie, które Gabriel natychmiast otworzył.

Schował skrzynki do szafy, a następnie zdjął buty i wyciągnął się na łóżku. Anna zniknęła w łazience, a po chwili Gabriel usłyszał kojący szum płynącej wody. Przez otwarte okno wpadało zimne, nocne powietrze. Bryza znad Morza Północnego pieściła twarz Gabriela. Pozwolił sobie na zamknięcie oczu.

Kilka minut później drzwi łazienki otworzyły się i fala światła napłynęła do pokoju. Anna szybko wyłączyła lampę. Pokój ponownie spowił mrok, rozjaśniany jedynie przez sączącą się z okna słabą poświatę latarni ulicznych.

- Śpisz?

- Nie.

- Nie będziesz spał na podłodze, tak jak w Wiedniu?

- Nie mogę się ruszyć.

Uniosła brzeg koca i wśliznęła się do łóżka.

- Skąd wiedziałas, że hasło brzmi "adagio"? - spytał Gabriel.

- Adagio Albinoniego to jeden z pierwszych utworów, które opanowałam. Ojciec od razu polubił tę melodię i od tamtej pory pozostała jego ulubioną. - W ciemnościach zabłysła zapalniczka Anny. - Chciał odpuścić grzechów. Pragnął rozgrzeszenia. Był gotów zwrócić się z tym do ciebie, a nie do mnie. Dlaczego ojciec nie poprosił mnie o przebaczenie?

- Pewnie podejrzewał, że mu go nie udzielisz.

- Mówisz tak, jakbyś miał doświadczenie w tych sprawach. Czy twoja żona ci wybaczyła?

- Nie, nie sędzę.

- A ty? Przebaczyłeś sobie?

- Nie nazwałbym tego przebaczeniem.

- Tylko czym?

- Przystosowaniem. Przystosowałem się do życia ze świadomością tego, co robię.

- Mój ojciec zmarł, nie uzyskawszy rozgrzeszenia. Pewnie na to zasłużył. Pragnęłabym jednak zakończyć to, co on zaczął. Chcę odzyskać te obrazy i wysłać je do Izraela.

- Ja też.

- Tylko jak?

- Śpij już, Anno.

Tak też zrobiła. Gabriel nie mógł zasnąć. Leżał w oczekiwaniu na świt i wsłuchiwał się w krzyk mew nad kanałem i równomierny oddech Anny. Tej nocy nie dręczyły jej koszmary, nie prześladowały demony. Spała niewinnym snem dziecka. Ale Gabriel nie był jeszcze gotowy na sen.

Wiedział, że pójdzie spać dopiero wtedy, gdy obrazy znajdą się pod kluczem, w bezpiecznym skarbcu Isherwooda.

Część trzecia

32

Nidwalden, Szwajcaria

W przededniu wybuchu II wojny światowej generał Henri Guisan, głównodowodzący szwajcarskich sił zbrojnych, ogłosił desperacki plan przeciwstawienia się najazdowi dysponujących przytłaczającą przewagą sił nazistowskich Niemiec. Guisan oświadczył, że w wypadku inwazji niemieckiej armia szwajcarska wycofa się na z góry upatrzone pozycje, chronione przez naturalne umocnienia alpejskie, i wysadzi w powietrze wszystkie tunele. Ponadto zapowiedział zdecydowaną walkę do ostatniego żołnierza, zarówno w głębokich dolinach, jak i na szczytach gór. Rzecz jasna, do niczego podobnego nie doszło. Hitler już na początku wojny uświadomił sobie, że neutralna Szwajcaria jest dla niego znacznie cenniejsza niż Szwajcaria w kajdanach, ujarzmiona przez okupanta. Mimo to zaprezentowana przez generała heroiczna strategia walki z potencjalnym najeźdźcą do dziś rozbudza wyobraźnię Szwajcarów.

Także Gerhardt Peterson poddał się jej urokowi, kiedy następnego popołudnia mijał Lucernę i patrzył na spowite chmurami Alpy. Czuł, jak serce bije mu coraz szybciej, gdy przyciska pedał gazu, a mercedes z rykiem silnika pokonuje pierwszą przełęcz. Peterson pochodził ze środkowej Szwajcarii i potrafił odtworzyć swoje drzewo genealogiczne do członków plemienia z Leśnych Kantonów. Z dumą myślał o tym, że jego przodkowie przemierzali te górskie doliny w tym samym czasie, gdy na drugim krańcu cesarstwa rzymskiego pewien młody mężczyzna, Jezus z Nazaretu, sprawiał Rzymianom kłopoty. Peterson fatalnie się czuł za każdym razem, gdy musiał zanadto oddalić się od swojej bezpiecznej twierdzy w Alpach. Przypominał sobie oficjalną wizytę w Rosji, do której wysłano go kilka lat wcześniej. Niezmierzone przestrzenie wyjątkowo źle podziały na jego zmysły. W moskiewskim pokoju hotelowym cierpiał na pierwszy i jedyny w życiu atak bezsenności. Po powrocie do ojczyzny natychmiast zaszył się w swoim wiejskim domku i spędził cały dzień na wędrowce po górskich szlakach nad Jeziorem Czterech Kantonów. Tamtej nocy spał jak kamień.

Tym razem jednak nagła wyprawa w Alpy nie miała nic wspólnego z przyjemnością. Sprowokowały ją dwie złe wiadomości. Pierwszą było znalezienie porzuconego audi na drodze w pobliżu Bagen, kilka kilometrów od granicy z Niemcami. Po sprawdzeniu numerów rejestracyjnych okazało się, że samochód wypożyczono poprzedniego wieczora w Zurychu. Druga nowina pochodziła od informatora z Bahnhofstrasse. Sprawa wymykała się spod kontroli; Peterson czuł, że traci panowanie nad sytuacją.

Zaczął padać śnieg. Wielkie, puszyste płatki pokryły świat bielą. Peterson włączył żółte lampy przeciwmgłowe i pędził dalej, nie zdejmując nogi z gazu. Godzinę później minął miasteczko Stans. Zanim dotarł do bram posiadłości Gesslera, ziemię pokrywało dziesięć centymetrów świeżego śniegu.

Gdy zatrzymał samochód, podeszło do niego dwóch ochroniarzy w granatowych kurtkach narciarskich i wełnianych czapkach. Po krótkich formalnościach związanych z identyfikacją i pobeżną kontrolą Peterson mógł jechać dalej ku rezydencji. Tam czekał kolejny mężczyzna, rzucający kawałki surowego mięsa wygłodniałej suce owczarka niemieckiego.

Przy brzegu Jeziora Czterech Kantonów, nieopodal górskiej posiadłości Ottona Gesslerera, znajduje się legendarne miejsce narodzin Konfederacji Szwajcarskiej. W 1291 roku przywódcy trzech tak zwanych Leśnych Kantonów - Uri, Schwyz i Unterwalden - podobno zebrali się na łące Rutli, aby stworzyć sojusz obronny przeciwko wszystkim, którzy "mogą nastawać na ich osoby lub dobra". Wydarzenie to jest dla Szwajcarów święte. Fresk przedstawiający łąkę Rutli zdobi salę Szwajcarskiej Rady Narodowej, a w sierpniu przypada państwowe święto, które upamiętnia zjazd na łące.

Siedemset lat później podobny związek obronny został stworzony przez grupę najbogatszych i najbardziej wpływowych bankierów i przemysłowców kraju. W 1291 roku wróg pochodził z zewnątrz: był nim święty rzymski cesarz Rudolf I z dynastii Habsburgów, który usiłował zaprowadzić w Szwajcarii swoje feudalne prawa. Teraz nieprzyjacielem znów okazali się cudzoziemcy, lecz bardziej rozproszeni i liczniejsi. Byli to Żydzi, domagający się otworzenia podziemnych skarbców szwajcarskich banków, aby zabrać stamtąd pieniądze i wszystko inne, czym mogliby napchać kieszenie. Odezwały się także rządy, oczekujące, że Szwajcaria zapłaci miliardy dolarów za to, że podczas II wojny światowej przyjmowała nazistowskie złoto. Ponadto pewna grupa dziennikarzy i historyków dążyła do przedstawienia Szwajcarów jako gorliwych sprzymierzeńców Niemiec, hitlerowskich bankierów i dostawców, przedłużających wojnę za cenę milionów istnień ludzkich; należy też wspomnieć o szwajcarskich reformatorach, zdecydowanych zmienić święte prawo tajemnicy bankowej.

Ten nowy związek czerpał wzorce z postawy ceniących nade wszystko wolność mieszkańców lasu, którzy zebrali się nad brzegiem jeziora w 1291 roku. Podobnie jak ich przodkowie, uczestnicy nowego porozumienia zaprzysięgli walkę z każdym, kto "może nastawać na ich osoby lub dobra". Wydarzenia rozgrywające się poza ich umocnieniami alpejskimi uznali za nadciągającą burzę, mogącą zmieść z powierzchni ziemi instytucje, które zapewniły Szwajcarii, małemu państwu bez dostępu do morza, praktycznie pozbawionemu surowców naturalnych, drugi co do wysokości standard życia na świecie. Członkowie sojuszu określili siebie mianem Rady Rutli, a ich przywódcą został Otto Gessler.

Peterson spodziewał się, że jak zwykle zostanie skierowany do prowizorycznego studia telewizyjnego Gesslerera. Strażnik jednak poprowadził go wzdłuż oświetlonej latarniami ścieżki do parterowego skrzydła posiadłości. Po przejściu przez niezwykle ciężkie, szklane drzwi Peterson znalazł się w trudnym do wytrzymania, tropikalnym upale i gęstej chmurze cuchnącej chlorem pary wodnej. Przez mgłę prześwitywały ozdobne lampy, a na wysokim suficie połyskiwały turkusowe, falujące wzory odbijającej się od basenu wody. W pomieszczeniu panowała cisza, zakłócana jedynie chłupotem fal, wzbudzanych przez wytrwale pływającego Ottona Gesslerera. Peterson zdjął płaszcz i szalik i czekał, aż Gessler pokona kolejną długość basenu. Śnieg, który zebrał się na skórzanych butach przybysza, szybko topniał, przenikając przez skarpetki do stóp.

- Gerhardt? - Gessler nabrał powietrza przed kolejnym zanurzeniem. - To ty?

- Tak, Herr Gessler.

- Mam nadzieję - że śnieg - zbytnio - nie utrudnił ci - jazdy.

- Ani trochę, Herr Gessler.

Peterson liczył na to, że starszy pan zrobi sobie przerwę; w przeciwnym wypadku rozmowa mogła trwać całą noc. Nad basenem przystanął ochroniarz, ale po chwili się wycofał i skrył we mgle.

- Życzyłeś sobie porozmawiać ze mną o sprawie Rolfego, Gerhardt?

- Tak jest, Herr Gessler. Obawiam się, że mamy pewien problem.

- Zamieniam się w słuch.

Przez następnych dziesięć minut Peterson przedstawiał Gesslerowi najświeższe wiadomości. W tym czasie jego rozmówca nie przerywał pływania. Plusk, cisza, plusk, cisza...

- Jakie wnioski z tego wyciągasz?

- Oni wiedzą o sprawie Augustusa Rolfego i losach zbiorów więcej, niż byśmy sobie życzyli.
- Uparty naród, prawda, Gerhardt?
- Żydzi?
- Nigdy nie wiedzą, kiedy przestać. Zawsze szukają kłopotów. Nie pokonają mnie, Gerhardt.
- Oczywiście, że nie, Herr Gessler.

Peterson przyglądał się przez zasłonę pary, jak Gessler powoli wychodzi z wody po drabince z płytszej strony basenu. Miał blade, przeraźliwie chude ciało. Ochroniarz okrył mu ramiona szlafrokiem. Potem mgielna kurtyna zasunęła się i Gessler znikł.

- Należy ją wyeliminować - rozległ się suchy, bezbarwny głos. - Tak samo jak Izraelczyka.

Peterson zmarszczył brwi.

- Nie da się uniknąć konsekwencji. Anna Rolfe to skarb narodowy. Jeśli zostanie zamordowana niedługo po swoim ojcu, z pewnością pojawią się niewygodne pytania, zwłaszcza w gazetach.

- Możesz być pewien, że po jej śmierci w Szwajcarii nie zapanuje żałoba. Ona nawet nie chce tutaj mieszkać i już kilka razy dała to wyraźnie do zrozumienia. Co się tyczy prasy, mogą zadawać wszystkie pytania, jakie im przyjdą do głowy. Bez poparcia w faktach ich opowieści będą traktowane jak plotki o rzekomych spiskach. Obchodzi mnie tylko to, czy władze będą zadawały pytania. Właśnie za to ci płacimy, Gerhardt: musisz zadbać o to, aby władze nie zadawały pytań.

- Powinienem ostrzec pana, że izraelskie tajne służby nie przestrzegają standardowych reguł. Jeśli doprowadzimy do zabójstwa jednego z ich agentów, wezmą nas na cel.

- Nie boję się Żydów, Gerhardt, i ty też nie powinieneś. Natychmiast skontaktuj się z Antonem Orsatim. Przeleję na twoje konto operacyjne dodatkowe środki, dostaniesz też nieco na swój rachunek osobisty. Niech to będzie dla ciebie zachętą: rozwiąż sprawę szybko i dyskretnie.

- To nie jest konieczne, Herr Gessler.
- Wiem, że to nie jest konieczne, ale na to zasłużyłeś.

Peterson pospiesznie zmienił temat. Nie chciał zbyt wiele czasu poświęcać rozmowie o pieniądzach. Czuł się wtedy jak dziwka.

- Powinienem wracać do Zurychu, Herr Gessler. Pogoda się psuje.
- Jeśli chcesz zostać na noc, będziesz mile widzianym gościem.
- Nie, naprawdę muszę już jechać.
- Jak wolisz, Gerhardt.
- Mogę panu zadać pytanie, Herr Gessler?
- Jak najbardziej.
- Znał pan Herr Rolfego?

- Tak, znałem go dobrze. Niegdyś byliśmy sobie bliscy. Prawdę mówiąc, byłem u niego, kiedy jego żona popełniła samobójstwo. Wykopała sobie grób i zastrzeliła się. Mała Anna odkryła zwłoki. Okropność. Śmierć Herr Rolfego była niestety konieczna. Nie chodziło o sprawy osobiste, tylko zawodowe. Rozumiesz tę różnicę, prawda, Gerhardt?

33

Londyn

Julian Isherwood siedział za biurkiem, wertując stertę papierów, kiedy usłyszał warkot ciężarówki dostawczej wjeżdżającej przez Mason's Yard. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Mężczyzna w niebieskim kombinezonie wysiadł od strony pasażera i podszedł do drzwi. Po chwili rozległ się dzwonek.

- Irina? Czy na dzisiaj zaplanowano jakąś dostawę?
- Nie, panie Isherwood.

Chryste, pomyślał Isherwood. Znowu?

- Irina?

- Tak, panie Isherwood?

- Jestem trochę głodny, kwiatuszk. Byłabyś tak miła i przyniosła mi panini* [Panini (wł.) - kanapka (z dwóch połówek bułki).] z tego wspaniałego sklepu na Piccadilly?

- O niczym innym nie marzyłam, panie Isherwood. Czy mogę jeszcze wykonać dla pana jakąś równie bezsensowną i upokarzającą pracę?

- Nie dąsaj się, Irina. Może być jeszcze filiżanka herbaty. I nie spiesz się.

Mężczyzna w niebieskim kombinezonie przypominał Isherwoodowi człowieka, który niegdyś usuwał z jego domu mrówki. Przybysz miał buty na gumowej podeszwie; pracował skutecznie i cicho, niczym pielęgniarz na nocnym dyżurze. W jednej ręce trzymał urządzenie wielkości pudełka do cygar, pełne wskaźników i pokręteł, a w drugiej długi pręt, wyglądający jak łapka na muchy. Zaczął od magazynów w podziemiach, potem sprawdził biuro Iriny, następnie gabinet Isherwooda i salę wystawową. Na koniec rozebrał telefony, komputery i faks. Po czterdziestu pięciu minutach wrócił do gabinetu Isherwooda i wręczył mu dwa drobne przedmioty.

- Miał pan pluskwy - oznajmił. - Teraz są martwe.

- Kto na litość boską je tu zainstalował?

- To nie moja sprawa. Jestem tylko dezynsektorem. - Uśmiechnął się. - Na dole czeka ktoś, kto chciałby zamienić z panem słowo.

Isherwood powędrował przez zagracony magazyn do rampy przeładunkowej. Otworzył zewnętrzną bramę i wpuścił ciężarówkę.

- Proszę zamknąć bramę - nakazał człowiek w niebieskim kombinezonie.

Isherwood wykonał polecenie. Wówczas mężczyzna uchylił tylne drzwi ciężarówki, a ze środka buchnęła chmura gęstego dymu. W głębi samochodu przykucnęło uosobienie nieszczęścia: Ari Shamron.

Mężczyzna w roverze przejechał z Jermyn Street na King Street, również położoną w promieniu dwóch kilometrów od nadajników, które umieścił w galerii. Od pewnego czasu nie wyemitowały ani jednego dźwięku. Ostatnie słowa, które do niego dotarły, wypowiedział marszand, gdy prosił sekretarkę o przyniesienie lunchu. Mężczyzna zdziwił się, gdyż obserwowany zawsze jadał na mieście. Jego zdumienie było tak wielkie, że zapisał w notatniku, o której godzinie doszło do zajścia. Czterdzieści pięć minut później w głośnikach radia samochodowego rozległ się szum. Ktoś właśnie znalazł nadajniki. Mężczyzna zaklął cicho i pospiesznie przekręcił kluczyk w stacyjce. Odjeżdżając, wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do Zurychu.

Prom z Hoek van Holland do Harwich miał kilkugodzinne opóźnienie z powodu niekorzystnej pogody na Morzu Północnym. W rezultacie Gabriel i Anna Rolfe dopiero późnym popołudniem zajechali na Mason's Yard. Gabriel dwukrotnie krótko zatrąbił, a po chwili brama prowadząca do rampy przeładunkowej powoli się otworzyła. Wjechali do środka, lecz nie wysiedli z samochodu, dopóki brama nie zamknęła się za ich plecami. Dopiero wtedy Gabriel wziął z tylnej kanapy dużą skrzynkę depozytową i poprowadził Annę przez magazyn do windy. Tam czekał na nich Isherwood.

- Pani Anna Rolfe, jak mierniam. To naprawdę ogromny zaszczyt panią poznać. Miałem przyjemność wysłuchać pani koncertu podczas wieczoru Mendelssohna. Niezapomniane wrażenie.

- Miło mi to słyszeć.

- Zapraszam do środka.

- Dziękuję.

- Już tu jest? - spytał Gabriel.

- Na górze, w sali wystawowej.

- Chodźmy.

- Co jest w skrzynce?

- Za chwilę, Julian.

Shamron stał pośrodku pomieszczenia, palił swoje cuchnące tureckie papierosy i zupełnie nie zwracał uwagi na otaczające go płótna starych mistrzów. Gabriel widział, że starzec zmagają się ze wspomnieniami. Przed rokiem, w tym samym miejscu, przystąpili do ostatniego etapu operacji, która zakończyła się śmiercią Tariqa al-Houraniego. Gdy Shamron ujrzał, że do sali wchodzi Anna Rolfe, jego twarz się rozjaśniła. Wylewnie uścił jej dłoń.

Gabriel postawił skrzynkę depozytową i uniósł wieko. Potem wyciągnął pierwszy obraz, rozwinął go i położył na podłodze.

- Chryste Panie... - wyszeptał Isherwood. - Pejzaż Moneta.

- To dopiero początek - uśmiechnęła się Anna.

Gabriel wydobył kolejne płótno, autoportret van Gogha, i ułożył je obok Moneta.

- Dobry Boże - jęknął Isherwood.

Potem nadeszła pora na Degasa i Bonnarda, Cezanne'a i Renoira, aż w końcu na podłodze, zajmując całą długość galerii, spoczęło szesnaście obrazów. Isherwood usiadł na sofie, przycisnął dłonie do skroni i rozplakał się.

- Niezły początek - przyznał Shamron. - Czekamy, co będzie dalej.

Anna słyszała już opowieść Gabriela, dlatego teraz odeszła na bok i zajęła się pocieszeniem Isherwooda, który nie mógł oderwać oczu od obrazów. Gabriel wyjawiał wszystko, co wie o Augustusie Rolfem i jego kolekcji, a także opowiedział o liście, który znalazł w skrytce depozytowej w Zurychu. Następnie nakreślił Shamronowi plan odzyskania pozostałej części kolekcji Rolfe: dwudziestu arcydzieł skradzionych z podziemi willi w Zurychu. Gdy skończył, Shamron zgniótł papierosa i powoli pokręcił głową.

- Ciekawy pomysł, Gabriel, ale ma pewną zasadniczą wadę. Premier nigdy nie wyrazi na to zgody. Jeśli dotąd nie zauważyłeś, przypominam, że wojnę prowadzimy z Palestyńczykami. Premier w żadnym wypadku nie zaaprobuje tego typu operacji tylko po to, żeby odzyskać kilka obrazów.

- Chodzi o coś więcej niż kilka obrazów. Rolfe sugeruje istnienie organizacji szwajcarskich bankierów i biznesmenów, gotowych na wszystko, byleby tylko ochronić stary porządek. A my dysponujemy dowodami na jej istnienie. Poza tym są trzy trupy: Rolfe, Muller i Emil Jacobi. I w dodatku usiłowali zabić także i mnie.

- Sytuacja jest zbyt wybuchowa. Nasi kapryśni przyjaciele - tu, w Europie - i tak już się na nas rozzłościli. Nie musimy dolewać oliwy do ognia, organizując tego typu akcję. Przykro mi, Gabriel, ale nie zaaprobuje jej i nie będę zabierał czasu premierowi, prosząc go o zgodę.

Anna podeszła do nich, aby posłuchać, o czym dyskutują.

- Myślę, że istnieje dość proste rozwiązanie tego problemu, proszę pana - zwróciła się do Shamrona.

Starzec spojrział na Annę, rozbawiony, że szwajcarska skrzypaczka ośmiela się wygłaszać opinie na temat operacji izraelskiego wywiadu.

- Mianowicie?

- Niech pan nic nie mówi premierowi.

Shamron odchylił głowę i wybuchnął śmiechem, a Gabriel po chwili mu zawtórował. Gdy się uspokoili, na moment zapadła cisza, raptem przerwana przez Juliana Isherwooda:

- Jezus Maria, nie wierzę!

Trzymał w rękach Renoira, portret młodej dziewczyny z bukietem kwiatów. Obracał płótno, spoglądając to na przednią, to na tylną stronę.

- Co z tobą, Julian? - zdumiał się Gabriel.

Isherwood podniósł Renoira w taki sposób, aby Gabriel i pozostali widzieli wizerunek dziewczyny.

- Niemcy wszystko skrupulatnie opisywali. Każdy obraz sortowano, katalogowano i oznaczano: swastyką, numerem seryjnym oraz inicjałami kolekcjonera lub marszanda, któremu je odebrano.

Odwrócił płótno, prezentując jego tył.

- Ktoś usiłował usunąć oznakowania, lecz niespecjalnie mu się to udało. Przyjrzyjcie się lewemu dolnemu rogowi. Są tu ślady swastyki, numer seryjny oraz inicjały pierwotnego właściciela: S.I.

- Kim jest S.I.? - spytała Anna.

- S.I. to Samuel Isakowitz, mój ojciec... - Głos Isherwooda się załamał. - Ten obraz naziści zabrali z galerii mojego ojca przy rue de la Boetie w Paryżu w czerwcu 1940 roku.

- Jest pan pewien? - dopytywała Anna.

- Mogę się założyć o wszystko.

- Wobec tego proszę go przyjąć wraz z najszczęśliwymi przeprosinami ze strony rodziny Rolfe.

- I ucałowawszy go w policzek, dodała: - Ogromnie mi przykro, panie Isherwood.

Shamron popatrzył na Gabriela.

- Wiesz co, przedstaw mi swój plan jeszcze raz.

Zeszli na dół do gabinetu Isherwooda. Gabriel zajął miejsce za biurkiem, a Shamron krążył po całym pokoju.

- Co mam powiedzieć premierowi?

- Słyszałeś, co sugerowała Anna. Nic mu nie mów.

- A jeśli wszystko obróci się przeciwko mnie?

- Nic podobnego ci nie grozi.

- Takie historie zawsze się obracają przeciwko mnie, Gabriel, i mam na to dowody w postaci blizn. Ty także. Powiedz mi jedną rzecz. Czy mam wybujałą wyobraźnię, czy też dzisiaj wieczorem poruszałeś się bardziej sprężyście niż zwykle?

- Chcesz mnie o coś spytać?

- Nie chciałbym, aby to zabrzmiało niedelikatnie.

- Nigdy dotąd nie miewałeś takich wątpliwości.

- Czy ty i ta kobieta jesteście kimś więcej niż tylko współuczestnikami poszukiwań sprawców zabójstwa jej ojca? - Nie usłyszawszy odpowiedzi, Shamron uśmiechnął się i pokręcił głową. - Pamiętasz, co mi powiedziałeś o Annie Rolfe na Piazza Navona?

- Stwierdziłem, że gdybyśmy mieli możliwość wyboru, nigdy nie skorzystalibyśmy z pomocy takiej kobiety jak ona.

- A teraz chcesz ją zaangażować jeszcze bardziej?

- Da sobie radę.

- Nie wątpię. Problem w tym, czy ty dasz sobie radę, Gabriel.

- Niczego bym nie sugerował, gdybym sądził, że mi się nie powiedzie.

- Jeszcze dwa tygodnie temu musiałem cię błagać, żebyś zajął się śmiercią Rolfe. Teraz wyruszasz na wojnę ze Szwajcarią.

- Rolfe chciał, aby te obrazy trafiły do nas. Ktoś je zabrał, a teraz ja chcę je odzyskać.

- Rzecz w tym, że to nie jest twoja jedyna motywacja. Zmieniłem cię w zabójcę, lecz w głębi duszy jesteś konserwatorem. Myślę, że tym razem chcesz wziąć na warsztat Annę Rolfe. W takim wypadku następne logiczne pytanie brzmi: dlaczego on chce zajmować się Anną Rolfe? Istnieje tylko jedna logiczna odpowiedź: bo coś do niej czuje... - Shamron zawahał się, po czym dodał: - I to jest najlepsza wiadomość, jaką słyszałem od bardzo dawna.

- Troszczę się o nią.

- Jeśli się o nią troszczysz, powinieneś przekonać ją do odwołania występu w Wenecji.

- Ona nie chce o tym słyszeć.

- Skoro tak, to spróbujmy skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Co masz na myśli?
- Zawsze uważałem, że oszustwa i matactwa to skuteczna taktyka w podobnych sytuacjach. Niech wystąpi na tym koncercie. Trzeba tylko zadbać o to, by twój przyjaciel Keller nie zmienił recitalu w prawdziwie niezapomniane wydarzenie.
- No proszę, oto Ari Shamron, którego znam i uwielbiam. Wykorzysta jednego z najlepszych muzyków świata jako przynętę.
- Musimy grać takimi kartami, jakie nam przypadły w rozdaniu.
- Będę z nią w Wenecji. Chciałbym, aby sprawy w Zurychu przejął ktoś, komu ufam.
- Kto taki?
- Eli Lavon.
- Mój Boże, zjazd rocznika 1972! Gdybym był kilka lat młodszy, dołączyłbym do ciebie.
- Nie dajmy się ponieść fantazji. Jeśli chodzi o Odeda i Mordecaia, obaj dobrze się sprawdzili w Paryżu. Ich też chcę.
- W Odedzie dostrzegam cząstkę siebie - wyznał Shamron i uniósł toporne dłonie murarza. - Ma potężny uścisk. Jak kogoś złapie, to już nie puści.

34

Zurych

Eva upierała się przy kupnie drogiego mieszkania z widokiem na Jezioro Zuryskie, chociaż leżało to poza możliwościami finansowymi Gerhardta Petersona, żyjącego ze skromnej pensji urzędnika państwowego. Przez pierwszych dziesięć lat małżeństwa uzupełniali niedobory pieniężne z jej spadku. Teraz jednak pieniądze się rozeszły, a na Gerhardcie spoczął obowiązek zapewnienia żonie poziomu życia, do którego w swoim mniemaniu miała prawo. Gdy w końcu dotarł do domu, w mieszkaniu panowały ciemności. Peterson przekroczył próg, a ukochany rottweiler Evy rzucił się na niego z mroku, boleśnie uderzając go twardym jak skała łbem w rzepkę.

- Leżeć, Schultzie! Wystarczy, piesku. Leżeć! Niech cię cholera, Schultzie!

Przesunął dłonią po ścianie i zapalił światło. Pies lizał jego zamszowe buty.

- Już dobrze, Schultzie. Idź sobie. Naprawdę wystarczy.

Pies odtruchtał, postukując pazurami o marmurową posadzkę. Peterson dokuśtykał do sypialni, rozcierając obolałe kolano. Eva siedziała w łóżku, z książką w rękach. W telewizji wyświetlano kryminał. Eva miała na sobie szyfonowy szlafrok. Jej włosy były świeżo wystylizowane, na lewym nadgarstku połyskiwała złota bransoletka, której Peterson sobie nie przypominał. Pieniądze, które Eva wydawała na Bahnhofstrasse, dorównywały majątkowi zgromadzonemu w skarbcach pod tą ulicą.

- Co z twoim kolanem?

- Twój pies się na mnie rzucił.

- Wcale się na ciebie nie rzucił. On cię uwielbia.

- Dziękuję za taką uczuciowość.

- Jest mężczyzną, tak jak ty. Oczekuje twojej aprobaty. Gdybyś od czasu do czasu poświęcił mu więcej uwagi, nie zachowywałby się tak entuzjastycznie na twój widok.

- Wiesz to od jego terapeuty?

- Podpowiada mi to zdrowy rozsądek.

- Nigdy nie chciałem tego cholernego psa. Jest za duży do tego mieszkania.

- Dzięki niemu czuję się bezpiecznie pod twoją nieobecność.

- To miejsce przypomina fortecę. Nikt się tu nie dostanie, a Schultzie nigdy nie atakuje nikogo poza mną.

Eva pośliniła koniec palca wskazującego i przewróciła kartkę książki, tym samym kończąc dyskusję. W telewizji amerykańscy policjanci wyłamywali drzwi do jakiegoś mieszkania w biednej dzielnicy. Gdy wpadli do środka, dwóch podejrzanych otworzyło ogień z pistoletów maszynowych. Policjanci odpowiedzieli strzałami z własnej broni, kładąc obydwu facetów trupem. Peterson pomyślał, że telewizja pokazuje za dużo agresji. On sam rzadko nosił broń i nigdy dotąd z niej nie skorzystał na służbie.

- Co tam w Bernie?

Peterson nakłamał żonie, aby mieć alibi na czas wizyty u Ottona Gesslera. Usiadł na brzegu łóżka i zdjął buty.

- Jak zawsze.

- To dobrze.

- Co czytasz?

- Nie wiem. Coś o kobiecie i mężczyźnie.

Był zdziwiony, że też chce się jej w ten sposób tracić czas.

- Co u dziewczyn?

- W porządku.

- A u Stefana?

- Kazał mi obiecać, że po powrocie pójdziesz do jego pokoju i dasz mu buzi na dobranoc.

- Nie chcę go obudzić.

- Nie obudzisz. Po prostu idź i pocałuj go w czoło.

- Skoro go nie obudzę, to co za różnica? Rano mu powiem, że go pocałowałem, kiedy spał, i będzie zadowolony.

Eva zamknęła książkę i popatrzyła na niego po raz pierwszy, odkąd wszedł do sypialni.

- Gerhardt, wyglądasz fatalnie. Pewnie padasz z głodu. Idź, zrób sobie kolację.

Począł do kuchni. "Idź, zrób sobie kolację". Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni Eva zaproponowała, że mu coś ugotuje. Spodziewał się, że gdy zaniknie między nimi zainteresowanie seksualne, powstają lukę wypełnią inne atrakcje, choćby dzielenie przyjemności delektowania się domowym posiłkiem. Nic podobnego. Eva najpierw odcięła mu dostęp do swojego ciała, a potem do uczuć. Peterson był samotną wyspą we własnym domu.

Otworzył lodówkę i przejrzał kolekcję na wpół opróżnionych pojemników po daniach na wynos, poszukując czegoś, co nie zgniło i nie zarosło pleśnią. W popačkanym tłuszczem kartonie natrafił na skarb: niewielką kupkę raclette z kluskami i bekonem. Na dolnej półce, za pudełkiem z pozieleniałym serkiem ricotta, spoczywały dwa jajka. Usmażył je i podgrzał raclette w kuchence mikrofalowej. Potem nalał sobie ogromny kieliszek czerwonego wina i wrócił do sypialni. Eva malowała lakierem paznokcie u stóp.

Starannie podzielił kolację, tak aby każdemu kęsowi jajka towarzyszyła porcyjka raclette. Eva uważała ten nawyk za irytujący i między innymi dlatego z niego nie rezygnował. W telewizji pokazywano sceny rodem z rzeźni. Kumple zabitych kryminalistów właśnie mordowali policjantów w odwecie za śmierć swoich kompanów. Kolejny dowód na potwierdzenie teorii Herr Gesslera, że życie jak fortuna kołem się toczy.

- Stefan ma jutro mecz piłki nożnej. - Podmuchała na palce u stóp. - Chciałby, żebyś przyszedł.

- Wykluczone. Mam ważną sprawę w biurze.

- Będzie rozczarowany.

- Nic na to nie poradzę, przykro mi.

- Co masz takiego ważnego do załatwienia, że nie chcesz iść z własnym synem na mecz piłkarski? Zresztą w tym kraju nigdy nie dzieje się nic ważnego.

Pomyślał, że musi przygotować zabójstwo Anny Rolfe. Zastanawiał się, jak zareagowałyby Eva, gdyby jej to wyznał. Niewiele brakowało, a powiedziałyby to głośno, tylko na próbę: żeby sprawdzić, czy ona w ogóle słucha tego, co do niej mówi.

Eva skończyła zajmować się paznokciami i wróciła do książki. Peterson odłożył talerz oraz sztucze na nocny stolik i zgasił światło. Chwilę później Schultzie rąbnął łbem w drzwi, wtoczył się do środka i przystąpił do wyjadania resztek jajka i tłuszczu z kosztownej, ręcznie malowanej porcelany Evy. Peterson zamknął oczy. Eva pośliniła koniec palca wskazującego i przewróciła następną kartkę.

- Co tam w Bernie? - spytała.

35

Korsyka

Wieści o fatalnym humorze Anglika szybko obiegły całą dolinę. W dzień targowy snuł się w milczeniu po placu i bez entuzjazmu wybierał oliwki oraz sery. Wieczory spędzał ze starymi znajomymi, lecz unikał rozmów i odmawiał gry w bule, nawet kiedy odwoływano się do jego honoru. Był tak głęboko pogrążony w myślach, że zdawał się nie dostrzegać chłopców na deskorolkach.

Wciąż jednak z niespotykaną prędkością pędził po drogach doliny swoim poobijanym jeepem, mimo że drastycznie pogorszyła się jego sprawność prowadzenia samochodu. Któregoś dnia tuż przed maską wyrósł mu wredny kozioł don Casablanki. W rezultacie jeep wylądował w przydrożnym rowie, a Anton Orsati postanowił interweniować. Poinformował Anglika o krwawej wendecie między dwoma rywalizującymi klanami, która wybuchła z powodu przypadkowej śmierci psa myśliwskiego. Przed zawarciem pokoju zginęło czterech ludzi, dwóch z rąk taddunaghiu Orsatiego. Stało się to sto lat temu, lecz Orsati podkreślił, że wspomnienia tamtych dni są wciąż jeszcze żywe. Umiejętne przedstawienie wydarzeń z historii Korsyki zrobiło swoje. Następnego ranka Anglik obdarował Casablance ogromnym kawałem szynki i przeprosił za wystraszenie jego kozła. Po tym incydencie jeździł już znacznie spokojniej.

Ale nadal był w fatalnym nastroju. Kilku mężczyzn z placu, tak bardzo tą odmianą przejętych, złożyło wizytę signadorze.

- Nie widziałam się z nim od pewnego czasu. Gdy jednak przyjdzie, możecie mieć pewność, że nie wyjawię wam jego tajemnic, wy osły. Ten dom jest jak konfesjonał. A teraz wynocha! - Przegnała ich miotłą.

Tylko don Orsati znał przyczynę podłego humoru Anglika. Chodziło o zlecenie w Lyonie, gdzie skrytobójca zabił szwajcarskiego profesora Emila Jacobiego. Morderstwo pozostawiło zadreżę na sumieniu Anglika. Don Orsati zaproponował, że sprowadzi mu dziewczynę - wspaniałą Włoszkę, którą poznał w San Remo - lecz spotkała go odmowa.

Trzy dni po powrocie Anglika z Lyonu don Orsati zaprosił go na kolację. Wybrali się do restauracji nieopodal placu, a później poszli, ramię w ramię, na spacer po wąskich uliczkach mrocznej wsi. Z ciemności dwukrotnie wyłaniali się mieszkańcy okolicznych domów i dwukrotnie błyskawicznie odwracali na pięcie, oddalając się w przeciwnym kierunku. Wszyscy wiedzieli, że kiedy don Orsati rozmawia na osobności z Anglikiem, najlepiej jest zniknąć im z oczu. Właśnie wtedy don Orsati powiedział mu o zleceniu w Wenecji.

- Jeśli chcesz, abym wysłał jednego z pozostałych chłopaków...

- Nie - pospiesznie zaprzeczył Anglik. - Sam się tym zajmę.

- Na pewno?

- Tak.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. Żaden z pozostałych nie nadaje się do tej roboty tak dobrze jak ty. Zresztą wierzę, że miejsce przypadnie ci do gustu. Otoczenie powinno korzystnie na ciebie wpływać.

- Chyba masz rację.

- Mam tam przyjaciela o nazwisku Rossetti. On ci zapewni niezbędną pomoc.
- Masz dossier klientów?

Tylko człowiek równie potężny jak Anton Orsati mógł pozostawić na przednim fotelu samochodu teczkę z informacjami o dwojgu ludziach, których zamierzał zamordować. W korsykańskiej wiosce takie postępowanie należało do normy. Anglik przejrzał dokumenty pod uliczną latarnią na placu. Gdy otworzył drugą teczkę, jego oczy rozbłysły. Nawet Orsati zorientował się, że zabójca kojarzy swoją nową ofiarę.

- Wszystko w porządku?
- Znam tego mężczyznę. Z innego życia.
- Czy to jakiś problem?
- Ależ skąd.

Anglik późno poszedł spać, gdyż tego wieczoru chciał jeszcze przesłuchać taśmę magnetofonową, którą zabrał z mieszkania profesora. Potem zapoznał się z wycinkami z prasy oraz nekrologami zamieszczonymi na stronach internetowych. Na koniec przejrzał dossier, które przekazał mu Anton Orsati. Spał zaledwie kilka godzin. Wstał przed świtem, wrzucił małą torbę na tylne siedzenie jeepa i pojechał do wioski.

Zaparkował w uliczce przy kościele. Stał przed domem signadory i zapukał cicho do drzwi. Okiennice na pierwszym piętrze otworzyły się, z okna wyjrzała kobieta.

- Miałam przecucie, że to ty. Wieje sirocco. Przynosi kurz i złe duchy.
- Jestem pierwszym czy drugim?
- Już stąd widzę ochju. Zaczekaj, synu. Zaraz zejdem.

W oczekiwaniu, aż stara kobieta się ubierze i zejdzie na dół, Anglik palił papierosa. Stała u drzwi w prostej czarnej sukni i szybko wciągnęła go do środka, jakby się obawiała, że wokół czyhają dzikie bestie. Usiedli naprzeciwko siebie przy drewnianym stole. Anglik dokończył papierosa, a ona przygotowała olej i wodę.

- Trzy krople, choć jestem pewna, że znam już odpowiedź.

Zanurzył palec w oleju i czekał, aż trzy krople skapną do wody. Gdy tłuszcz się rozproszył, kobieta przystąpiła do odmawiania rutynowych modlitw i udzielania błogosławieństw. Przy drugiej próbie olej zbił się w jedno oko pływające na powierzchni wody. Starucha wydawała się zadowolona.

- Niezła sztuczka - zauważył Anglik.
- To nie jest żadna sztuczka. Akurat ty to powinieneś wiedzieć najlepiej.
- Nie chciałem cię urazić.
- Wiem. Chociaż z urodzenia nie jesteś Korsykaninem, masz korsykańską duszę. Jesteś człowiekiem prawdziwej wiary. Chcesz się czegoś napić przed podróżą? Może szklanekę wina?
- Jest szósta rano.

Kobieta przekrzywiła głowę, jakby pytając: "I co z tego?"

- W takim razie powinieneś być u siebie w łóżku. Z kobietą - dodała. - Nie jakąś dziwką, sprowadzoną przez don Orsatiego. Prawdziwą kobietą, która da ci dzieci i zadba o twoje ubrania.
- Chcą mnie tylko kobiety don Orsatiego.
- Myślisz, że przywoita kobieta cię nie zechce, bo jesteś taddunaghiu?

Anglik skrzyżował ręce na piersi.

- Opowiem ci pewną historię - rzekła starucha.

Otworzył usta, aby zaprotestować, lecz jego gospodyni już szła do kuchni po wino. Na ciemnozielonej butelce, którą przyniosła, nie było etykiety. Kobiecie drżały dłonie, kiedy napełniała trunkiem dwie szklanki.

- Mój mąż świetnie panował nad dłońmi - powiedziała signadora. - Był brukarzem i murarzem. Czasami pracował dla don Tomasiego w sąsiedniej dolinie. Słyszałeś o klanie Tomasich?

Anglik skinął głową i wypił łyk wina. Tomasi wciąż sprawiali wszystkim kłopoty.

- Don Tomasi zatrudnił mojego męża przy budowie nowego muru wokół ogrodu. Mąż spisał się świetnie, wierz mi, ale don Tomasi uznał, że mur jest wadliwy, i odmówił zapłaty. Kłócili się zajadle, aż w końcu Tomasi kazał dwóm uzbrojonym osiłkom wyprowadzić męża z posiadłości. Tak na marginesie, on wciąż tam jest.

- Mur wokół ogrodu?

- Jak najbardziej! - Starucha upiła nieco wina i zebrała myśli. - Mój mąż był dobrym robotnikiem, ale łagodnym człowiekiem. Agnello. Znasz to słowo?

- Jagnię. Pokiwała głową.

- Nie należał do ludzi skorych do walki na pięści lub noże. Po wsi rozeszło się, jak potraktował go don Tomasi. Mąż stał się obiektem szyderstw. Dwa wieczory po sprawie wciągnięto go w bójkę na placu. Dostał nożem w brzuch i zmarł.

W oczach kobiety pojawił się błysk. Złości. Nienawiści.

- Rzecz jasna, potrzebna była krwawa zemsta - ciągnęła spokojnie. - Ale na kim? Na durniu, który zamordował mojego męża na placu? Tak naprawdę to nie on był odpowiedzialny za jego śmierć. Don Tomasi miał ręce we krwi. Jak miałam go zabić? Mieszkał w dużym domu na szczycie wzgórza, otoczony złymi psami i uzbrojonymi ludźmi. Nie miałam możliwości pozbawić go życia! Poszłam więc do ojca Antona Orsatiego i wynajęłam taddunaghiu, żeby mnie wyręczył. Kosztowało mnie to wszystkie pieniądze, ale warto było. Taddunaghiu prześlizgnął się między wartownikami don Tomasiego i podciął mu gardło we śnie: zarznął go jak świnię, którą był. Sprawiedliwości stało się zadość.

Anglik pochylił się nad stołem i ujął jej dłoń w swoje ręce.

- Niekiedy, Christopher, taddunaghiu może zrobić coś dobrego. Czasami popełnia straszne zło. Zdarza się, że wymierza sprawiedliwość i jednocześnie się mści. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałam.

- Będę pamiętał - odparł.

Wręczył jej gruby zwitek banknotów. Nie spojrzawszy na pieniądze, kobieta powiedziała:

- To za dużo. Zawsze dajesz mi za dużo.

- Zapewniasz mi spokój. Spokój jest bezcenny.

Wstał, zbierając się do wyjścia, lecz signadora chwyciła go, zdumiewająco mocno, za rękę.

- Posiedź ze mną, dopóki nie skończę wina. Widzisz, wciąż tęsknię za mężem. Nawet po tylu latach.

Usiadł więc i zapatrzył się na świecę, której płomień rozświetlał głębokie zmarszczki na twarzy kobiety. Dopiła wino i zamknęła oczy. Głowa opadła jej na piersi.

Zaniósł ją na górę i delikatnie położył na łóżku. Obudziwszy się, wyciągnęła rękę i pogłaskała palcami talizman, który miał na szyi: dłoń z czerwonego koralu. Potem dotknęła jego twarzy i ponownie zapadła w sen.

Zszedł na dół i wszedł do jeepa. Skierował się do Calvi, skąd pierwszym promem popłynął do Marsylii. W pobliżu nabrzeża odszukał samochód pozostawiony tam przez Orsatiego i pojechał do Wenecji.

We włoskiej prasie zawrzało od spekulacji. Które utwory zagra Anna Rolfe? Czy odważy się zaprezentować swoje sztandarowe dzieło, demoniczną sonatę Giuseppe Tartiniego Diabelski tryl? Krytycy muzyczni nie mieli pewności, czy panna Rolfe zdecyduje się na tę trudną kompozycję po tak długim okresie absencji na scenie. Pojawiły się sugestie, aby przenieść recital w bardziej

spektakularne miejsce. Pierwotnie koncert zaplanowano w górnej sali Scuola Grande di San Rocco, mieszczącej zaledwie sześćset osób, co sprawiło, że wielbiciele talentu skrzypaczki niemal bili się o bilety. Zaccaria Cordoni, organizator koncertu, odmówił przeniesienia imprezy. Aby jednak uniknąć gniewu weneccjan, oświadczył, że całą winę za dobór pomieszczenia ponosi gwiazda. Cordoni stwierdził, że panna Rolfe zażądała małej sali, a on tylko wykonuje polecenia artystki. Pewne piśmiennictwo o socjalistycznych inklinacjach wydrukowało utrzymany w historycznym tonie artykuł, sprowadzający się do konkluzji, że muzyka po raz kolejny została podporządkowana klasom posiadającym. Autor tekstu wezwał czytelników do zorganizowania w dniu występu demonstracji przed San Rocco. Fiona Richardson, agent i menedżer Anny Rolfe, wydała w Londynie stosowne oświadczenie, w którym zapewniła, że znacząca część honorarium panny Rolfe będzie przekazana na remont scuoły i konserwację jej wspaniałych zbiorów dzieł sztuki. Wszyscy w Wenecji odetchnęli z ulgą, a kontrowersje wokół występu znikły jak krótkotrwały szkwał.

Weneccjanie zastanawiali się także, czy Anna Rolfe pozostanie w Wenecji na dłużej. "Gazzettino" doniósł, że hotele Monaco, Canal Grande oraz Gritti Palace zażarcie ze sobą rywalizują, oferując skrzypaczce swoje apartamenty. "Nuova Venezia" oznajmiła, że panna Rolfe - niechętna wszelkim niedogodnościom związanym z pobytem w hotelu - przyjęła zaproszenie do zamieszkania w prywatnym domu. Jak się okazało, żadna z gazet nie miała słuszności: w samo południe w deszczowy piątek, na dzień przed występem, Anna i Gabriel przyплыnęli taksówką wodną do prywatnej przystani Luna Hotel Baglioni, cichego budynku przy Calle dell'Ascensione, nieopodal weneckiej mekki turystów - placu św. Marka.

W recepcji powitał ich wymuskany starszy personel hotelowy. Anna przedstawiła Gabriela jako monsieur Michela Dumonta, swojego przyjaciela i osobistego asystenta. Aby podkreślić wiarygodność tego wizerunku, Gabriel postanowił zwrócić na siebie szczególną uwagę: ostentacyjnie wniósł do holu dwoje skrzypiec w futerałach i zabarwioną francuskim akcentem angielszczyzną przekazał życzenie panny Rolfe, która prosi o zapewnienie jej całkowitego spokoju. Szef recepcjonistów, elegancki pan, który przedstawił się jako signore Brunetti, zapewnił go, że obecność panny Rolfe w hotelu będzie jedną z najściślej strzeżonych tajemnic Wenecji. Gabriel podziękował mu wylewnie i wpisał swoje nazwisko do księgi gości.

- Dla panny Rolfe przygotowaliśmy apartament Giorgione na czwartym piętrze. To jeden z naszych najlepszych pokoi. Pański jest tuż obok. Mam nadzieję, że takie rozwiązanie usatysfakcjonuje państwa?

- Jak najbardziej, dziękuję.

- Z ochotą osobiście odprowadzę pana i pannę Rolfe do ich apartamentów.

- To nie będzie konieczne.

- Czy życzy pan sobie pomocy przy wnoszeniu bagażu, monsieur Dumont?

- Dziękuję, dam sobie radę.

- Wedle życzenia. - Signore Brunetti z żalem przekazał klucze do pokoi.

W cichej uliczce sestiere* [Sestiere (wł.) - dzielnica.] San Marco znajduje się niewielki sklep jubilerski Rossetti & Rossetti, wyspecjalizowany w sprzedaży antyków i wyrobów niepowtarzalnych. Podobnie jak większość weneckich kupców, signore Rossetti zamyka interes o godzinie pierwszej, wychodzi na lunch i ponownie otwiera o czwartej, aby handlować do wieczora. Anglik, uprzedzony o tym, pięć minut przed pierwszą nacisnął przycisk dzwonka i czekał, aż Rossetti otworzy drzwi wejściowe.

Sklep był mały, wielkością dorównywał kuchni w korsykańskiej willi Anglika. Tuż za progiem widniała oszklona lada w kształcie podkowy. Gdy zamknęły się drzwi i zasunęła zainstalowana na nich zasowa, Anglik odniósł wrażenie, że został uwięziony w kryształowej krypcie. Rozpiął kurtkę przeciwdeszczową i położył teczkę na podniszczonym parkiecie.

Signore Aldo Rossetti stał za ladą nieruchomo niczym wartownik. Miał na sobie starannie wyprasowany dwurzędowy garnitur i oficjalny krawat urzędnika bankowego, a na nosie okulary w

złoty oprawkach. Za jego plecami wznosiła się wysoka komoda z lakierowanego drewna, wyposażona w liczne płytkie szufladki oraz małe mosiężne uchwyty. Sądząc po stanowczym wyrazie twarzy Rossettiego, szufladki te musiały zawierać tajne dokumenty, których zamierzał bronić do ostatniej kropli krwi. Kompletną ciszę pomieszczenia zakłócało jedynie tykanie starego zegara. Rossetti ze smutkiem potrząsnął ręką Anglika, jakby ten przybył w celu wyznania mu śmiertelnych grzechów.

- Właśnie wychodziłem na lunch - oświadczył i w tej samej chwili, jakby na poparcie jego słów, stary zegar na ścianie wybił pierwszą.

- Nie zajmę panu dużo czasu. Przyszedłem odebrać sygnet dla signore Bulla.

- Sygnet?

- Tak, zgadza się.

- Dla signore Bulla?

- Mam nadzieję, że poinformował pana o moim przyjeździe.

Rossetti przechylił głowę i przyjrzał się Anglikowi tak, jakby miał do czynienia z obiektem o wątpliwej wartości i niewiadomego pochodzenia. Po czym, najwyraźniej zadowolony, wyszedł zza lady, aby wywiesić na drzwiach tabliczkę z napisem "Zamknięte".

Piętro wyżej mieścił się niewielki gabinet. Rossetti zasiadł za biurkiem i zachęcił Anglika do zajęcia miejsca w małym fotelu przy oknie.

- Niedawno zadzwonił do mnie portier z Luna Hotel Baglioni - oznajmił Rossetti. - Skrzypaczka i jej przyjaciel właśnie się zameldowali. Zna pan ten hotel?

Anglik zaprzeczył ruchem głowy.

Podobnie jak większość weneccyan, Rossetti miał przy sobie mapę miasta, aby w razie potrzeby służyć pomocą zbłąkanemu turyście, beznadziejnie zagubionemu w labiryncie uliczek. Mapa Rossettiego wyglądała tak, jakby kupił ją za czasów ostatniego doży: podarta na rogach, postrzępiona, pozlepiana na zgięciach taśmą samoprzylepną i całkowicie wyblakła. Rozpostarł ją na biurku i wygładził dłońmi. Zdawało się, że zaraz ujawni Anglikowi miejsce ukrycia skarbu.

- Luna Hotel Baglioni jest tutaj. - Postukał w mapę wypielęgnowanym palcem. - Przy Calle dell'Ascensione, kilka kroków od przystanku San Marco na trasie vaporetto* [Vaporetto (wł.) - tramwaj wodny.]. Calle dell'Ascensione jest bardzo wąska, nie szersza niż ta uliczka. W Rio delie Zecca znajduje się prywatna przystań. Nie ma mowy, aby zdołał pan obserwować jednocześnie front i tył budynku.

Anglik w skupieniu pochylił się nad mapą.

- Ma pan jakieś sugestie?

- Mogę skorzystać z własnych kontaktów, by stale obserwować skrzypaczkę. Jeśli gdzieś wyjdzie, dam panu znać.

- Czy w hotelu pracuje ktoś zaufany?

Rossetti uniósł brew i pochylił głowę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, nie potwierdzając ani nie przecząc. Innymi słowy, nie zamierzał dyskutować na ten temat.

- Rozumiem, że ta usługa będzie się wiązała z dodatkowym wynagrodzeniem?

- Wyświadczenie przysługi don Orsatiemu to dla mnie przyjemność.

- Proszę mi przedstawić swój plan.

- W pobliżu hotelu mamy kilka miejsc, w których może pan przebywać bez zwracania na siebie uwagi. Plac św. Marka, rzecz jasna. Kawiarnie wzdłuż Calle Marzo. Uliczka Farine nad kanałem. - Rossetti wskazywał każdy punkt życzliwym stuknięciem w mapę. - Mniemam, że dysponuje pan telefonem komórkowym?

Anglik poklepał się po kieszeni płaszcza.

- Proszę mi podać numer i trzymać się blisko hotelu. Gdy wyjdą, ktoś do pana zatelefonuje.

Zabójca niechętnie wchodził w spółkę z Rossettim, lecz niestety, Włoch miał rację: jedna osoba nie była w stanie obserwować całego hotelu. Podyktował mu swój numer telefonu.

- Oczywiście, niewykluczone, że skrzypaczka pozostanie w pokoju aż do samego koncertu - zauważył Rossetti. - Gdyby tak się stało, nie będzie pan miał wyboru i wykona zlecenie dopiero wtedy.

- Ma pan bilet?

Rossetti wyjął bilet z górnej szuflady i z namaszczeniem położył na biurku. Następnie przycisnął kciukiem i palcem wskazującym obydwu rąk i delikatnie przesunął w stronę gościa. Anglik podniósł bilet i obrócił go w dłoniach. Rossetti popatrzył przez okno, by umożliwić klientowi obejrzenie towaru. Nie wątpił, że nabywca będzie usatysfakcjonowany.

- Jest prawdziwy? Nie podrobiony?

- Ależ oczywiście, że prawdziwy, jak najbardziej. I bardzo trudny do zdobycia. Szczerze mówiąc, czułem silną pokusę, aby go zatrzymać dla siebie. Widzi pan, zawsze zaliczałem się do wielbicieli talentu panny Rolfe. Gra z taką pasją. Ogromna szkoda, że musi... - Rossetti nie dokończył zdania. - Zna pan San Rocco?

Anglik schował bilet do kieszeni i pokręcił głową. Rossetti ponownie skupił uwagę na mapie.

- Scuola Grande di San Rocco mieści się tutaj, po drugiej stronie Canal Grande w dzielnicy San Polo i Santa Croce, na południe od kościoła Frari. San Rocco był patronem ludzi cierpiących na choroby zakaźne, a scuola powstała jako instytucja charytatywna dla chorych. Jej budowę sfinansowano z datków bogatych weneńców, którzy wierzyli, że sponsorując szkołę, unikną dżumy.

Nawet jeśli zabójca uznał ten fragment historii Wenecji za choćby odrobinę interesujący, nie dał tego po sobie poznać. Jubiler, niezrażony, złożył dłonie jak do modlitwy i kontynuował wykład.

- Scuola składa się z sali na parterze i górnej sali, na piętrze. W 1564 roku Tintoretto otrzymał zlecenie udekorowania ścian i sufitów budowli. Praca zajęła mu dwadzieścia trzy lata... - Umilkł, aby przez chwilę rozważyć ten fakt. - Może pan sobie wyobrazić, jak ogromną cierpliwością był obdarzony ten człowiek? Nie chciałbym mieć go za przeciwnika.

- Gdzie odbędzie się koncert? Na parterze czy na piętrze?

- W górnej sali, jak najbardziej. Prowadzą do niej szerokie, marmurowe schody zaprojektowane przez Scarpagnina. Na ścianach wiszą obrazy, których inspiracją była epidemia dżumy. Dość wstrząsające wizje.

- A jeśli będę zmuszony do wykonania zlecenia w górnej sali?

Rossetti przycisnął złożone dłonie do ust.

- W ostateczności może pan zbiec po schodach i uciec przez główne wejście - wyszeptał. - Na zewnątrz bez trudu zniknie pan w zaułkach San Polo i nikt pana nie znajdzie... Jako weneńce nalegam jednak, aby zdecydował się pan na inne rozwiązanie. Zniszczenie któregoś z tintoretów byłoby prawdziwą tragedią.

- Proszę mi opowiedzieć o okolicach San Rocco.

- Kościół i scuola stoją na małym placu. Za nimi ciągnie się kanał, Rio della Frescada, umożliwiający dopłynięcie do obydwu budynków. Panna Rolfe dotrze do San Rocco pieszo lub taksówką wodną. Jeśli zdecyduje się na spacer, przez dłuższy czas będzie łatwym celem. Poza tym musi jakoś pokonać Canal Grande. Popłynie albo vaporetto, albo traghetto* [Traghetto (wł.) - rodzaj gondoli.].

- Nie może po prostu przejść mostem?

- Przypuszczam, że mogłaby skorzystać z mostu Rialto lub Accademia, ale w ten sposób znacznie nadłożyłaby drogi. Gdybym był hazardystą, poszedłbym o zakład, że panna Rolfe wybierze taksówkę wodną, cumującą w hotelowym doku.

- Założmy więc, że tak zrobi.

- Rio della Frescada to bardzo wąski kanał. Między punktem startu i miejscem docelowym przy San Rocco mamy cztery małe mosty. Zaczai się pan na jednym z nich. Anna Rolfe wpadnie panu prosto w ręce.

Anglik posłał Włochowi surowe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że żadnego zlecenia nie należy lekceważyć, a zwłaszcza wówczas, gdy cel znajduje się pod ochroną zawodowca.

- Don Orsati wspomniał, że potrzebna panu będzie stosowna broń. Powiedzmy, pistolet i może automat o większej sile rażenia, na wypadek gdyby coś poszło niezgodnie z planem.

Rossetti wstał i podszedł do starego sejfu. Przez moment manipulował przy zamku, po czym odchylił ciężkie drzwi. Ze środka wyciągnął aktówkę, położył ją na biurku i usiadł. Otworzył walizeczkę i wyjął z niej dwa pakunki, każdy owinięty flanelową szmatką. Rozłożywszy arsenał na blacie biurka, zdjął materiał zabezpieczający z pierwszego pistoletu i wręczył go Anglikowi: tanfolglio S Model kalibru .9 milimetrów z czarną lufą i orzechową rękojeścią. Świeżo naoliwiony. Anglik odciągnął zamek, zważył pistolet w dłoni, sprawdził, czy dobrze leży, a potem spojrzął przez szczerbinę i muszkę.

- Ma piętnastostrzałowy magazynek, a przedłużona lufa znacznie poprawia celność - wyjaśnił Rossetti. - Niestety, udało mi się zdobyć bilet tylko w przedostatnim rządzie, ale nawet stamtąd człowiek tak doskonale wyszkolony i wyposażony w tanfolglio nie powinien mieć problemów z oddaniem precyzyjnego strzału.

- Biorę. Plus zapasowy magazynek.

- Jak najbardziej.

- Co z drugim pistoletem?

Rossetti zaprezentował austriacki pistolet maszynowy. Anglik sięgnął po broń i przyjrzał jej się z uwagą.

- Wyraźnie prosiłem o pistolet Heckler Koch MP-5.

- Tak, wiem, rzecz w tym, że nie miałem szans zdobyć go w tak krótkim czasie. Poza tym nie wątpię, że pistolet maszynowy Steyr-Mannlicher przypadnie panu do gustu. Jest lekki oraz łatwy do ukrycia. Zresztą, użyj go pan w ostateczności.

- Zdaje się, że nie mam wyboru.

- Jest pan szczególnie przywiązany do hecklera kocha?

Włoch trafił w sedno. Zabójca korzystał z tej broni podczas służby w SAS, ale nie zamierzał dzielić się tą informacją ze swoim rozmówcą. Owinął obydwie pistolety flanelą i ostrożnie włożył do teczki wraz z zapasowymi magazynkami i amunicją.

- Życzy pan sobie jeszcze czegoś?

Gdy Anglik zaprzeczył, Rossetti sięgnął po ołówek i przystąpił do obliczania kosztów. Sporządziwszy je w lirach, podsunął notatnik Anglikowi. Ten zerknął na rachunek, a potem na Rossettiego.

- Mogę zapłacić w dolarach?

Rossetti uśmiechnął się i przeliczył sumę na dolary po aktualnym kursie wymiany. Anglik odliczył kwotę w nowych banknotach pięćdziesięciodolarowych i dołożył pięćset dolarów ekstra. Signore Rossetti wzruszył ramionami, jakby na znak, że to niepotrzebne, a gdy jego klient nalegał, dyskretnie wsunął pieniądze do kieszeni.

Wyszli ze sklepu, wprost na lejący z nieba deszcz. Potoki wody rwące wąskimi uliczkami spływały do studzienek, niczym górskie strumienie. Włoch miał na nogach sięgające kolan kalosze; Anglik - w zamszowym obuwiu - musiał lawirować między kałużami. Wenecki jubiler obserwował go z uśmiechem.

- Pierwszy raz w Wenecji?

- Tak.

- Taka pogoda utrzymuje się od tygodnia, a mimo to turyści cały czas przyjeżdżają. Potrzebujemy ich, i to jak. Inaczej musiałbym zwinąć interes, choć niekiedy nawet ja jestem zmęczony ich obecnością.

Przed przystankiem vaporetto uścisnęli sobie dłonie.

- Muszę przyznać, że ta cała sytuacja napawa mnie głębokim niesmakiem, ale jak rozumiem, musi pan robić to, za co bierze pan pieniądze. Skrzypaczka... - Uniósł ręce w teatralnym, włoskim geście. - Cóż, skrzypaczkę można wymienić. Ale tintoretta... Tintoretta są niezastąpione. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym przyłożył rękę do ich zniszczenia.

- Zapewniam pana, signore Rossetti, że dołożę wszelkich starań, aby je oszczędzić.
- Wierzę panu. Zresztą wyobraża pan sobie, jakie przekleństwo spadłoby na człowieka, który przeszyłby kulą Zbawcę lub Dziewicę?

Jubiler przeżegnał się, odwrócił i rozpląnął w tłumie turystów.

37

Wenecja

Zespół Gabriela zebrał się tego samego popołudnia w salonie apartamentu Anny Rolfe. Agenci przybyli do Wenecji różnymi trasami, wyposażeni w paszporty rozmaitych państw. Zgodnie z taktyką Biura udawali zakochane pary. Operację zaplanowano i rozpoczęto tak pośpiesznie, że nie miała nawet przyzwoitego kryptonimu. Gabriel zdecydował, że w takim razie przyjmą nazwę apartamentu Anny - Giorgione.

W drużynie znaleźli się Shimon i Ilana, udający francuskich nowożeńców; przyjechali do Wenecji z Lazurowego Wybrzeża. Oboje mieli ciemne oczy, oliwkową karnację, byli tego samego wzrostu i równie urodziwi. Wspólnie się szkolili w Izraelu, a ich relacje znacznie się pogorszyły, kiedy liana pokonała Shimona na strzelnicy i złamała mu obojczyk podczas ćwiczeń w sali gimnastycznej.

Ichhak i Moshe, zgodnie z realiami współczesnego świata, udawali parę gejowską z Notting Hill, choć obaj byli typowymi heteroseksualistami, a Ichhak wręcz przesadnie lubił kobiety.

Do drużyny skierowano także Deborah z punktu w Ottawie. Gabriel współpracował z nią w trakcie operacji Taria i był tak poruszony jej postawą, że intensywnie nalegał na włączenie dziewczyny do zespołu weneckiego. Shamron początkowo się nie zgadzał, lecz wobec kategorycznych żądań Gabriela ustąpił i przysłał ją najbliższym samolotem z Ottawy, wymyślając stosowne kłamstwo dla jej przełożonego w Kanadzie.

Na kanapie obok Deborah siedział Jonathan, nonszalancko machając nogą przerzuconą przez poręcz. Małomówny i znużony, sprawiał wrażenie człowieka czekającego w kolejce na rutynowe badanie lekarskie, które nie jest mu do niczego potrzebne. Był młodszą wersją Gabriela - można rzec, że przypominał Gabriela przed tragedią z Wiednia. Shamron powiedział kiedyś: "Jonathan poważnie podchodzi do zabijania, ale nie jest rewolwerowcem. Ma sumienie, tak jak ty. Po skończonej robocie, kiedy wszyscy są już bezpieczni, wyszukuje sobie przyjemną, cichą toaletę, gdzie rzyga tak, jakby miał wypluć bebechy". Zgodnie z przewidywaniami Shamrona, Gabriel uznał, że ten element charakterystyki Jonathana jest obiecujący.

Spotkanie trwało godzinę i piętnaście minut. Gabriel nie miał pojęcia, dlaczego zwrócił uwagę na ten fakt. Postanowił przeprowadzić ćwiczenia w Castello, sestiere leżącej na wschód od bazyliki św. Marka oraz Pałacu Dożów. Mieszkał niegdyś w Castello i dobrze znał tamtejsze kręte uliczki. Posługując się ołówkiem, pokazał na mapie trasę, którą mają pokonać, i przedstawił plan działania.

Aby zagłuszyć rozmowę, włączył taśmę z nagraniem tańców niemieckich Mozarta. Dobór muzyki najwyraźniej podziałał przygnębiająco na Jonathana, serdecznie nienawidzącego wszystkiego, co niemieckie. Jedyńm narodem, którego nie cierpiał bardziej od Niemców, byli Szwajcarzy. Podczas wojny jego dziadek, chcąc zabezpieczyć swoje pieniądze, powierzył je pewnemu szwajcarskiemu bankierowi. Pięćdziesiąt lat później Jonathan próbował uzyskać dostęp do rachunku, lecz urzędnik chłodno poinformował go, że bank musi najpierw mieć dowód, iż dziadek Jonathana rzeczywiście już nie żyje. Jonathan wyjaśnił, że dziadek został zamordowany w Treblince - chłopak oparł się pokusie i nie dodał, że z użyciem gazu wyprodukowanego przez szwajcarską firmę chemiczną - a naziści, zwykle absurdalnie biurokratyczni, tym razem jakoś nie pomyśleli o sporządzeniu aktu zgonu. Urzędnik odparł, że wobec tego jest mu przykro. Nie ma aktu zgonu, nie ma pieniędzy.

Na koniec Gabriel otworzył dużą walizkę ze stali nierdzewnej i wręczył wszystkim po specjalnie zabezpieczonym telefonie komórkowym oraz beretcie kalibru .9 milimetrów. Potem poszedł na górę i sprowadził Annę, by przedstawić ją drużynie Giorgione. Shimon i Ilana wstali i nagrodzili skrzypaczkę cichymi oklaskami. Icchak i Moshe, wczuwając się w rolę, skomentowali krój jej modnych pantofli. Deborah nie spuszczała z Anny podszytego zazdrością spojrzenia. Tylko Jonathan nie okazał zainteresowania, lecz jemu można było wybaczyć: koncentrował się wyłącznie na skrytobójcy zwanym Anglikiem.

Dziesięć minut później Gabriel i Anna spacerowali po Calle dell'Ascensione. Reszta zespołu wyszła wcześniej i zajęła upatrzone pozycje: Jonathan stał na przystanku vaporetto San Marco, Shimon i Iana oglądali buty w oknach wystawowych Calle Frezzeria, Icchak i Moshe siedzieli przy stoliku Caffè Quadri na placu św. Marka. Deborah, najmłodsza w grupie, otrzymała niewdzięczne zadanie karmienia gołębi w cieniu dzwonnicy. Z godną podziwu cierpliwością pozwalała ptakom wlaść sobie na ramiona i kokosić się we włosach. Znalazła nawet przystojnego carabinieri, który zrobił jej zdjęcie aparatem jednorazowego użytku, kupionym przez nią w kiosku na środku placu.

Gabriel i Anna weszli na plac, zasnuty mgiełką padającego deszczu. Prognoza pogody na następne dwa dni zapowiadała większe opady, co groziło niebezpieczeństwem wystąpienia acqua alta. Ekipy robotników rozstawiały prowizoryczne pomosty dla turystów na wypadek, gdyby wysoka woda miała zmienić plac św. Marka w płytkie jezioro.

Anna była ubrana w kurtkę, na tyle obszerną, aby ukryć kamizelkę kuloodporną. Nasunęła na głowę kaptur i włożyła okulary przeciwsłoneczne, mimo zachmurzonego nieba. Gabriel wyczuwał obecność Jonathana, który deptał mu po piętach, trzymając w dłoniach otwarty przewodnik turystyczny i rozglądając się uważnie dookoła. Gabriel zerknął w lewo i ujrzał Shimona i Iana, którzy przechadzali się pod arkadami. Setki porozstawianych wokół stolików kawiarnianych przypominały zwarte szeregi defilujących żołnierzy, a masywna bazylika o imponujących kopułach sprawiała wrażenie, jakby się unosiła na wodzie.

Anna wsunęła dłoń pod ramię Gabriela. Był to gest czysto spontaniczny, ani zbyt intymny, ani za bardzo oschły: wyglądali jak para przyjaciół lub kolegów z pracy, choć równie dobrze mogli się przed chwilą kochać. Nikt z zewnątrz nie potrafiłby ocenić, co ich łączy. Tylko Gabriel czuł lekkie drżenie ciała Anny; poza tym silne palce jej lewej dłoni wbijały mu się boleśnie w ścięgna ręki.

Usiedli w Caffè Florian pod arkadami. Miejscowy kwartet dość mizernie radził sobie z Vivaldim, rozpraszając Annę. Shimon i Ilana właśnie udawali, że oglądają rzeźby lwów na Piazzetta dei Leoncini. Icchak i Moshe zostali przy swoim stoliku po drugiej stronie placu, podczas gdy Deborah wciąż dawała się molestować gołębiami. Jonathan przysiadł kilka metrów od Gabriela.

Anna zamówiła dwie kawy. Gabriel wyjął telefon i połączył się ze wszystkimi członkami zespołu po kolei, zaczynając od Icchaka, a na lekko oszołomionej Deborah kończąc. Potem schował komórkę do kieszeni, nawiązał kontakt wzrokowy z Jonathanem i dyskretnie skinął głową.

Gdy Anna skończyła kawę, Gabriel poprosił o rachunek, dając tym samym sygnał, że zespół ma przystąpić do realizacji drugiej części planu. Jonathan przywołał kelnera. Chociaż wszystkie wydatki pokrywał Shamron, chłopak nawet nie próbował ukryć oburzenia na widok koszmarnie wysokiej sumy, którą kazano mu zapłacić za cappuccino i butelkę wody mineralnej.

Pięć minut później drużyna Giorgione kierowała się przez Ponte della Paglia do sestiere Castello: przodem kroczyli Shimon i Ilana, potem Icchak i Moshe, dalej Gabriel z Anną. Jonathan trzymał się blisko Gabriela, choć teraz już zamiast przewodnika mocno ścisnął rękę beretty.

Czterdzieści metrów za nimi podążał Anglik. W jego umyśle powtarzały się dwa pytania. Dlaczego dziewczyna, która karmiła gołębie na placu św. Marka, teraz szła dziesięć kroków za Gabrielem Allonem? I dlaczego mężczyzna, siedzący obok Allona w Caffè Florian, maszerował pięć kroków przed nią?

Anglik doskonale się znał na sztuce konspiracji. Annę Rolfe ochraniała grupa świetnie wyszkolonych członków służb specjalnych. Allon niczego nie robił bez celu. Anglik przeszedł u niego szkolenie, znał sposób jego rozumowania. Gabriel Allon nigdy nie wyszedłby na spacer bez celu, a celem tej przechadzki było zdemaskowanie Anglika.

Na Riva degli Schiavoni kupił pocztówkę w kiosku z pamiątkami i patrzył, jak Allon i Anna Rolfe znikają w uliczkach Castello. Potem ruszył w przeciwną stronę i przez następne dwie godziny powoli wracał do swojego hotelu.

Wenecja jest miastem, w którym nie da się przestrzegać standardowych reguł inwigilacji. Tu, w gąszczu zaprojektowanych mistrzowską ręką kanałów, należy stosować wirtuozerskie rozwiązania. Nie jeżdżą tam samochody, nie ma autobusów ani tramwajów. Tylko w kilku miejscach warto założyć stałe punkty obserwacyjne. Wiele uliczek prowadzi donikąd: kończy się kanałem lub ślepym podwórzem. W tym mieście uciekający ma wyraźną przewagę nad swoim prześladowcą.

Zespół Giorgione tworzyli świetni specjaliści, wyszkoleni przez najlepszych agentów wywiadu z Biura i doskonalący swoje umiejętności na ulicach miast Europy i Bliskiego Wschodu. Porozumiewali się bez słów, krążąc w pobliżu Gabriela. Tylko Jonathan zajmował niezmiennie tę samą pozycję, pięć kroków za plecami Allona, niczym satelita na orbicie stacjonarnej.

Zmierzali na północ, po drodze mijając kolejne kościoły, by wreszcie zatrzymać się w małej kawiarence na skraju szerokiego Campo di Santa Maria Formosa. Gabriel i Anna usiedli przy stoliku, a Jonathan dołączył do grupki mężczyzn przy barze. Gabriel dostrzegł przez okno pozostałych członków zespołu: Shimon i Iana kupowali lody u sprzedawcy na środku placu; Icchak i Moshe podziwiali prostotę fasady kościoła Santa Maria Formosa; Deborah, w przypiływie dobrego samopoczucia, rozgrywała mecz piłki nożnej z grupą miejscowych chłopców.

Tym razem Jonathan nawiązał kontakt telefoniczny ze wszystkimi wywiadowcami. Potem odwrócił się do Gabriela i bezgłośnie wymówił trzy słowa: "Ona jest czysta".

Późnym wieczorem zespół Giorgione zakończył odprawę, a jego członkowie udali się na spoczynek do swoich pokoi. Gabriel zasiadł przy stoliku w salonie i przyglądał się zdjęciom Christophera Kellera. Na górze, w sypialni, ucichły skrzypce. Gabriel nasłuchiwał, jak Anna odkłada instrument do futerału i zatrząskuje zamki. Po chwili zeszła na dół. Zebrał fotografie i wsunął je do teczki. Anna usiadła i zapaliła papierosa.

- Spróbujesz to zagrać? - spytał.
 - Diabelski tryl?
 - Tak.
 - Jeszcze nie podjęłam decyzji.
 - A jeśli uznasz, że nie dasz sobie z nim rady?
 - Zagram kilka sonat Bacha w wersji solo. Są piękne, ale nie tak jak Tryl. Krytycy będą się zastanawiali, dlaczego wybrałam inne utwory. Pewnie uznają, że wróciłam zbyt szybko. Zabawne.
 - Bez względu na to, co wybierzesz, zagrasz fantastycznie.
- Jej spojrzenie padło na teczkę leżącą na stoliku.
- Dlaczego to zrobiłeś?
 - Co takiego?
 - Dlaczego ukryłeś jego zdjęcia, kiedy weszłam do pokoju? Czemu nie chcesz, abym go ujrzała?
 - Ty się martw Diabelskim trylem, a faceta z bronią zostaw mnie.
 - Opowiedz mi o nim.
 - Nie wszystko musisz wiedzieć.
 - Ten człowiek może mnie zabić jutro wieczorem. Mam prawo coś o nim wiedzieć.

Gabrielowi trudno było dyskutować z takim argumentem, toteż przekazał jej wszystkie informacje, jakie posiadał na temat zabójcy.

- On naprawdę tam jest?
- Musimy założyć, że tak.
- Ciekawe, prawda?
- Co jest ciekawe?
- Potrafi dowolnie zmieniać głos i wygląd, a na pustyni w Iraku rozpląnął się w morzu ognia i krwi. Jak na mój gust to diabeł wcielony.
- Nie mylisz się, to naprawdę diabeł.
- A więc zagram mu jego sonatę. Potem odeślesz go tam, skąd przybył.

38

Wenecja

Późnym popołudniem następnego dnia Anglik płynął wzdłuż Calle della Passion: przed nim wznosiła się gotycka dzwonnica kościoła Frari. Przenosił się przez tłum turystów, lawirując między ich parasolami, podrygującymi niczym meduzy podczas przyływu. W kawiarni na placu zamówił kawę i rozłożył przed sobą przewodniki oraz mapy. Jeśli ktoś go obserwował, musiał uznać, że widzi tylko jednego z turystów, a właśnie o to chodziło Anglikowi.

Pracował już od wczesnego ranka. Zaraz po śniadaniu wyszedł z hotelu w dzielnicy Santa Croce, zaopatrzonego w mapy i przewodniki. Potem przez kilka godzin włóczył się po San Marco oraz San Polo i zapamiętywał rozkład ulic, mostów i placów. Podobnie czynił wcześniej, w poprzednim życiu, w zachodnim Belfaście. Szczególną uwagę zwracał na ulice i kanały wokół kościoła Frari i Scuola Grandę di San Rocco. Bawił się ze sobą, zataczając koła po San Polo, aż w końcu, celowo, zupełnie tracił orientację. Następnie wracał znów do kościoła Frari, po drodze powtarzając sobie nazwy ulic. W scuoli spędził kilka minut na parterze, udając zainteresowanie imponującymi tintorettami, choć w istocie ciekawiło go usytuowanie głównego wejścia względem schodów. Potem udał się na górę i zatrzymał w górnej sali, aby w przybliżeniu zlokalizować miejsce, na którym zasiądzie podczas recitalu. Rossetti się nie mylił: zawodowy morderca nawet z tej odległości bez trudu zabije skrzypaczkę z pistoletu takiego jak Tanfolgio.

Zerknął na zegarek: minęła piąta. Występ zaplanowano na wpół do dziewiątej. Do tego czasu musiał załatwić jeszcze jedną sprawę. Zapłacił rachunek i w ogarniających miasto ciemnościach skierował się ku Canal Grande. Po drodze wstąpił do sklepu z męską odzieżą i kupił ortalionową kurtkę w czarnym kolorze ze sztruksowym kołnierzem. W tym sezonie taki styl był modny w Wenecji; wcześniej Anglik widział dziesiątki ludzi w podobnych kurtkach.

Pokonał Canal Grande na traghetto i powędrował do sklepu signora Rossettiego. Jubiler właśnie miał zamykać sklep na noc. Anglik ponownie podążył za nim do gabinetu na piętrze.

- Potrzebuję łodzi.
- Nie widzę problemu. Na kiedy?
- Natychmiast.

Włoch podrapał się po policzku.

- Znam pewnego młodzieńca o imieniu Angelo. Jest właścicielem taksówki wodnej. To bardzo rozważny i godny zaufania człowiek.

- Nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań?
- Skąd. Wykonywał już podobne zlecenia.
- Może pan się z nim skontaktować od ręki?
- Tak sądzę. Co mam mu przekazać?

- Chciałbym, żeby czekał na Rio di San Polo, w pobliżu Museo Goldoni.

- Rozumiem. Umówię pana, chociaż musi się pan liczyć z dodatkową opłatą za nocną usługę.

To zwyczajowa procedura w Wenecji. Proszę zaczekać jedną chwilę, spróbuję go złapać.

Rossetti odszukał numer Angela w książce telefonicznej i zadzwonił. Po krótkiej rozmowie dobili targu. Angelo obiecał, że za kwadrans zjawi się przy Museo Goldoni.

- Chyba wygodniej będzie, jeśli od razu uregulujemy rachunek - zasugerował Rossetti. - Sam przekażę chłopakowi należność.

Transakcję, tak jak poprzednio, przeprowadzono w dolarach. Anglik opuścił sklep i poszedł do małej restauracji na Calle della Verona, gdzie uraczył się zupą jarzynową oraz fettuccine ze śmietaną i grzybami. Jadł w zamyśleniu; do jego uszu nie docierał przyjemny gwar wypełniający pomieszczenie. Przypomnił sobie rozmowę, nagraną przez Emila Jacobiego: rozmowę między szwajcarskim profesorem i Gabrielem Allonem o grzechach Augustusa Rolfego, ojca kobiety, którą miał zabić.

Kilka chwil później, zamawiając espresso, poprosił kelnera o kartkę. Zapisał na niej parę słów i wsunął ją do kieszeni. Po kolacji wsiadł na pokład traghetto, aby popłynąć do San Rocco.

W cichym holu Luna Hotel Baglioni rozbrzmiał piorun. Światła przygasły, zamarły i migocząc, powróciły do życia. Signore Brunetti klasnął w dłonie i wymamrotał dziękczynną modlitwę.

Gabriel poprowadził Annę przez hol do przystani. Jonathan podążył o krok przed nimi, a Deborah metr z tyłu, trzymając w jednej ręce guarneriego, a w drugiej stradivariusa. Signore Brunetti uniósł dłoń w pożegnalnym geście, życząc skrzypaczce powodzenia. Reszta personelu nagrodziła Annę spontanicznymi oklaskami, za które podziękowała uśmiechem, po czym nasunęła kaptur na głowę.

Na przystani czekały trzy taksówki wodne z włączonymi silnikami. Czarne, polakierowane dzioby łodzi lśniły w deszczu i świetle latarni. Gdy Gabriel spojrział w prawo, dostrzegł Moshe z Icchakiem, stojących na mostku przy wejściu do Canal Grande. Moshe patrzył w przeciwną stronę, lustrując tłum na przystanku vaporetto San Marco.

Gabriel odwrócił się i delikatnie skierował Annę do drugiej taksówki. Kierowca pomógł jej wejść na pokład. Gabriel wskoczył do kabiny zaraz po niej. Jonathan i Deborah wybrali pierwszą taksówkę, a Moshe i Icchak zostali na stanowisku, dopóki obie łodzie nie przepłynęły pod mostkiem. Dopiero wtedy zajęli miejsca w ostatniej taksówce. Gabriel spojrział na zegarek: wpół do ósmej.

Canal Grande wije się leniwie w samym sercu Wenecji. Kształtem przypomina odwrócone, pisane ręką dziecka S, a swoje wody toczy w łożysku starej rzeki. Zgodnie z poleceniem Gabriela, taksówkarz trzymał się środka kanału, łagodnym łukiem opływając brzegi San Marco.

Gabriel i Anna siedzieli w szczelnie zasłoniętej kabinie i przy zgaszonych światłach. Jonathan stał na dziobie pierwszej taksówki obok kierowcy i czujnie rozglądał się na wszystkie strony. Trzecią płynęli równie uważni Icchak i Moshe. Dziesięć minut później, gdy łodzie skręcały w Rio della Frescada, wszyscy trzej byli przemoknięci do suchej nitki.

Rozpoczął się etap podróży, który najbardziej niepokoił Gabriela. Nad wąskim kanałem, gdzie należało znacznie zwolnić, znajdowały się cztery małe mosty. Było to wymarzone miejsce do popełnienia morderstwa.

Gabriel wyjął telefon i zadzwonił do Jonathana. Anna ścisnęła jego dłoń.

Zaccaria Cordoni, w czarnym garniturze i jedwabnym, ciemnoczerwonym szaliku, przemierzał parterową salę Scuola Grande di San Rocco. Między palcami trzymał niezapalonego papierosa. Fiona Richardson, menedżer Anny, kroczyła u jego boku.

- Gdzie ona się podziewa? - pytał zaniepokojony Cordoni.
- Jest w drodze.
- Na pewno?
- Dzwoniła do mnie przed wyjściem z hotelu.
- Ale się nie wycofa, prawda, Fiona?

- Już jedzie.
- Jeśli mnie wystawi, zrobię wszystko, aby więcej nie wystąpiła we Włoszech.
- Spokojnie, Zaccaria, ona zaraz tu będzie.

W tej samej chwili do pomieszczenia weszła Anna, otoczona ludźmi Gabriela.

- Anna! Słońce moje! - sapnął Cordon. - Wyglądasz bosko. Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić, aby ten wieczór zmienił się w sukces?
 - Przed przybyciem publiczności chciałabym obejrzeć górną salę.
- Cordon z gracją wyciągnął rękę.
- Tędy proszę.

Mimo że Anna już dwukrotnie występowała w San Rocco, również i tego wieczoru, zgodnie z przyzwyczajeniem, przeszła powoli przez salę, aby upewnić się, że wszystko jest po jej myśli: ustawienie sceny i fortepianu, układ krzesel, światła. Gabriel zrobił to samo, lecz z zupełnie innych względów.

Potem Cordon poprowadził Annę przez drzwi za sceną do wielkiej galerii o ścianach obwieszonych gobelinami. Obok znajdował się niewielki pokój, mający służyć Annie za garderobę. Przy drzwiach stał ochroniarz ze scuoli. Miał na sobie marynarkę w kolorze burgunda.

- Przed koncertem wydrukowałem dwa programy - oznajmił niepewnie Cordon. - Jeden z Diabelskim trylem i drugi bez niego. Publiczność wpuszczamy za pięć minut.

Anna popatrzyła na Gabriela, a potem na Fionę Richardson.

- Nie sądzę, aby dzisiejszy występ był kompletny bez Tartiniego. Rozdaj program z Diabelskim trylem.
- Jesteś pewna? - zdumiała się Fiona.
- Całkowicie.
- Wedle życzenia - rzekł Zaccaria Cordon.

Cordon i Fiona wyszli, a Anna zdjęła płaszcz i otworzyła futerał z guarnerim. Gdy Gabriel usiadł, spojrzała na niego i wsparła ręce na biodrach.

- Co ty sobie wyobrażasz?
- Zostaję z tobą.
- Wykluczone. Przed występem muszę być sama. Nie możesz mnie rozpraszać.
- Obawiam się, że dzisiejszego wieczoru zrobisz małe odstępstwo od zasad.
- Gabriel, wyobraź sobie, że przystępujesz do konserwacji jednego ze zgromadzonych tu tintorettów. Chciałbyś, żebym ci sterczała nad głową?
- Chyba rozumiem, co masz na myśli.
- To dobrze. A teraz zabieraj się stąd.

Anna otrzymała od natury cenny dar: potrafiła odseparować się od wszystkiego, co jej przeszkadzało. Dysponowała siłą tworzenia nieprzenikalnej otoczki ciszy, oplątywania się kokonem spokoju. Odkryła w sobie tę umiejętność w dniu, w którym jej matka popełniła samobójstwo. Prosta gama g-moll w dwóch oktawach, pasaże - wystarczały, aby przeniknąć przez magiczne wrota do innego czasu i przestrzeni. Niestety, umiejętność kreowania tego fantastycznie uporządkowanego ośrodka ciszy nie obejmowała w jej życiu niczego poza grą na skrzypcach. Resztą rządził chaos.

Znała muzyków, którzy z czasem zaczęli nienawidzić swoich instrumentów. Annie nigdy nie przytrafiło się nic podobnego.

Skrzypce były kotwicą, która zabezpieczała ją przed wpłynięciem na skały, liną asekuracyjną, ratującą za każdym razem, gdy groziło jej utonięcie. Gdy brała instrument do ręki, przydarzały się jej same dobre rzeczy. Gdy go odkładała, traciła kontrolę nad sytuacją.

Ta nieprzenikniona kapsuła spokoju nie tworzyła się automatycznie. Należało ją przywołać. Anna przełożyła płaszcz przez oparcie barokowego krzesła i zgasiła papierosa. Potem zdjęła

zegarek i wrzuciła go do torebki. Czas przestał ją interesować. Sama potrafiła tworzyć własne, niepowtarzalne chwile.

Dziś wybierze guarneriego. Tylko on zdawał się pasować do tego otoczenia, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa powstał dwieście lat temu w warsztacie położonym nieopodal miejsca, w którym znajdowała się teraz. Powiodła palcem wzdłuż skrzypiec: po ślimaku, podstrunnicy, podstawku, płycie rezonansowej. Guarneri Anny był wykwinny i wspaniały, bez wad, niedoróbek i okaleczeń.

Wyjęła skrzypce z futerału i przyłożyła je do szyi, tak aby guzik wciskał się w znajome miejsce, kilka centymetrów powyżej ramienia. Miała na sobie suknię bez ramiączek: nie lubiła, by cokolwiek dzieliło ją od instrumentu. Początkowo skrzypce były chłodne, lecz po chwili ciepło jej ciała przeniknęło do drewna. Musnęła smyczkiem strunę G. Skrzypce zareagowały głębokim, drżącym tonem. Jej tonem. Tonem Anny Rolfe. Wrota do magicznego miejsca się otwały.

Odważyła się rzucić okiem na rękę. Blizny wyglądały tak brzydko. Żałowała, że nie może ich ukryć. Szybko jednak przepłoszyła natrętne myśli. To nie jej dłoń grała na skrzypcach, tylko jej głowa. Palce jedynie słuchały poleceń mózgu.

Zgasła światło i zamknęła oczy. Potem uniosła smyczek do strun i powoli nim pociągnęła, ostrożnie wydobywając dźwięk. Nie grała gam, żadnych wprawek ani też fragmentów kompozycji przewidzianych na ten wieczór. Nie mogła już przygotować się lepiej. Utwory przepłynęły ją do tego stopnia, że była w stanie grać nie z pamięci, lecz instynktownie. Teraz tylko wydobywała dźwięk, zmuszając go do przenikania jej ciała. Nic się nie liczyło, tylko ona i smyczek. Ona i on.

Za zamkniętymi drzwiami narastał szmer rozmów. Wcisnęła odpowiedni przycisk w mózgu i hałas znikł. Przez ściany sączył się głuchy pomruk, dobiegający z sali, w której gromadziła się publiczność. Wcisnęła kolejny przycisk i pomruk zgasł.

Tylko ona i smyczek. Ona i on.

Pomyślała o człowieku ze zdjęć Gabriela, o zabójcy, którego zwano Anglikiem. Sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni uwierzyła mężczyźnie. Sądziła, że to z powodu zdrady ojca i kłamstw, którymi ją karmił po samobójczej śmierci matki. To przez nie straciła zaufanie do wszystkich mężczyzn. Teraz jednak powierzyła życie Gabrielowi Allonowi. Jej ojciec przystąpił do realizacji planu naprawy potwornych błędów z przeszłości i zginął, zanim udało mu się dokończyć to, co rozpoczął. Gabriel miał sfinalizować ów proces, a Anna chciała mu pomóc tak, jak potrafiła najlepiej: pięknie grając na skrzypcach.

Wokół niej zaczęła się zamykać kapsuła, odizolowując ją od świata. Znikł zabójca, znikły fotografie jej ojca z Adolfem Hitlerem, znikł Gabriel Allon. Pozostały skrzypce i ona.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Anna natychmiast znieruchomiała.

- Pięć minut, pani Rolfe.

- Dziękuję.

Smyczek ponownie musnął strunę, a dźwięk przeniknął ciało. Skrzypce zmieniły się w płomień parzący jej skórę. Kapsuła się zamknęła. Anna znikła w środku. Drzwi stały otworem, a ona popłynęła do górnej sali. Gdy minęła próg, prawdopodobnie rozległy się oklaski: tak przypuszczała, gdyż jej zmysły nie przyjmowały żadnych informacji z zewnątrz. Nie widziała publiczności, nie słyszała braw.

Pochyliła głowę i odczekała chwilę, zanim uniosła skrzypce i przycisnęła je do szyi. Potem położyła smyczek na strunach... zagrała.

Gabriel zajął miejsce pod Kuszeniem Chrystusa Tintoretta. Powoli powiódł spojrzeniem po sali. Przyglądał się wszystkim słuchaczom po kolei, twarz po twarzy, wypatrując postaci ze zdjęć. Jeśli zabójca tu był, Gabriel go nie dostrzegł.

Sprawdził, czy inni agenci zajęli stanowiska. Icchak stał po drugiej stronie sali. Nieco dalej, na szczycie schodów, usadowił się Moshe. Shimon i Ilana kontrolowali tył pomieszczenia, a kilka

metrów na prawo od Gabriela czuwał Jonathan, ze skrzyżowanymi rękoma, brodą przyciśniętą do klatki piersiowej i oczyma wzniesionymi do góry.

Pozwolił sobie na chwilę zachwytu nad grą Anny. Przedstawiała Diabelski tryl bez akompaniamentu, tak jak sobie życzył Tartini. Pierwsza część wprowadzała słuchaczy w nastrój: muzyka płynęła, przywołując odległe echa prostej melodii, odrobinę barokowej ornamentacji, powtarzające się, niespokojne dwu-dźwięki w tonacji Es i G. Diabelskie akordy.

Anna grała z zamkniętymi oczyma, jej ciało delikatnie się kołysało, jakby całym swoim wnętrzem wydobywała dźwięk z instrumentu. Dzieliło ich zaledwie parę metrów, lecz Gabriel doskonale wiedział, że nic dla niej nie znaczy. Teraz należała wyłącznie do muzyki i bez względu na to, jakie więzi go z nią łączyły, w tym momencie zupełnie nie miało to znaczenia.

Obserwował ją jak pełen podziwu wielbiciel, a trochę także jak konserwator. Przecież to on pomógł jej odkryć prawdę o ojcu i uświadomić sobie przeszłość rodziny. Pomyślał, że jej rany jeszcze się nie zagoiły: są ukryte, niedostrzegalne gołym okiem, podobnie jak w doskonale odrestaurowanym arcydziele.

Anna wykonała zdradziecki, chromatyczny pasaż, kończący pierwszą część. Wyciszyła instrument i po krótkiej pauzie przeszła do drugiej części, figlarnej i szybszej, pełnej trudnych fragmentów, które zmuszały ją do nieustannego przesuwania dłoni z pierwszej pozycji do piątej oraz ze struny E do G. Osiemnaście minut później, gdy trzecia część rozplynęła się wraz z finałowym arpeggio g-moll, publiczność eksplodowała entuzjastycznymi brawami.

Anna opuściła skrzypce i kilka razy odetchnęła głęboko. Dopiero wtedy otworzyła oczy. Lekko się ukloniła, dziękując za aplauz. Nawet jeśli szukała wzrokiem Gabriela, nie wiedział o tym, gdyż odwrócił się od niej i wypatrywał na sali mężczyzny z pistoletem.

39

Wenecja

Na Campo San Rocco padał gęsty deszcz. Fatalna pogoda nie stłumiła jednak zapału tłumu ludzi, którzy kręcili się w pobliżu sali koncertowej, w nadziei na możliwość ostatniego zerknięcia na Annę Rolfe. Atmosfera była napięta. Po Diabelskim trylu Anna odegrała przy akompaniamencie swojej stałej pianistki Nadine Rosenberg Sonatę d-moll nr 1 na skrzypce i fortepian Brahmsa oraz Melodie cygańskie Pabla Sarasatego. Ostatni utwór wieczoru, demoniczny, solowy Kaprys nr 24 Paganiniego, nagrodzono owacją na stojąco.

Anna Rolfe nie zdawała sobie sprawy z obecności tłumu na zewnątrz. Stała w galerii za sceną w towarzystwie Zaccarii Cordoniego i Fiony Richardson. Fiona prowadziła ożywioną rozmowę po niemiecku przez swój telefon komórkowy. Anna paliła zasłużonego gitana i usiłowała się uspokoić po brawurowym występie. Wciąż trzymała w ręku skrzypce. Stary guarneri był dziś dla niej łaskawy. Chciała pobyć z nim jeszcze chwilę.

Gabriel przystanął kilka metrów dalej i uważnie się jej przyglądał. Anna dostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Bezgłośnie wypowiedziała jedno słowo: "dziękuję", po czym dyskretnie przesłała mu pocałunek. Fiona skończyła rozmowę i wsunęła telefon do torebki.

- Słowa są szybkimi posłańcami, moja droga. Znosi się na pracowitą zimę. Paryż, Bruksela, Sztokholm, Berlin. A przecież to tylko pierwszy tydzień.

- Sama nie wiem, czy naprawdę jestem już gotowa do powrotu na tę karuzelę.

Zaccaria Cordoni położył dłoń na jej ramieniu.

- Jeśli mogę się wtrącić, z całą pewnością jesteś już gotowa. Twój dzisiejszy występ był niezwykle. Grałaś jak opętana.

- Kto wie, może jestem opętana? - odparła z szelmowskim uśmiechem.

Fiona zerknęła na Gabriela.

- Opowiesz nam o swoim tajemniczym Francuzie, przystojnym monsieur Dumontcie?
- Prawdę mówiąc, chciałabym spędzić kilka minut w samotności.

Przeszła przez pokój, wzięła Gabriela za rękę i ruszyła z nim w stronę garderoby. Fiona i Cordoni odprowadzali ich wzrokiem. Fiona zmarszczyła brwi.

- Bez względu na to, kim jest monsieur Dumont, mam nadzieję, że nie złamie jej serca tak jak inni. Ona jest jak czysty kryształ: piękna, lecz krucha. A jeśli ten drań ją skrzywdzi, zabiję go.

Anna zamknęła drzwi garderoby i rzuciła się Gabrielowi w ramiona.

- Świetnie wypadłaś.

- Bez ciebie nic by z tego nie wyszło.

- Tylko się przyglądałem, aby mieć pewność, że nic ci nie grozi. To ty oczarowałaś słuchaczy.

- Szkoda, że nie możemy uczcić tego sukcesu.

- Ty wylatujesz stąd samolotem, a ja mam zadanie do wykonania.

- Był na koncercie?

- Zabójca?

Skinęła głową, mocniej się do niego przytulając.

- Nie wiem.

Usiadła, nagle wyczerpana. Na stoliku przed nią leżał futerał na guarneriego. Odpięła zatrzaski i uniosła wieko. W środku spoczywała kartka papieru, zgięta w pół, z napisem "Anna".

Spojrzała pytająco na Gabriela.

- To od ciebie?

- Co takiego?

- List w futerale na skrzypce. Nie było go tam, gdy wychodziłam na scenę.

Sięgnęła do futerału i wyjęła kartkę, z której wypadł mały przedmiot: skórzany rzemyk z koralowym wisiorkiem w kształcie dłoni.

Gabriel chwycił wisiorek. Jego serce waliło tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi.

- Co tam jest napisane?

- "Potrzebujesz tego bardziej niż ja. Powtórz Gabrielowi, że jest mi winien kolejkę. Wyrazy uznania".

Gabriel wyciągnął berettę, otworzył drzwi garderoby i wyjrzał na zewnątrz. Zaccaria Cordoni dostrzegł go i pospieszył korytarzem, aby sprawdzić, co się dzieje. Gabriel wsunął broń do kieszeni.

- Gdzie jest mężczyzna, który stał pod tymi drzwiami przed rozpoczęciem recitalu?

- Jaki mężczyzna?

- Ochroniarz w burgundowej marynarce. Gdzie jest teraz?

- Nie mam pojęcia. Coś się stało?

- Ktoś się kręcił po garderobie, kiedy Anna była na scenie.

- Ukradł coś?

- Przeciwnie, zostawił list. - Gabriel uniósł talizman. - I to.

- Mogę rzucić okiem?

Gabriel wręczył wisiorek Cordoniemu, który obrócił go w dłoniach, a potem się uśmiechnął.

- Wie pan, co to jest?

- Owszem, wiem. To nieszkodliwy talizman.

- Czemu ma służyć?

- Dawno temu Cordoni mieszkali na Korsyce. Mój pradziadek przybył do Włoch i zapoczątkował wenecką gałąź rodziny, ale wciąż mam dalekich krewnych w dolinie na południowym krańcu wyspy.

- Co to ma wspólnego z wisiorkiem?

- Korsykanie wierzą, że przynosi szczęście. Takie wisiorki noszą korsykańscy mężczyźni. Sądzą, że w ten sposób chronią się przed złym okiem, ochju, jak je określają. - Cordoni oddał

talizman Gabrielowi. - Jak już wspomniałem, jest zupełnie nieszkodliwy. Ktoś po prostu ofiarował pannie Rolfe prezent.

- Szkoda, że to nie takie proste. - Gabriel wsunął talizman do kieszeni, obok beretty, i popatrzył na Cordoniego. - Gdzie jest mężczyzna, który stał przy tych drzwiach?

Anglik dojrzał taksówkę wodną, kołyszącą się na Rio di San Polo pod osłoną mostka dla pieszych. Człowiek Rossettiego siedział za sterem. Anglik wszedł do łodzi i ukrył się w kabinie.

Chłopak uruchomił silnik, który prychnął, zadrżał i poruszył łodzią. Po chwili wpłynęli na Canal Grande. Zabójca przetarł zaparowaną szybę i przez kilka minut wpatrywał się w okno. Potem zaciągnął zasłony.

Zdjął czarną kurtkę i burgundową marynarkę i ciasno je zwinął. Dziesięć minut później otworzył okno kabiny, aby cisnąć zawiniątko w ciemne wody mijanej zatoczki.

Położył się na ławce i zaczął zastanawiać nad historią, którą wymyśli na potrzeby Antona Orsatiego. Sięgnął do szyi i dotknął pustego miejsca po talizmanie. Bez niego czuł się nagi. Rankiem, kiedy powróci na Korsykę, od razu odwiedzi starą signadorę, a ona ofiaruje mu nowy.

40

Zurych

Gabinet Gerhardta Petersona był pogrążony w niemal całkowitej ciemności, rozświetlanej jedynie przez małą halogenową lampkę, rzucającą jasną plamę na biurko, oraz włączony telewizor. Peterson oczekiwał ważnego telefonu. Nie był pewien, kto się do niego odezwie - może wenecka policja miejska - ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że wkrótce zabrzmie dzwonek, a głos w słuchawce powie: "Przepraszam za kłopotanie pana o tak późnej porze, Herr Peterson, lecz muszę panu przekazać, że dzisiejszej nocy doszło w Wenecji do strasznej tragedii. Chodzi o skrzypaczkę Annę Rolfe...".

Peterson podniósł wzrok znad teczek z dokumentami i utkwiał spojrzenie w telewizorze. Wieczorne wiadomości dobiegały końca. Podano już najważniejsze informacje z Berna i Zurychu, by teraz prezentować głupekowate historyjki i nieistotne wzmianki, które zwykle ignorował. Tej nocy jednak słuchał uważnie. Zgodnie z jego oczekiwaniami, pokazano materiał o triumfalnym powrocie na scenę Anny Rolfe, która wieczorem wystąpiła przed wenecką publicznością.

Wyłączył telewizor i zamknął dokumenty w osobistym sejfie. Niewykluczone, że człowiek Antona Orsatiego nie był w stanie wykonać zlecenia z powodu zbyt szczelnej ochrony Anny Rolfe. Może się złąkł. Możliwe też, że Anna Rolfe i jej przyjaciel już nie żyli, a ich ciała po prostu jeszcze nie odnaleziono. Ale instynkt podpowiedział mu, że to nieprawda i że w Wenecji coś musiało pójść źle. Podjął decyzję. Rano tradycyjnymi kanałami nawiąże kontakt z Orsatim i dowie się, co się wydarzyło. Część papierów wsunął do aktówki, zgasił lampkę na biurku i wyszedł. Wysokie stanowisko uprawniało Petersona do parkowania samochodu na dziedzińcu biura, a nie na odległym parkingu dla personelu. Poinstruował ochronę budynku, aby zwracała szczególną uwagę na jego mercedesa, choć nie wyjawiał dlaczego.

Jechał wzdłuż nabrzeża rzeki Sihl. Ulice niemal całkowicie opustoszały. Raz minął taksówkę, gdzie indziej ujrzał trójkę cudzoziemskich robotników, czekających na tramwaj, który zabierze ich do zatłoczonego mieszkania w Aussersihl lub Industrie-Quartier. Jednym z obowiązków personelu podległego Petersonowi było pilnowanie, aby tacy ludzie nie sprawiali kłopotów. Nie życzył sobie żadnych spisków przeciwko despotom, których gasterbeiterzy pozostawili w swoich ojczyznach, ani żadnych protestów przeciwko szwajcarskiemu rządowi. Robotnicy mieli robić swoje, brać pieniądze i trzymać gęby na kłódkę. Peterson uważał ich za zło konieczne: miejscowa gospodarka nie dałaby sobie bez nich rady. Niekiedy odnosił wrażenie, że w Zurychu jest więcej Portugalczyków i Pakistańczyków niż Szwajcarów.

Zerknął w lusterko wsteczne. Najwyraźniej nikt go nie obserwował, choć nie miał całkowitej pewności. Wiedział, jak należy śledzić innego człowieka, lecz przeszedł zaledwie podstawowe szkolenie, podczas którego uczono go, jak samemu unikać inwigilacji.

Przez dwadzieścia minut jeździł ulicami Wiedikon, a następnie skierował się do garażu przy apartamentowcu, w którym mieszkał. Pokonawszy stalową bramę wjazdową, czekał po drugiej stronie, aby się upewnić, że nikt nie idzie za nim pieszo. Przejechał krętą drogą do swojego miejsca parkingowego. Numer jego mieszkania, 6C, wymalowano na murze za pomocą szablonu.

Zatrzymał samochód w wyznaczonym punkcie i najpierw zgasił reflektory, a potem silnik. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, ściskając dłońmi kierownicę. Serce biło mu nieco zbyt pospiesznie jak na mężczyznę w jego wieku. Powinien wypić bardzo dużego drinka. Nagle poczuł się zmęczony.

Powoli przeszedł do przedsionka, z którego wjeżdżał windą do mieszkania. Przed zasuniętymi drzwiami z nierdzewnej stali ujrzał kobietę: uniosła głowę, aby na podświetlanej tablicy śledzić ruchy windy.

Kilka razy nacisnęła przycisk i głośno zaklęła. Potem, zauważywszy Petersona, odwróciła się i uśmiechnęła przepaszająco.

- Proszę mi wybaczyć, ale czekam na tę cholerną windę od pięciu minut. Chyba się popsła, pieprzony złom.

Peterson stwierdził, że nieznajoma posługuje się perfekcyjnym Zuridutsch. Nie była cudzoziemką. Zlustrował ją wprawnym okiem. Miała ciemne włosy i jasną cerę. Tę kombinację Peterson zawsze uważał za niesamowicie atrakcyjną. Nosila niebieskie dzinsy, podkreślające długość jej nóg. Spod skórzanej kurtki wystawała czarna bluzka, rozpięta akurat tyle, żeby wyeksponować koronkę stanika. Kobieta była ładna i szczupła, choć nie należała do takich piękności, które się spotyka na Bahnhofstrasse. Młoda, lecz już dojrzała. Nieco po trzydziestce. Góra trzydzieści pięć lat.

Zdawała się wyczuwać dyskretną aprobatę Petersona i sama obrzuciła go podobnym spojrzeniem. Miała psotne, szare oczy. Od czasu ostatniego romansu Petersona minęło już pół roku, zatem nadszedł czas na następny. Jego poprzednia kochanka była żoną dalekiego kolegi, człowieka z wydziału ds. malwersacji. Peterson dobrze rozegrał karty w tamtym związku. Przez pewien czas był usatysfakcjonowany, a kiedy nadeszła pora, zakończył romans bez nieprzyjemności czy zbędnych skrupułów.

Pomimo zmęczenia zdobył się na uśmiech.

- Jestem przekonany, że lada moment zjedzie.

- Wątpię. Raczej ugrzęźniemy tutaj na całą noc.

Sugestywność tej uwagi była wyraźna. Peterson postanowił wejść do gry, aby sprawdzić, jak daleko uda mu się posunąć.

- Mieszka pani w tym budynku?

- Nie, tu mieszka mój chłopak.

- Zatem pani chłopak w końcu wezwie pomoc, prawda?

- Pojechał na noc do Genewy. Ja zostaję w jego mieszkaniu.

Zastanawiał się, kim może być jej chłopak i o którym mieszkaniu mowa. Następnie puścił wodze fantazji i wyobraził sobie krótki i pospieszny stosunek seksualny, lecz zaraz górę wzięło zmęczenie, które przegnało wszelkie pomysły błyskawicznego podboju. Tym razem Peterson wcisnął guzik od windy, klnąc pod nosem.

- Nigdy nie przyjedzie. - Z kieszeni kurtki wyjęła paczkę papierosów, wysunęła jednego i włożyła do ust. Potem pstryknęła zapalniczką. Płomień się nie pojawił, więc powtórzyła tę czynność jeszcze kilka razy.

- Cholera. To chyba moja kiepska noc.

- Pozwoli pani... - Peterson wyciągnął własną zapalniczkę, z której wystrzelił język niebieskożółtego płomienia. Ostrożnie zbliżył go do kobiety, a on przypaliła papierosa,

jednocześnie delikatnie głaszcząc grzbiet dłoni mężczyzny. Ten celowy, intymny gest wzbudził w nim dreszcze, przebiegające po całym ciele.

Wpływ jej dotyku okazał się tak silny, że Peterson nie zauważył, jak kobieta przysuwa swoją zapalniczkę do jego twarzy i wpuszcza mu prosto w nos słodkawą chmurkę środka odurzającego. Spojrzał na nieznajomą, szeroko otwierając oczy i nic nie rozumiejąc. Kobieta rzuciła papierosa na ziemię i wydobyła z torebki pistolet.

Jak się okazało, niepotrzebnie. Gaz obezwładniający zrobił swoje. Peterson poczuł, że ma nogi jak z waty, pomieszczenie zaczęło wirować, a podłoga wystrzeliła w górę, by go przytulić. Bał się, że uderzy głową o beton, lecz zanim zupełnie stracił równowagę, zjawił się mężczyzna, który w ostatniej chwili go podtrzymał.

Peterson zdążył jeszcze rzucić okiem na twarz nieznajomego, kiedy wleczono go z przedsionka i wrzucano na tył furgonetki. Wszystko przebiegało sprawnie, szybko i zadziwiająco delikatnie. Peterson chciał podziękować mężczyźnie za uratowanie, lecz stracił przytomność, gdy otworzył usta, aby przemówić.

41

Malles Venosta, Włochy

Gerhardt Peterson czuł się tak, jakby wypływał z głębin jednego z alpejskich jezior. Przenikał przez kolejne powłoki świadomości, warstwy ciepłej i zimnej wody, aż wreszcie jego twarz wychynęła na powierzchnię i mógł wypełnić płuca powietrzem. Wbrew oczekiwaniom nie znajdował się w wysnionym jeziorze alpejskim, tylko w zimnej piwnicy o pokrytej terakotą podłodze i surowych ścianach z bielonego stiuku. Nad jego głową widniało małe okienko, ukryte we wnęcie na poziomie ziemi. Przez szybę sączyło się słabe światło barwy sjeny. Peterson usiłował zorientować się w czasie i przestrzeni. Przypominał sobie ciemnowłosą kobietę przy windzie, sztuczkę z zapalniczką, dotyk dłoni nieznajomej, kiedy spryskiwała mu twarz środkiem odurzającym. Nagle ogarnęło go zażenowanie. Jak mógł się okazać tak słaby? Tak łatwy do pokonania? Jakie sygnały musiał wysyłać, że skierowano przeciwko niemu kobietę?

Dudniący ból w głowie Petersona był niezbadanym terytorium i kojarzył się z czymś pośrednim między urazem a intensywnym kacem. Miał wrażenie, że jego usta pełne są piachu. Potwornie chciało mu się pić. Był rozebrany do majtek, skrępowany taśmą samoprzylepną w kostkach i nadgarstkach i obnażonymi plecami dotykał ściany. Poruszył go żalony wygląd własnego ciała: blade, całkowicie pozbawione owłosienia nogi o stopach odchylonych na zewnątrz, jak u trupa. Znad majtek wylewała się pokaźna oponka. Drżał z zimna.

Nie zabrano mu zegarka, lecz szkiełko pękło i mechanizm stanął. Peterson wpatrywał się w światło przenikające przez okno i doszedł do wniosku, że to zachód słońca. Wydedukował, która godzina, choć nawet ten prosty zabieg wywołał w jego mózgu nieprzyjemny łomot. Porwali go na krótko przed północą. A zatem teraz była piąta, szósta po południu następnego dnia. Osiemnaście godzin. Czyżby stracił przytomność na osiemnaście godzin? To mogłoby wyjaśniać jego pragnienie oraz nieznośną sztywność pleców, stawów.

Był ciekaw, dokąd trafił. Przez chwilę obawiał się, że przetransportowali go do Izraela. Nie, w Izraelu zamknęliby go w przyzwoitej celi, a nie w piwnicy. Wciąż przebywał w pobliżu Szwajcarii. Może we Francji. Może we Włoszech. Żydzi lubili południe Europy. Dobrze się zlewali z tłumem.

Nagle poczuł dziwną woń, kadzidelka i drzewa sandałowego: zapach kobiety. Zastanawiał się, skąd ją zna, wtedy sobie przypomniał: tak pachniała ręka kobiety, która go obezwładniła. Skąd jednak wziął się jej zapach na jego ciele? Popatrzył w dół, na klatkę piersiową i ujrzał cztery czerwone kreski: zadrapania. Miał poplamioną bieliznę, a w kroczu czuł nieprzyjemną lepkość. Co oni mu zrobili? Osiemnaście godzin, solidny środek...

Peterson upadł na bok, policzkiem uderzając w zimną terakotę. Miał odruchy wymiotne. Niczego nie zwrócił, choć męczyły go silne nudności. Nie potrafił pogodzić się z własną słabością. Nagle poczuł się jak bogacz, który wpada po uszy w kłopoty w biednej dzielnicy. Wszystkie jego pieniądze, cała kultura i wyższość - jego szwajcarskość - straciły znaczenie. Znalazł się poza obronnymi murami umocnień alpejskich. Trafił w ręce ludzi grających według innych reguł.

Usłyszał kroki na schodach. Do środka wszedł mężczyzna, niski i śniady. Jego sprężyste ruchy zdradzały ukrytą siłę. Sprawiał wrażenie zirytowanego faktem, że Peterson odzyskał przytomność. W ręku trzymał srebrzyste wiadro. Uniósł je i oblał Petersona strumieniem lodowatej wody.

Ból okazał się nieznośny. Peterson wrzasnął. Mężczyzna ukląkł przy nim i wpakował mu w udo igłę, tak głęboko, że niemal trafiła w kość. Peterson ponownie zanurzył się w toni swojego jeziora.

Gdy Gerhardt Peterson był małym chłopcem, usłyszał opowieść o żydowskiej rodzinie, która podczas wojny pojawiła się w wiosce jego rodziców. Teraz, w narkotycznej śpiączce, znowu śnił o Żydach. Rodzina ta, dwoje dorosłych i trójka dzieci, przybyła do Szwajcarii z nieokupowanej części Francji. Pewien litościwy rolnik ofiarował im schronienie w maleńkiej chatce na swojej ziemi. Funkcjonariusz kantonowej policji dowiedział się, że we wsi są Żydzi, lecz zgodził się utrzymać to w tajemnicy. Jeden z wieśniaków zawiadomił jednak policję federalną, która następnego dnia zjawiała się w obejściu i zatrzymała całą rodzinę. Rząd prowadził wówczas politykę odsyłania nielegalnych imigrantów z powrotem do państwa, z którego przybyli. Żydowscy uciekinierzy pokonali granicę z nieokupowanym południem Francji, lecz odtransportowano ich do części okupowanej, prosto w ręce czekającego tam niemieckiego patrolu. Potem ich aresztowano, umieszczono w pociągu jadącym do Oświęcimia i zagazowano. Gerhardt Peterson początkowo odmawiał dania wiary tej historii. W szkole uczono go, że Szwajcaria, państwo neutralne podczas wojny, otworzyła granice dla uchodźców i rannych żołnierzy, stając się w ten sposób europejską siostrą miłosierdzia, matczynym łonem w sercu ogarniętego chaosem kontynentu. Poszedł do ojca i spytał go, czy opowieść o Żydach jest prawdziwa. Ojciec najpierw odmówił rozmowy na ten temat. Gdy jednak młody Gerhardt nalegał, ojciec potwierdził, że owszem, historia jest prawdziwa.

- Dlaczego nikt o tym nie mówi?

- Bo i po co? To się zdarzyło w przeszłości. Nic już tego nie zmienia.

- Ale oni zginęli. Stracili życie przez kogoś w tej wiosce.

- Przebywali tutaj nielegalnie. Bez pozwolenia. Poza tym, Gerhardt, to nie my ich zabiliśmy. Zamordowali ich naziści. Nie my!

- Ależ tato...

- Dość już, Gerhardt! Spytałeś mnie, czy to prawda, a ja udzieliłem ci odpowiedzi. Nie wolno ci już rozmawiać na ten temat.

- Tato, dlaczego?

Ojciec milczał, a Gerhardt Peterson właśnie wtedy poznał odpowiedź. Nie wolno mu było rozmawiać na ten temat, bo w Szwajcarii nie dyskutuje się o nieprzyjemnych wydarzeniach z przeszłości.

Peterson się ocknął, oblany kolejnym wiadrem lodowatej wody. Otworzył oczy i natychmiast oślepiło go intensywne, białe światło. Mrużąc powieki, dostrzegł dwie stojące nad nim postacie: niskiego mężczyznę z kubłem oraz obdarzonego dziecięcym wyglądem człowieka, który w Zurychu zaniósł go do furgonetki.

- Pobudka!

Konus oblał Petersona jeszcze jedną porcją wody. Więzień leżał na podłodze przemoczony, drżący.

Oprawca wyszedł, a jego łagodniejszy towarzysz przykucnął i ze smutkiem przyjrzał się Szwajcarowi. Peterson wciąż tracił poczucie rzeczywistości i mylił ją ze snami. Wydawało mu się,

że strażnik o wyglądzie dziecka jest Żydem z jego wioski, którego wraz z rodziną wygnano do Francji.

- Przepraszam... - jęknął Peterson, szczękając zębami z zimna.

- Tak, wiem - odparł mężczyzna. - Wiem, że przepraszasz.

Peterson zakaszłał, a jego usta wypełniły się flegmą i śliną.

- Posłuchaj, Gerhardt, spotkasz się teraz z dużym. Trochę zaboli, ale w ten sposób będziesz przejrzysiej myślał. - Zrobił mu kolejny zastrzyk z precyzją chirurga, tym razem w ramię. - Musisz mieć klarowny umysł podczas rozmowy z dużym. Lepiej się czujesz? Pajęczyny znikają?

- Tak, chyba tak.

- Dobrze. Pajęczyny na umyśle są niedopuszczalne w czasie rozmowy z dużym. On chce wiedzieć wszystko, co wiesz. Musisz mieć wyostrzone zmysły.

- Pić.

- Nie wątpię. Przez ostatnich kilka dni byłeś bardzo zajęty. I bardzo niegrzeczny. Duży z pewnością zaproponuje ci coś do picia, jeśli zdecydujesz się współpracować. A jeśli nie... - Wzruszył ramionami i wydał dolną wargę. - Wtedy zawsze możesz wrócić tutaj, ale wówczas mój przyjaciel poczęstuje cię czymś więcej niż tylko odrobiną wody.

- Zimno.

- Wyobrażam sobie.

- Przepraszam.

- Ależ ja naprawdę wiem, że przepraszasz. Wystarczy, że usprawiedliwisz się przed dużym i wyznasz mu wszystko, co ci wiadomo. A wówczas dostaniesz coś do picia i ciepłe ubranie.

- Chcę z nim mówić.

- Z kim chcesz mówisz?

- Z dużym.

- Mamy iść na górę i go poszukać?

- Przepraszam. Chcę mówić z dużym.

- Wobec tego ruszajmy, Gerhardt. No już, daj rękę. Pomogę ci.

42

Malles Venosta, Włochy

Gabriel miał na sobie starannie wyprasowane spodnie w kolorze khaki oraz miękkie beżowy sweter, który świetnie na nim leżał. Całym swoim wyglądem podkreślał, że jest mu wygodnie, wręcz komfortowo. Dokładnie taki wizerunek chciał zaprezentować. Eli Lavon wprowadził Petersona do pokoju i popchnął go na twarde krzesło z prostym oparciem. Szwajcar usiadł jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym. Nie odrywał oczu od ściany.

Lavon wyszedł. Gabriel siedział z opuszczonym wzrokiem. Nie należał do ludzi delektujących się zwycięstwem. Doskonale wiedział, że w branży wywiadowczej sukcesy często zmieniają się w porażki. Niejednokrotnie też okazywało się, że żadnego zwycięstwa nie było. Mimo to Gabriel chętnie korzystał z okazji, aby cieszyć się kolejnym zwrotem w prowadzonej przez niego sprawie. Nie tak dawno to on był uwięziony, a Szwajcar zadawał pytania. Tylko że wtedy Peterson był ubrany w szyty na zamówienie, szary garnitur i zachowywał się butnie. Teraz siedział przed Gabrielem w samej bieliźnie i drżał z zimna.

Dzielił ich biały plastikowy stół, niemal zupełnie pusty z wyjątkiem beżowej teczki na dokumenty i parującego kubka z kawą, którą popijał Gabriel. Podobnie jak w celi Petersona w piwnicy, podłogę pokoju wyłożono płytkami z terakoty, a ściany pokryto stiukiem. Zasłony były zasunięte. Deszcz i wiatr wybijały na szybie natrętny rytm. Gabriel przyglądał się Petersonowi z niesmakiem i milczał wymownie.

- Nie ujdzie wam to płazem - odezwał się pierwszy Peterson.

Mówił po angielsku, lecz Gabriel przeszedł na niemiecki. Wymawiał słowa starannie i gramatycznie poprawnie, posługując się klasyczną niemczyzną swojej matki. Chciał w ten sposób podkreślić niestaranność Schwyzerdutch Petersona. Jego szwajcarskość. W ten sposób odcinał się od niego.

- Co nam nie ujdzie płazem, Gerhardt?

- Porwanie mnie, ty pieprzony sukiny!u!

- Ale to już nam uszło płazem.

- W garażu mojego apartamentowca są kamery. Cała sztuczka z tą twoją dziwką została sfilmowana, a zuryska policja pewnie już ma kasetę.

Gabriel uśmiechnął się wyrozumiale.

- Zajęliśmy się kamerami tak samo, jak ty zajęłeś się nimi w willi Rolfego tamtej nocy, gdy go zamordowałeś i ukradłeś jego obrazy.

- Co ty chrzaniysz?

- Mówię o obrazach z tajnej kolekcji Rolfego. O tych, które dostał w czasie wojny za usługi na rzecz SS. O tych, które zamierzał zwrócić.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Nic nie wiem o jego tajnych zbiorach i w ogóle nie mam nic wspólnego z jego morderstwem. Nikt nigdy nie uwierzy, że przyczyniłem się do jego śmierci.

- Zabiłeś Augustusa Rolfego. Potem zamordowałeś Wenera Mullera w Paryżu. Następnie Emila Jacobiego w Lyonie. Wreszcie usiłowałeś wykończyć mnie w Zurychu. Wysłałeś człowieka, który miał zabić Annę Rolfe w Wenecji. Denerwujesz mnie, Gerhardt.

- Postradałeś zmysły.

Gabriel wyraźnie dostrzegał, że opór Petersona powoli słabnie.

- Dawno nie byłeś w pracy. Twoi przełożeni też chcieliby z tobą porozmawiać, ale nie mogą cię znaleźć. Twoja żona, rzecz jasna, również pragnęłaby mieć świadomość, gdzie się do diabła podziewasz. Odchodzi od zmysłów z niepokoju.

- Na litość boską, coś ty zrobił? Coś ty do cholery zrobił?!

Peterson nie mógł już dłużej usiedzieć spokojnie. Kołysał się na krześle i cały drżał. Gabriel pociągnął łyk kawy i skrzywił się, jakby go oparzyła. Potem otworzył beżową teczkę i wyjął z niej zdjęcia. Po kolei brał je do ręki, by rzucić na nie okiem, a następnie przesunąć po blacie stołu ku Petersonowi.

- Ona robi niezłe zdjęcia, prawda, Gerhardt? No, no... tutaj to sobie używałaś. Przyjrzyj się temu. Nie chciałbym się z niego tłumaczyć przed panią Peterson. Ani także prasą. No i oczywiście twoim ministrem w Bernie.

- To najzwyczajniejszy szantaż! Nikt nie uwierzy, że te fotografie są prawdziwe. Wszyscy uznają je za to, czym naprawdę są: nieudolną próbą manipulacji w wykonaniu kiepskiego szantażysty. No, ale morderstwo i szantaż to podstawa twojej profesji, nieprawdaż? W tym jesteś dobry.

Gabriel rozłożył zdjęcia na stole. Peterson uciekał od nich wzrokiem.

- Ach, zatem taką historię sprzedasz żonie i przełożonym? Że jesteś niewinną ofiarą szantażu? Że porwał cię izraelski wywiad i oszłomił narkotykami? Wiesz, o co cię spytają przełożeni? Zadadzą ci pytanie: "Dlaczego izraelskie służby specjalne wybrały właśnie ciebie, Gerhardt? Co takiego zrobiłeś, że ci ludzie tak postąpili?". A ty będziesz musiał udzielić im wyjaśnień.

- To nie problem.

- Czyżby? Może nie pójsć ci tak łatwo, zwłaszcza że część największych agencji informacyjnych na świecie codziennie będzie publikowała coraz to nowe doniesienia dotyczące twoich dokonań. To będzie trochę jak chińska tortura wodna, przepraszam za porównanie. Może i przetrwasz, ale twoja kariera z pewnością legnie w gruzach. Twoje marzenia o objęciu funkcji szefa Policji Federalnej pozostaną tym, czym są: marzeniami. Politycy się od ciebie odetną, podobnie jak biznesmeni. Myślisz, że twoi kumple w bankach pospieszą ci na ratunek? Mocno

wątpię. Przecież nie masz im nic do zaproponowania. Kim będziesz? Bez pracy, bez pensji, bez finansowego wsparcia przyjaciół?

Gabriel wyjął z teczki kolejnych sześć zdjęć, zrobionych przez wywiadowców żonie Petersona i jego dzieciom. Celowo ułożył je obok fotografii z kochanką.

- Kto się zajmie twoją żoną? Kto zaopiekuje się dziećmi? Kto zapłaci czynsz za twoje urocze mieszkanie? Kto pokryje rachunki za utrzymanie tego ogromnego mercedesa? Przyznasz, że ta perspektywa nie jest zbyt ciekawa. A teraz dobre wieści: tak wcale być nie musi. Nie przepadam za mordercami, Gerhardt, zwłaszcza gdy zabijają na zlecenie banku, ale dam ci szansę wydobycia się z tego bagna. Sugeruję, żebyś przyjął moją propozycję, zanim będzie za późno.

- Czego chcesz?

- Od teraz będziesz pracował dla mnie.

- Wykluczone.

- Pomożesz mi odzyskać obrazy Rolfego... - Gabriel zawiesił głos, czekając, aż jego rozmówca zaprzeczy, jakoby cokolwiek wiedział o zaginionych dziełach sztuki. Tym razem jednak Peterson milczał. - Załatwimy sprawę dyskretnie, po szwajcarsku. Potem przyczynisz się do odzyskania jeszcze innych rzeczy. Wspólnie wymieciemy śmieci z historii twojej ojczyzny. Pomyśl tylko, że razem uda się nam poruszyć góry.

- A jeżeli odmówię?

- Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu, mój przyjaciel zaprowadzi cię na dół, a za jakiś czas znowu pogadamy.

- Zabierz stąd te cholerne zdjęcia!

- Daj mi odpowiedź i zabiorę je od razu.

- Nie rozumiesz, że bez względu na to, co zrobię, i tak będę skończony. Pozostaje mi tylko kwestia wyboru trucizny, którą wypiję? - Peterson opuścił głowę i zamknął oczy. - Pić mi się chce.

- Dam ci pić, kiedy odpowiesz mi na pytanie.

Na korytarzu pod drzwiami pokoju czekał Eli Lavon: siedział na zimnej podłodze, z zamkniętymi oczyma, i opierał się plecami o ścianę. Tylko jego prawa dłoń zdradzała emocje, które nim targały. Z całej siły ścisnął zapalniczkę. Chociaż mieszkał w Wiedniu, na dźwięk agresywnej niemieckiej wcięż czuł palący ból w karku.

Pojawiły się rysy, ale Peterson wciąż jeszcze nie pękł. Lavon wiedział jednak, że ta chwila jest już bliska. Narkotyki, woda, zdjęcia z dziewczyną, a także strach przed tym, co go czeka za rogiem: to wszystko kumulowało się w Szwajcarze. Eli Lavon miał nadzieję, że przełom nastąpi szybko.

Nigdy dotąd nie widział Gabriela w takim stanie. Nie miał okazji zobaczyć, jak jego przyjaciel wpada w gniew. Nie słyszał też, aby zdarzyło mu się mówić podniesionym głosem. Zajmowali się sprawą, która najwyraźniej rozdzierała dawno zabliznione rany. Leah. Tariq. Shamron. Nawet jego rodzice. Gabriel przypominał tykającą bombę zegarową.

No, dalej, Herr Peterson, pomyślał Lavon. Powiedz mu wszystko, co chciałby wiedzieć. Zrób dokładnie to, co on mówi. Jeśli go nie posłuchasz, to mój stary, dobry przyjaciel Gabriel wywiezie cię w góry i zacznie strzelać. To nie będzie dobre dla nikogo: ani dla ciebie, ani tym bardziej dla niego. Lavona nie obchodził los Szwajcara. Lubił Gabriela i nie chciał, aby na jego rękach pojawiła się świeża krew.

Tak więc nikt nie odczuł większej ulgi niż Lavon, kiedy krzyki wreszcie ustały. Potem rozległ się łomot: to Gabriel stukał w ścianę jedną ze swych poranionych dłoni. Nie wstając z podłogi, Lavon wyciągnął rękę i lekko uchylił drzwi. Gabriel odezwał się do niego po hebrajsku. Ojczyzna mowa nigdy nie rozbrzmiała przyjemniej w uszach Lavona, chociaż nie wątpił, że Gerhardt Peterson odbiera ją całkowicie odmiennie.

- Eli, przynieś mu ubranie i trochę jedzenia. Herr Peterson jest zmarznięty i głodny, a chciałby przekazać nam kilka informacji.

Niebieski dres celowo został źle dobrany. Bluza była za duża, nogawki spodni za krótkie. Gerhardt Peterson wyglądał jak mężczyzna przechodzący kryzys wieku średniego, który wygrzebał z dna szafy stare ciuchy, aby udać się do parku i tam uprawiać zagrażający jego zdrowiu jogging. Jedzenie wyglądało równie fatalnie: kawałek czerstwego chleba i miska bulionu. Oded przyniósł wiadro z lodowatą wodą i wylał kilka kropli na rękę Petersona. W ten sposób przypomniał mu, co będzie, jeśli nie zacznie mówić. Gabriel nie jadł nic. Nie chciał dzielić posiłku z Gerhardtem Petersonem. Szwajcar jadł chętnie, lecz powoli, jakby starał się odwlec to, co go nieuchronnie czeka. Gabriel go nie ponaglał. Peterson dokończył zupę i przetarł miskę piętką chleba.

- Tak na marginesie, gdzie właściwie jesteśmy?

- W Tybecie.

- To moja pierwsza podróż do Tybetu. - Peterson wysilił się na krzywy uśmiech. Gdy Gabriel nie zareagował, grymas szybko zgasł. - Mogę zapalić?

- Wykluczone.

- Czemu?

- Nie lubię dymu papierosowego.

Peterson odsunął pustą miskę.

Gdyby Gabriel Allon nie został zabójcą, byłby z niego świetny oficer śledczy. Z natury chętnie słuchał ludzi i odzywał się tylko wtedy, gdy zachodziła taka konieczność. Nie musiał wsłuchiwać się w brzmienie własnego głosu. Niczym tropiciel płochy zwierzyny był obdarzony zdolnością zachowywania nienaturalnego bezruchu. Nigdy nie dotykał włosów ani twarzy, nie gestykulował ani nie kręcił się na krześle. Właśnie ten spokój, w połączeniu z milczeniem i niezmienną cierpliwością, czynił z niego groźnego przeciwnika przy stole przesłuchań. Tym razem zdumiał się jednak niespodziewaną skłonnością Gerhardta Petersona do szczerych wynurzeń.

- Jak się dowiedziałem o kolekcji Rolfe? - Peterson powrócił do pierwszego pytania Gabriela. - W Zurychu mało co dzieje się bez mojej wiedzy. To największe miasto w Szwajcarii, lecz mimo to przypomina wioskę. Mamy wtyczki wszędzie: w bankach, w biznesie, wśród gospodarbeiterów, w mediach.

Gabriel nie chciał, aby Peterson nabrał pewności siebie, chwając się osiągnięciami zawodowymi, dlatego szybko zmienił temat.

- Wszystko to jest niezwykle zajmujące, ale jak się dowiedziałeś o Rolfe?

- Rolfe był starym, schorowanym człowiekiem. Wiedzieli o tym wszyscy na Bahnhofstrasse i Paradeplatz. Dla nikogo nie stanowił tajemnicy fakt, że nie ma już przed sobą długiego życia. Potem pojawiły się plotki, że Rolfe traci rozum. Chciał pozalać wszystkie rozgrzebane sprawy, zanim stanie przed wielkim bankierem w niebie. Chciał mówić. Augustus Rolfe od bardzo dawna zajmował się finansami. Kiedy ktoś taki jak on decyduje się mówić, mogą z tego wyniknąć same kłopoty.

- Dlatego zacząłeś go obserwować.

Peterson skinął głową.

- Od kiedy prawo szwajcarskie uznaje mówienie za przestępstwo?

- Mówienie nie jest przestępstwem, ale z pewnością jest niemile widziane, zwłaszcza jeśli wiąże się z ujawnieniem światu niezbyt chwalebnych faktów z naszej przeszłości. My, Szwajcarzy, nie lubimy prac rodzinnych brudów na oczach cudzoziemców.

- Czy twoi zwierzchnicy wiedzieli, że kazałeś śledzić Rolfe? Powiedziałeś o tym ministrowi w Bernie?

- Ta sprawa nie miała charakteru oficjalnego.

W tej samej chwili Gabriel przypomniał sobie list bankiera: "W Szwajcarii są ludzie, którzy pragną, aby przeszłość pozostała dokładnie tam, gdzie jest teraz - w podziemiach banków przy Bahnhofstrasse - i zrobią wszystko, żeby osiągnąć swój cel".

- Skoro to nie była oficjalna sprawa, na czyje zlecenie śledziłeś Rolfe?

Peterson milczał. Gabriel przestraszył się, że więzień przestanie mówić.

- Nazywają się Radą Rutli - odparł po dłuższej przerwie.

- Opowiedz mi o nich.

- Nalej mi jeszcze tej podłej zupy, a wyjawię ci wszystko, czego zażadasz.

Gabriel uznał, że może mu ofiarować to jedno zwycięstwo. Uniósł rękę i trzy razy uderzył otwartą dłonią w ścianę. Oded wsadził głowę w uchylone drzwi, a Gabriel mruknął do niego coś po hebrajsku. W odpowiedzi Oded ściągnął usta z niemym wyrzutem.

- I chleba - dorzucił Peterson, kiedy Oded wychodził. - Chcę więcej chleba do zupy.

Oded popatrzył na Gabriela, czekając na potwierdzenie.

- Przynieś mu tego pieprzonego chleba.

Tym razem nie zrobili przerwy na posiłek, toteż Peterson musiał wygłosić wykład o Radzie, Rutli z łyżką w jednej ręce i kawałkiem chleba w drugiej. Mówił nieprzerwanie przez dziesięć minut, od czasu do czasu siorbiąc zupę lub odrywając kęs pieczywa. Szczegółowo opisał całą historię sojuszu, jego cele i zamierzenia, a także możliwości jego członków.

- Jesteś jednym z nich? - zainteresował się Gabriel, gdy wykład dobiegł końca.

To pytanie najwyraźniej rozśmieszyło Petersona.

- Kto? Ja? Syn nauczyciela z Berner Oberland? - Przyłożył chleb do piersi na znak, że mówi prawdę. - Ja miałbym być członkiem Rady Rutli? Nie, nie należę do niej, jestem tylko jednym z jej oddanych sług. Wszyscy Szwajcarzy są służącymi. Usługujemy cudzoziemcom, którzy przywożą do nas pieniądze, aby je zdeponować w naszych bankach. Służymy rządzącej oligarchii. Służba - to my.

- Jakiego rodzaju usługi świadczysz Radzie Rutli?

- Zapewniam jej bezpieczeństwo i dostarczam informacji.

- Co otrzymujesz w zamian?

- Pieniądze i protekcję.

- Więc powtórzyłeś im to, czego się dowiedziałeś o Rolfem?

- Zgadza się. A oni przekazali mi informacje, które on starał się ukryć.

- Więc tak się dowiedziałeś o zbiorze obrazów, które Rolfe otrzymał od nazistów za usługi finansowe świadczone im w czasie wojny.

Peterson nieznacznie przechylił głowę.

- Herr Rolfe ukrywał cenne przedmioty i usiłował zataić kontrowersyjne fakty. Z perspektywy Rady Rutli popełniał fatalny błąd.

- Jakie polecenie otrzymałeś od jej członków?

- Miałem zintensyfikować inwigilację i upewnić się, że u schyłku życia Herr Rolfe nie zrobi czegoś nieprzemysłanego. Zauważono niepokojące symptomy. W banku Rolfego zjawiał się gość: mężczyzna z międzynarodowej agencji żydowskiej, która aktywnie dąży do wyjaśnienia sprawy zamrożonych rachunków ofiar holocaustu.

Swoboda, z jaką Peterson o tym mówił, sprawiła, że Gabriel mocno zacisnął zęby.

- Potem przechwyciliśmy kilka faksów. Rolfe najwyraźniej przymierzał się do zatrudnienia konserwatora dzieł sztuki. Zadałem sobie trywialne pytanie: Dlaczego stojący nad grobem człowiek traci czas na odnawianie obrazów? Z mojego doświadczenia wynika, że umierający zwykle pozostawiają tego typu drobiazgi swoim spadkobiercom.

- Podejrzewałeś Rolfego o chęć przekazania obrazów?

- Gorzej.

- Co mogło być gorsze?

- Publiczne wyznanie, dotyczące układów z wysokimi rangą nazistami i oficerami niemieckiego wywiadu. Wyobrazasz sobie, jaka burza rozpełtałaby się po takiej deklaracji? Całe państwo zadrżałoby w posadach. Kontrowersje związane z zamrożonymi rachunkami wyglądałyby przy tym jak łagodny zefirek.

- Czy właśnie tego obawiała się Rada Rutli?

- A to mało?

Gabriel cały czas miał jednak w pamięci słowa Augustusa Rolfego: "Niegdyś miałem tych ludzi za swoich przyjaciół: to kolejny z moich licznych błędów".

- Jej członkowie bali się, że Augustus Rolfe ujawni fakt istnienia ich organizacji. Sporo o niej wiedział, bo był jej członkiem, zgadza się?

- Rolfe? Mało powiedziane, że był jej członkiem: należał do członków-sygnatariuszy.

- Zatem poszedłeś się z nim spotkać?

- Powiedziałem mu, że dotarły do mnie pewne pogłoski. Zwracam uwagę, że zachowałem się bardzo subtelnie, nie poruszając konkretnych tematów. Rolfe był stary, ale jego umysł wciąż sprawnie funkcjonował. Doskonale wiedział, co chcę mu przekazać. W końcu był szwajcarskim bankierem. Potrafił czytać między wierszami. Gdy wychodziłem od niego, miałem świadomość, że Radę Rutli czekają poważne problemy.

- Co zrobiłeś?

- Przystąpiłem do realizacji planu B.

- Mianowicie?

- Zająłem się kradzieżą tych cholernych obrazów. Nie ma obrazów, nie ma demonów przeszłości.

Peterson odmówił kontynuowania zeznań bez papierosa. Gabriel niechętnie spełnił to żądanie. Znowu rąbnął otwartą dłonią w ścianę, a Oded ponownie wetknął głowę w uchylone drzwi. Poczęstował Petersona papierosem z własnej paczki. Gdy zbliżył do jego twarzy zapalniczkę, Peterson cofnął się tak gwałtownie, że omal nie spadł z krzesła. Oded nie zdołał opanować śmiechu; wyszedł z pokoju, cały czas chichocząc. Peterson zaciągał się ostrożnie, jakby w obawie, że papieros wybuchnie. Co kilka sekund Gabriel podnosił rękę, aby rozwiać dym.

- Opowiedz mi o Mullerze.

- Był kluczem do całej sprawy. Chcąc dobrać się do tajnej kolekcji Rolfego, musieliśmy skorzystać z pomocy Mullera. To on zaprojektował system alarmowy. Kazałem swoim ludziom wyciągnąć jak najwięcej brudów na temat Mullera. Okazało się, że on także ma nieczyste sumienie. No cóż, nikt nie jest nieskazitelny, prawda? - Gabriel milczał, więc Peterson podjął wątek: - Poleciałem do Paryża na rozmowę z Mullerem. Nie muszę dodawać, że zgodził się dla nas pracować.

Peterson wypalił papierosa niemal do samego filtra i smętnie zgniótł niedopałek w pustej misce po zupie.

- Robotę zaplanowaliśmy na następny wieczór. Rolfe zamierzał wyjechać do Genewy i zatrzymać się tam na noc we własnym mieszkaniu. Konserwator miał przybyć następnego ranka. Moi ludzie włamali się do willi, a Muller zaprowadził ich do podziemnego schowka.

- Brałeś czynny udział w akcji?

- Nie. Miałem dopilnować, aby zuryska policja nie przybyła w trakcie roboty. Tylko tyle.

- Mów dalej.

- Muller zdezaktywował urządzenia alarmowe i wyłączył kamery. Ludzie zeszli na dół i co tam zastali?

- Augustusa Rolfego.

- We własnej osobie. Trzecia rano, a starzec siedzi sobie w piwnicy ze swoimi obrazami. Muller wpadł w panikę. Rolfe nie zna włamywaczy, ale z Mullerem robi interesy. Jeśli pójdzie na policję, to za włamanie odpowie Muller. No więc zabrał broń jednemu z ludzi, zaprowadził starego do salonu na górze i wpakował mu kulę w łeb.

- A sześć godzin później zjawiłem się ja.

Peterson skinął głową.

- Przypadkowo nadarzyła się sposobność sprawdzenia wiarygodności konserwatora zabytków. Gdyby natrafił na zwłoki i zawiadomił policję, byłaby pewna szansa, że faktycznie przyjechał odnowić obraz. Jeśli jednak na widok trupa usiłowałby uciec z miasta...

Peterson uniósł ręce w górę, jakby dalsze wyjaśnienia uważał za zbyteczne.

- Dlatego zostałem zatrzymany.

- Zgadza się.

- A co z pierwszym detektywem, który mnie przesłuchiwał?

- Z Baerem? On nic nie wie. Dla niego jesteś tylko podejrzanym w sprawie o zamordowanie szwajcarskiego finansisty.

- Dlaczego robiłeś sobie kłopot z aresztowaniem mnie? Czemu po prostu nie dałeś mi uciec?

- Chciałem cię wystraszyć i skłonić do gruntownych przemyśleń przed kolejną wizytą w Szwajcarii.

- Na tym się jednak nie skończyło.

Peterson pokręcił przecząco głową.

- Niestety, to był dopiero początek.

Gabriel dobrze znał resztę historii, bo sam w niej czynnie uczestniczył. Relacja Petersona pomogła mu tylko w potwierdzeniu wcześniejszych domysłów lub wypełnieniu białych plam.

Zgodnie z podejrzeniami Petersona, Anna Rolfe nie zgłosiła faktu kradzieży obrazów ojca. Peterson natychmiast zarządził obserwację skrzypaczki. Zlecenie sfinansowano z funduszy Rady Rutli, a wykonali je lojalni wobec Petersona funkcjonariusze służb bezpieczeństwa. Szwajcar wiedział, że Gabriel poleciał do Portugalii tydzień po pogrzebie Rolfego i spotkał się z Anną, a następnie wspólnie udali się do Zurychu, do willi jej ojca.

Od tamtego momentu Gabriel był nieustannie obserwowany: w Rzymie, Paryżu, Londynie, Lyonie. Rada wynajęła zawodowego zabójcę, który zlikwidował Mullera i wysadził w powietrze jego galerię. W Lyonie ten sam morderca wyeliminował Emila Jacobiego.

- Kim byli ludzie, którzy tamtej nocy czekali na mnie w willi Rolfego? - zainteresował się Gabriel.

- Pracowali dla Rady Rutli. Poza granicami kraju korzystaliśmy z usług zawodowca. - Peterson zamilkł na chwilę. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że zabiłeś obydwu naszych ludzi? Niezmiernie imponujące dokonanie. W rezultacie straciliśmy cię z oczu na trzydzieści sześć godzin.

Gabriel pomyślał o Wiedniu. To wtedy pojechał tam na spotkanie z Lavonem. Tam także poinformował Annę o przeszłości jej ojca. Tak jak przypuszczał, Peterson ponownie wpadł na ich trop następnego dnia na Bahnhofstrasse. Rada ogłosiła alarm. Gabriela Allona i Annę Rolfe należało jak najszybciej odnaleźć i przy pierwszej sposobności zgładzić. Egzekucja miała się odbyć w Wenecji...

Gdy osłabło działanie podanych Petersonowi środków pobudzających, głowa powoli zaczęła mu opadać. Potrzebował snu, i to rzetelnego, a nie wywołanego narkotykami. Gabrielowi pozostało tylko jedno pytanie i musiał znać odpowiedź, zanim każe przykuć więźnia kajdankami do łóżka. Peterson położył dłonie na stole, oparł na nich głowę i znieruchomiał.

- Obrazy... - powiedział cicho Gabriel. - Gdzie są obrazy?

Peterson, nim stracił świadomość, wymówił tylko dwa słowa:

- Otto Gessler.

Tę noc tylko Gerhardt Peterson spędził w łóżku. Eli Lavon obudził swoją dziewczynę w Wiedniu i o godzinie drugiej w nocy wysłał ją do biura, aby przejrzała zakurzone archiwa. Godzinę później z faksu wysunęły się kopie odnalezionych przez nią dokumentów: ich treść zmieściłaby się na odwrocie pocztówki z Wiednia. Wydział badań w Tel Awiwie przesłał własne informacje, skąpe i całkowicie nieprzydatne. Oded tymczasem buszował po Internecie w poszukiwaniu cyberplotek.

Otto Gessler nie istniał. Był duchem, pojęciem. Lavon stwierdził, że ustalenie tożsamości Gesslera przypomina łowienie mgły do butelki. Nikt nie potrafił określić jego wieku. Nieznana była zarówno data, jak i miejsce jego urodzenia. Nie natrafili na jego zdjęcia. Równie dobrze mógł mieszkać wszędzie, jak i nigdzie, nie miał rodziców ani dzieci.

- Pewnie nigdy nie umrze. - Lavon przecierał oczy ze zdumienia. - Któregoś dnia, gdy nadejdzie jego koniec, po prostu zniknie.

O sprawach zawodowych Gesslera wiedzano niewiele, ale sporo podejrzewano. Krążyły pogłoski, że dysponuje kontrolnymi pakietami akcji wielu prywatnych banków, przedsiębiorstw powierniczych i firm przemysłowych, których nikt nie znał, gdyż Otto Gessler prowadził interesy wyłącznie za pośrednictwem fikcyjnych spółek i agentów. Gdy Otto Gessler dokonywał transakcji, nie pozostawiał po sobie żadnych namacalnych dowodów: ani odcisków palców, ani odcisków stóp, ani DNA. Jego księgi były zamknięte szczelniej niż sarkofag.

Na przestrzeni lat jego nazwisko pojawiała się od czasu do czasu w związku z procesami o pranie brudnych pieniędzy i aferami gospodarczymi. Mówiono, że monopolizował handel, podobno sprzedawał broń i masło dyktatorom z krajów objętych międzynarodowym embargiem, zyski z handlu narkotykami przeznaczał na tworzenie legalnych holdingów budowlanych. Wymiar sprawiedliwości nigdy jednak nie dobrał się Ottonowi Gesslerowi do skóry. Dzięki zastępom prawników, działających od Nowego Jorku przez Londyn po Zurych, Gessler nigdy nie zapłacił ani centyma grzywny i nie odsiedział ani jednego dnia w więzieniu.

Oded natknął się na interesującą wzmiankę, ukrytą w wysoce spekulatywnych informacjach zamieszczonych w pewnym amerykańskim magazynie. Kilka lat po wojnie Gessler wszedł w posiadanie firmy produkującej broń dla Wehrmachtu. W magazynie pod Lucerną odkrył pięć tysięcy armat, przewiezionych do Szwajcarii po upadku Trzeciej Rzeszy. Nie chcąc pozostać z niesprzedanym majątkiem, Gessler przystąpił do poszukiwań kupca. Udało mu się znaleźć klienta w niespokojnym rejonie Azji. Nazistowskie działa pomogły obalić pewnego kolonialnego władcę, a Gessler zarobił na ich sprzedaży dwa razy więcej, niż gdyby próbował dobić targu w Berlinie.

Kiedy słońce ukazało się ponad rzędem cyprysów okalających ogród, Lavon trafił na informację świadczącą o wielkoduszności Gesslera. Ponoć każdego roku przeznaczał ogromne sumy na fundusz badań medycznych.

- Nad jaką chorobą? - zainteresował się Gabriel.

- Nad chciwością? - podsunął Oded, lecz Lavon pokręcił głową.

- Nie wiadomo. Stary drań wydaje co roku miliony dolarów na cele charytatywne i nawet to ukrywa. Otto Gessler to niezgłębiona tajemnica. Otto Gessler to uosobienie doskonałego Szwajcara.

Gerhardt Peterson spał do dziesiątej. Gabriel pozwolił mu się wykąpać i uczesać, a także włożyć ubranie, które miał na sobie w chwili porwania, uprane i wyprasowane przez Elię Lavona. Gabriel uznał, że chłodne górskie powietrze dobrze zrobi Petersonowi; po śniadaniu poszli więc na spacer. Szwajcar był o głowę wyższy i o niebo lepiej ubrany od swoich towarzyszy: wyglądał jak ziemianin, nadzorujący grupę robotników.

Peterson usiłował wypełnić luki w dossier Ottona Gesslera, lecz szybko wyszło na jaw, że ma niewiele więcej informacji niż jego rozmówcy. Powiedział im, gdzie należy szukać górskiej posiadłości Gesslera, jak zorganizowana jest jej ochrona i w jakich okolicznościach kontaktował się z jej właścicielem.

- A zatem nigdy nie widziałeś jego twarzy? - spytał Oded.

Peterson w milczeniu potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Nie wybaczył Odedowi lodowatych pryszniców w piwnicy i nie zamierzał na niego patrzeć.

- Zaprowadzisz mnie tam i pomożesz mi odzyskać obrazy - zdecydował Gabriel.

Peterson się uśmiechnął. Tak samo zimny i nieprzyjemny wyraz twarzy przybrał w Zurychu, kiedy Gabriel siedział w areszcie.

- Willa Ottona Gesslera to forteca. Nie da się do niej po prostu wejść i mu powygrażać.

- Nie zamierzam mu wygrażać.

- Więc jaki masz plan?

- Zaproponuję mu transakcję. Tylko taki język zrozumie. Gessler zwróci obrazy w zamian za znaczące znaleźne i moje zapewnienie, że jego rola w tej sprawie nigdy nie zostanie ujawniona.

- Otto Gessler zawsze prowadzi interesy z pozycji silniejszego. Nie można go przestraszyć, a ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, to jeszcze większe pieniądze. Jeśli spróbujesz wprowadzić swój plan w życie, wyjdiesz z jego domu z pustymi rękoma, o ile w ogóle stamtąd wyjdiesz.

- Wyjdę z obrazami lub bez nich.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Wyjdę, bo na tobie będzie spoczywała odpowiedzialność za moje bezpieczeństwo. Wiemy, gdzie mieszkasz, wiemy, do której szkoły chodzą twoje dzieci, a w razie czego zawsze cię znajdziemy.

Na usta Petersona ponownie wypełził arogancki uśmiezek.

- Nie przypuszczałem, że człowiek z twoją przeszłością może grozić cudzej rodzinie. Zdaje się jednak, że desperacka sytuacja wymusza desperackie rozwiązania. Skończmy już tę rozmowę, dobra? Chcę wyjechać z tej pieprzonej dziury.

Peterson odwrócił się i ruszył pod górę, ku willi; Oded podążał za nim jak cień. Eli Lavon położył drobną dłoń na ramieniu Gabriela.

- Może on ma rację. Może nie powinieneś się tam pakować.

- Wyciągnie mnie stamtąd. Zresztą na tym etapie Gessler nic nie zyska, jeśli mnie zabije.

- Ten gość się nie myli: desperacka sytuacja wymusza desperackie rozwiązania. Wracajmy do domu.

- Nie chcę, żeby oni zwyciężyli.

- Ludzie tacy jak Otto Gessler zawsze są górą. A poza tym skąd do cholery zamierzasz wytrzasnąć pieniądze na odkupienie obrazów? Od Shamrona? Ciekawe, jaką zrobi minę, kiedy przedstawisz mu rachunki za tę operację!

- Wcale nie zamierzam wyciągać pieniędzy od Shamrona. Dostarczy ich ten sam człowiek, który pierwszy ukradł obrazy.

- Augustus Rolfe?

- Jak najbardziej.

- To taka forma rekompensaty, zgadza się?

- Widzisz, Eli, wybaczenie drogo kosztuje.

Zanim zebrali się do wyjazdu, minęło południe. Petersona zirytował widok jego mercedesa, zaparkowanego obok furgonetki-volkswagena, do której wrzucili go po porwaniu. Usiadł na fotelu pasażera i niechętnie pozwolił, aby Oded przykuł mu nadgarstek do podłokietnika na drzwiach. Gabriel zajął miejsce kierowcy i uruchomił silnik nieco zbyt agresywnie jak na gust Petersona. Oded rozgościł się na tylnym siedzeniu, brudząc butami jasnobrązową skórę tapicerki. Beretę położył na kolanach.

Granica włosko-szwajcarska przebiegała zaledwie trzydzieści kilometrów od willi. Gabriel jechał przodem w mercedesie, za nim sunął Eli Lavon w furgonetce. Bez kłopotów pokonali granicę. Znużony celnik pobieżnie sprawdził ich paszporty i machnąwszy ręką, kazał jechać dalej. Przed posterunkiem granicznym Gabriel na krótko rozpiął kajdanki Petersona, lecz potem zjechał na pobocze i ponownie przykuł go do drzwi.

Skierowali się na północny zachód do Davos, potem Reichenau, i na zachód, do serca Szwajcarii. Na przełęczy Grimsel rozpadał się śnieg. Gabriel zdjął nogę z gazu, aby Laron mógł za nim nadążyć swoim starym volkswagenem.

Peterson był coraz bardziej niespokojny. Wskazywał Gabrielowi drogę tak, jakby prowadził go do miejsca, w którym pogrzebał zwłoki. Gdy poprosił o zdjęcie kajdanek, Gabriel odmówił.

- Jesteście kochankami? - niespodziewanie zainteresował się Peterson.

- Ja i Oded? Miły chłopak, ale nie w moim typie, niestety.

- Chodzi mi o Annę Rolfe.

- Wiem, o co ci chodzi. Uznałem, że szczypta humoru rozładuje napięcie. W przeciwnym wypadku mógłbym ulec pokusie strzelenia cię z całej siły w twarz.

- Jasne, że jesteście kochankami. Z jakiego innego powodu pakowałbyś się w tę całą aferę? Ona miała wielu kochanków. Nie wątpię, że na tobie nie poprzestanie. Gdybyś miał ochotę obejrzeć jej akta, służę pomocą: w ramach uprzejmości zawodowej, rzecz jasna.

- Zdarza ci się zrobić coś dla zasady, Gerhardt, czy też zawsze powoduje tobą żądza zysku? Na przykład, gdy usługujesz Radzie Rutli? Robisz to dla forsy, czy może dzielasz ich ideały?

- I jedno, i drugie.

- Coś podobnego. Jakie zasady skłaniają cię do pracy dla Ottona Gesslerera?

- Wykonuję jego zlecenia, bo mam dosyć przypatrywania się, jak mój kraj wciągany jest w bagno przez stado pieprzonych cudzoziemców, którzy nie mogą się pogodzić z czymś, co się wydarzyło jeszcze przed moim narodzeniem.

- Ten twój kraj wymienił zrabowane przez nazistów złoto na twardą walutę. Innymi słowy, Szwajcarzy wymienili kruszec dentystyczny i obrączki Żydów na pieniądze. Tysiące przerażonych Żydów umieściło oszczędności całego życia w waszych bankach tuż przed wywózką do komór gazowych w Oświęcimiu i Sobiborze. Potem te same banki przywłaszczyły sobie depozyty, zamiast zwrócić je prawowitym spadkobiercom.

- A co to ma wspólnego ze mną? Sześćdziesiąt lat! To się zdarzyło sześćdziesiąt lat temu! Dlaczego nie potraficie się oderwać od tego tematu? Czemu chcecie zmienić mój kraj w międzynarodowego pariasa z powodu poczynań kilku chciwych bankierów sześć dekad temu?

- Bo musicie się przyznać do niegodziwości, a potem zadośćuczynić wyrządzonym krzywdom.

- Pieniądze? Tak? Chcecie forsy? Krytykujecie nas, Szwajcarów, za naszą domniemaną chciwość, ale zawsze chcecie od nas pieniędzy, jakby za kilka dolarów można było odpuścić wszystkie winy z przeszłości.

- To nie wasze pieniądze. Dzięki nim to prowincjonalne wesołe miasteczko zmieniło się w jeden z najbogatszych krajów na świecie. Ale to nie są wasze pieniądze.

W ferworze dyskusji Gabriel nie zauważył, że jedzie zbyt szybko, a Lavon wlecze się za nim w odległości kilkuset metrów. Zwolnił, aby volkswagen mógł nadrobić dystans. Czuł do siebie złość. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to dyskusja z Gerhardtem Petersonem o moralnych aspektach historii Szwajcarii.

- Jest jeszcze coś, co chciałbym wiedzieć, zanim porozmawiamy z Gesslerem.

- Ciekawi cię, skąd wiedziałem o twoim związku z zabójstwem Hamidiego.

- Otóż to.

- Kilka lat temu - osiem albo dziewięć, nie chcę strzelać - pewien Palestyńczyk o wątpliwej przeszłości ubiegał się o wizę pobytową, która pozwoliłaby mu na jakiś czas zatrzymać się w Genewie. W zamian za dokument i udzieloną przez nas gwarancję, że jego obecność w Szwajcarii nie zostanie ujawniona Izraelowi, Palestyńczyk zaproponował nam wyjawienie nazwiska Izraelczyka, który zabił Hamidiego.

- Jak się nazywał ten Palestyńczyk? - spytał Gabriel, choć nie musiał czekać na odpowiedź Petersona. Znał ją. Podejrzewał, że znał ją cały czas.

- Mówię o Tariqu al-Houranim. To on umieścił bombę pod samochodem twojej żony w Wiedniu, zgadza się? To on zniszczył twoją rodzinę.

Dziesięć kilometrów przed willą Ottona Gesslera, na skraju gęstego sosnowego lasu, Gabriel zjechał na bok i wysiadł z samochodu. Było późne popołudnie, szybko zapadał zmrok, temperatura wynosiła około minus pięciu stopni. Wysoko nad nimi wznosił się szczyt, spowity kłębamii chmur. Co to za góra? Eiger? Jungfrau? Monch? Nic go to nie obchodziło. Marzył o tym, aby jak najszybciej zakończyć sprawę, wynieść się z tego kraju i nigdy już do niego nie wracać. Gdy okrążał samochód, brnąc w piętnastocentymetrowej warstwie mokrego śniegu, w jego umyśle pojawił się obraz Tariqa informującego Petersona o zamachu bombowym w Wiedniu. Musiał całą siłą woli zapanować nad pragnieniem wyciągnięcia Petersona z auta i stłuczenia go na miazgę. W tamtej chwili nie miał pewności, kogo nienawidzi bardziej: Tariqa czy Petersona.

Gabriel rozpiął kajdanki i zaczekał, aż Peterson przecisnie się nad dźwignią skrzyni biegów na fotel kierowcy. Oded wysiadł i dołączył do Eliego Lavona w furgonetce. Gabriel zajął miejsce Petersona i ponagląco wbił mu między żebra lufę beretty.

Na dolinę spłynął mrok. Peterson prowadził z obydwoma dłońmi na kierownicy, a Gabriel trzymał broń na widoku. Cztery kilometry od willi Gesslera Lavon zwolnił i stanął na poboczu. Gabriel odwrócił się i przez tylne okno zobaczył, jak gasną światła drugiego samochodu. Pozostał sam na sam z Petersonem.

- Powtórz wszystko jeszcze raz - przerwał ciszę Gabriel.

- Przerobiliśmy to już kilkanaście razy - zaprotestował Peterson.

- Nieważne. Chcę usłyszeć, jak znowu to powtarzasz.

- Nazywasz się Herr Meyer.

- Czym się zajmuję?

- Pracujesz ze mną w Wydziale Analiz i Ochrony.

- Dlaczego sprowadzasz mnie do willi?

- Bo dysponujesz istotnymi informacjami o poczynaniach pewnego kłopotliwego Żyda, Gabriela Allona. Chciałem, aby Herr Gessler wysłuchał wieści bezpośrednio u źródła.

- A co zrobię, jeśli w jakiś sposób zboczysz z ustalonego tematu?

- Nie zamierzam tego powtarzać.

- Mów!

- Chrzań się!

Gabriel potrząsnął berettą przed nosem Petersona, zanim wsunął ją za pasek spodni.

- Wpakuję ci kulę w łeb. Zabiję też ochroniarza. Nie zawaham się ani sekundy.

- Wcale w to nie wątpię - mruknął Peterson. - Co jak co, ale w tym naprawdę jesteś niezrównany.

Dwa kilometry dalej skręcili na nieoznakowaną drogę prywatną. Peterson przyspieszył, aby pewnie i ze znaczącą prędkością pokonać zakręt. Siła odśrodkowa przycisnęła Gabriela do drzwi. Przez chwilę się obawiał, że Peterson coś knuje, lecz wkrótce zwolnił.

Na końcu drogi pokazała się brama z kutego żelaza, tak potężna, jakby przygotowana na odparcie ataku transportera opancerzonego. Gdy podjechali bliżej, zatrzymał ich ochroniarz w obszernej niebieskiej kurtce, pod którą Gabriel dostrzegł zarys okazałej broni.

Peterson opuścił szybę.

- Nazywam się Gerhardt Peterson. Przyjechałem na spotkanie z Herr Gesslerem. Obawiam się, że sprawa jest pilna.

- Gerhardt Peterson?

- Zgadza się.

- A ten pan obok?

- Mój kolega, Herr Meyer. Ręczę za niego.

Strażnik wymamrotał coś do mikrofonu. Gdy chwilę później brama się otworzyła, dał im ręką znak, że droga wolna.

Peterson jechał wolno, a Gabriel wyglądał przez okno, lustrując teren: między drzewami dojrzał lampy łukowe, a także kolejnego ochroniarza w niebieskiej kurtce, wleczonego na smyczy przez owczarka niemieckiego.

Chryste Panie, pomyślał Gabriel. To miejsce wygląda jak bunkier Fuhrera. Jeszcze tylko drut kolczasty i pole minowe, a podobieństwo będzie idealne.

Drzewa się przerzedziły, odsłaniając posiadłość, nieco przymgloną za woalem sypiącego śniegu. Drogę zastąpił im strażnik. Ten nawet nie próbował ukryć zwisającego mu z ramienia pistoletu maszynowego. Peterson ponownie opuścił szybę: w oknie pojawiła się wielka głowa ochroniarza.

- Dobry wieczór, Herr Peterson. Herr Gessler właśnie się wybiera na basen. Tam pana oczekuje.

- Doskonale.

- Jest pan uzbrojony, Herr Peterson?

Peterson pokręcił głową. Ochroniarz wbił wzrok w Gabriela.

- A pan, Herr Meyer? Czy wziął pan ze sobą broń?

- Nein.

- Proszę za mną.

Szereg małych latarni, zainstalowanych na słupkach sięgających kolana, wytyczał ścieżkę. Śnieg był głębszy niż w dolinie - spadło już ponad trzydzieści centymetrów - i mniej więcej co czwarta lampa tkwiła zagrzebana w małej zaspie.

Peterson szedł u boku Gabriela. Strażnik, który ich przywitał na końcu podjazdu, teraz kroczył przodem. W pewnym momencie za ich plecami pojawił się drugi ochroniarz, z owczarkiem niemieckim. Gabriel czuł z tyłu, na wysokości uda, ciepły oddech psa. Gdy ten wepchnął mu pysk w dłoń, strażnik szarpnął smycz. Zwierzę zacharczało. Z jego gardła wydobył się głęboki, wibrujący skowyt.

Dobry pies, pomyślał Gabriel. Byle tylko go nie rozszłościć.

Nagle wyrósł przed nimi pawilon z basenem, długi i niewysoki. Światło kulistych lamp przebijało przez unoszące się wewnątrz opary. W środku stali ochroniarze; Gabriel ledwie ich dostrzegął. Jeden z nich prowadził drobną postać w szlafroku.

I wtedy poczuł przenikliwy ból w prawej nerwie. Wyprężył grzbiet, głowę odrzucił do tyłu i w ułamku sekundy ujrzał ostro zakończone wierzchołki strzelistych sosen. Gdy padał, niebo przybrało barwy z obrazów van Gogha, zapożyczając od niego także ruch i oświetlenie. Potem poczuł drugi cios, tym razem w tył głowy. Niebo poczerwiano... Upadł twarzą w śnieg.

44

Nidwalden, Szwajcaria

Gabriel otworzył jedno oko, potem drugie, powoli... Równie dobrze mógł je zamknąć z powrotem, gdyż otaczał go nieprzenikniony mrok. Pomyślał, że tak wygląda ciemność absolutna. Czerń teoretyczna.

Czuł przejmujący chłód. Leżał na chropowatej betonowej podłodze, a powietrze przenikała ciężka woń siarki i wilgoci. Miał ręce skute na plecach i ułożone wnętrzem dłoni do zewnątrz, przez co mięśnie jego ramion płonęły od kwasu mlekowego. Usiłował ustalić, w jakiej pozycji znajduje się jego ciało: prawym policzkiem i ramieniem przywarł do betonu; lewa ręka unosiła się w powietrzu; biodra były skrzyżowane, a nogi splątane. Przypomniał sobie lekcje rysunku w szkole

plastycznej: nauczyciele często wykręcali kończyny modelom, aby uwypuklić mięśnie, ścięgna i kształty. Możliwe, że był tylko modelem dla jakiegoś szwajcarskiego impresjonisty. Mężczyzna w izbie tortur, artysta nieznany.

Zamknął oczy i spróbował się wyprostować, lecz nawet najłżejsze skurcze mięśni pleców wywoływały dotkliwe pieczenie prawej nerki. Jęknął, przewyciężając rwący ból, i usiadł. Drugi cios pozostawił po sobie wspomnienie z tyłu głowy w postaci guza wielkości jaja.

Przesunął palcami po ścianie: naga skała, chyba granit. Mokry i śliski od pleśni. Jaskinia? Jakaś grota? A może piwnica?

Szwajcarzy i ich cholerne podziemia. Ciekawe, czy zostawią go tutaj na zawsze jak sztabę złota lub burgundzki fotel.

Wokół panowała cisza, równie nieprzenikniona jak ciemności. Żaden dźwięk nie dobiegał ani z góry, ani z dołu. Nie rozlegały się głosy, nie szczekały psy, nie szumiał wiatr. W uszach dźwięczała mu głucha cisza.

Zastanawiał się, jakim cudem Petersonowi udało się go podejść. Jak zasygnalizował strażnikowi, że Gabriel to intruz? Wypowiedział umówione słowo przy bramie wjazdowej? Podał błędne hasło? A co z Odedem i Elim Lavonem? Czyżby wciąż siedzieli w furgonetce, czy też może znaleźli się w takiej samej sytuacji jak Gabriel - albo jeszcze gorszej? Pomyślał o przestrodze Lavona: "Ludzie tacy jak Otto Gessler zawsze są gorą".

Gdzieś otworzyły się drzwi, a po chwili dobiegł go odgłos kroków kilku osób. Rozbłysły światła latarek, omiatające pomieszczenie w poszukiwaniu twarzy Gabriela. Zacisnął powieki i spróbował odwrócić głowę, lecz wykręcanie szyi tylko potęgowało ból.

- Postawcie go.

Głos Petersona: twardy, władczy. Szwajcar był w swoim żywiole. Dwie pary dłoni chwyciły Gabriela za ręce i uniosły w powietrze. Ból przeszywał całe jego ciało - obawiał się, że ramiona lada moment wyskoczą ze stawów. Peterson cofnął pięść i rąbnął go w brzuch tak mocno, że Gabriel zgiał się wpół. Potem kolano Petersona zmiażdżyło mu twarz. A potem ochroniarze puścili go, a on upadł w tej samej skulonej pozycji, w której się ocknął.

Mężczyzna w izbie tortur pędzła Ottona Gesslera.

Działali zespołowo. Jeden go trzymał, drugi bił. Byli wydajni i skuteczni, choć nie czerpali z pracy radości i nie okazywali entuzjazmu. Dano im konkretne zlecenie: obić mu równomiernie całą powierzchnię ciała i zmienić twarz w befsztyk. Wykonywali rozkazy całkowicie profesjonalnie, wręcz biurokratycznie. Co kilka minut następowała przerwa na papierosa. Gdy wracali, Gabriel czuł smród tytoniu. Próbował wykrzesać w sobie nienawiść do tych odzianych na niebiesko wojowników Gesslera, lecz nie potrafił. Nienawidził wyłącznie Petersona. Po mniej więcej godzinie Szwajcar powrócił.

- Gdzie są obrazy, które zabrałeś z depozytu bankowego w Zurychu?

- Jakie obrazy?

- Gdzie jest Anna Rolfe?

- Kto?

- Przyłóżcie mu jeszcze trochę na poprawienie pamięci.

I tak to się ciągnęło. Gabriel nie miał pojęcia, jak długo. Nie potrafił określić, czy zapadła noc, czy też nastał dzień. Równie dobrze mógł tkwić w tych podziemiach od godziny, jak i od tygodnia. Czas odmierzały uderzenia oprawców i regularne wizyty Petersona.

- Gdzie są obrazy, które zabrałeś z depozytu bankowego w Zurychu?

- Jakie obrazy?

- Gdzie jest Anna Rolfe?

- Kto?

- No dobra, zobaczymy, czy wytrzyma jeszcze trochę. Tylko go nie zabijcie.

Kolejny łomot. Sprawiał wrażenie nieco krótszego, choć Gabriel nie miał pewności, gdyż na przemian tracił i odzyskiwał przytomność.

- Gdzie są obrazy?
- Jakie... obrazy?
- Gdzie jest Anna Rolfe?
- Kto?
- Do roboty.

Następny, ostry jak nóż, cios w prawą nerkę. Jeszcze jedna żelazna pięść na twarzy. Kolejny kopniak butem w krocze.

- Gdzie są obrazy?
- Cisza...
- Gdzie jest Anna Rolfe?
- Cisza...

- Na razie wystarczy. Rzućcie go tam.

Przetrzęsał zakamarki pamięci w poszukiwaniu cichego miejsca na odpoczynek. Za wszystkimi drzwiami znajdował jednak krew i ogień, nie natrafiał na spokojny zakątek. Trzymał w ramionach syna, kochał się z żoną. W jednym z zakamarków ujrzał jej nagie ciało w wiedeńskiej sypialni. Stosunek, który sobie przypomniał, był ich ostatnim. Spacerował po odnowionych przez siebie płótnach, brnął przez olej, farby, a także pustynie gołych płócien, aż wreszcie dotarł na taras, górujący nad morzem złotych liści i moreli, skąpany w świetle zachodzącego słońca w kolorze sjeny i rozbrzmiewający harmonijnym dźwiękiem skrzypiec.

Weszło dwóch strażników. Gabriel uznał, że pora na kolejne bicie. Tym razem jednak oprawcy ostrożnie zdjęli mu kajdanki, by przez następnych dziesięć minut oczyszczać i bandażować jego rany. Pracowali z delikatnością przedsiębiorców pogrzebowych, ubierających zwłoki. Spod zapuchniętych powiek Gabriel przyglądał się, jak woda w misce przybiera różową, potem purpurową barwę jego krwi.

- Połknij te pigułki.
- Cyjanek?
- Środek przeciwbólowy. Lepiej się poczujesz, naprawdę.

Gabriel zrobił, co mu kazano, choć połknięcie tabletek przyszło z trudem. Dali mu kilka minut na oprzytomnienie. Łupanie w głowie i w kończynach zaczęło mijać. Wiedział, że nie znikło na stałe i wkrótce powróci.

- Możesz wstać?
- Zależy, dokąd mnie zabieracie.
- Chodź, pomożemy ci.

Delikatnie chwycili go pod ramiona.

- Utrzymaś się na nogach? Dasz radę iść?

Wysunął do przodu prawą nogę, lecz głębokie stłuczenia mięśni uda sprawiły, że kolano się ugięło. Ochroniarze podtrzymali go, zanim ponownie opadł na ziemię. Nie wiedzieć czemu, zachowanie Gabriela ich rozbawiło.

- Tylko spokojnie. Co nagle, to po diable.
- Dokąd idziemy?
- To niespodzianka. Nie będzie bolało, słowo.

Wyszli na korytarz długi niczym tunel i całkiem biały, o marmurowej posadzce i łukowatym sklepieniu. W powietrzu unosił się zapach chloru. Basen Gesslera musiał być blisko.

Ruszyli przed siebie. Początkowo Gabriel potrzebował wsparcia swoich towarzyszy, lecz z czasem, kiedy środki pobudzające zaczęły działać, docierając do wszystkich części jego ciała,

przywykł do postawy pionowej i mógł iść samodzielnie, pomału stawiając drobne kroki. Czuł się jak pacjent po operacji na pierwszym spacerze.

Na końcu korytarza znajdowały się podwójne drzwi, a za nimi okrągły pokój, o średnicy mniej więcej siedmiu metrów, zwieńczony wysoką kopułą. Pośrodku pomieszczenia stał niski, podstarzały mężczyzna w białym szlafroku, z twarzą ukrytą za imponujących rozmiarów okularami przeciwsłonecznymi. Wyciągnął ku Gabrielowi kościstą, pokrytą fioletowymi żyłkami dłoń. Ten ją zignorował.

- Witam, panie Allon. Cieszę się, że w końcu doszło do naszego spotkania. Nazywam się Otto Gessler. Proszę za mną. Jest kilka rzeczy, które z pewnością chętnie pan obejrzy.

Za jego plecami powoli i cicho otworzyły się jeszcze jedne podwójne drzwi. Gabriel zauważył, że mają dobrze naoliwione mechanizmy. Gdy ruszył w ich stronę, Gessler wyciągnął rękę i położył dłoń na jego przedramieniu.

Dopiero wtedy Gabriel uświadomił sobie, że Otto Gessler jest ślepy.

45

Nidwalden, Szwajcaria

Stali w przestronnym holu o arkadowym sklepieniu, przywodzącym na myśl Musee d'Orsay. Przez oszklony sufit sączyło się sztuczne światło, a po obydwu stronach pomieszczenia widniało dwanaście korytarzy, prowadzących do pokoi obwieszonych niezliczonymi obrazami - przy żadnym z nich nie umieszczono tabliczki z informacją. Dla wprawnego oka Gabriela nie miało to znaczenia. Od razu zauważył, że dzieła zostały zgrupowane tematycznie: piętnastowieczne malarstwo włoskie, siedemnastowieczne obrazy holenderskie i flamandzkie, francuskie z dziewiętnastego wieku. I tak dalej, galeria po galerii, prywatne muzeum pełne zaginionych arcydzieł europejskich mistrzów. Efekt był przytłaczający, choć z pewnością nie dla Gesslera: on nie widział żadnego z płócien.

- Proszę mi wybaczyć tak obcesowe potraktowanie przez moich ludzi, lecz obawiam się, że może pan za to winić wyłącznie siebie. Postąpił pan wyjątkowo nierozsądnie, przybywając tutaj.

Miał świszczący głos, równie suchy i cienki jak pergamin. Ręka spoczywająca na przedramieniu Gabriela była lekka jak powiew ciepłego powietrza.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo zależało panu na uciszeniu Augustusa Rolfego. Ile ich tu wisi?

- Szczerze mówiąc, nawet ja straciłem rachubę.

Przeszli do następnego pomieszczenia: piętnastowieczne malarstwo hiszpańskie. Ubrany w niebieską kurtkę ochroniarz przechadzał się leniwie tam i z powrotem niczym strażnik muzealny.

- I żadnego z nich pan nie widzi?

- Niestety, nie mogę.

- Więc po co one panu?

- Uważam się za impotentą, choć fakt, że nie mogę uprawiać seksu z żoną, nie oznacza, że chętnie udostępnię jej ciało innym.

- Jest pan żonaty?

- Sprytne podejście, panie Allon, niemniej proszę pamiętać, że w Szwajcarii prawo do prywatności jest święte. Może pan uznać moje zachowanie za dość nietypowe, ale właśnie takie życie wybrałem.

- Od zawsze jest pan niewidomy?

- Zadaje pan zbyt wiele pytań.

- Przybyłem z propozycją zakończenia całej sprawy, lecz widzę, że nigdy pan na nią nie przystanie. Jest pan Hermannem Goringiem dwudziestego pierwszego wieku. Pańska chciwość nie zna granic.

- Owszem, aczkolwiek w przeciwieństwie do Herr Goringa, którego dobrze znałem, nie odpowiadam za grabież dzieł sztuki.

- A jak pan by to nazwał?

- Jestem kolekcjonerem. Dysponuję wyjątkowym zbiorem, zapewne, i mam prawo trzymać to w sekrecie.

- Nie ja jeden o tym wiem. Zdają sobie z tego sprawę Anna Rolfe i moje służby. Może mnie pan zabić, ale ktoś i tak się dowie, co pan tutaj zakopał.

Gessler parsknął suchym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Panie Allon, nikt nigdy się nie dowie, co przechowuję w tym domu. My, Szwajcarzy, niezwykle szanujemy prywatność. Nikt nie otworzy tych drzwi bez mojej zgody. Na wszelki wypadek jednak podjąłem jeszcze dodatkowe kroki. Wykorzystując mało znaną lukę w szwajcarskim prawie, całą swoją posiadłość zarejestrowałem jako bank prywatny. Te pokoje stanowią jego część: powiedzmy, że służą mi za skarbiec. Innymi słowy, zgromadzone w nich dobra są objęte szwajcarskim prawem zachowania tajemnicy bankowej. Nie istnieją takie okoliczności, które zmusiłyby mnie do otworzenia drzwi tych pomieszczeń lub ujawnienia ich zawartości.

- I to pana satysfakcjonuje?

- W rzeczy samej - stwierdził bez ogródek. - Zresztą nawet gdybym został zmuszony do wpuszczenia tu kogoś, nie mógłbym odpowiadać za popełnienie przestępstwa. Jak pan wie, każdy z tych przedmiotów został przeze mnie nabyty całkowicie zgodnie z obowiązującym, szwajcarskim prawem, a jeśli chodzi o kwestię moralności, odpowiadam przed Bogiem i historią. Nawet gdyby ktoś udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że jakieś dzieło z moich zbiorów zostało zrabowane jego przodkowi przez Niemców, musiałbym otrzymać odszkodowanie równe rynkowej wartości płótna. Rzecz jasna, koszty przekazania obrazu spadkobiercom pierwotnego właściciela byłyby wówczas gigantyczne. Pan i pańscy przyjaciele w Tel Awiwie możecie domagać się zwrotu tych arcydzieł tak głośno, jak tylko wam przyjdzie ochota, ale ja nigdy nie zostanę zmuszony do otworzenia stalowych drzwi, prowadzących do mojej galerii.

- Sukinsyn z pana, panie Gessler.

- Ach, teraz ucieka się pan do inwektyw. Za zaistniałą sytuację obwinia pan Szwajcarów, lecz to nie wśród nas należy szukać winnych. Wojnę rozpętali Niemcy. My podjęliśmy słuszną decyzję, aby trzymać się z boku, i za to chce pan teraz nas ukarać.

- Trudno to nazwać trzymaniem się z boku. Kolaborowaliście z Hitlerem, dostarczając mu broń i pieniądze. Zachowywaliście się wobec niego służalczo. Wszyscy macie charakter służących.

- Owszem, otrzymaliśmy nagrodę finansową za naszą neutralność, ale po co teraz wracać do tego tematu? Po wojnie porozumieliśmy się z aliantami i wszystko zostało nam wybaczone, bo Zachód potrzebował naszych pieniędzy, aby wesprzeć proces odbudowy Europy. Potem nastąpiła zimna wojna i Zachód znowu nas potrzebował. Dziś zimna wojna dobiegła końca i wszyscy po obu stronach żelaznej kurtyny walą do drzwi Szwajcarii. Wszyscy domagają się przeprosin i oczekują pieniędzy. Niemieccy książęta, francuscy arystokraci, arabscy szejkwowie i amerykańscy bogacze, uciekający przed fiskusem. Baronowie narkotykowi i handlarze bronią. Mój Boże, nawet wasze agencje wywiadowcze korzystają z naszych usług, kiedy zachodzi taka potrzeba. Pan również przez lata często odwiedzał Credit Suisse. Tak się składa, że pewnego dnia znowu będziemy wam potrzebni. Historia lubi się powtarzać. Panie Allon, bardzo proszę: niechże pan choć na chwilę zejdzie ze swojego wysokiego cokołu moralności i okaże odrobinę rozsądku.

- Jest pan złodziejem, panie Gessler. Zwykłym kryminalistą.

- Złodziejem? No, nie, panie Allon, niczego nie ukradłem. Dzięki kilku sprytnym posunięciom wszedłem w posiadanie imponującej kolekcji dzieł sztuki, a także znacznego majątku osobistego.

Niech mnie pan jednak nie nazywa złodziejem. Proszę przyjrzeć się sobie i swoim rodakom. Trąbicie o rzekomych szwajcarskich przestępstwach, a tymczasem stworzyliście własne państwo na ziemi zagrabionej prawowitym właścicielom. Obrazy, meble, biżuteria: to tylko przedmioty, można je łatwo zastąpić innymi. Ziemia to zupełnie inna sprawa. Ziemia jest wieczna. Nie, panie Allon, nie jestem złodziejem. Jestem zdobywcą, tak samo jak pan i pańscy ziomkowie.

- Niech pana diabli, panie Gessler.

- Jestem kalwinem, panie Allon. My, kalwini, wierzymy, że dobra doczesne są zagwarantowane tym, przed którymi droga do królestwa niebieskiego stoi otworem. Jeśli majątek zgromadzony wokół mnie można uznać za wskazówkę, powędruję prosto do nieba i diabli nic mi nie zrobią. Niestety, nie mogę tego samego powiedzieć o pańskich losach po śmierci. Ma pan jednak szansę nieco uprzyjemnić sobie pobyt na tym łożu padole. Wystarczy odpowiedzieć na jedno proste pytanie: gdzie są obrazy, które zabrał pan ze skrytki depozytowej Augustusa Rolfego?

- Jakie obrazy?

- Te płótna są moją własnością. Mogę przedstawić panu dokument, podpisany przez Rolfego na krótko przed jego śmiercią, zgodnie z którym cała kolekcja przechodzi na moją własność. Jestem prawowitym właścicielem tych dzieł sztuki i chcę je odzyskać.

- Mógłbym zobaczyć ten dokument?

- Gdzie są te obrazy?!

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Gessler puścił rękę Gabriela.

- Niech ktoś go stąd zabierze.

46

Nidwalden, Szwajcaria

Środki przeciwbólowe przestały działać, co nie było dla Gabriela zaskoczeniem, i ból powrócił, jeszcze potężniejszy niż wcześniej. Tak jakby znikł na pewien czas tylko po to, aby zebrać siły do ostatecznego ataku. Wszystkie zakończenia nerwowe w ciele Gabriela jednocześnie przekazywały do jego mózgu informacje o przejmującym bólu. Cały organizm przeszywały dreszcze, nieopanowane i gwałtowne, wywołujące jeszcze silniejszą falę cierpienia. Gabriel chciał zwymiotować, lecz modlił się, aby ominęły go torsje. Wiedział, że skurcze żołądka oznaczałyby kolejną dawkę wyrafinowanych boleści.

Ponownie usiłował znaleźć w umyśle bezpieczną kryjówkę, ale wspomnienie Ottona Gesslerera i jego zbiorów pojawiało się w każdej myśli. Widział Gesslerera w szlafroku i okularach przeciwsłonecznych, a wraz z nim kolejne pomieszczenia pełne zrabowanych przez nazistów dzieł sztuki. Zastanawiał się, czy naprawdę odbył rozmowę z tym człowiekiem, czy też jest ona tylko wytworem jego nafaszerowanego narkotykami umysłu. Uznał jednak, że wszystko, co zapamiętał, jest prawdą. Widział te obrazy, zebrane w jednym miejscu, lecz całkowicie niedostępne dla niego i dla świata.

Drzwi się otworzyły: Gabriel zamarł w bezruchu. Kto przyszedł? Siepacze Gesslerera, by go dobić? Może Gessler we własnej osobie, by mu pokazać kolejny pokój pełen zaginionych płócien?

Piwnicę zalało światło i dopiero wtedy Gabriel uświadomił sobie, że to nie Gessler ani jego bandyci. Był to Gerhardt Peterson.

- Możesz wstać?

- Nie.

Peterson przykucnął tuż przy nim. Zapalił papierosa i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz Gabriela, najwyraźniej zasmucony tym, co z niej wyczytał.

- Postaraj się utrzymać na nogach, to ważne.

- Czemu?

- Bo niedługo przyjdą cię zabić.

- Na co czekają?

- Na zmrok.

- Do czego im zmrok?

- W nocy zawiozą twoje ciało na lodowiec i cisną do szczeliny.

- To pocieszające. Byłem przekonany, że zechcą mnie upchnąć do skrzynki depozytowej i umieścić w jednej ze skrytek bankowych Gesslera.

- Brali to pod uwagę. - Peterson zaśmiał się bez cienia radości. - A mówiłem, żebyś się tu nie pchał. Powtarzałem, że ich nie pokonasz. Trzeba mnie było słuchać.

- Zawsze masz rację, Gerhardt. Nie myliłeś się ani trochę.

- Niezupełnie. Popelniałem pewien błąd.

Włożył rękę do kieszeni płaszcza i wydobyl berettę Gabriela. Potrzymał ją w dłoni, a potem wyciągnął ku niemu niczym podarunek.

- Co to ma być?

- Weź. - Zachęcająco poruszył bronią. - Dalej, śmiało.

- Po co?

- Przyda ci się. Bez broni nie masz najmniejszych szans wyjść stąd cało. Z pistoletem, biorąc pod uwagę twój stan, oceniam twoje szansę na jeden do trzech. No, ale to już coś, prawda? Weź go.

Pistolet rozgrzał się w dłoni Petersona. Orzechowa rękojeść, spust, lufa: po raz pierwszy od chwili przybycia w to miejsce Gabriel poczuł się lepiej.

- Przykro mi, że dostałeś takie lanie. Nie miałem wyboru. Przyzwoity agent musi niekiedy robić godne pożałowania rzeczy, aby udowodnić swoje dobre intencje ludziom, których oszukuje.

- O ile mnie pamięć nie myli, pierwsze dwa ciosy zadałeś osobiście.

- Nigdy przedtem nie uderzyłem człowieka. Myślę, że bardziej zabolą mnie niż ciebie. Zresztą musiałem zyskać na czasie.

- Czasie na co?

- Zająłem się organizowaniem twojej ucieczki.

Gabriel wysunął magazynek i upewnił się, że są w nim naboje, a całe to przedstawienie nie jest tylko kolejną sztuczką Petersona.

- Jak rozumiem, Gessler może się poszczycić nie lada kolekcją. - Peterson zmienił temat.

- Nie miałeś okazji jej obejrzeć?

- Nigdy nie zostałem zaproszony.

- Czy to miejsce naprawdę jest bankiem? Nikt nie ma prawa do niego wejść?

- Gabriel, cały ten kraj to bank. - Peterson znowu sięgnął do kieszeni. Tym razem wyjął kilka tabletek. - Weź. Coś na ból i poprawę nastroju. Dobrze ci zrobi.

Gabriel połknął wszystkie tabletki za jednym zamachem i wepchnął magazynek z powrotem do rękojeści.

- Jak ci poszło organizowanie mojej ucieczki?

- Odszukałem twoich przyjaciół. Zaszli się w schronisku w wiosce. Będą na ciebie czekać u podnóża góry, tuż przy granicy posiadłości Gesslera, nieopodal miejsca, w którym ich wczoraj zostawiłeś.

Wczoraj? Zatem minął tylko jeden dzień? A jemu się zdawało, że tkwił w tej norze od roku. Albo całe życie.

- Za drzwiami stoi jeden wartownik. Najpierw musisz się zająć nim. Po cichu. Dasz radę? Starczy ci sił?

- Spokojna głowa.

- Skręć w korytarz na prawo. Na jego końcu znajdziesz schody, a na ich szczycie drzwi. Przez nie wydostaniesz się na zewnątrz. Potem zejdziesz w dół zbocza i poszukasz przyjaciół.

Gabriel pomyślał, że oprócz tego będzie jeszcze musiał uporać się z ochroniarzami i sforą owczarków niemieckich.

- Wyjedź ze Szwajcarii tą samą drogą, którą przybyliśmy wczoraj. Dopilnuję, żeby przejście graniczne było czyste.

- A co z tobą?

- Powiem im, że przyszedłem po raz ostatni, aby przekonać cię do wyjawienia miejsca ukrycia obrazów, a wtedy ty mnie obezwładniłeś i uciekłeś.

- Uwierzą ci?

- Powinni. Jeśli nie, trafię do tej samej szczeliny, którą przewidzieli dla ciebie.

- Ucieknij ze mną.

- Mam żonę i dzieci i... ojczyznę.

- Dlaczego to robisz? Czemu nie dasz im mnie zabić? Miałbyś spokój.

Wówczas Peterson zrelacjonował mu historię, która wydarzyła się w jego wiosce podczas wojny: opowiedział o Żydach, którzy z Francji przybyli do Szwajcarii w poszukiwaniu schronienia, ale zostali wydaleny za granicę prosto w ręce gestapo.

- Po śmierci ojca przeglądałem w jego gabinecie dokumenty, chcąc zaprowadzić w nich porządek. Wśród papierów znalazłem list. Napisano go w biurze policji federalnej. To był list pochwalny. Wiesz, czego dotyczyła pochwała? Dowiedziałem się z niej, że to za sprawą mojego ojca wydano tych Żydów Niemcom, którzy ich potem zamordowali. Nie chcę, aby moja rodzina miała na rękach jeszcze więcej krwi żydowskiej. Musisz wyjść stąd cało.

- Jeśli rozpęta się burza, zapewne znajdziesz się w trudnej sytuacji.

- Burze w naszym kraju mają to do siebie, że z największą siłą uderzają w szczyty gór. Powiada się, że na Jungfrau wiatr wieje z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Zanim jednak burze dotrą do Berna lub Zurychu, zwykle tracą impet. Czekaj, pomogę ci.

Peterson podtrzymał Gabriela, który usiłował dźwignąć się na nogi.

- Jeden do trzech?

- Przy odrobinie szczęścia.

Gabriel stanął tuż za drzwiami. Peterson dwukrotnie załomotał w nie pięścią i chwilę później zasuwę się odsunęły, drzwi otworzyły, a do celi wszedł strażnik. Gabriel zastąpił mu drogę i resztkami sił, które zdołał zebrać, wbił mu lufę beretty w lewą skroń.

Peterson przyłożył dłoń do szyi leżącego i sprawdził tętno.

- Jestem pod wrażeniem, Gabriel. Weź jego kurtkę.

- Są na niej plamy krwi.

- Rób, co mówię. Dzięki temu zawahają się, nim otworzą do ciebie ogień, a zresztą i tak musisz się jakoś zabezpieczyć przed mrozem. Weź także jego pistolet maszynowy, na wypadek, gdybyś potrzebował czegoś bardziej przekonującego od beretty.

Wspólnie ściągnęli z martwego strażnika okrycie. Gabriel wtarł w podłogę tyle krwi, ile się dało, i włożył kurtkę. Pistolet maszynowy przewiesił przez ramię. Berettę ścisnął w prawej dłoni.

- Teraz ja - zakomenderował Peterson. - Postaraj się wypaść wiarygodnie, ale nie rób nic równie nieodwracalnego.

Zanim Peterson przygotował się na ból, Gabriel uderzył go w kość policzkową ręką beretty, rozcinając skórę. Peterson stracił równowagę, lecz nie upadł. Dotknął rany końcami palców i przyjrzał się krwi.

- Krwawa zemsta, tak?

- Mniej więcej.

- Ruszaj.

Chłód, który powitał Gabriela za drzwiami, był niczym następny cios w twarz. Nastąpiło późne popołudnie, zbliżała się noc, a w sosnach pogwizdywał wiatr. Gabriel poczuł, jak ręce szczypią go od mrozu. Powinien był zabrać strażnikowi rękawiczki.

Podniósł wzrok i popatrzył na szczyt Jungfrau. Wierzchołek góry połyskiwał bladą różową światłem; niższe partie masywu - stalowoszare - wyglądały groźnie i nieprzystępnie. "Powiada się, że na Jungfrau wiatr wieje z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę".

Żelbetowe drzwi za jego plecami przypominały wejście do tajnego bunkra wojskowego. Gabriel zastanawiał się, ile takich zabezpieczeń jest rozsianych po całym terenie posiadłości Gesslera, i jakie inne zadziwiające niespodzianki czekałyby ludzi, którzy zdołaliby tu dotrzeć. Szybko jednak przegonił te natrętne myśli i skupił uwagę na rozpoznaniu terenu. Znajdował się mniej niż pięćdziesiąt metrów od pawilonu z basenem, na tyłach posiadłości, kilka metrów od drzew.

"... zejdziesz w dół zbocza...".

Pokonał otwartą przestrzeń, brnąc w sięgającym kolan śniegu, i wpadł między drzewa. Gdzieś w oddali rozszczękał się pies. Wilczur Gesslera. Gabriela ciekawiło, ile czasu minie, zanim inni ochroniarze wejdą do celi i odkryją ciało kolegi. I jak długo Petersonowi uda się wmawiać wszystkim, że został napadnięty przez człowieka pobitego prawie do nieprzytomności.

Gabriel torował sobie drogę w panującym wśród drzew mroku, a jego myśli krążyły wokół nocy, podczas której wszedł do willi Rolfego w Zurychu i odkrył zdjęcia ukryte w szufladzie biurka.

"Herr Hitler, zechce pan poznać Herr Rolfego. Herr Rolfe zgodził się wyświadczyć nam kilka przysług. Jest kolekcjonerem, podobnie jak pan, mein Fuhrer".

Mróz miał pewną zaletę. Po paru minutach Gabriel nie czuł już twarzy. W lesie spadło nieco mniej śniegu, lecz każdy krok okazywał się dla uciekiniera wyzwaniem: wystający fragment skały, ułamana gałąź, nora wykopana przez zwierzę. Gabriel czterokrotnie tracił równowagę i padał, i za każdym razem trudniej było mu wstać. Dźwigał się jednak uparcie i brnął dalej w dół zbocza, ku miejscu, w którym oczekiwali Oded i Lavon.

Trafił na małą polankę, na której ujrzał wartownika. Mężczyzna stał w odległości dwudziestu metrów od niego, zwrócony doń półprofilem. Gabriel nie miał pewności, czy zdoła oddać celny strzał z takiego dystansu. Za bardzo go pobito, a w dodatku spuchły mu powieki i przemarzły dłonie. Wznowił więc marsz, licząc na to, że ciemności skutecznie zamaskują jego postać.

Przebył zaledwie kilka kroków i ponownie upadł, tym razem łamiąc leżącą na ziemi gałąź. Strażnik odwrócił się i patrzył na Gabriela, nie wiedząc, co robić. Uciekinier szedł dalej, spokojnie i pewnie, jakby zamierzał złuzować kolegę. Gdy znalazł się w odległości jednego metra od ochroniarza, wyciągnął z kieszeni berettę i wycelował lufę w jego pierś. Kula przeszła mężczyźnie na wylot, wyrrywając mu w plecach dziurę i wyrzucając obłok krwi, strzępów ciała i poliestru.

Wystrzał rozszedł się po górach głośnym echem. Natychmiast rozszczękał się pies, po nim następny i jeszcze jeden. W willi zapalono światła. Za polaną widniała wąska ścieżka, którą z trudem mógłby przejechać mały samochód. Gabriel usiłował biec, lecz jego organizm odmówił posłuszeństwa. Mięśnie straciły zarówno siłę, jak i koordynację, konieczną do zbiegania po zboczu pokrytej śniegiem góry. Musiał iść, choć nawet i z tym miał sporo problemów.

Wyczuł, że spadek terenu powoli łagodnieje, jakby góra Gesslera przekształcała się w dno doliny. W pewnym momencie dostrzegł światła volkswagena i dwie sylwetki, właściwie cienie, Lavona i Odeda, którzy energicznie przytupywali z zimna.

"Idź dalej! Przed siebie!".

W tyle szczęknął pies.

- Stój! - krzyknął ktoś. - Stój, bo strzelam!

Usłyszał szelest. Odwrócił się w samą porę, aby ujrzeć spuszczonego ze smyczy owczarka niemieckiego, który pędził w jego stronę niczym lawina. Za psem podążał strażnik uzbrojony w pistolet maszynowy.

Gabriel zawahał się na ułamek sekundy. Kto pierwszy? Pies czy człowiek? Wartownik miał broń, wilczur - zęby zdolne zmiążyć kark. Gdy bestia wystrzeliła w powietrze ku Gabrielowi, ten wypalił prosto w jej opiekuna. Mężczyzna dostał w sam środek klatki piersiowej i runął na ścieżkę.

W tej samej chwili pies wyrzucił Gabriela łbem w żebra, powalając go na ziemię. Gdy mężczyzna upadł na zamrożone podłoże, prawą ręką uderzył w lód i beretta wypadła mu ze zgrabiących palców.

Bydlę od razu rzuciło mu się do gardła. Gabriel zasłonił twarz lewą ręką, a pies zacisnął na niej szczękę. Zaatakowany wrzasnął, gdy zębiska przedarły się przez ochronną warstwę materiału i wbiły w mięśnie przedramienia. Wilczur warczał i ciskał ogromnym łbem na lewo i prawo, aby odciągnąć rękę ofiary i zaznać rozkoszy rozdierania miękkiej szyi człowieka. Gabriel prawą dłonią na oślep tłukł zaśnieżoną ziemię w poszukiwaniu beretty.

Pies jeszcze mocniej zacisnął zęby, krusząc kość.

Gabriel zawył przeraźliwie. Ból okazał się silniejszy niż ten, którego doświadczył za sprawą oprawców Gesslera. Przesunął dłonią po śniegu jeszcze raz i wreszcie chwycił pistolet.

Bestia wykręciła masywny kark, szarpiąc rękę człowieka na bok. Gabriel przycisnął lufę pistoletu do żeber potwora i posłał mu trzy kule w serce.

Niemal natychmiast odepchnął psa i wstał. Od strony willi dobiegały krzyki ludzi i ujadanie wilczurów. Gabriel ruszył dalej. Lewy rękaw jego kurtki zwisał w strzępach, a krew strumieniem spływała mu po dłoni. Po chwili ujrzał Elię Lavona pędzącego w górę ścieżki i moment później padł mu w ramiona.

- Nie zatrzymuj się, Gabriel. Dasz radę?

- Dam.

- Oded, złap go. Boże, co oni z tobą zrobili, Gabriel? Co oni ci zrobili?

- Dam radę, Eli. Chodźmy.

Część czwarta

Trzy miesiące później

48

Port Navas, Kornwalia

Dom stał nad strumieniem; był niski, obszerny i solidny niczym statek. Wejścia do niego strzegło dwoje mocnych drzwi, a okien - białe okiennice. Gabriel wrócił w poniedziałek. Obraz dotarł w środek. Był to fragment czternastowiecznego niderlandzkiego ołtarza, nadesłany przez Isherwood Fine Arts, St. James, Londyn. Dwóch grubych chłopaków, cuchnących piwem, wniosło go po wąskich schodach do pracowni Gabriela, który zaraz po ich wyjściu pozbył się przykrego zapachu, otwierając okno i odkręcając butelkę mocnego rozpuszczalnika.

Powoli odpakowywał obraz. Dzieło było tak stare i kruche, że przetransportowano je w dwóch skrzyniach ze wzmocnionej sośniny: wewnętrzna zabezpieczała obraz przed działaniem czynników atmosferycznych, a zewnętrzna chroniła przed uszkodzeniami fizycznymi. Wreszcie usunął poduszkę piankową oraz ochronną warstwę papieru silikonowego i postawił arcydzieło na sztalugach.

Obraz stanowił środkową część tryptyku, miał w przybliżeniu metr wysokości i sześćdziesiąt centymetrów szerokości, namalowano go farbą olejną na trzech dębowych deskach o pionowych słojach. Drewno niemal na pewno pochodziło z dębu, ulubionego materiału mistrzów flamandzkich. Gabriel zapisał w notatniku swoje spostrzeżenia: silnie wypukłe zgięcie, rozszczepienie drugiej i trzeciej deski, poważne ubytki farby, rysy.

Jak przedstawiałby się ten opis, gdyby zamiast obrazu na sztalugach znalazło się jego ciało? Pęknięta szczęka, złamana prawa kość policzkowa, pęknięty lewy oczodół, przetrącony kręgosłup, lewa kość promieniowa złamana w wyniku ciężkiego pogryzienia przez psa, konieczność profilaktycznego leczenia na wypadek wścieklizny. Sto szwów założonych na ponad dwudziestu ranach, mocno pokaleczona twarz, szczątkowa opuchlizna i oszpecenie.

Żałował, że jego twarzy nie da się naprawić tak, jak tego obrazu. Lekarze, którzy opiekowali się nim w Tel Awiwie, oznajmili, że tylko czas może przywrócić mu naturalny wygląd. Minęły trzy miesiące, a on wciąż z trudem zbierał się na odwagę, aby spojrzeć w lustro. Poza tym dobrze wiedział, że czas nie jest najbardziej lojalnym sprzymierzeńcem jego pięćdziesięcioletniej twarzy.

Przez następne półtora tygodnia tylko czytał. W swoich prywatnych zbiorach przechowywał kilka znakomitych opracowań dotyczących Rogera, a Julian życzliwie przesłał mu dwie własne książki, obydwie po niemiecku. Rozłożył je przed sobą na stole roboczym i przysiadł na wysokim, twardym stołku. Wygiął grzbiet niczym rowerzysta, a pięści przyłożył do skroni. Od czasu do czasu podnosił spojrzenie i wpatrywał się w obraz na sztalugach lub kontemplował krople deszczu, spływające strumieniami z nieba. Potem opuszczał wzrok i ponownie pogrążał się w lekturze.

Sięgnął po takich autorów, jak Martin Davies i Lorne Campbell, a także Panofsky, Winkler, Hulin i Dijkstra. Rzecz jasna, na jego stole pojawił się też Friedlander - pokaźny tom poświęcony malarstwu wczesnoniderlandzkiemu. Jak mógłby przystąpić do konserwacji dzieła, choćby tylko zbliżonego do Rogera, bez skorzystania z tego monumentalnego kompendium?

Gdy pracował, z jego faksu wysuwały się odbitki wycinków prasowych: co najmniej jedna dziennie, niekiedy dwie lub trzy. Historię określano początkowo mianem "sprawy Rolfego", lecz z czasem przyłgnęła do niej nazwa Rolfegate. Pierwszy tekst opublikowano w "Neue Züricher Zeitung", potem przyłączyły się gazety z Berna i Lucerny, wreszcie z Genewy. Nie minęło wiele czasu, a historia wzbudziła zainteresowanie prasy francuskiej i niemieckiej. Pierwsza anglojęzyczna relacja ukazała się w Londynie, a dwa dni później w opiniotwórczym tygodniku amerykańskim. Autorzy w niewielkim stopniu opierali swoje doniesienia na faktach, w zamian prezentując sporo domysłów i spekulacji. Dobrze się to wszystko czytało, choć artykuły nie miały wiele wspólnego z solidnym dziennikarstwem. Sugerowano, że Rolfe posiadał tajną kolekcję dzieł sztuki i snuto przypuszczenia, że z jej powodu zginął. Całą sprawę łączono z osobą tajemniczego szwajcarskiego finansisty Ottona Gesslera, chociaż jego rzecznik prasowy stanowczo odrzucał wszelkie zarzuty, nazywając je stekiem obrzydliwych kłamstw i pomówień. Gdy jego prawnicy zagrozili procesami sądowymi, gazety szybko zamilkły.

Szwajcarska lewica zażądała wszczęcia dochodzenia parlamentarnego i rządowego. Wszystko wskazywało na to, że Berno zostanie zmuszone do głębszego zainteresowania się sprawą. Ostrzegano: Posypią się nazwiska! Kariery legną w gruzach! Wybuchł skandal. "Oczyścić historię!", krzyczała lewica. "Szwajcaria okryta hańbą!", wołały organizacje żydowskie. Kanałami ściekowymi Bahnhofstrasse spłynęła kolejna fala brudów, lecz pierwsze uderzenie burzy przyjęły na siebie Alpy. Berno i Zurych ocalały.

Niedługo potem życie dopisało nieoczekiwane zakończenie do tej historii. Ciało Gerhardta Petersona, wysokiego rangą oficera federalnych służb bezpieczeństwa, znaleziono w szczelinie lodowcowej w Alpach Berneńskich. Najwyraźniej stał się jeszcze jedną ofiarą nieszczęśliwego wypadku w górach. Gabriel, samotny w swojej kornwalijskiej pracowni, wiedział jednak, że śmierć Petersona to nie przypadek. Gerhardt Peterson został kolejnym depozytem w Banku Gesslera.

Annie Rolfe udało się odciąć od skandalu związanego ze śmiercią jej ojca. Po triumfalnym występie w Wenecji wyruszyła na intensywne tournée po Europie, złożone z recitali solowych oraz koncertów z największymi orkiestrami kontynentu. Krytycy uznali, że jej popisy dorównują żarem i błyskotliwością występom sprzed wypadku, chociaż część dziennikarzy narzekała na jej niechęć do udzielania wywiadów. W związku z pytaniami dotyczącymi śmierci ojca, Anna wydała oświadczenie prasowe, w którym poinformowała, że wyjaśnianiem wszelkich wątpliwości zajmuje się jej prawnik w Zurychu. On zaś uparcie odmawiał udziału w dyskusji na ten temat, powołując się na prawo do zachowania prywatności i dobro prowadzonych postępowań wyjaśniających. Na tym sprawa stanęła, toteż w krótkim czasie prasa w sposób naturalny straciła zainteresowanie osobą Anny Rolfe.

Gabriel uniósł głowę i zapatrzył się w niebo widoczne przez świetlik. Dopiero teraz spostrzegł, że deszcz wreszcie ustał. Wysłuchał prognozy pogody w Radiu Cornwall, jednocześnie porządkując pracownię. Do wieczora miało nie padać, od czasu do czasu powinno wyjrzeć słońce, a jak na wybrzeże Kornwalii w lutym, temperatura była umiarkowana. Co prawda ręka Gabriela zrosła się niedawno, lecz uznał, że kilka godzin na wodzie korzystnie wpłynie na jego samopoczucie.

Włożył żółtą impregnowaną kurtkę, a w kuchni przyrządził kanapki i nalał kawy do termosu. Parę minut później odcumowywał kecza. Uruchomił silnik i ruszył wzdłuż Port Navas Greek do rzeki Helford. Z północnego zachodu wiał jednostajny wiatr, na falach migotały jasne promienie słońca, a nad cieśniną Helford zieleniły się zbocza gór. Gabriel zablokował ster i wciągnął grota i kliwer. Potem zgasił silnik i popłynął, gnany wiatrem.

Zapomniał o wszystkim. Wiedział, że jego niepamięć nie potrwa długo - wystarczy, że zamknie oczy lub pozwoli umysłowi na bezczynność - teraz jednak pragnął skupić uwagę na unoszącej się i opadającej łodzi, a nie cierpieniach, których doświadczył, lub rzeczach, które widział. Zdarzały się noce, podczas których leżał samotnie w łóżku i rozmyślał o tym, jak będzie mógł żyć z wiedzą przekazaną mu przez Ottona Gesslera. W chwilach słabości rozważał nawet możliwość powiadomienia światowej prasy, opowiedzenia jej całej historii, napisania książki, choć dobrze wiedział, że Gessler jak zwykle zasłoni się prawem tajemnicy bankowej. W rezultacie Gabriel skończyłby jako jeszcze jeden uciekinier ze świata tajemnic, głoszący niepotwierdzone teorie spiskowe.

Zbliżając się do August Rock, spojrzął w niebo - od zachodu nadciągały chmury. Wskoczył do kabiny i włączył radio. Nadchodził sztorm: intensywne opady, wiatr sześć do ośmiu w skali Beauforta. Zawrócił łódź i rozwinął bezan. Kecz natychmiast przyspieszył.

Gdy dotarł do ujścia Helford, lało jak z cebra. Nasunął kaptur i zajął się żaglami. Najpierw opuścił bezan, potem kliwer, a wreszcie grota. Skierował łódź w górę rzeki. Nad głową krążyło mu stado mew, domagających się jedzenia. Gabriel pokruszył drugą kanapkę i wrzucił ją do wody.

Minął stare łowisko ostryg, okrążył cypel i wprowadził łódź na spokojne wody. Drzewa się przeredziły, odsłaniając dach domu. Gdy podpłynął bliżej, ujrzał sylwetkę człowieka stojącego na pomoście. Mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach, a przed deszczem chronił się za postawionym kołnierzem płaszcz. Gabriel dał nura do kabiny i porwał lornetkę Zeissa, wiszącą na haczyku obok kambuza. Przyłożył ją do oczu i wycelował w twarz nieznanego, poprawiając ostrość... I zaraz opuścił. Nie musiał się już dłużej zastanawiać nad tym, kto jest jego gościem.

Ari Shamron zasiadł przy małym stoliku w kuchni, a Gabriel wziął się do parzenia świeżej kawy.

- Powoli zaczynasz wyglądać jak człowiek.
- Zawsze potrafiłeś kłamać bez zmruczenia powiek.
- Opuchlizna w końcu ustąpi. Pamiętasz Barucha? Ten dopiero dostał lanie od ludzi z Hezbollahu, zanim go uwolniliśmy. Po kilku miesiącach powrócił do poprzedniego wyglądu.

- Baruch zawsze był brzydki.
- To fakt. Ty kiedyś byłeś piękny. Jeśli chodzi o mnie, z obitą gębą nie prezentowałbym się źle. Może nawet lepiej niż normalnie.
- W razie czego bez trudu znajdę kilku chętnych, którzy popracują nad twoją fizjonomią.
Shamron skrzywił twarz w uśmiechu. Przez chwilę wyglądał nie jak stary, zmęczony człowiek, tylko jak wojownik Sabra, który przed prawie trzydziestu laty wyciągnął Gabriela z Akademii Sztuk Pięknych Betsal'el.
- Przedstawiliby znacznie gorszy widok niż ty, kiedy bym z nimi skończył.
Gabriel usiadł i rozlał kawę do kubków.
- Udało się zachować wszystko w tajemnicy?
- Na Bulwarze Króla Saula pojawiły się pewne pogłoski o niezrozumiałych ruchach personelu i dziwnych wydatkach w Wenecji i Zurychu. Jakimś cudem te plotki dotarły do gabinetu premiera.
- Wie wszystko?
- Wiele podejrzewa i jest zadowolony. Twierdzi, że jeśli to prawda, to nie chce o niczym wiedzieć.
- Co z obrazami?
- Dyskretnie kontaktujemy się z kilkoma agencjami restytucji dzieł sztuki oraz amerykańskim Departamentem Sprawiedliwości. Z szesnastu płócien, które znalazłeś w skrytce depozytowej Rolfego, dziewięć zwrócono spadkobiercom prawowitych właścicieli.
- A reszta?
- Są w Izraelu, w Muzeum Narodowym, jak sobie tego życzył Rolfe, i czekają, aż odnajdziemy ich właścicieli. Jeśli to się nie uda, zostaną tam na zawsze.
- Jak Anna?
- Nasi ludzie wciąż jej pilnują. Rami niedługo zwariuje. Twierdzi, że jest gotów podjąć się każdego zadania, byle tylko przestać ją obstawiać. Podobno chętnie zgłosi się do służby patrolowej w Gazie.
- Były jakieś pogróżki pod jej adresem?
- Nie, póki co.
- Jak długo powinniśmy ją ochraniać?
- Tak długo, jak zechcesz. To była twoja operacja, więc tobie pozostawiam decyzję.
- Co najmniej rok.
- Zgoda.
Shamron dolał sobie kawy i zapalił cuchnącego tureckiego papierosa.
- W przyszłym tygodniu przyjeżdża do Anglii. Zagra w Albert Hali. To ostatni koncert tego tournée.
- Wiem, Ari. Ja też czytuję gazety.
- Prosiła, żebym ci to przekazał. - Przesunął po stole małą kopertę. - Bilet. Chce, abyś po występie wpadł do niej za kulisy i się przywitał.
- Jestem w trakcie renowacji.
- Swojej twarzy czy obrazu?
- Obrazu.
- Zrób sobie przerwę.
- Nie mam teraz czasu na wyprawę do Londynu.
- Księżę Walii ma czas, żeby przyjechać, a ty jesteś zbyt zajęty?
- Właśnie tak.
- Nigdy nie zrozumieć, dlaczego koniecznie chcesz, aby ta piękna, utalentowana kobieta ci się wymknęła.
- Kto powiedział, że tego chcę?
- Myślisz, że będzie czekała wiecznie?
- Nie, tylko do czasu ustąpienia opuchlizny.

Shamron, zniecierpliwiony, machnął wielką dłonią.

- Używasz twarzy jako wygodnego pretekstu, żeby się z nią nie spotkać. Ale ja znam prawdziwy powód. Życie jest dla tych, którzy umieją żyć, Gabriel, a ten mały, przytulny azyl, który sobie stworzyłeś, w niczym nie przypomina normalnego życia. Pora przestać się obwiniać za to, co się stało w Wiedniu. Jeśli już musisz obarczyć kogoś winą, to tylko mnie.

- Nie pojedę do Londynu w takim stanie.

- Skoro nie jedziesz, to pozwól, że złożę ci inną propozycję.

Gabriel westchnął z rezygnacją. Stracił wszelką wolę, aby dłużej opierać się temu człowiekowi.

- Zamieniam się w słuch.

49

Korsyka

Tego samego popołudnia Anglik zaprosił Antona Orsatiego do swojej willi na lunch. Wiał silny wiatr i było zimno - zbyt zimno, aby usiąść na tarasie. Zjedli więc przy kuchennym stole, rozmawiając o pewnych istotnych sprawach związanych z funkcjonowaniem firmy. Don Orsati właśnie wygrał przetarg na dostawę oliwy do sieci dwudziestu czterech barów bistro, rozsianych od Nicei po Normandię. Pewne amerykańskie przedsiębiorstwo handlu zagranicznego chciało teraz wprowadzić oliwę do delikatesów w Stanach Zjednoczonych. Popyt powoli zaczął przewyższać podaż. Orsati potrzebował więcej ziemi i drzew. Czy jednak owoce zachowają odpowiedni standard? Czy nie pogorszy się jakość oliwy? Na te pytania usiłowali znaleźć odpowiedzi podczas posiłku.

Później usiedli przy kominku w salonie, by raczyć się czerwonym winem z kamionkowego dzbana. Wtedy to Anglik wyznał, że w sprawie Rolfego nie zachował się jak człowiek honoru.

Orsati nalał sobie więcej wina, a jego oblicze rozjaśnił uśmiech.

- Kiedy signadora powiedziała mi, że powróciłeś z Wenecji bez talizmanu, od razu się domyśliłem, że zaszło coś niezwykłego. Właściwie co zrobiłeś z wisiorkiem?

- Dałem go Annie Rolfe.

- W jaki sposób?

Anglik wyjaśnił.

Orsati nie mógł ochłonąć z wrażenia.

- Powiedziałbym, że w tym starciu zwyciężyłeś na punkty. Jak zdobyłeś marynarkę?

- Pożyczyłem od ochroniarza w scuoli.

- Co z nim?

Anglik wbił wzrok w płomień.

- Biedaczysko - mruknął Orsati.

- Najpierw grzecznie poprosiłem.

- Pytanie tylko, dlaczego? Czemu mnie oszukałeś, Christopher? Nie byłem dla ciebie dobry?

Anglik odtworzył kasetę, którą zabrał Emilowi Jacobiemu w Lyonie. Potem wręczył Orsatiemu dossier, przygotowane na podstawie własnego dochodzenia, i udał się do kuchni, aby pozmywać naczynia po lunchu. Korsykanin nie należał do ludzi szybko przyswajających słowo pisane.

Gdy wrócił do salonu, Orsati właśnie kończył czytać. Zamknął teczkę i spojrzał na przyjaciela.

- Profesor Jacobi był bardzo dobrym człowiekiem, ale płaci nam się za zabijanie. Gdybyśmy przez cały czas chcieli zmagać się z pytaniami o dobro i zło, nie wykonalibyśmy żadnego zlecenia.

- Czy w taki sposób twój ojciec prowadził firmę? Albo jego ojciec? Albo dziadek?

Orsati wycelował tłusty palec prosto w twarz Anglika, jakby biorąc go na muszkę.

- Trzymaj się z dala od moich spraw rodzinnych, Christopher. Pracujesz dla mnie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Orsati po raz pierwszy w życiu dał wyraz złości podczas rozmowy z Anglikiem.

- Nie chciałem okazać ci braku szacunku, don Orsati.

Korsykanin opuścił palec.

- Nic się nie stało.

- Słyszałeś może o historii signadory? Wiesz, jaki los spotkał jej męża?

- Dużo o nas wiesz, ale nie znasz wszystkich faktów. Jak sądzisz, z czego żyje signadora? Myślisz, że utrzymuje się z pieniędzy zarobionych na odpędzaniu złych duchów swoim magicznym olejem i wodą święconą?

- Opiekujesz się nią? Orsati powoli skinął głową.

- Powiedziała mi, że taddunaghiu czasami wymierzają sprawiedliwość, a nie tylko zemstę.

- To prawda. Don Tomasi ponad wszelką wątpliwość zasługiwał na śmierć.

- Znam człowieka, który również na nią zasłużył.

- Chodzi ci o mężczyznę z twojego dossier?

- Tak.

- Zdaje się, że jest bardzo dobrze chroniony.

- Jestem lepszy od każdego z jego ludzi.

Korsykanin, zbliżywszy kieliszek do kominka, zapatrzył się w ogniki tańczące w rubinowym płynie.

- Jesteś bardzo dobry, ale pozbycie się kogoś takiego to nie lada sztuka. Potrzebna ci moja pomoc.

- Twoja?

Orsati wysączył ostatnie krople wina.

- A jak myślisz, kto wspiął się na górę don Tomasiego i poderżnął mu jego wredne gardło?

50

Costa de Prata, Portugalia

Carlos ujrzał go pierwszy. Podniósł wzrok, kiedy samochód wjechał na zwirowy podjazd, i patrzył, jak Gabriel, konserwator dzieł sztuki, wita się z mężczyzną o imieniu Rami. Zamienili kilka słów; Rami dotknął blizn na twarzy przybysza. Carlos przyglądał się temu ze swojego stanowiska u podnóża winnicy. Nie był żołnierzem, lecz potrafił ocenić sytuację: nastąpi zmiana warty. Rami wyjeżdża, i tak spędziwszy tu zbyt dużo czasu. "Rami zmęczył się ekstrawagancją Naszej Pani. Nasza Pani potrzebuje kogoś bezbrzeżnie cierpliwego, aby o nią dbał. Nasza Pani potrzebuje konserwatora dzieł sztuki".

Przypatrywał się, jak Gabriel idzie w stronę willi i znika w jej wnętrzu. Skrzypaczka ćwiczyła na piętrze. Konserwator na pewno nie zechce jej przerywać. Carlos przez chwilę rozważał możliwość pobiegnięcia na taras, żeby interweniować, lecz dobrze się zastanowił i został tam, gdzie stał. Konserwator powinien dostać lekcję, a wiedza najlepiej wchodzi do głowy, gdy ją tam wpakować siłą.

Odłożył więc sekator i wymacał w kieszeni butelkę bagaco* [Bagaco (port.) - rodzaj słabego bimbrowa]. Potem kucnął pośród winorośli i zapalił papierosa, wpatrując się w słońce nurkujące do morza. Czekał na rozpoczęcie widowiska.

Dźwięki skrzypiec wypełniały cały dom, kiedy Gabriel wspinał się po schodach do pokoju Anny. Wszedł bez pukania. Odegrawszy jeszcze kilka nut, nagle urwała.

- Niech cię diabli, Rami! - ryknęła, nie patrząc za siebie. - Do jasnej cholery, ile razy mam ci mówić...

Dopiero wtedy odwróciła głowę i ujrzała Gabriela. Rozchyliła usta ze zdumienia, a z jej dłoni wysunął się guarneri. Gabriel rzucił się szczupakiem i chwycił instrument w locie. Anna porwała niespodziewanego gościa w ramiona.

- Nigdy nie przypuszczałam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę, Gabriel. Co tu robisz?
- Wyznaczono mnie do twojej ochrony.
- Dzięki Bogu! Bo inaczej ja i Rami pozabijalibyśmy się w najbliższym czasie.
- Tak też słyszałem.
- Ilu ludzi będzie w twoim zespole?
- Decyzję pozostawiam tobie.
- Jeden człowiek chyba w zupełności wystarczy, jeśli się ze mną zgodzisz.
- Myślę, że masz rację - uradował się. - Absolutną rację.

50

Nidwalden, Szwajcaria

Otto Gessler po raz kolejny zanurzył się w jedwabistej wodzie. Miał dobry dzień. Przepłynął dwie długości basenu więcej niż zwykle - łącznie sto pięćdziesiąt metrów. Całkiem niezłe osiągnięcie jak na mężczyznę w jego wieku. Nie widząc otoczenia, musiał uważnie liczyć kolejne wyrzuty rąk, aby nie rozbić sobie głowy o ścianę basenu. Nie tak dawno temu pokonywał jedną długość przy dwudziestu dwóch solidnych wymachach ramion. Teraz potrzebował ich czterdziestu.

Zbliżał się do końca ostatniego nawrotu: trzydzieści siedem... trzydzieści osiem... trzydzieści dziewięć... Uniósł dłoń w poszukiwaniu gładkiego jak szkło, włoskiego marmuru. Coś jednak chwyciło go za rękę i wyciągnęło z wody. Przez chwilę wisiał zupełnie bezsilny, niczym ryba na żyłce, z odsłoniętym brzuchem i rozciągniętą klatką piersiową.

I wtedy jego serce przeszył nóż. Poczul przenikliwy ból i przez ułamek sekundy widział. Gdzieś w oddali rozbłysło niezwykle intensywne, białe światło. Potem krępująca go dłoń zwolniła uścisk. Osunął się z powrotem do jedwabistej wody. Z powrotem do nieprzeniknionych ciemności.

Posłowie

Podczas okupacji Francji siły nazistowskich Niemiec zrabowały setki tysięcy obrazów, rzeźb, gobelinów i innych dzieł sztuki. Dziesiątki tysięcy z nich wciąż pozostają w ukryciu. W 1996 roku szwajcarskie Zgromadzenie Związkowe utworzyło tak zwaną Niezależną Komisję Ekspertów i wydało jej polecenie wszczęcia dochodzenia w sprawie poczynąń Szwajcarii podczas II wojny światowej. W raporcie końcowym, ogłoszonym w sierpniu 2001 roku, Komisja przyznała, że Szwajcaria pełniła rolę "ośrodka handlu" zrabowanymi dziełami sztuki, a w trakcie działań wojennych na jej terytorium wwieziono znaczną liczbę obrazów. Nikt nie wie, ile z nich wciąż kryje się w podziemnych skarbcach szwajcarskich banków oraz w domach osób prywatnych.

Podziękowania

Niniejsza powieść jest drugą, w której występuje Gabriel Allon. Ta książka, podobnie jak poprzednia, nie mogłaby powstać bez pomocy i wsparcia Davida Bulla. W przeciwieństwie do fikcyjnego Gabriela, David Bull to naprawdę jeden z najlepszych na świecie konserwatorów obrazów, a ja mam przywilej nazywania go swoim przyjacielem. Jego wiedza o odnawianiu

plócien, historii nazistowskiej grabieży światowych dzieł sztuki oraz znajomość Wenecji były dla mnie bezcenną inspiracją.

Jestem ogromnie wdzięczny Sadie deWall, drugiej skrzypaczce Charleston Symphony Orchestra, która zapoznała mnie z cudowną sonatą Tartinięgo i pomogła lepiej zrozumieć duszę prawdziwie uzdolnionego muzyka. Odpowiedziała na wszystkie moje pytania, nawet najbardziej niemądre, i hojnie podzieliła się ze mną swoim cennym czasem.

Doktor Benjamin Shaffer, jeden z najwyżej cenionych ortopedów w Waszyngtonie, opisał mi zawiłości leczenia ran gniecionych ręki. Szczególne podziękowania składam szwajcarskim urzędnikom, którzy pomogli mi zdemaskować policję i służby bezpieczeństwa swojej ojczyzny. Z oczywistych względów ich nazwiska muszą pozostać utajnione. Za okazane wsparcie dziękuję również funkcjonariuszom Centralnej Agencji Wywiadowczej. Nie trzeba dodawać, że fachowość mojej książki jest ich zasługą, odpowiedzialność zaś za zawarte w niej błędy i fikcję literacką spada na mnie.

Z dziesiątków książek, po które sięgnąłem w trakcie pisania tej powieści, kilka okazało się niezastąpionych, między innymi przełomowa praca Lynna Nicholasa, poświęcona nazistowskiej grabieży dzieł sztuki *The Rape of Europa*; a także *The Lost Museum* Hectora Feliciano oraz *The Lost Masters* Petera Harclerode'a i Brendana Pittaway. Cennym źródłem informacji była także książka *Safety in Numbers* Nicholasa Faitha, opowiadająca o historii szwajcarskiej bankowości. Inspirację czerpałem z odważnej pozycji Jeana Zieglera *The Swiss, the Gold, and the Dead*.

Obsługa Dolder Grand Hotel w Zurychu oraz Luna Hotel Baglioni w Wenecji zadbała o to, aby nasze wyprawy badawcze bardziej przypominały wycieczki, a mniej pracę. Mój drogi przyjaciel, Louis Toscano, dwukrotnie przeczytał rękopis i znacznie go ulepszył. Greg Craig był gotów dosłownie oddać mi ostatnią koszulę. Przyjaźń i wsparcie ze strony mojej agentki literackiej, Esther Newberg z International Creative Management, stały się dla mnie wyjątkowo cenne podczas pisania tej książki.

Wszyscy pisarze powinni mieć tyle szczęścia co ja i współpracować z wydawcami takimi jak Neil Nyren oraz Stacy Creamer, którzy ofiarowali mi przenikliwe uwagi i gotowość pomocy. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że lepiej ode mnie rozumieją bohaterów oraz przebieg akcji. Stuart Calderwood zasługuje na gorące podziękowania za swoje precyzyjne poprawki edytorskie, dzięki czemu nie najadłem się wstydu.

Na koniec pragnę głęboko podziękować Phyllis Grann. Po prostu nie ma nikogo lepszego od niej.